

KARA MUSI BYĆ ADEKWATNA DO WINY.

MAREK STELAR

Ależ Stelar robi tu robotę!

Świetny, nieoczywisty i mroczny kryminał. Brać i czytać!

WOJCIECH CHMIELARZ

BLIZNY

FILIA

**MAREK
STELAR**

BLIZNY

FILIA

*A dalej widziałem pod słońcem,
że to nie chyżym bieg się udaje,
i nie waleczni w walce zwyciężają.
Tak samo nie mędrcom chleb się dostaje w udziale
ani rozumnym bogactwo,
ani też nie uczeni cieszą się względami.
Bo czas i przypadek rządzi wszystkim.*

Kh 9, 11, Biblia Tysiąclecia

marzec 2020

Ujawnienie zwłok na budowie węzła Łękno.

Taką lakoniczną informację dostał nadkomisarz Tomasz Rędzia tuż po przyjściu do pracy, i nastawiła go ona odpowiednio na cały dzień. Odpowiednio negatywnie. Skłamałaby, mówiąc, że nie był tak nastawiony wcześniej, bo zanim wiadomość o trupie przekazał mu Jarek Berdak, Rędzia zdążył odbyć z żoną rozmowę na temat zasadności pójścia do pracy zarówno dziś, jak i w dniach następnych. Rozmowę przeprowadzili tuż przed wyjściem z domu, dotyczyła możliwości pracy zdalnej, którą z zasady wykluczał charakter jego służby, i Rędzia nie spóźnił się do roboty tylko dlatego, że w czasach pandemii koronawirusa z ulic Szczecina w magiczny wręcz sposób zniknęły korki.

– Zwłoki na budowie... Wypadek? – zapytał Berdaka, który siorbał kawę, siedząc przed ekranem służbowego komputera.

Dziennikarz serwisu informacyjnego, który przeglądał Berdak, zastanawiał się, czy przełożą te cholerne wybory, czy nie. Jarka Berdaka strasznie kręciły polityczne rozgrywki, natomiast Rędzia miał to w dupie. Ostatnio wszystko miał w dupie. Taki czas.

– Do wypadku nie wysyłałiby kryminalnych, nie? – zapytał leniwie Jarek i bez wątpienia miał rację. – Zresztą niewiele więcej wiem. Zgłoszenie dotyczyło ujawnienia zwłok.

Rędzia postanowił dać sobie minutę, zanim wstanie z krzesła, włoży kurtkę, którą przed chwilą zdjął, i pojedzie na Łękno. Zamknął oczy i wyobraził sobie morze. Spokojne, leniwe, bez fal, za to bezkresne i o ołowianym kolorze wody, w której odbijało się zaciągnięte szarymi chmurami niebo. Plaża była pusta. Kto chciałby przyjść na plażę w taką pogodę?

Rędzia by chciał. Dałby naprawdę wiele, żeby znaleźć się teraz właśnie tam.

– Zadzwoniłem już do prokuratury...

– Jarecki... – Rędzia, nie otwierając oczu, uniósł dłoń. – Jeszcze trzydzieści sekund ciszy, dobra? Błagam. Potrzebuję tego. Bardziej niż kawy i fajek.

– Przecież ty nie palisz ani nie pijesz kawy?

Komisarz odchylił głowę, otworzył oczy i zastygł ze spojrzeniem utkwionym w sufit. Morze odpłynęło, zanim zdążył mu się dobrze przyjrzeć. Zostały tylko trzy prostokąty połączeniowych okien w dachu budynku komendy miejskiej policji. Błękit nieba za nimi był doprawdy marną pociechą.

– Naprawdę? – zapytał.

Wstał i sięgnął po kurtkę.

– Ktoś z prokuratury już jedzie, jakaś nowa kobita chyba, bo nazwisko nic mi nie mówi – powiedział Berdak, przyglądając mu się. – Więc jest szansa, że się nie naczekasz.

– Cieszę się niezmiernie – rzucił Rędzia.

– Parszywy dzień, widzę?

Rędzia popatrzył na aspiranta ponuro.

– I dopiero się, kurwa, zaczął...

* * *

Rędzia zaparkował przy czerwono-białej barierze zagradzającej dojazd do skrzyżowania Traugutta i Wojska Polskiego. Berdak tymczasem ustalił zamiar na inspektora nadzoru inwestorskiego i przesłał komisarzowi numer, więc Rędzia umówił się z człowiekiem od razu w konkretnym miejscu, żeby nie szukać go godzinę po całym terenie budowy. Inspektor czekał na niego teraz przy barierce.

Rędzia wysiadł z auta.

– Dzień dobry, komisarz Tomasz Rędzia, KMP Szczecin – przywitał się.

– Dzień dobry. – Mężczyzna był wyraźnie podenerwowany. – Rudziński, to ze mną pan przed chwilą rozmawiał.

Pod pachą trzymał drugi kask i żółciutki pakuneczek. Podeszedł do komisarza i wręczył mu obie rzeczy, mówiąc:

– Kask dla pana i kubraczek. Niech pan nałoży. Jak pan w tej swojej kurtce wejdzie na plac budowy, to się pan zleje z tłem. I jeszcze po panu coś przejedzie... Na szczęście to niedaleko, tuż za torami.

Rędzia włożył odblaskową kamizelkę, a na głowę biały kask z logo generalnego wykonawcy. Rudziński przestępował z nogi na nogę.

– Co pan taki zdenerwowany? – zapytał go Rędzia. – Trupa pan nie widział?

Inspektor roześmiał się nieco nerwowo.

– To już mój trzeci w trzydziestoletniej karierze budowlańca. Wypada jeden na dekadę, dobrze, że zaraz emerytura.

– To skąd te nerwy?

– Bo ten nie wygląda na świeżego.

– No i w czym problem? Świeży potrafi czasem wyglądać nawet gorzej.

Rędzia wiedział, o czym mówi. Znał to z autopsji.

– Nie o to chodzi. – Rudziński spojrzał na niego z ukosa. – Jeśli będzie trzeba wezwać archeologów, to mamy przesrane. Wstrzymają nam inwestycję.

– Nie przesadza pan? Zrobią sobie stanowisko, i już.

– Żarty pan sobie stroi? Stanowisko? A jak to jakaś cała pieprzona osada neandertalczyków? Wie pan, jak wygląda taka budowa? To precyzyjnie zaplanowana układanka. To zaawansowana technologia, a nie kupa cegieł i kubły z betonem, i do tego brygada ludków z kielniami. Tu plan jest napięty jak baranie jajko. Harmonogram, proszę pana, to podstawa. Obsuwa w jednym miejscu ma swoje konsekwencje we wszystkich pozostałych. Można uwzględnić warunki pogodowe, nagłą zmianę dostawcy materiałów, nawet takiego pieprzonego wirusa, ale trup? Trup kładzie wszystko. – Szli przez wykroty żółtopomarańczowej ziemi wśród ogłuszających dźwięków maszyn budowlanych, inspektor prawie wrzeszczał, żeby Rędzia mógł go usłyszeć. – Znam budowy, gdzie jak tylko odkrywali jakieś kości, to natychmiast to zasypywali, a potem w nocy wydłubywali je z ziemi i wywozili chuj wie gdzie... Ale u nas to by nie przeszło.

– Dlaczego?

– Za duże pieniądze w to wsadzono. Tu wszyscy wszystkim patrzą na ręce. A ja, jako inspektor nadzoru inwestorskiego, na pewno nie przyłożę do czegoś takiego ręki. To nie w interesie miasta.

– Rozumiem. – Zrobiło się nieco ciszej, kiedy minęli ogromną wiertnicę. – Jak znaleziono zwłoki?

– Już tłumaczę. W tamtym miejscu będzie przeszło nowego wiaduktu. Planowane są dwa: jedno nad istniejącymi torami linii kolejowej i drugie, właśnie to, o którym mówię. Nad torami budujemy taką konstrukcję, na niej instalujemy szalunki, w nich układamy zbrojenie i wylewamy beton. To tak w uproszczeniu. A tu nie musimy budować konstrukcji, bo szalunki układamy na gruncie, rozumie pan?

– Nie do końca. Jak na gruncie, skoro pod nowym wiaduktem ma być przejazd?

– A poco najpierw kopać ten przejazd i ustawiać konstrukcję nośną, którą potem jeszcze trzeba rozebrać, skoro można wykorzystać podłoże? Szybciej i taniej. Dużo szybciej i dużo taniej.

– No tak.

– Oczywiście spłycam zagadnienie, bo technologicznie to o wiele bardziej skomplikowane, ale ogólnie rzecz biorąc, tak to mniej więcej wygląda. W każdym razie przeszło zostało już wykonane i przyszedł czas, żeby wybrać spod niego ziemię. Wjechała koparka i już na samym początku... trup.

Właśnie doszli w to miejsce. Było niemal na skraju zbocza kończącego duży wąwóz; miał on być w przyszłości prowadzącą na północ nitką obwodnicy, która przechodziła pod wielkim skrzyżowaniem. W dole czekała beczynnie olbrzymia, żółta koparka. Na górze, wokół nadgryzionego w ziemi zębami jej łyżki wgłębienia stało kilku mężczyzn w kaskach. Otaczali je wianuszkami i gapili się w dół, jakby czekali, aż coś stamtąd wylezie. Było wśród nich dwóch policjantów z patrolu, którzy przyjechali od razu po powiadomieniu dyżurnego. Oni nie mieli kasków, tylko czarne, służbowe maseczki na twarzach.

– Przepraszam, proszę się odsunąć – zakomenderował Rędzia.

Nie miał obaw, że zostaną zatarte jakieś ślady, bo łyżka koparki zrobiła to wcześniej, jeśli w ogóle jakieś ślady były. Rędzia i tak musiał poczekać na ekipę kryminalistyczną i prokuratora, ale chciał to najpierw sam

zobaczyć. I zobaczył. Z wykopu wystawała ludzka ręka. Kości obciążone były wyschniętą skórą, wystawały z jakiegoś szarego materiału, na którego skraju Rędzia zauważył trzy plamki. Kilka centymetrów obok widać było kawałek pożąłkłej folii oraz fragment żelbetowej płyty. Rędzia przypomniał sobie opowieści o walczących w pierwszej wojnie światowej żołnierzach, ciężko rannych i nieopatrznie uznanych za zmarłych, ale pochowanych żywcem. Obudziwszy się w płytkim grobie, próbowali wydostać się z niego, lecz sił wystarczało im zaledwie na wykopanie i wystawienie rąk, które z obdartymi ze skóry opuszkami i pozbawione paznokci sterczały potem z ziemi, jakby wygrażały tym, którzy dopuścili do fatalnej pomyłki.

– Może pan być spokojny – zwrócił się Rędzia do inspektora nadzoru – neandertalczyki nie chodzili w dresach. W tamtych czasach nie znali też plastiku.

Nie mógł mieć pewności, czy to zwłoki, czy jedynie szczątki, choć na pewno były ludzkie. Wątpliwości budził też stan tkanek: wyglądało na to, że trup leży tu od dość dawna, w dodatku w specyficznych warunkach, które nie spowodowały odsłonięcia kośćca. Jednym słowem, miał do czynienia z mumią. Żeby zobaczyć resztę, musiał poczekać na ekipę kryminalistyczną i prokuratora.

Jego uwagę zwrócił nagle śmiech. Wstał z kucek i obejrzał się. Grupka budowlańców patrzyła w stronę torów tramwajowych. To był widok z gatunku abstrakcyjnych i zgoła niezwykły. Pomiędzy sterczącymi z ziemi elementami konstrukcji, przez ogromną połączoną ziemię szła w ich stronę kobieta. Miała na stopach espadryle, na sobie granatowy kostium, a pod pachą cienką teczkę i kompletnie nie pasowała do otoczenia, zwracając na siebie powszechną uwagę niemal wszystkich budowlańców pracujących w tym rejonie. Nic chyba sobie z tego nie robiła albo może po prostu o tym nie wiedziała, bo szła ostrożnie, w skupieniu patrząc pod nogi i wybierając miejsca, w których buty zapadały się najpłycej w miękką gliniastą ziemię. Rędzi zrobiło się jej najzwyczajniej w świecie żal.

– Ale koza idzie. – Jeden z brygadzystów się roześmiał.

Z wyglądu nie miał nawet trzydziestu lat i swoim tekstem wkurwił Rędzię okrutnie.

– Kozę to sobie możesz mieć w domu, szczawiu jeden – powiedział do niego. – A to jest prokurator Rzeczypospolitej Polskiej.

Śmiech uwiązał młodemu w gardle. Chrząknął, poczerwieniał i spuścił głowę, a jego koledzy zaczęli udawać, że ich tu nie ma. Kiedy kobieta do nich dotarła, mogli przyjrzeć się jej lepiej. Była wysoka, szczupła, miała króciutkie i zmierzwione, czarne jak smoła włosy, a na nosie okulary w oprawkach o fioletowawym zabarwieniu. Zanim Rędzia zdążył uświadomić sobie, że skądś ją zna, miał już pewność, kim jest. Prócz długości włosów i tych okularów praktycznie nic się nie zmieniło.

– Prokurator Agnieszka Rybarczyk, prokuratura rejonowa Szczecin–Niebuszewo – powiedziała urzędowym tonem i obrzuciła spojrzeniem wszystkich po kolei. – Który z panów jest z komendy miejskiej?

Każdy z nich miał kask i odblaskową kamizelkę, więc pytanie było jak najbardziej na miejscu.

– Ja – odparł Rędzia, wciąż nie wierząc własnym oczom i dodał: – Hej.

– Pan, tak? – zapytała sucho, nie odpowiadając na przywitanie.

– Tak – odparł, lekko rozbawiony.

– Pan wybaczy, ale nawet się nie znamy. Być może później, przy ewentualnej dobrej współpracy rozważę możliwość przejścia na inne, mniej zasadnicze formy zwracania się do siebie. Ale póki to nie nastąpi, mówimy sobie „dzień dobry”, a nie „hej” i proszę zwracać się do mnie per pani prokurator, w końcu oboje jesteśmy w pracy. Raczy mi się pan przedstawić?

Rędzia kątem oka zauważył tryumfującą minę młodego brygadzysty, którego przed chwilą opieprzył.

– Tak się składa, że się znamy i to prawie trzydzieści lat, pani prokurator. – Zdjął kask i uśmiechnął się do niej.

Szeroko.

– Jeezu... – Rybarczyk uniosła okulary, kładąc je na włosach, a jej usta również rozciągnęły się w radosnym uśmiechu. – Tomek...

Podeszła do niego i nie przejmując się budowlańcami ani policjantami, objęła go za szyję i przytuliła policzek do jego policzka. Poczuł się lekko skrępowany, ale ucieszył się, bo to oznaczało, że Agnieszka nie zmieniła się za bardzo nie tylko fizycznie. Zawsze lubił tę jej bezpośredniość, choć nie zawsze oznaczało to miłe traktowanie. Kiedy było trzeba, potrafiła

powiedzieć wprost, co o kimś sądzi, i to w niewybrednych słowach. Rędzia też kiedyś miał okazję się o tym przekonać.

Nawet mimo tego, co ich kiedyś łączyło, a może właśnie dlatego.

– Ale przypadek, co? – Roześmiała się, patrząc mu w oczy.

Rędzia zerknął na przyglądających im się mężczyzn.

– Chodziliśmy do jednej klasy w liceum i nie widzieliśmy się od matury – wyjaśnił, lekko się czerwieniąc, jak młody przed chwilą.

– Dobra, potem pogadamy. – Agnieszka spoważniała. – Co mamy?

Inspektor nadzoru zaczął wyjaśniać jej, jak doszło do odsłonięcia znaleziska, a Rędzia w tym czasie przyglądał się prokurator Rybarczyk. Patrzył na delikatne zmarszczki w kącikach oczu, ładnie zarysowaną linię szczęki, drobne, kształtne uszy, lata temu zwykle zasłonięte długimi, kruczoczarnymi włosami, których praktycznie nigdy nie spinała. Teraz jej włosy były króciuteńkie i pewnie farbowane, ale trzeba było przyznać, że Agi czas prawie się nie imał. Zastanawiał się, czy jej ciało wygląda tak samo jak w czwartej klasie i czy to w ogóle ma dla niego jakieś znaczenie.

Inspektorowi przerwało przybycie ekipy kryminalistycznej.

– Jezu, archeologa trzeba było zabrać – rzucił ze zdumieniem jeden z dwóch techników i Rędzia zauważył, jak inspektorowi najpierw rusza się grdyka, a potem zerka na niego ze skargą w oczach: „przecież pan powiedział...”.

– Panowie pomogą odkopać, tak? – zapytał go, wskazując młodego brygadzystę, który przed chwilą spostponował Agnieszkę. – Koledzy pokierują, żeby niczego nie uszkodzić.

– Dobra, to jeśli już tacy uprzejmi jesteście, obkopcie go dookoła, na jakiś metr, a potem sobie poradzimy – zakomenderował szef ekipy, nie czekając, aż ktoś z budowlańców w ogóle wyrazi chęć pomocy. – Tylko ostrożnie.

Rędzia odszedł na bok, Agnieszka tak samo. Stanęli koło siebie, obserwując, jak robotnicy z wahaniem zabierają się do roboty.

– Trochę się zmieniłeś – zauważyła cicho Agnieszka.

– Na lepsze?

– Owszem, w pewnym sensie na lepsze. Przynajmniej fizycznie.

– A ty w ogóle. – Jeszcze raz obrzucił ją spojrzeniem. – Tylko włosy masz krótsze.

– Czarus. – Uśmiechnęła się.

– Ja i czarus to wzajemnie wykluczające się pojęcia, pamiętasz?

– Pamiętam. – Spojrzała na niego, a potem zaczęła studiować jego twarz. – Jezu, nie widzieliśmy się od dwudziestu pięciu lat, uwierzysz? Schudłeś.

– Wziąłem się za siebie. – Wzruszył ramionami. – Ściąłem włosy, polubiłem sport, góry dalej uwielbiam, jeżdżę tam, kiedy tylko się da.

– Ciągle Tatry?

– Bezwzględnie i wyłącznie.

– Żona, dzieci?

– Tak. Dwóch chłopaków w podstawówce. A ty?

Skrzywiła się lekko.

– Rozwódka. Syn, już dorosły. Wyszłam za mąż i zaszłam w ciążę, czy raczej na odwrót, na pierwszym roku studiów. Moje dziecko mieszka w Warszawie, kończy swoje studia, robi karierę w korporacji i ma własny świat. Ma też plan na życie: harować do czterdziestki, odłożyć, ile się da, potem pojechać na wyprawę dookoła świata i osiedlić się w miejscu, które najbardziej przypadnie mu do gustu.

– Uhm. Plan jest niezły. A skąd ty się tu wzięłaś?

– Skąd wiesz, że się wzięłam? – Zerknęła na niego.

– Berdak mówił, że jesteś nowa. Dzwonił do was zgłosić zwłoki i powiedzieli mu, kogo wysyłają. Nie kojarzył cię w każdym razie, a on kojarzy i zna wszystkich.

– Kto to jest Berdak? Twój współpracownik?

– Tak. To jak tu trafiłaś?

– Skończyłam prawo w Poznaniu, potem pracowałam w prokuraturze okręgowej w Sulechowie, praktycznie od samego początku kariery zawodowej, ale kilka tygodni temu zostałam przeniesiona tutaj.

– Dalej niepokorna, widzę?

– Dalej. – Przygryzła wargę i pokiwała głową.

Patrzyli chwilę na kapiących.

– Zadzwoń po medyka – powiedziała Agnieszka i wyciągnęła telefon. Rędzia słuchał, jak się przedstawia i wyjaśnia sytuację.

– Widzę, że mają obsuwę. – Kiedy skończyła rozmawiać, pokazał jej techników, którzy już odsunęli od pracy budowlańców. Teraz sami grzebali w dużej dziurze w ziemi, z której wystawał spory pakunek.

Okazało się, że plany dotyczące zgrubnego obkopania wzięły w łeb, po pierwszych kilku sztychach łopat ziemia obsunęła się do środka, niemal całkowicie odsłaniając zwłoki.

– Tu był schron – rzucił nagle Rędzia.

– Jaki schron?

– Taki mały, jaki w latach czterdziestych Niemcy stawiali praktycznie wszędzie. Wiesz, takie trapezoidalne kostki wystające z ziemi połączone krótkim korytarzykiem. Szczeliny przeciwlotnicze.

– Kojarzę. – Pokiwała głową. – Przy szkołach takie były.

– Na przykład. I tu też był.

– Skąd wiesz?

Rozejrzał się dookoła. Okolica kompletnie się zmieniła.

– Bo bawiłem się tu jako dzieciak. To już Łękno, ale my, pogodniacy, zapuszczaliśmy się i tutaj. Nazywaliśmy to miejsce „cyrkową polaną”. Podobno w dawnych czasach bywały tu cyrki, zanim jeszcze rozstawiali je w miejscu, gdzie teraz jest biurowiec PZM-u albo przy Staszica. Nie było wtedy Shella ani tego budynku z Netto, tylko sztab. – Wskazał ponemiecki, wojskowy budynek ukryty za drzewami. – Ze sztabu też podobno wychodzi jakiś tunel. A tu, gdzie teraz stoimy, od kilkunastu lat znajdowały się magazyny „Rajskiego Ogrodu”. Trzymali tu swoje rośliny. Teren był otoczony podwójnym ogrodzeniem, a między siatkami biegały urocze, zaślinione „bobasy”. Każdy ważył pewnie tyle co ty.

– To skąd nasz nieboszczyk się tu wziął?

– Też chciałbym to wiedzieć. I kiedy, to następne pytanie. Musimy poczekać na opinię patologa. Data śmierci jest kluczowa dla dalszych rozważań. – Rędzia spojrzął za siebie. – Wiesz, w dzieciństwie mój kumpel napatoczył się przy torach na trupa w rowie. Tam, niedaleko przejazdu kolejowego na Zaleskiego. To był jakiś pijaczek zaciukany przez kompana od kieliszka, szybko go znaleźli, a ten mój kolega miał frajdę, bo go milicjanci przesłuchiwali na komisariacie.

– Jakiś związek? – Agnieszka zmarszczyła brwi.

– Żadnego. – Spojrzał na nią. – Przypadek. Tak mi się skojarzyło. Tu trup i tam trup.

– À propos przypadku... – Urwała.

– Mówisz o nas, teraz?

– Też. – Pokiwała głową. – Ale to ciąg zdarzeń. A jedno wynika wręcz z drugiego. Widzisz tory? Po ich nasypie biegnie granica obszaru działania mojej prokuratury. Za nimi właściwie jest już rejonówka Szczecin–Zachód. Gdyby ciało leżało kilkadziesiąt metrów dalej, w tamtej skarpie, albo ogrodzie tamtego domu, tobyśmy się nie spotkali.

– Ale nie leżało.

– Nie. Bo po tej stronie była lepsza kryjówka.

– Właśnie. Może więc to nie przypadek? – Uniósł brwi.

– Nie wierzę w przeznaczenie, Tomek. – Roześmiała się, mrużąc oczy.

– To po prostu zwykły... No, może niezwykły przypadek. Ale przypadek. Jak zawsze. Chodź zobaczyć, co tam mamy...

Podeszli do dziury.

– To my już panom podziękujemy – zwróciła się do inspektora nadzoru.

– Proszę poinformować pracowników, żeby się tu nie zbliżali; będą przeprowadzane oględziny. Zaraz powinien zjawić się lekarz, proszę go tu przyprowadzić, przyjedzie od strony Traugutta, za jakieś dwadzieścia minut – komenderowała. – A potem ekipa z zakładu pogrzebowego, im też proszę umożliwić dostęp, dziękuję.

Wszystko powiedziała jednym tchem, wciąż ściskając tę swoją teczkę. Rędzia był pod sporym wrażeniem jej chłodnego profesjonalizmu, choć podejrzewał równocześnie, że gdyby to nie była Agnieszka, tylko jakaś inna prokuratorka, pomyślałby, że to żoźła.

A kiedy rozważał tę kwestię jeszcze przez chwilę, uznał, że jedno nie wykluczało drugiego.

Do przyjazdu medyka sądowego obserwowali postęp prac. Okazało się, że Rędzia miał rację i ciało spoczywa w czymś w rodzaju katakumby, do której ziemia musiała wpaść już po z mumifikowaniu zwłok. Było zawinięte w jakąś folię, która zdążyła skruszeć i rozsypywała się policjantom w rękach. Podeszli bliżej. Technik omiatał właśnie głowę ofiary pędzlem z miękkiego włosia. Była skrecona, a w jej boku ziała

ogromna rana. Kości czaszki wbite były do środka, jak w skorupce jajka, które upadło na podłogę.

– Może go tu po prostu przywaliło i zasypało? – zapytał technik.

– A potem sam się zawinał w tę folię?

– To mógł być bezdomny, który tu nocował. Oni się owijają gazetami, szmatami i czym popadnie...

– Możliwe. – Rędzia wzruszył ramionami.

Szczerze mówiąc, wątpił w to.

– Dzień dobry – wydyszał młody człowiek z rozwianymi włosami, który nagle pojawił się obok nich. – Bander, specjalista medycyny sądowej. Już jestem.

– Dzień dobry, bardzo się pan przejął, co? – zapytała prokurator, widząc, jak sapie.

– Traktuję swoją pracę poważnie. – Nie wyglądał na urażonego, popatrzył Agnieszce prosto w oczy i dodał: – Śmiertelnie poważnie.

Tym od razu zaskarbił sobie sympatię Rędzi.

– Mamy już wszystko przygotowane, koledzy zbierają ślady, ale chyba niewiele tego. – Wzruszył ramionami.

Lekarz zbliżył się do zwłok i kucnął, przyglądając się im. Założył gumowe rękawiczki, które dziś były towarem deficytowym, chodliwym oraz stosunkowo drogim, i dotknął głowy, badając palcami krawędzie rany. Potem odwinął parę strzępów folii i przyjrzał się jeszcze kilku miejscom. Całość zajęła mu nie więcej niż dziesięć minut. W tym czasie wszyscy stali w milczeniu, obserwując działania lekarza.

Kiedy skończył, zdjął rękawiczki, wrzucił je do woreczka, który schował w kieszeni. Postał chwilę nad zwłokami, jakby się nad czymś zastanawiał, a potem wzruszył ramionami.

– Jeśli panowie z laboratorium skończyli, to nie widzę przeszkód, żeby denat jechał na sądówkę. Na miejscu nie ma zbyt wiele roboty, nie w tym stanie. Teoretycznie powinienem go rozebrać na miejscu, ale myślę, że sobie darujemy. – Spojrzał na nich. – Pojedzie do nas, tak jak jest, nawet w resztkach tej folii. Boję się, że jeszcze trochę grzebania, a nam się tu rozsypie.

– Coś na szybko, panie doktorze? – zapytała Agnieszka.

– Na szybko? – Wrócił spojrzeniem do ciała. – Zwłoki mężczyzny w nieokreślonym wieku, zmiany utrwalające będące wynikiem mumifikacji, z zachowaniem powłok skórnych i elementów rysopisu, ubrane w odzież i owinięte w materiał z tworzywa sztucznego, prawdopodobnie folię polietylenową. Śmierć raczej gwałtowna: wypadek lub zabójstwo, przyczyna, na pierwszy rzut oka rozległy uraz czaszkowo-mózgowy otwarty z wgnieceniem odłamów kostnych do jamy czaszki. Innych obrażeń nie da się stwierdzić w tych warunkach. Na tym etapie nie mogę mieć też pewności co do mechanizmu śmierci, choć odpowiedź nasuwa się sama. – Odwrócił się do Rędzi i Rybarczyk. – Tyle to chyba sami widzieliście, co?

– Mniej więcej – mruknął Rędzia. – Ile czasu mógł tu leżeć?

Medyk rozejrzał się, kucnął i wziął do ręki trochę ziemi, potem grzebnął głębiej i roztarł w palcach grudkę wilgotnej gleby.

– Myślę, że co najmniej kilka lat, jeśli nie kilkanaście. Proces był raczej powolny, bo temperatura nie mogła być zbyt wysoka. Musiało być raczej przewiewnie i niezbyt wilgotno. To resztki jakiegoś kanału, tak? – Rędzia potwierdził skinieniem głowy. – No właśnie... Że też nikt go tu wcześniej nie znalazł, zanim zaczęła się budowa. Nie leży przecież zbyt głęboko.

– Kilka albo kilkanaście lat. To raczej duży rozstrzał, jeśli chodzi o czas – stwierdził Rędzia.

– Pretensje proszę zgłaszać do niego. – Bander wskazał na nieboszczyka. – Być może więcej wyjaśni się po sekcji, teraz mogę powiedzieć tylko tyle. To ja dziękuję. – Uśmiechnął się słabo.

– Panowie? – Prokurator spojrzała na policjantów z laboratorium.

– Jeszcze jakieś pół godzinki i finiszujemy. Może pani zamawiać transport.

Bander pożegnał się i uciekł. Rędzia z Agnieszką odeszli na bok, robiąc miejsce technikom.

– Podaj mi numer telefonu – poprosiła Rędzię.

Podyktował jej, a ona zadzwoniła do niego.

– Zapisz sobie – zaproponowała.

Zrobił to. Kiedy skończył, kilka razy podrzucił lekko telefon w rękę. Nie wiedział, co powiedzieć. Nie było czasu na poważniejsze rozmowy,

a na głupie pogaduchy nie miał ochoty. Nie chciał pytać Agi o minione dwadzieścia pięć lat, przynajmniej nie teraz, nie w takich okolicznościach. To, co mu powiedziała, nie wystarczało, żeby móc dopytywać o szczegóły, nie był pewien, czy w ogóle chce się z nim nimi dzielić. Ale ona miała chyba inne zdanie.

– Dobrze ci w życiu? – zapytała.

Stała pod słońce, więc lekko zmrużyła oczy, żeby go lepiej widzieć.

– W jakim sensie?

– Czyli nie do końca – stwierdziła. – Gdybyś był ewidentnie szczęśliwy albo totalnie nieszczęśliwy, odpowiedziałbyś bez zastanowienia: tak albo nie.

– Widziałaś kiedyś kogoś ewidentnie szczęśliwego? Tak szczęśliwego, żeby przyznał to bez sekundy refleksji?

– Mojego syna, tak sędzę. On nie ma dużych potrzeb.

– Przejdzie mu. – Rędzia machnął ręką. – A jeśli chodzi o mnie, to raczej tak. Bezpieczna przystań udanego małżeństwa i uroków ojcostwa z lekkimi falami związanymi ze zbliżającym się dorastaniem chłopaków i kredytem. W złotówkach. Ostatnio trochę sztormowo przez tego cholernego wirusa, ale to i tak lepsze niż wojna. Dzisiejszy dzień zaczął się co prawda chujowo, ale powoli mi mija. Ogólnie oceniam swoje życie na jakieś siedem na dziesięć. A ty?

– Cóż – spojrzała na swoje stopy – ostatnio w moim życiu nastąpił spory zwrot, więc jeszcze nie wiem. Ale powiem ci, kiedy się uspokoi.

– Stoi – mruknął.

Dziesięć minut później pojawił się karawan z zakładu pogrzebowego. Agnieszka wydała dyspozycje, a technicy pomogli zapakować ciało tak, żeby nie uległo dalszym uszkodzeniom. Kiedy zniknęło w szarym worku, oględziny formalnie zakończono. Dalsze czynności miały być dokonywane w Zakładzie Medycyny Sądowej na Pomorzanach.

– No dobrze, pani prokurator. – Rędzia uśmiechnął się; od dawna tyle się nie uśmiechał. – To co, widzimy się pewnie niedługo?

– Jesteśmy w kontakcie – potwierdziła, poprawiła teczkę pod pachą i odwróciła się, ruszając w kierunku Zaleskiego, gdzie zostawiła samochód.

– Myślisz, że mają dużo roboty? – zapytał jeszcze.

- Kto? – Przystanęła i obejrzała się.
- Ci z sądówki.
- Nie mam pojęcia. Trzeba było zapytać medyka. A co?
- Zastanawiam się, kiedy coś dostaniemy.

Znów się obróciła i stanęła przodem do niego, przekładając teczkę i przytulając ją do piersi obiema rękami. Dzieliło ich kilka metrów, ale Rędzia między brwiami Agnieszki widział wyraźnie maleńką, pionową bruzdkę, która niknęła za mostkiem oprawek okularów.

– Jest sens ich molestować, żeby zrobili wyniki na cito? – zapytała z powątpiewaniem. – Chyba nie ma pośpiechu?

– Wiesz, to, że leżał tu nie wiadomo jak długo, nie oznacza, że możemy marudzić ze śledztwem.

– Nikt nie mówi o marudzeniu. Nie mamy nawet pewności, czy to w ogóle było zabójstwo. Niech sprawy toczą się swoim biegiem.

Rędzia mruknął coś pod nosem. Miała rację, ale on czuł, że to nie był zasypany przypadkiem w starym schronie bezdomny, tylko ofiara zabójstwa.

– Co? – zapytała.

– Miło było cię znów zobaczyć, Aga – powiedział tylko.

– Ciebie również, Tomek. I to nie jest grzecznościowa formułka. Pa. – Posłała mu całusa i poszła do samochodu, wciąż trzymając w objęciach swoją teczkę.

Przystanęła trzy kroki dalej. Zwróciła głowę w bok, jakby się nad czymś zastanawiała, a Rędzia czekał. W końcu znów się odwróciła, z obrzydzeniem zerknęła pod swoje nogi, a potem otworzyła usta i wyglądało na to, że chce coś powiedzieć, ale niespodziewanie zrezygnowała. Pomachała mu tylko.

Uniósł dłoń i pokiwał z uśmiechem głową. Odprowadził ją spojrzeniem.

* * *

Z Łękna Rędzia pojechał do komendy. Berdak zapytał go oczywiście o nową kobitę z prokuratury i uśmieł się, kiedy Rędzia powiedział mu, kim jest. Napił się wody, a potem wyszedł na korytarz i zadzwonił do Bożeny zapytać, co słyhać. Męczyło go trochę, że rozstali się w nerwach. Pogadali chwilę, ale słyszał, że wciąż się na niego boczy, choć nie wracał

do porannej awantury. Kiedy skończył, poszedł do siebie. Wpadło mu do głowy, żeby zająć do naczelnika swojego wydziału, zrelacjonować przebieg oględzin i pomęczyć go o podwyżkę. Tak też zrobił.

Nadkomisarz Adam Kurylak był wysokim facetem o wysportowanej sylwetce i pociągłej, przystojnej twarzy, który może nie tyle lubował się w procedurach, ile nie znosił bałaganu w papierach. Był chłodnym profesjonalistą, nie podnosił głosu i nie musiał tego robić. Wszystko to, co mówił, cechował spokój i opanowanie. Dało się z nim bez problemu dogadać. Nie opierdalał się i zdarzało się, że brał nawet nocki. Jaki był prywatnie, Rędzia nie wiedział, pracował w miejskiej od niedawna, chłopaków z wydziału nie podpytywał, czekając, aż sami coś powiedzą. Nawet Berdak, naczelną papla, który przeszedł tu z wojewódzkiej trzy lata przed nim, tego nie wiedział. Życie prywatne Kurylaka skrywała tajemnica, wiadomo było tylko, że ma długowłosego owczarka niemieckiego, którego uwielbiał.

Kiedy Rędzia skończył opowieść o trupie, zahaczył o temat pieniędzy.

– Tomek, ty nie widzisz, co się dzieje? – usłyszał w odpowiedzi. – Myślisz, że budżet to dźwignie? Zaraz pieprznie cała gospodarka. Skończyły się złote lata, kurek będzie zakrecony...

Rędzia wyłączył się w tym momencie. Wiedział, że tak będzie, ale mimo to chciał spróbować. Z Kurylakiem dało się dogadać we wszystkich sprawach prócz tych, które dotyczyły pieniędzy. Nic nie wiedział o złotych latach ani o żadnym kurku, z którego jak do tej pory miały się jakoby łać pieniądze. Może dopływały tylko do stanowiska naczelnika wydziału? I tak prawdopodobnie z wakacji nici, wyjazd do Chorwacji z silnikowym pontonem, jak co roku, stał pod znakiem zapytania, tak samo wielkim jak kłopoty szczecinian pracujących w Niemczech. Przekroczenie granicy automatycznie wiązało się z dwutygodniową kwarantanną. Wszystko się zesrało. Ocknął się, kiedy Kurylak kończył swoją tyradę:

– ...Niedawno dostałeś czwartą gwiazdkę, Tomek, to czego byś jeszcze chciał? Piątej, kurwa, z nieba?

– Jasne, szefie, ale mówią, że mało chcesz, mało dostajesz. To przyszedłem spróbować... To co, da mi szef tę sprawę z Łękna?

– Widziałeś się na miejscu z prokuratorem?

– Tak. To ona, nie on. W dodatku moja dawna znajoma ze szkoły.

– No i bardzo dobrze. – Kurylak się rozpromienił. – Bierz. Tylko nie przychodź więcej po kasę, dobra? Nie w tym półroczu. Berdakowi też powiedz, bo zaraz stwierdzi, że pewnie coś źle załatwiałeś i przyjdzie tu marudzić osobiście. Kasy-nie-ma. – Rozłożył ręce. – Potem się pomyśli, kiedy zobaczymy, jak będzie.

– Jasne...

Wrócił do siebie zniechęcony. Poprzekładał papiery, a potem, kierowany nagłym impulsem, wstał i chwycił kurtkę. Berdaka nie było w pokoju, na jego biurku leżała „Gazeta Wyborcza” i tygodnik „Sieci”. Jarek lubił wszystko oglądać z obu stron, co nie było takie głupie.

Rędzia jeszcze raz zaszedł do Kurylaka i zgłosił wyjście do sądówki. Potem zjechał windą na dół, wpisał się w rejestrze, wziął skodę i pojechał na Pomorzany. Znał doktora Knapika, zresztą swojego imiennika, zastępcę kierownika zakładu, z którym współpracował kilka razy przy zabójstwach. W zasadzie niezbyt dobrze się znali, ale od początku złapali niezły kontakt, może ze względu na podobne, zapewne nieco specyficzne, podejście do pewnych spraw, zwłaszcza tych ostatecznych.

Było już po trzynastej, kiedy Rędzia zadzwonił do drzwi zakładu. Otworzył mu jakiś technik, więc mignął mu przed oczami odznaką i zapytał, gdzie znajdzie Knapika. Znalazł go w jego gabinecie, a przynajmniej takim mianem określała tę nędzną kanciapę tabliczka na drzwiach. Lekarz gapił się w ekran komputera i kończył jeść jabłko.

– Te zwłoki z Łękna? – zapytał zdziwiony, z pełnymi ustami, kiedy Rędzia wyjaśnił mu powód wizyty. – Dopiero przyjechały, ze dwie godziny temu. Co ci się tak spieszy?

– Skoro nie ma planowych przyjęć do szpitali, to pomyślałem, że może macie mniej roboty? W każdym razie przygnała mnie do ciebie taka nadzieja.

– Ty nie za stary jesteś, żeby mieć jakiegokolwiek nadzieje? – Knapik wyrzucił ogryzek do kosza na śmieci.

– Nie jestem stary, jestem dojrzały. – Rędzia patrzył, jak wyciera rękę w kitel. – A ty czasem też nie jesteś rocznik siedem sześć?

– Dojrzałe to jest jabłko albo wino, a my jesteśmy starzy, cokolwiek byśmy sobie wmawiali. To skąd ten pośpiech?

– Nudzę się. Może być?

Grymas twarzy Knapika świadczył, że nie czuje się specjalnie przekonany.

– To skoro masz czas, chodź, obejrzymy go sobie od razu – powiedział mimo to.

– Chcesz teraz robić sekcję? – zdziwił się Rędzia, ciesząc się równocześnie z tempa, którego nie zakładał w najśmielszych oczekiwaniach. – A co z prokuratorem?

– Sekcję? To nie będzie normalna sekcja. Widziałeś, jak on wygląda? Poza tym mówię tylko o oględzinach. Nieformalnych. Podobno ci się spieszy?

Wyszli na ciasny korytarz i skierowali się do niewielkiej sali, gdzie znajdowały się chłodnie. Knapik podszedł do jednej, otworzył drzwi na wysokości swojej piersi i pociągnął za uchwyt tacy. Nakryty prześcieradłem nieboszyk wyjechał z komory i zatrzymał się tuż pod ich nosami. Był już oczyszczony z resztek ziemi i folii.

– Kurwa, wygląda jak faraon wygrzebany z piramidy... – Rędzia westchnął. – Kiedy zdążyłeś go obrobić?

– Ja mam porządek. W życiu i w pracy. Co masz zrobić jutro, zrób wczoraj, to moja dewiza. Przecież nie włożę go tu upapranego, nie? Dobra, co my tu mamy? W zasadzie jedna rzecz... – Pokazał ranę w czaszce.

– To wgniecenie mogło powstać po śmierci – poinformował go Rędzia. – Leżał w starym, zawalonym schronie.

– Kiedy go wykopywali, coś leżało na jego głowie?

– Nie. W zasadzie był w ziemi, która musiała wsypać się do tego korytarza później, inaczej by po prostu zgnił, a nie strupieszał.

– Właśnie. Dlatego nie sędzę, żeby to był efekt przywalenia jakimś żelbetowym elementem. To coś, co zrobiło mu krzywdę, było czymś niewielkim i ciężkim.

– A mógł to być na przykład sam róg żelbetowej płyty?

– Nie. Zobacz, nie ma wprawdzie mózgowia, ale te brunatne plamy tutaj, w okolicy rany, to ślady skrzepów. A to oznacza obrażenia

przyżyciowe. Z niemal całą pewnością mogę stwierdzić, że to ten cios go zabił. W tym miejscu kość jest dość cienka w porównaniu z innymi rejonami, ale nie chodziło o ciężar, jak w przypadku przygniecenia czymś ciężkim, na przykład płytą. Tu chodziło o siłę.

– Czyli mamy morderstwo?

– Najprawdopodobniej. Gdyby to by wypadek, nie leżałby tam.

– Czym zadano cios?

– Nie mam pojęcia. Czymś dość ciężkim, mam na myśli, że nie była to metalowa rurka ani nic w tym rodzaju. Prędzej młotem, może sporym łomem, w każdym razie tępokrawędzistym, i to z ogromną siłą. Ofiara raczej wtedy leżała, a cios poszedł z góry. Gdyby stała, a cios zadano z boku, nie miałyby tyle impetu.

– Co jeszcze możesz powiedzieć?

– Wydaje mi się, że gość był zabiedzony. Jak z trzeciego albo nawet czwartego świata.

– To znaczy?

– Chorobliwie chudy.

– Jezu, to sama skóra na kościach, skąd możesz to wiedzieć?

– Zostało trochę tkanki. Tak na oko trochę mało, biorąc pod uwagę charakter procesów mumifikacyjnych. I zobacz, jaki jest zarośnięty. Zaniedbany: broda i długie włosy.

– Myślisz, że to mógł być ćpun albo bezdomny? – Rędzi przypomniały się wåtpliwości jednego z techników podczas oględzin.

– A to już twoja broszka. Nie będę się bawił w zgadywanki. To nie moja sprawa i nic ci nie będę sugerował. Ja jestem od faktów. – Poklepał spód tacy.

– Czas zgonu?

– Nie podam konkretnej daty, zapomnijcie. Leżał tam minimum dwa, trzy lata. Tak naprawdę wpływ na proces mumifikacji miało wszystko: wilgotność, temperatura, przewiewność jamy, w której był, a to jest praktycznie nie do oszacowania.

Rędzia zmarszczył nos.

– Mógłbyś go pokroić jutro? – zapytał.

– A prokurator?

– Załatwię. Dam ci znać jeszcze dziś.

– Może być. – Knapik się skrzywił. – Mogę zacząć o dziesiątej, ale potwierdź dziś do, powiedzmy, osiemnastej.

Zakrył trupa prześcieradłem i popchnął tacę, która z cichym wizgiem łożysk wjechała do wnętrza chłodni. Zamknął drzwi, sprawdził, czy klamka zaskoczyła. Potem się pożegnali.

– Zadzwoń przed osiemnastą – obiecał Rędzia i wrócił do roboty.

Już stamtąd zadzwonił do Agnieszki.

– Sprawdzasz, czy dobrze zapisałeś numer? – zapytała.

– Nie mogłem zapisać go źle, bo to ja ci podałem swój, a ty zadzwoniłaś – przypomniał jej.

– Co tam?

– Masz czas jutro o dziesiątej?

– Na co?

– Na spotkanie z naszym nieboszczykiem. Znajomy obiecał mi, że pokroi go jutro, jeśli się zgodzisz.

– Jezu, naprawdę ci się pali? – zdziwiła się.

– To jak?

– Poczekaj, zerknę w terminarz. – Usłyszał jakiś szelest. – Jedenasta, może być? I może zacząć beze mnie, okej?

– Jasne, rozumiem. Jesteś wielka. Dzięki.

– Rozumiem, że prowadzisz tę sprawę?

– Tak. A ty?

– Też. Skoro już tam byłam... Nie będzie z tym zbyt dużo roboty, co?

– Nie wiem. – Wzruszył ramionami. – Moje plany życiowe nie obejmują takich rzeczy. Można się czasem zdziwić, prawda?

– Prawda. To co, jutro, jedenasta, na miejscu?

– Tak jest. Do jutra.

– Do zobaczenia, panie komisarzu – parsknęła do telefonu. – Jezu, dalej nie mogę w to uwierzyć, wiesz? Przecież chciałeś iść na politechnikę?

– I poszedłem – powiedział. – Pa.

Rozłączył się i zadzwonił do Knapika, żeby potwierdzić ich ustalenia. Kiedy skończył rozmowę, siedział przez dłuższy czas, bujając się na krześle, przygryzając obudowę telefonu i bezmyślnie wpatrując się

w kalendarz z dziewczyną, która udawała policjantkę sekcji ruchu drogowego.

Od zawsze priorytetem w jego pracy było jak najszybsze rozwiązanie sprawy i uważał to za całkowicie normalne, w przeciwieństwie na przykład do Berdaka. Ale tym razem ten pośpiech spowodowany był również czymś innym. Wiele czynności, jakie policja wykonywała w związku ze śledztwem, musiało być sankcjonowane przez prokuraturę, a to oznaczało kontakt. W przypadku wydziału kryminalnego był on o wiele rzadszy niż w przypadku wydziału dochodzeniowo-śledczego, ale zdarzał się. I o ten kontakt Rędzi chodziło. Przez chwilę poczuł się jak dziecko, które następnego dnia obchodzi urodziny, kiedy ogarnęła go przemożna chęć zobaczenia się z Agnieszką. Wracając do domu, miał nadzieję, że po drugim, góra trzecim spotkaniu mu przejdzie.

* * *

Rędzia i prokurator Rybarczyk siedzieli na niewygodnych krzeselkach na korytarzu Zakładu Medycyny Sądowej i czekali, aż lekarz skończy sekcję. Agnieszka nie miała ochoty w niej uczestniczyć, choć formalnie należało to do jej obowiązków, gdyż była to sekcja sądowo-lekarska. Uznała jednak, że równie dobrze może poczekać za ścianą. Przyszła pod koniec sekcji i natknęła się na komisarza na korytarzu. On też nie przepadał za atrakcjami podanymi na stole ze stali chirurgicznej. Poza tym niedawno zjadł drugie śniadanie i chciał, żeby tak pozostało, dlatego siedział na korytarzu, a nie na widowni amfiteatralnej sali, w miejscu, z którego przyglądali się sekcjom studenci.

Wstał z krzeselka, kiedy tylko zobaczył Agnieszkę w drzwiach. Podała mu dłoń, uśmiechając się.

– Jak idzie?

– Powoli kończy.

– I bardzo dobrze.

Usiadła, więc zrobił to samo, zostawiając wolne krzesło między nimi, żeby mieć więcej miejsca na nogi, kiedy odwrócił się do niej bokiem. Powiedział Agnieszce, co usłyszał od Knapika wczoraj. Wymienili kilka zdawkowych komentarzy, bo tak naprawdę nie mieli niczego, na czym można by oprzeć konstruktywne wnioski. A potem zamilkli.

– O czym tak myślisz? – ciszę przerwała Agnieszka.

Rędzia zerknął na nią z rozbawieniem.

– Na pewno chcesz wiedzieć?

– Nie wystawiaj mnie na próbę, tylko wal, zanim zmienię zdanie. Inaczej bym nie pytała.

– No dobrze. Zastanawiam się dlaczego.

– Dlaczego w czwartej klasie poszliśmy do łóżka, tak? – Założyła ręce, ściskając dłońmi bicepsy. – O to ci chodzi?

– Mówisz to z taką pewnością, jakbym miał to wypisane na twarzy.

– Bo masz. Więc nad tym się zastanawiasz?

– Nie do końca. Bardziej nad tym, dlaczego nie poszliśmy do łóżka nigdy więcej... – Rędzia obserwował uważnie jej twarz. – I co, żałujesz, że chciałaś wiedzieć?

Pokręciła w zamyśleniu głową, zerknęła w bok, a potem, lekko ją przekrzywiając, spojrzała na niego.

– To był dość ciężki okres w moim życiu – powiedziała cicho.

– Wiem. W moim też. Zdaje się, że sporo o tym rozmawialiśmy, co potwierdzały rachunki za telefon naszych starych. To nas zbliżyło.

– Nie wiesz wszystkiego, ale to nieważne.

– Miałaś przede mną tajemnice?

– Tak. Bujaliśmy się razem, ale nie byliśmy parą. A nawet gdybyśmy byli, to też nie oznaczałoby, że nie mogę mieć tajemnic, prawda?

– Prawda. I prawda, że nie byliśmy parą. A przy okazji: fajnie było się z tobą bujać.

– Nawet na tym koncercie w „Słowianinie”, po którym wypiałam trzy piwa i na przystanku obrzygałam ci spodnie?

– Nawet wtedy.

Roześmiała się, ale po chwili spoważniała.

– Nigdy cię nie okłamywałam.

– Nigdy, to prawda. Ani razu nie padło słowo na „m”. Byliśmy kumplami. Dobrymi kumplami.

– Zgadza się. I zdarza się czasem, że kumple idą ze sobą do łóżka, choć to bywa ryzykowne. Więc nad czym się zastanawiasz?

– Czemu przestaliśmy się razem bujać?

Zamilkła.

– To trudne. Nie chcę teraz o tym rozmawiać. Musimy?

– Nie musimy. Nic nie musimy, Aga. Ale jeśli tylko będziesz chciała, to nie ma sprawy.

– Będę o tym pamiętać. Idziemy tam? – Zerknęła przez szybę na salę sekcyjną. – Chyba już skończył.

Knapik sam po nich wyszedł. Przywitał się z Agnieszką i wprowadził oboje do sali sekcyjnej. Technik, który pomagał mu przy sekcji, krzątał się przy blacie pod ścianą. Knapik zdjął fartuch, pod którym miał kitel.

– Chodźcie – przywołał ich do stołu.

Nie był to miły widok, choć gdyby Rędzia miał wybierać między tym denatem a świeżakiem, mimo wszystko wybrałby jednak jego. Wyglądał bardziej jak dekoracja z kiepskiego filmu niż prawdziwe zwłoki. Był już zaszyty, tylko oskórowany czerep kontrastował z całą tą bielą nagiej kości.

– W momencie śmierci miał jakieś trzydzieści, trzydzieści pięć lat – zaczął Knapik. – Czas zgonu jest praktycznie nie do określenia i jak wspomniałem wczoraj Tomkowi, taki stan zwłok świadczy o tym, że musiały tam leżeć minimum dwa, trzy lata. To chyba niewiele wam daje, ale nic więcej nie wymyślę. Ze szczegółów: w młodym wieku musiał mieć złamaną kość piszczelową prawego podudzia. Brak kilku zębów. Poza tym miał nowotwór żołądka. Część guza się zachowała, musiał być włóknisty, najprawdopodobniej zajął wnękę wątroby i okolice trzustki. To takie miejsce, że musiało go boleć jak skurwysyn. Może ta opinia będzie kontrowersyjna, ale ten, kto mu to zrobił... – wskazał czaszkę – ... wyświadczył mu przysługę.

– To JEST kontrowersyjna opinia – powiedziała Agnieszka. – Poza tym eutanazji nie wykonuje się młotem czy czym tam został uderzony.

– Szczerze, pani prokurator? Jeśli faktycznie było z nim, jak mówię, to ja, w jego sytuacji, zdecydowanie wolałbym młot. Za dużo widziałem. Ale to moje zdanie, oczywiście, i nie musi się pani z nim zgadzać.

– Nie muszę.

– Coś jeszcze? – zapytał Rędzia.

– Potwierdzam to, co mówiłem wczoraj Tomkowi o jego stanie, choć wyjaśnił się chyba powód. Musiał dramatycznie schudnąć w związku z nowotworem.

– Ubranie?

– Zwykły dres adidasa.

– Oryginalny?

– A jakie to ma znaczenie?

– Wszystko może mieć znaczenie.

– A bo ja wiem? Ma trzy paski i metkę. Slipy no name. Podkoszulek bawełniany marki Fruit of the Loom. Brak skarpetek i butów.

– Toksykologia? – zapytała Agnieszka.

Knapik spojrzał na nią, a potem na Rędzię, jakby szukał u niego pomocy.

– Ja wiem, że wy, prokuratorzy, macie swój schemat, ale powiem wprost: to nie ma sensu. Nie zrobimy badań w Szczecinie, poza tym w zwłokach w takim stanie prawdopodobieństwo obecności toksyn jest znikome, plus ta rana Ale jeśli się będzie pani upierać... Cóż, na władzę nie poradzę.

– Nie będę się upierać. Czuję się przekonana. – Posłała mu krótki uśmiech.

– Mówiłeś, że leżał w ziemi minimum dwa, trzy lata... – wtrącił Rędzia. – A maksimum?

Knapik rozłożył ręce.

– Tu już będę trochę strzelał, choć opierając się na swojej wiedzy... ale mimo to tylko od ciebie, a właściwie od pani prokurator, zależy, czy weźmiecie to pod uwagę. To jednak przypuszczenie, a nie fakt. Myślę, że to stało się już w tym wieku. Można pokusić się o badania stopnia degradacji tej folii, w którą był zawinięty, ale... Nie jestem specjalistą, więc znowu będę strzelał. I nawet jeśli, to te badanie też nie u nas.

Rędzia gryzł wargę, patrząc na zwłoki w zamyśleniu.

– No nic, trzeba zlecić do laboratorium stworzenie portretu tego umarlaka. Rekonstrukcję przyżyciowego wyglądu twarzy, rzecz jasna prawdopodobnego. Wrzucimy go na stronę komendy, puścimy do gazet i szczecińskich portali informacyjnych. Kto wie, może to coś da?

– Mam wrażenie, że niewiele – mruknął Knapik.

– Skąd ten pesymizm? – zapytała Agnieszka.

Knapik spojrzał na nią pogodnie.

– To przez pracę.

– Chodzi mi o portret.

– A dlatego, pani prokurator, że w związku z pandemią wszyscy mają co innego na głowie. Jak pani myśli, kogo będzie obchodził jakiś truposz wykopany z ziemi? – Wzruszył ramionami. – To co, bierzemy się do papierkowej roboty?

* * *

Po powrocie do domu Rędzia zdziwił się, widząc w przedpokoju spakowane walizki. Chłopaki krzyczały coś do siebie w swoim pokoju, cień Bożeny mignął mu w matowym przeszkleniu drzwi od łazienki. Kiedy wyszła i wpadła na niego, aż westchnęła z przestrawu.

– Co się wygłupiasz? – Uśmiechnęła się z zakłopotaniem i klepnęła go lekko w pierś.

– Ja? – zapytał, wskazując na walizki.

– Jedziemy do mamy.

– Na jak długo? – Zmarszczył brwi.

Bożena popatrzyła na niego i zamknęła drzwi do pokoju synów. Kiedy któryś z nich próbował je otworzyć, rzuciła przez szparę:

– Musimy pogadać z tatą, a wy kończcie się pakować, ale już.

Drzwi zamknęły się i chłopcy ucichli nagle.

– Nie wiem, Tomek, na jak długo. Nie będziemy ryzykować. Nie wiemy, jaki obrót przybiorą sprawy, czy ten wirus jest naprawdę groźny... Skoro nie możesz pracować zdalnie, to nie będziemy ryzykować. Wszyscy, którzy muszą mieć kontakt z ludźmi, izolują się od rodzin...

– To lekarze, pielęgniarki i ratownicy medyczni, Bożena. Nie przesadzasz trochę?

– Uważam, że nie. Rozmawialiśmy już o tym kilka razy, ale ja wciąż mam wrażenie, że ty nie doszacowujesz ryzyka. Chodzisz po mieście, spotykasz się i gadasz z ludźmi... Gdybyś mieszkał i był sam, to nie ma sprawy, ale nie jesteś. Chcesz ryzykować zdrowie, a nawet życie naszych dzieci? Pomyślałeś, co będzie, jak okaże się, że to dopiero początek? Nie wiesz, co się dzieje we Włoszech? A jak u nas będzie tak samo? Co wtedy?

– Dlaczego zakładasz od razu czarny scenariusz? – zapytał Rędzia.

Bożena w nieco teatralnym geście odchyliła się lekko do tyłu, żeby łatwiej objąć go całego spojrzeniem.

– A dlaczego ty zakładasz biały?

Zaskoczyła go.

– Mamy możliwość zabezpieczenia się przed tym, Tomasz – powiedziała do niego cierpliwie jak do dziecka, co uznał za próbę złagodzenia konfliktu; widać znów miał coś wypisane na twarzy. – Będziemy siedzieć sobie spokojnie w Stargardzie, rodzice mają przynajmniej ogród, a tu? Oni w końcu zwariują. – Machnęła ręką w kierunku pokoju synów. – Ja nie chodzę do szkoły, ale muszę prowadzić lekcje zdalnie i nie ma znaczenia, czy robię to z naszego mieszkania, czy domu rodziców. Mama z tatą ogarną chłopaków z lekcjami... To same plusy, nie uważasz?

– Jest tylko jeden minus – zauważył.

– Przykro mi. Świat się właśnie zmienia i nigdy już nie będzie taki sam. Nawet jak to gówno minie, a podobno nie minie, tylko zostanie z nami na zawsze jak HIV.

– W związku z tym będziesz chciała zostać tam na zawsze? – zapytał zdziwiony jak cholera.

– Nie wygłupiaj się. – Westchnęła. – Zobaczymy, co będzie za miesiąc, półtora. Poradzisz sobie sam przez kilka tygodni. Gotować umiesz, sprzątać i prać też. Będziemy rozmawiać przez wideopojęcia, jakoś damy sobie radę.

– No nie wiem. – Rędzia pokręcił głową.

– Ale ja wiem, Tomek. To jest najlepsze wyjście, uwierz mi...

Pogadali jeszcze trochę, już z chłopcami, którzy byli wyraźnie ucieszeni obrotem spraw, co Rędzię nawet troszeczkę zabolalo. Wiedział też, że dalsza dyskusja nie ma sensu i nie przekona Bożeny do zmiany zdania; znał ją za dobrze i za długo. Ale postarał się jednak ją zrozumieć.

Chociaż trochę. W końcu małżeństwo jest związkiem partnerskim, na równych prawach.

Przynajmniej ich.

Godzinę później odwiózł rodzinę do teściów, a późnym wieczorem wrócił do pustego mieszkania. Nie miał ochoty na nic: ani na książkę, ani na telewizję, ani nawet na żaden koncert, których miał całą kolekcję

na DVD, więc po prostu wziął prysznic i położył się spać. Śnił mu się trup z Łękna. Leżał na plaży, tuż przy granicy z morzem, owinięty w folię, a drobne fale omywały jego nagą czaszkę z ziejącą z jej boku dziurą. „Miło było cię znowu widzieć, Tomek” – usłyszał nagle za sobą, a kiedy się odwrócił, zobaczył Agnieszkę Rybarczyk. Znow miała długie, kruczoczarne włosy, nie nosiła okularów, brakowało drobniuteńkich kurzych łapek wokół oczu. Ponownie miała osiemnaście lat. Stała i patrzyła na niego z tajemniczym uśmiechem błędzącym na wąskich wargach. Obudził się i zerknął na komórkę. Był środek nocy. Pogapił się w sufit i nawet nie zauważył, jak znow zapadł w sen.

1994

Marzec tego roku przypominał wszystkie poprzednie marce, jakie młodzi ludzie zgromadzeni w klasie pamiętali w swoim niedługim jeszcze życiu. Był bladą, bezbarwną i mizerną zapowiedzią wiosny, której przyjscia wyczekiwali z młodzieńczym entuzjazmem, bo kojarzyła im się z samymi dobrymi rzeczami; głównie z dłuższym dniem i w konsekwencji rychłym nadejściem końca roku szkolnego.

III b liczyła dwadzieścia sześć osób, była jedną z sześciu klas tego rocznika w siedemnastym LO w Szczecinie. Miała profil ogólny i była zbiorowiskiem indywidualności. Każdy z uczniów, stojący niemal u progu dorosłego życia, stanowił odrębną jednostkę prezentującą w mniej lub bardziej udany sposób własny styl, mającą problemy różnej wagi i niekoniecznie związane z dorastaniem. Spojeni w jeden organizm murami szkoły i klasy, żyli ze sobą w symbiozie, wiążąc się bardziej z jednymi, mniej z drugimi i spędzając ze sobą praktycznie ćwierć życia.

Normalne dzieciaki balansujące na nieostrej granicy między kończącym się dzieciństwem a rozpoczynającą się dorosłością ze wszystkimi tego konsekwencjami.

Właśnie skończyła się przedostatnia lekcja, języka polskiego. Ostatnia też miała być polskim, w tej samej klasie. Trwała krótka przerwa, uczniowie wchodzili do niej i wychodzili na korytarz, zerkając przy okazji na tablicę, na której ktoś nasmarował wielkimi, koślawymi literami: ZEBRANIE KLASOWE PO OSTATNIEJ LEKCJI. ZOSTAŃ, CZŁOWIEKU, BO WARTO!!!

Kiedy lekcja skończyła się i polonistka wyszła z klasy, na podwyższeniu pod tablicą stanęła Anka Kuźma. Anka była rzutką dziewczyną, najlepszą uczennicą w klasie, a nawet w szkole, choć nie reprezentowała typu kujona siedzącego z nosem w książkach. Była po

prostu zdolna i nie przeszkadzało jej to pójść czasem za szkołę z koleżankami zapalić papierosa.

– Słuchajcie... Cisza! – zawołała. – Adolf, mogę cię prosić?

– O co tylko chcesz, kochanie! – Wysoki chłopak z ostatniej ławki uniósł się lekko z krzesła i wyciągnął szyję w jej stronę.

Rozległ się rechot jego kolegów, dziwnym trafem siedzących w okolicach ostatnich ławek, jak jakaś partyjna frakcja w sejmie.

– W takim razie proszę, żebyście się łaskawie zamknęli na chwilę, ty i twoi akolici, i posłuchali, co mam do powiedzenia. Potem ci powiem, co oznacza to trudne słowo na „a”, okej?

Teraz z kolei roześmiała się inna grupa.

– Już mam się brechtać? – zapytał Adolf.

– Masz być cicho albo możesz wyjść. Pajac, Cinek, Fanta, Broda i Sarnecki też. Nikt was tu nie trzyma przecież, no nie?

Adolf machnął ręką i usiadł. Większość wzdychała albo pospuszczała z zażenowania głowy. Popisy Mariusza Steca, zwanego Adolfem, nikogo nie zaskakiwały i choć był dość lubiany i wiele mu wybaczano, zdarzało się, że przesadzał. Czasem nie mógł się po prostu zamknąć i posłuchać, musiał zabłysnąć, co często kończyło się słabo, jak przed chwilą. Nawet jego kolesie z paczki, których co do jednego wymieniła przed chwilą Anka, siedzieli cicho, zawstydzeni nie tyle jego występem, ile jej ripostą.

Adolf był klasowym chuliganem. Lubianym, ale z lekką skłonnością do przemocy i dominacji, z tendencją do przywództwa, tak zwany zdolny, ale leniwy. Był nieformalnym liderem paczki klasowej, skupiającej kilku chłopaków, właśnie tych, którzy siedzieli w sąsiednich ławkach.

– Jest sprawa – powiedziała głośno Anka, kiedy wszyscy się uspokoili.

– Rozmawiałam już z kilkoma osobami z klasy, ale teraz formalnie i oficjalnie: co wy na to, żeby zorganizować jakąś wycieczkę na matury?

Rozległ się gremialny pomruk zadowolenia. Tradycją już było, że na czas matur, kiedy w szkole nie odbywały się lekcje i uczniowie mieli wolne, klasy organizowały sobie kilkudniowe wycieczki z nauczycielami w roli opiekunów. Przeważnie był to wypad do Międzyzdrojów lub do innej nadmorskiej miejscowości, wszystko zależało od organizacji, chęci poszczególnych członków ciała pedagogicznego i zasobności portfela oraz frekwencji uczniów.

– Gdzie? – ktoś zapytał.
– Propozycje? – Anka rozejrzała się po klasie.
– Zakopane! – To znowu Adolf.
– Góra trzy dni, ciole. – Anka przewróciła oczami. – Sam dojazd tam i z powrotem do Zakopca tyle trwa. Ktoś zna jakieś fajne miejsce niedaleko? I żeby dało się dojechać pociągiem albo pekaesem? No i żeby było tanio...

Ktoś podniósł rękę.

– Zaraz, czekajcie! A kto z nami pojedzie?

To było dobre pytanie. Klasa III b nie była bandą chuliganów, ale uważano ją powszechnie za raczej trudną. Żaden z nauczycieli nie palił się do roli opiekuna i oni byli tego świadomi, nawet Anka. W zeszłym roku z wycieczki nic nie wyszło. Byli jedyną klasą z rocznika, która została w matury na miejscu.

– Potrzebujemy przynajmniej dwóch opiekunów – rzucił ktoś smętnie.

– Radek! – zawołał Fanta.

– Właśnie – ktoś go poparł i nie był to żaden z akolitów Adolfa.

Radek Kłosiewicz był nauczycielem wuefu, młodym chłopakiem tuż po studiach na IKF-ie. Lubił ich, z niektórymi był na „ty”, z Adolfem oczywiście też. Był ich szansą.

– Adolf, pogadasz z nim? – zapytała Anka.

– No pewnie. – Stec wzruszył ramionami.

– A co z drugim?

Zapadła cisza.

– Jak Kłosiewicz się zgodzi, to z drugim pójdzie łatwiej. – Kaśka usiłowała przekonać chyba samą siebie.

– Dobra, niech najpierw zgodzi się Radek, a potem zobaczymy. To gdzie?

Zaczęli przerzucać się nazwami miejscowości i w tej kakofonii padła nagle jedna nazwa, która nie pasowała do reszty. Połowa z uczniów nawet jej nie знаła.

– Złocieniec?

Jacek Sarnecki siedział rozparty na krześle, z nogami leżącymi na pustej ławce przed nim. Jacek jako jedyny z paczki Adolfa nie miał ksywy, próba ochrzczenia go w pierwszej klasie oczywistą i trywialną

„Sarną” skończyła się dla tego, który wpadł na ten pomysł, źle i Sarnecki był od tamtej pory po prostu Sarneckim. Przystojny, świetnie ubrany chłopak z gęstymi, ciemnymi włosami, podgolonymi z boków niemal do zera, miał bogatego ojca, który jeszcze za komuny nieźle prosperował, wiedząc, z kim pić i komu stawiać. Od kilku lat zajmował się nieruchomościami, miał też podobno jakiś hotel dla myśliwych w lesie, przynajmniej tak twierdził sam Sarnecki.

– Złocieniec – powtórzył flegmatycznie. – Mój stary ma koło Złocienca ten swój myśliwski hotelik. Mogę zapytać, czy zgodzi się nas przyjąć. W sumie jest poza sezonem, więc kto wie? Nie mam pojęcia, czy wszyscy się zmieszczą, ale pewnie też nie wszyscy pojedą, nie? No i nie wiem jeszcze, czy ojciec się zgodzi. Ale zapytam. Chętni? – Powiódł spojrzeniem po klasie.

– A gdzie jest ten Złocieniec?

– I co tam jest?

– A co ma być? – parsknął. – Wiocha. Las. Czego chcecie więcej?

– Morza!

– Mamy jechać na trzy dni do jakiejś wiochy? Co będziemy tam robić?

– Z wiochy z tramwajami do wiochy bez tramwajów. – Ktoś się roześmiał.

– Sarnecki dobrze gada. – Adolf wstał. – Chodzi o to, żeby się wyrwać ze Szczecina! Nieważne dokąd. A co byście robili nad morzem na początku maja? Kapali się? W dziesięciostopniowej wodzie? Żarli dorsza za kupę szmalu? Pojebało was?

– Adolf, nie jesteś u siebie w jaskini, dobra? – Anka była naprawdę wkurzona. – Jak ktoś usłyszy twój wykwintny język, to na pewno nie znajdziemy drugiego nauczyciela.

– Słońce, wyluzuj.

– Dobra, głosujmy. – Machnęła ręką na Adolfa. – Jeśli Sarnecki załatwi ten hotel, to kto chce jechać?

Podniosło się kilkanaście rąk.

– Ja dam odpowiedź jutro – powiedział ktoś, a ktoś inny dodał: – Ja też.

– Okej, jest czternastu chętnych plus dwóch niezdecydowanych. Jacek, kiedy będziesz wiedział?

- Jutro.
 - Adolf, pogadasz rano z Kłosiewiczem? Jak już będziemy wiedzieli, na czym stoimy?
 - Ta.
 - Kto przekaże nieobecny? – zapytała jeszcze Anka. – Może też będą chcieli jechać? Sylwia, powiesz Aśce? Ona jest chora?
 - Tak, do końca tygodnia. Zadzwoń do niej dzisiaj.
 - A Tomek?
 - Przecież był na lekcjach? – zdziwił się ktoś.
 - Nie został na zebraniu, czyli ma w dupie.
 - Już widzę, jak Rędzia jedzie na klasową wycieczkę. Pędzi jak wiatr...
 - Pewnie woli iść na koncert supergrupy Defekt Muzgó albo Kasa Chorych...
 - Nie: Doktor Huckenbush!
- Wszyscy się roześmiali. Nietypowe zainteresowania Rędzi, w tym przedziwną muzyką, były często powodem drwin. Anka poczekała, aż gwar ucichnie, i wyciągnęła palec w stronę Sarneckiego.
- Sarnecki, jak nawalisz, to się nawet nie pojawiaj w szkole. Jesteś naszą ostatnią nadzieją...

* * *

Następnego dnia na przerwie po pierwszej lekcji uczniowie III b zebrali się na korytarzu przed swoją klasą. Była zamknięta, więc sformowali pod ścianą ciasny półokrąg, w którego centrum znajdował się Sarnecki. Wyglądał jak osaczona przez stado hien gazela, zapędzona pod skalną ścianę, skąd nie ma już ucieczki.

- No i? – zapytała Anka.
- Trochę kijowo. – Sarnecki strzelał oczami gdzieś na boki.
- Kurwa... – Ktoś westchnął.
- Dobra, jest tak – powiedział Sarnecki. – Stary nie zgodził się na swój hotel, bo podobno ma jakąś wizytę z zagranicy i nie chce, żebyśmy mu robili trzodę. Ale... Ale spokojnie, załatwi nam miejsce w internacie technikum leśnego w Śmielinie, to podobno tuż koło Złocieńca. Tamci wyjeżdżają na praktyki i całe piętro będzie wolne. Ojciec zna się

z dyrektorem, więc policzą nam grosze, poza tym tam jest stołówka, dlatego żarcie, znaczy obiady, będą w cenie. Weźmiemy ze sobą kiełbasy, kije wystrugamy na miejscu, zrobimy ognisko. Upieczemy ziemniaki i jabłka. Ja wezmę jakiś sprzęt grający. Dojazd pociągiem, więc jeszcze trzeba płacić za bilet, ale to i tak taniocha w porównaniu z tymi frajerami z „d”, którzy jadą do Niechorza za grubą kasę. – Rozejrzył się po zaciekawionych twarzach i zapytał: – To jak? Ma załatwić?

– Się pytasz, człowieku!

– Adolf, zapieprzaj do Kłosiewicza!

– Ej, a jak Radek się nie zgodzi?

– O Jezu, przestań, co ma się nie zgodzić...

Kłosiewicz się zgodził. Nie widział żadnego problemu, choć kazał przysiąc, że nie będzie alkoholu. Powiedział też, że załatwi wszystko z dyrektorem, poprosił Sarneckiego o domowy numer telefonu i o informację, kto pojedzie jako drugi opiekun. Kłopot ten rozwiązał się, kiedy Anka uprosiła ciotkę, nauczycielkę geografii z jednej ze szczecińskich szkół podstawowych. Jadwiga Lorenc zbliżała się już do emerytury, Anka obiecała jej, że klasa będzie grzeczna i nie sprawi żadnych, absolutnie żadnych problemów. Święcie w to wierzyła. Jej ciotka również. Ostateczną cenę wycieczki obliczono na czterysta pięćdziesiąt tysięcy złotych od osoby i tyle każdy z uczniów miał wpłacić klasowemu skarbnikowi.

Pozostało już tylko czekać, aż zakwitną kasztany.

2020

Następnego dnia Rędzia odwiedził Agnieszkę w prokuraturze Szczecin–Niebuszewo na ulicy Wawrzyniaka. Skierowany przez kogoś, trafił wreszcie do jej gabinetu na trzecim piętrze dziewięciokondygnacyjnego gmaszyska, które przypominało blok mieszkalny wyrwany z osiedla i wstawiony w zupełnie przypadkowe miejsce. W sąsiedztwie dominowała niska, rzadka, poniemiecka zabudowa otoczona zielenią i tylko przy wyjątkowo dobrych chęciach można było stwierdzić, że gabarytami gmach prokuratury nawiązuje do głównego obiektu dawnego zakładu opiekuńczego „Bethanien”.

Budynek był siedzibą dwóch prokuratur rejonowych: Szczecin–Śródmieście i Szczecin–Niebuszewo, i w tej drugiej właśnie prokurator Agnieszka Rybarczyk wykonywała zadania w zakresie ścigania przestępstw i stała na straży praworządności. Czasem przypominało to raczej walkę z wiatrakami, ale ona się nie poddawała. Wciąż wierzyła, że młyny sprawiedliwości miały powoli, ale skutecznie, i robiła wszystko, żeby machina się nie zacięła, a przynajmniej nie z jej winy.

Rędzia zapukał i wszedł do jej gabinetu, nie czekając na zaproszenie. Pomieszczenie nie było duże, ale przez wielkie okno wpadało do niego mnóstwo światła. Biurko, parę szaf aktowych i fotel z małym stolikiem oraz niewielki sejf stanowiły całe jego wyposażenie. Agnieszka siedziała za biurkiem i pisała coś na laptopie, obłożona papierami. Na ścianie za jej plecami wisiało godło państwowe.

– Hej. – Jej palce zawisły nad klawiaturą, kiedy zobaczyła Rędzię w drzwiach.

– Hej. Przeszkadzam? – zapytał.

– Oczywiście. – Palce wróciły do rytmicznego wystukiwania literek.

W przeciwieństwie do komisarza robiła to wszystkimi palcami, a nie dwoma wskazującymi.

– Trzy słowa? – zaproponował.

– Masz sto. Wejdz.

Wszedł i zamknął drzwi. Rozejrzał się po gabinecie i widząc, że Agnieszka wciąż skupiona jest na ekranie laptopa, usiadł w fotelu.

– Coś konkretnego? – zapytała.

– Właściwie nie – odparł Rędzia bez troski. – Chciałem cię zobaczyć.

– To miło. – Zerknęła na niego znad monitora.

– Prawda? – zauważył. – A poza tym zabieram się do sprawy tego trupa. Zakładamy z niemal całkowitą pewnością, że to zabójstwo. Nie wiemy, czy popełniono je w miejscu znalezienia zwłok, prawdopodobnie nie, inaczej nie byłyby owinięte w folię. Nie sądzę, żeby sprawca, porzucając zwłoki w takim miejscu, chciał jeszcze tracić czas na owijanie ich w coś.

– To był schron, mógł tam po prostu spędzić trochę czasu, robiąc to w ukryciu.

– I tachałby osobno trupa i folię? To musiała być spora paczka, ta folia jest bardzo gruba, skoro starczyło jej na całe ciało, musiała mieć minimum dwa na dwa metry.

– Może sprawca nie był sam?

– Może... – westchnął Rędzia. – W każdym razie, jeśli je tylko przeniesiono w to miejsce, to teoretycznie przed powstaniem tam magazynu „Rajskiego Ogrodu”. Tak myślę. Mówiłem ci, ten magazyn to zwykły plac ogrodzony siatką, nic tam nie budowano, nawet nie wkopywano, bo rośliny były w doniczkach. Nie ma nic dziwnego w tym, że nikt nie zauważył ciała. Ale oczywiście mogło być też tak, że ukryto je tam później. Z tego, co wiem, miasto wymówiło dzierżawę terenu trochę wcześniej, niż zaczęła się budowa, musieli jeszcze wszystko przygotować. Poza tym nie wyobrażam sobie, jak można podrzucić zwłoki w takim miejscu, bez zwracania uwagi pracowników.

– Chyba że to jeden z nich.

– Otóż to. I dlatego chcę porozmawiać z właścicielem „Rajskiego Ogrodu”. A jeśli chodzi o czas zabójstwa... Mam pewną teorię co do tej dolnej cezury.

- No? – Agnieszka przestała stukać w klawiaturę i wyprostowała się.
- Trup miał na sobie dres adidasa. Zachowało się logo. To było logo po refreshingu, czy jak to tam się u nich nazywa. Zaczęli je stosować na ubraniach po dziewięćdziesiątym ósmym. Czyli Knapik miał rację, to już raczej ten wiek.
- I tak spory rozstrzał, jeśli chodzi o czas – zauważyła Agnieszka.
- Niestety tak. – Rędzia pogładził się po udach, jeszcze raz rozejrzał po gabinecie i podniósł się z fotela. – No nic, lecę.
- Agnieszka znów wyjrzała zza zasłony swojego laptopa.
- Przepraszam, że nie zaproponowałam ci kawy, ale wiesz...
- Nie przejmuj się – rzucił Rędzia od drzwi. – Jestem niepijący.

* * *

Ustalenie namiarów na właściciela centrum ogrodniczego „Rajski Ogród” nie nastręczyło Rędzi zbyt wielu trudności. Umówił się z nim w jego domu, to znaczy został do niego zaproszony, kiedy wyjaśnił, po co dzwoni.

Ryszard Paterczyk był sześćdziesięcioletnim, szczupłym mężczyzną ogolonym na zero, w okularach zsuniętych na czubek nosa. Wyglądał na wysportowanego i był opalony. Albo miał taką karnację, albo niedawno wrócił z miejsca położonego za co najmniej trzydziestym równoleżnikiem.

Usiedli na tarasie za domem, w pięknie urządzonej ogrodzie, w bezpiecznej odległości od siebie. Gdzieś cicho szemrała fontanna. Po sposobie, w jaki urządzono zieleń i w jaki ją pielęgnowano, widać było, że Paterczyk nie jest przykładem szewca, który chodzi bez butów. Dom był ponemiecki, został znacznie przebudowany wewnątrz, co Rędzia zauważył, kiedy przechodzili przez niego do ogrodu. Pozbycie się większości ścian działowych spowodowało, że wewnątrz zrobiło się wyjątkowo przestronne i jasne. Z zewnątrz wyglądał na nietknięty remontem, ale były to pozory. Przeprowadzono go z niesamowitym pietyzmem, dbałością o szczegóły i szacunkiem dla oryginalnej tkanki.

– Więc mówi pan, że znaleźliście zwłoki na terenie, na którym mieścił się kiedyś nasz magazyn? – zapytał gospodarz.

Miał lekko zachrypnięty głos, ale nie wyglądał na palacza. Nic poza podejrzaną chrypką o tym nie świadczyło; ani poźółkłe paznokcie, ani nerwowe podskubywanie ubrania czy oblizywanie się. Rędzia dobrze pamiętał te objawy.

– Zgadza się – potwierdził. – I chciałem pana zapytać, jak to mogło się stać.

Odkąd Paterczyk powiedział mu przez telefon, że magazyn powstał w latach dziewięćdziesiątych, upadła koncepcja, że zwłoki zostały tam ukryte jeszcze przed jego powstaniem.

– Od razu powiem, że nie jest pan o nic podejrzany – uprzedził fakty.

– To normalne, że ludzie, rozmawiając z policjantami, robią w myślach szybki przegląd niecných czynków? – zapytał Paterczyk, zerkając na Rędzię znad oprawek okularów.

– Nie wiem, czy normalne, ale z tego, co wiem, dość powszechne. – Rędzia uśmiechnął się. – A co panu wyszło z tego przeglądu?

– Na szczęście nic. A jeśli chodzi o magazyn, to sprawa jest dość skomplikowana. Przez ponad dwadzieścia lat jego funkcjonowania granice nieco się zmieniały. Na początku byliśmy przy samej alei, potem musieliśmy się przesunąć w stronę torów, planowaliśmy jeszcze dzierżawę terenów bliżej dzisiejszej stacji benzynowej, ale się nie udało. A gdzie dokładnie znaleziono to ciało?

– W gruzach szczeliny przeciwlotniczej.

– Było ich tam kilka, faktycznie jedna z nich znajdowała się w obrębie magazynu, ale nieużywana. Wejścia były zamurowane, przynajmniej teoretycznie, bo nie dbaliśmy za bardzo o stan techniczny. Wie pan, tam byli tylko nasi pracownicy, klientów w zasadzie nie wpuszczaliśmy. Nie istniało ryzyko, że ktoś tam wlezie i złamie nogę czy coś takiego.

– W zasadzie? Czyli były odstępstwa?

– Jasne, kiedy ktoś chciał wybrać sobie sporo roślin, pojawiała się szansa na duże zamówienie, to nie było problemu. Ale zapewniam pana, że żaden z nich podczas swojej wizyty nie zakopał tam trupa. Wiedziałbym coś o tym. – Mrugnął do Rędzi.

– Też tak myślę.

– Mówił pan, że chodzi o czas po dwutysięcznym roku?

– Tak.

- To nie mam pojęcia, jak to mogło się stać? Może jednak wcześniej?
 - Nawet jeśli, to tylko trochę wcześniej.
 - Dlaczego?
 - Denat był ubrany w bluzę adidasa. Z logo, które wprowadzono pod koniec lat dziewięćdziesiątych. Dlatego.
 - Hmm. – Paterczyk się zamyślił.
 - To może panu pomożę: gdyby pan miał pozbyć się ciała i wiedziałby, że na terenie magazynu „Rajskiego Ogrodu” jest bezpieczna jamka, gdzie nikt nie zagląda...
 - W grę wchodzi moi pracownicy, to pan sugeruje?
 - Nie sugeruję. Niech pan mówi to, co panu przyjdzie do głowy.
 - To właśnie mi przyszło. Mam już dzwonić do księgowych, żeby szykowali listę zatrudnionych w tym czasie?
 - A może pan?
 - Jeśli panu zależy... – Paterczyk wzruszył ramionami.
- Nie wyglądał na szczęśliwego z tego powodu, ale był chyba z gatunku ludzi, którzy jeśli powiedzą „a”, to ciągną to dalej, a nie zamykają usta i udają, że im się odbiło.
- To może później. – Rędzia dał mu nadzieję. – A jeśli to nie pracownicy?
- Paterczyk jakby się zawiesił. Wpatrywał się w pień wielkiej sosny szumiącej nad ich głowami i nie odzywał się. Rędzia czekał. Nagle gospodarz drgnął i popatrzył na niego z namysłem.
- Wie pan, coś mi przyszło właśnie do głowy – powiedział powoli.
 - O to właśnie mi chodziło. – Rędzia, zadowolony, założył nogę na nogę.
- O pomysł.
- Pan wie, jak wyglądał nasz magazyn?
 - Dość spory obszar wydzielony pasem podwójnego ogrodzenia. A pomiędzy nimi biegały sobie pieski.
 - Dokładnie. Kiedyś były to Kloss i Brunner.
 - Przepraszam? – Rędzia myślał, że się przesłyszał.
 - Tak się wabiły. To taki żart żony, bo to były dobermany. I pewnego dnia, a właściwie pewnej nocy, oba zostały otrute. Mieliśmy próbę kradzieży. Ktoś otrul psy, przeciął siatkę i uspił stróża.
 - Uspił stróża?

– Ten człowiek co prawda spał, ale obudził się, kiedy ktoś wszedł do jego budki. Nie zdążył nic zrobić, bo napastnik narzucił mu na głowę jakąś szmatę nasączoną czymś śmierdzącym i on stracił przytomność. Tak powiedział rano.

– Zgłosiliście to policji?

– Oczywiście.

– I co?

– I nic. – Paterczyk miał kamienną twarz.

Rędzia nie skomentował. Nie wypadało mu. Chyba.

– Dziwne, że ktoś zadaje sobie tyle trudu, żeby ukraść kilka roślinek. – Pokręcił ze zdumieniem głową.

– Pan ma ogród?

– Nie. Mieszkam w bloku.

– To pewnie się pan zdziwi, kiedy powiem, że niektóre kształtowane przez kilka czy kilkanaście lat drzewka potrafią kosztować i po trzydzieści tysięcy?

Rędzia był zdziwiony. Potężnie.

– Jeden kupuje ferrari do garażu, a inny drzewko do ogrodu za trzy dychy – zauważył filozoficznie Paterczyk. – Kto bogatemu zabroni?

– Niby tak. – Rędzia westchnął, licząc w myślach, ile takich drzewek mógłby zasadzić pod blokiem za swoją roczną pensję i wyszło mu, że z hamaka nici. – A co to ma wspólnego z naszymi rozważaniami?

– Policja niewiele wtedy zrobiła, bo nie doszło do kradzieży, nie było śladów, mówili: może to zemsta konkurencji, a może komuś w okolicy przeszkadzało szczekanie psów, ale niczego nikomu nie udowodnimy i tak dalej, wie pan, jak to zwykle wygląda... Ale rozumie pan, do czego zmierzam?

– Rozumiem – powiedział po chwili komisarz, już całkiem poważnie. – Pamięta pan, kiedy to dokładnie było?

– Brunner i Kloss były naszymi pierwszymi psami. To był chyba dwa tysiące piąty albo szósty, musiałbym zapytać żony.

– Może pan to zrobić?

– Jasne.

Paterczyk podniósł się z ratanowego fotela i zniknął w domu. Rędzia rozkoszował się widokiem ogrodu i na serio zaczął się zastanawiać nad

działką. Zwłaszcza teraz, kiedy nie można było nigdzie pojechać, kawałek zieleni w rodzinnych ogródkach działkowych nabierał nieznaną do tej pory wagi. Mógłby tam robić grilla, rozstawiłby chłopakom basen... Przypomniał sobie Darka i jego działkę w Bartoszewie i zrobiło mu się nagle smutno.

Kiedy Paterczyk wrócił, na twarzy miał tryumfalny uśmiech.

– Dwunasty lipca dwa tysiące szóstego – obwieścił, wychodząc na taras.

– Jestem pod wrażeniem – odparł Rędzia i rzeczywiście był.

– Żona była bardzo przywiązana do tych kundli. Płakała tydzień. Potem już wszystkie nasze psy były tak szkolone, żeby nic nie wzięły od obcego. Nawet gdyby zdychały z głodu...

Komisarz pogawędził jeszcze chwilę z Paterczykiem, a potem pożegnał się, z żalem opuszczając przyjemne miejsce. Wracając do pracy, rozmyślał nad tym, czego się przed chwilą dowiedział. Uważał, że ktoś, kto ukrył zwłoki, musiał dobrze znać topografię okolicy i wiedzieć o istnieniu schronu. I ów ktoś sprytnie to rozegrał, bo wyszło na to, że całe zdarzenie było udaremnią lub zarzuconą z jakichś powodów próbą kradzieży, a tak naprawdę maskowało ukrycie zwłok na świetnie strzeżonym terenie. Rędzia nie nazywał jeszcze tego ktosia mordercą, bo nie mógł mieć pewności, że zabójstwa i ukrycia ciała dokonała ta sama osoba, choć było to bardzo prawdopodobne. Musiał również zakładać, że cała akcja była faktycznie próbą kradzieży, ale klocki pasowały do siebie zbyt dobrze, żeby całkowicie tę opcję odrzucić. Niczego innego w tej chwili nie miał, a to, co przed chwilą dostał, wystarczało do całkiem zgrabnej hipotezy.

Gdzieś na marginesie musiał też zakładać, że Paterczyk nie był z nim do końca szczery. Ale przecież nie dzieliłby się wtedy informacjami ewidentnie naprowadzającymi na trop. Gdyby właściciel „Rajskiego Ogrodu” zataił fakt otrucia psów i włamania, Rędzia dalej zastanawiałby się, jak to się stało. Ewentualnie naciskałby Paterczyka w sprawie listy pracowników.

Na razie pozostawało mu przyjąć dwunasty lipca dwa tysiące szóstego roku, z tolerancją kilku dni wstecz, jako prawdopodobną datę zgonu ofiary.

* * *

Przez następne parę dni w sprawie zwłok z Łękna nie działo się praktycznie nic. Rędzia skupił się na swoich bieżących sprawach, załatwił kilka tak zwanych szybkich strzałów, czyli spraw, których rozwiązanie wymagało jedynie posiedzenia w policyjnych systemach i paru rozmów z wytypowanymi figurantami. Z Agnieszką się nie spotykał, ale myślał o niej wielokrotnie.

Kiedy z laboratorium w Krakowie przyszedł wreszcie efekt pracy antropologów i grafików, Rędzia z Berdakiem przyjrzeni mu się nieco krytycznie: portret, który sporządzono na podstawie zrobionych przez patologa zdjęć denata, z uwzględnieniem cech antropologicznych czaszki, wyglądał trochę jak postać z gry ze świetną grafiką. Berdak stwierdził wprost, że przypomina mu jakiegoś kołosa z „Assassin’s Creed”. Być może grafik postarał się nawet zbyt dobrze, bo fryzura, jaką stworzył, przypominała te, które nosili dziś młodzi ludzie. Kolor oczu i włosów co prawda dawało się określić na podstawie badań genetycznych, i to zapewne zrobiono, ale należało się liczyć z tym, że podobieństwo nie będzie łudzące. Wielu cech, które na pierwszy rzut oka identyfikują znajomą twarz, tutaj można się było tylko domyślić: właśnie ta fryzura albo szczegóły dotyczące kształtu ust, zmarszczek czy cery. Takie detale mogły naprawdę mocno zmienić odbiór, dlatego Rędzia nie nastawiał się na jakieś spektakularne efekty, ale zrobił to, co należało. Przekazał rekonstrukcję do oficera prasowego z zespołu do spraw komunikacji społecznej, a ten, razem z odpowiednim komunikatem, rozesłał je do redakcji gazet i TVP Szczecin z prośbą o publikację, a także wrzucił na stronę internetową komendy i jej profile w mediach społecznościowych.

Rędzia znów zajął się zaległymi sprawami i prawie zapomniał o mumii; aż do czasu kiedy dwa dni później ktoś w tej sprawie do niego zadzwonił...

* * *

– Cześć Tomek, Adrian Malicki z tej strony.

– Hej, Adrian – odparł ostrożnie Rędzia.

Adrian był kolegą Rędzi z liceum. A może bardziej znajomym, po prostu chodzili razem do klasy, nie nawiązując nigdy jakichś bliższych stosunków ponad to, co konieczne w takich okolicznościach przez cztery długie lata. Nie zapisał się w pamięci komisarza żadnym gestem czy uczynkiem, który mógłby uznać za obraźliwy, a przecie jako klasowy outsider doświadczył ich w ciągu tego czasu wiele razy.

– Co tam? – zapytał go.

– Jakiś twój kolega dał mi ten numer, kiedy zadzwoniłem na komendę w sprawie tego zdjęcia w „Kurierze”. Powiedziałem mu, o co mi chodzi, i kazał mi zadzwonić od razu do ciebie.

– Taak? – Rędzia poczuł nieokreślone mrowienie na czubku głowy, jakby chodził po niej jakiś owad.

Odruchowo potarł skórę w tym miejscu, ale kiedy obejrzał dłoń, nic na niej nie było.

– Bo słuchaj, ten człowiek na zdjęciu przypomina Adolfa, nie sądzisz? No, wiesz, Steca, z naszej klasy. Naszego bohatera.

– Adolfa? Naprawdę?

– No tak. Nie widziałeś tego zdjęcia?

– Widziałem, przecie to ja zleciłem rekonstrukcję. Ale w życiu nie wpadłbym na to, że to może być Adolf?

– Wiesz, ja nie mam pewności, ale jak tylko go zobaczyłem, to bez zastanowienia pomyślałem: Adolf, jak żywy, co za przypadek. Następne, co mi przyszło do głowy, to to, że to wcale nie jest przypadek. Kiedy go ostatnio widziałeś?

– Na maturze.

– Potem nie?

– Nie. Dwadzieścia pięć lat bez Adolfa... Jakoś nie tęskniłem, powiem ci.

Malicki się roześmiał.

– Wyobrażam sobie. Ja nawet zadzwoniłem do kilku osób, czy wiedzą, co się z nim dzieje. Baśka Sawicka spotkała go kiedyś na mieście, ale to też było dawno temu, jakoś po studiach. Krzysiek Lichtblau kupił od niego samochód i strasznie narzekał, ale to też było mniej więcej w tym samym czasie. Nikt inny nie kojarzy, co się z nim teraz dzieje.

– A jego kumple z paczki? Broda, Cinek? Pajac?

– Do nich nie dzwoniłem – powiedział Malicki po chwili ciszy. – Wiesz, nie po drodze mi z nimi było, tak jak tobie...

– Mnie chyba z nikim nie było po drodze, co? Przyznaj?

Malicki znów się roześmiał, ale tym razem mniej szczerze.

– No, byłeś specyficzny, co mogę powiedzieć? Nawet mi trochę imponowałeś tym swoim wywaleniem na wszystko, bo równocześnie nie zadzierałeś nosa, co to nie ty, jak na przykład Sarnecki. W każdym razie do Brody ani Cinka nie dzwoniłem. A Pajac to teraz za wysokie progi. Wiesz, że jest radnym miejskim?

– Coś mi się obilo o uszy.

– Tak między nami, nędzny chujek, ale to moja opinia. Wiesz, je jestem lewakiem z przekonania i wyboru, więc „Stronnictwo Magnolii” to dla mnie zbiorowisko faszystów. A te głupoty, które Pajczyk wypisuje na swoim profilu na fejsie, to się nadają pod sąd. – Zamilkł na chwilę. – Swoją drogą, aż dziw bierze, że człowiek z takim epizodem w przeszłości robi polityczną karierę.

– Mówisz o wycieczce?

– Jasne, a o czym? Patrz, że ich nie przenieśli do innej szkoły, do matury potem dopuścili, że to się tak po kościach wszystko rozeszło... Myślałem wtedy, że wylądują co najmniej w poprawczaku, a tu nic. A Adolf jeszcze chodził w glorii i chwale bohatera. Niepojęte, co? To wtedy nauczyłem się, że niektórzy mogą więcej.

– No, wiesz, w końcu Adolf uratował resztę, nie?

– Uratował, uratował... A ilu nie uratował? To był poroniony pomysł z tą wycieczką, od początku tak uważałem. Gdyby nie ten wyjazd, nic by się nie stało.

– Byłeś na niej, bo nie pamiętam?

– Miałem jechać, ale dostałem zapalenia wyrostka i trafiłem do szpitala. Tym głąbom, mam na myśli paczkę Adolfa, od początku chodziło o chłanie i dziwiłem się Kłosiewiczowi, że im uwierzył. Mówię o Radku, tym wuefście, pamiętasz go?

– Pewnie.

– Ja rozumiem: wycieczka do Krakowa, Warszawy, Gdańska, nawet nad to morze, ale Śmielino? Tam nawet dwóch chałup prócz tego

internatu nie było. Oni to knuli od początku. Chcieli tam jechać pochlać. A jeśli już o Kłosiewiczu mowa: szkoda chłopca. Nie miał potem życia. Ta geografica, którą załatwiła wtedy Anka, też. Trochę przez nas, co?

– Nie przez nas, Adrian – odpowiedział powoli Rędzia, patrząc gdzieś przed siebie. – Przez nich.

1994

Suchy huk wystrzału, który zagrzmiął w ciszy nocy, obudził prawie wszystkich. Echo niosło go jeszcze przez chwilę między ścianami lasu poszatkowanego polanami, młodnikami i przesiekami. Nie obudziła się tylko pani Lorenc, która z zatyczkami w uszach spała mocnym snem, indukowanym środkami farmakologicznymi.

Większość uczniów z bijącymi sercami usiadła na łóżkach, gwałtownie wyrwana ze snu niespodziewanym hukiem. Strzał padł gdzieś niedaleko. W pokoju, w którym mieszkały dziewczyny, działo się dokładnie to samo co w pozostałych trzech.

– Polowanie? – zapytała jedna z nich zaspanym i zdenerwowanym głosem.

– Podobno gdzieś niedaleko jest jednostka wojskowa – uspokoiła ją druga.

– Wygłupiają się, ludziom spać nie dają i straszą, idioci. Wiecie, jak mi serce trzepocze?

– A mnie? Zaraz dostanę zawa...

Kolejny huk brzmiał dokładnie tak samo jak poprzedni i był tak samo głośny.

– No to się wyspałyśmy... – jęknęła Anka.

– Ciekawe, jak długo to potrwa?

Ucichły, czekając w milczeniu, czy wydarzy się coś jeszcze. Dwa kolejne wystrzały padły krótko po sobie.

– Uduszę Sarneckiego rano – zapowiedziała Kaśka. – Każę jego staremu zapłacić odszkodowanie za straty moralne. Mógł powiedzieć, jakie tu są atrakcje...

Czekały jeszcze jakąś minutę i kiedy już były przekonane, że to koniec, padła cała seria.

– Jezus, to nie polowanie – jęknęła któraś. – Tu musi być chyba jakaś strzelnica?

– Jak jest jednostka, to i strzelnica – podsumowała filozoficznie Anka.

Za ścianą usłyszały przytłumione głosy, pewnie dziewczyny w sąsiedniej sali robiły dokładnie to samo co one: zastanawiały się, o co chodzi. Nagle w ciszy rozległo się głośnie i natarczywe pukanie, które przeraziło je chyba jeszcze bardziej niż strzały. Kilka dziewczyn aż pisnęło ze strachu. Anka wstała, podeszła do drzwi i uchyliła je lekko. Za nimi stał Radek Kłosiewicz; blady, ubrany tylko w slipy i podkoszulek. Pomyślała, że jest pięknie zbudowany i całkiem przystojny, mimo złamanego i krzywo zrosniętego nosa i tej beznadziejnej fryzury na marines.

– Przepraszam, czy jest u was Adolf? – zapytał niskim i drżącym ze zdenerwowania głosem.

– Adolf? – Obejrzała się odruchowo na dziewczyny w ciemnym pokoju.

– Żartuje pan?

– Posłuchaj, to nie są żarty. Zrozumiem, jeśli zakradli się do was, też byłem nastolatkiem, ale nie oszukujcie mnie, dobrze?

– Panie Radku, jego naprawdę u nas nie ma. Dopiero obudziły nas te...

– Urwała nagle, kiedy coś sobie uświadomiła. – Jak to zakradli? Kogo jeszcze nie ma?

– Adolfa, Brody, Cinka, Fanty, Sarneckiego i Pajczyka nie ma w pokoju. Pomyślałem, że poszli do was.

– Jezu, czemu mnie to nie dziwi? – Westchnęła. – A w sali obok? Tam też są dziewczyny.

– Byłem u nich przed chwilą. Nie ma ich tam. Musieli wyjść. – Zagryzł wargi. – Zostańcie w pokoju. Nie opuszczajcie go pod żadnym pozorem, zamknijcie się od środka i nie otwierajcie nikomu, czy to jasne? I nie zapalajcie światła ani nie podchodźcie do okien, tak? Mogę na ciebie liczyć... – Zawahał się.

– Ania – szepnęła.

– Mogę liczyć chociaż na ciebie, Aniu? – zapytał.

– Tak. Proszę pana, co się dzieje? – Poczowała, że zaczynają drżeć jej nogi.

– Nie wiem. – Spojrzał jej w oczy. – Zrób, o co proszę.

Pokiwała głową. I wtedy padł jeszcze jeden strzał.

Kłosiewicz pobiegł na dół, a ona z bijącym sercem i trzęsącymi się rękami zamknęła drzwi na zamek. Przekazała dziewczynom, o co prosił wuefista, i weszła do swojego łóżka, a następnie szczelnie okryła się kocem.

* * *

Kilkanaście minut później Kłosiewicz z ciężkim sercem wszedł do pustego pomieszczenia małej dyżurki przy wejściu do internatu, gdzie stał telefon. Nie miał innego wyjścia. Wykręcił 997, a kiedy zgłosił się dyżurny, powiedział:

– Dobry wieczór, dzwonię z internatu technikum w Śmielinie, nazywam się Radosław Kłosiewicz i jestem opiekunem wycieczki szkolnej ze Szczecina. Śpimy tutaj. Wie pan, jestem w kłopotcie, bo przed chwilą padły strzały...

– Spokojnie, to może być nocne polowanie...

– Proszę pana, strzały padły z broni automatycznej, a nie myśliwskiej.

– Pan się tak dobrze zna na broni?

– Wystarczająco, żeby je rozróżnić. To nie był sztucer, tylko seria z automatu.

– W Śmielinie jest jednostka wojskowa, więc niewykluczone, że odbywa się nocne strzelanie. Spokojnie, nic wam nie będzie.

Kłosiewicz nabrał powietrza w płuca. Głęboko.

– Problem w tym, że brakuje mi paru chłopaków.

– Ile mają lat?

– Trzecia klasa liceum. Osiemnaście.

– Za bardzo się przejmujesz, chłopie. Pewnie siedzą gdzieś za winklem i kirzą.

– Obiecali mi, że nie będą pić...

W telefonie zagrzecotał cichy śmiech policjanta.

– A pan ile ma lat? – zapytał.

Nagle od strony wejścia rozległ się jakiś hałas. Kłosiewicz, nie odrywając słuchawki od ucha, wyjrzał przez okienko i spojrzał

w kierunku szerokich, przeszklonych drzwi przedsionka. Poczł, że miękna mu nogi, a z gardła wyrwał mu się ni to jęk, ni to szept:

– Jezu Chryste...

Słuchawka wypadła mu z ręki, stuknęła o blat biurka i zsunęła się z niego, zawisała na kablu, kręcąc się wokół własnej osi. Nie słyszał, jak dyżurny, teraz już poważnie zaniepokojony, woła:

– Halo! Człowieku, jesteś tam? Co się stało? Halo!

* * *

Kłosiewicz wyszedł z dyżurki na drewnianych nogach. W przeszklonych drzwiach zobaczył Adolfa, Pawła Kisiela i Marcina Saganowskiego. W żółtym świetle lampy w przedsionku wyglądali trupio. Z tyłu stał Kuba Pajczyk. Jego ręce pobrudzone były krwią. Kłosiewicz wpatrywał się w nie jak zahipnotyzowany. Trzęsły się.

– Co się stało? – wydusił z siebie. – Boże, co się stało? Gdzie reszta? Gdzie Sarnecki i Bronisz? Gdzie macie Fantę i Sarneckiego, odpowiadajcie! Adolf!

Adolf wyglądał jak robot. Sztywny, pochylony, z nienaturalnie wysuniętą do przodu głową, chwiał się lekko na nogach.

– On ich zabił, Radek – wyjaśnił nieswoim głosem. – Ten żołnierz ich zastrzelił.

Kłosiewiczowi krew uderzyła do głowy.

– Jaki żołnierz? O czym ty mówisz?

Pajczyk wystąpił przed Adolfa i rzekł drżącym głosem:

– Wszedł z lasu, z karabinem. Siedzieliśmy przy ognisku i on się dosiadł, powiedział, że uciekł z jednostki, żebyśmy mu dali wódki, więc daliśmy, a potem on zaczął do nas mierzyć i strzelił do Sarneckiego... – Mówił to jak nakręcony, na jednym oddechu, bez chwili przerwy.

– Kłamiecie. – Kłosiewicz zamknął oczy, chcąc, żeby to była nieprawda. – Powiedzcie, że kłamiecie. Piliście, tak?

Kiedy otworzył oczy, Pajczyk stał przed nim ze spuszczoną głową. Był blady jak ściana, miał podkrążone oczy i te ręce: bruzdy w skórze były rdzawoczerwone od zaschniętej krwi.

– To nie moja krew – wystękał, kiedy zorientował się, na co patrzy wuefista. – Ja... Ja sprawdzałem, czy oni żyją. On wyszedł z lasu, był już pijany i zaczął do nas strzelać... My tylko rozpaliliśmy sobie ognisko, chcieliśmy się zabawić...

Kłosiewicz poczuł, że musi usiąść. Tu i teraz, inaczej upadnie i być może nawet nie będzie w stanie się podnieść. Nagle rozległ się przenikliwy krzyk, który momentalnie go otrzeźwił. Spiał mięśnie i odwrócił się. Koło dyżurki stała pani Lorenc, ubrana w koszulę nocną do samej ziemi. Nie wiedział, jak długo tu stała, ale musiała usłyszeć wystarczająco dużo. Wyglądała jak duch. Miała szeroko otwarte oczy, też wpatrywała się w ręce Pajczyka, groteskowo przekrzywiona sztuczna szczęka wystawała jej z ust tak, jakby za chwilę miała wypaść na posadzkę. Kłosiewicz podbiegł i chwycił ją za wątle ramiona. Wciąż krzyczała, choć krzyk cichł, za to zaczynała się trząść. Ścisnął i spojrzał jej w twarz. Jej panika pomogła mu się ogarnąć, wyglądało na to, że jest jedyną osobą, która może teraz zrobić cokolwiek sensownego. Teraz odpowiadał za wszystkich. Wszystko spoczywało na jego barkach i chyba nie był na to gotowy.

Nie na to.

– Spokój! – ryknął, przekrzykując nauczycielkę, i potrząsnął nią lekko.

– Proszę się uspokoić!

– Jezu, Jezu – bełkotała.

Nagle ścisnął go strach. Puścił jej ramiona, obejrzał się i wbił wzrok ponad głowami chłopaków, w mrok za szybami przedsionka, sprawdzając, czy nie miga za nimi jakiś złowrogi kształt.

– Co z tym żołnierzem? Uciekł? Czy szedł za wami? – zapytał ze ściśniętym gardłem, szykując się na najgorsze.

– On też nie żyje – wymamrotał Pajczyk. – Adolf go zastrzelił. On nas uratował, proszę pana.

Gorączkowo myślał, co teraz. Co zrobić najpierw. W jakiej kolejności.

– Idziemy do mnie. Musimy zaprowadzić ją na górę. A potem wrócić tam, gdzie byliście. Daleko?

– To taka polana koło tej głównej drogi, która prowadzi do lasu... Tylko latarka nam siadła.

Kłosiewicz się uspokoił. Odrobinę. Lorenc płakała cicho.

– Dobra, najpierw pani Jadwiga, Adolf, pomóż mi. – Przyjrzał się Stecowi, jego mętnemu spojrzeniu; chłopak był wyraźnie zmulony. – Jezu, ty jesteś nawalony jak meserszmit!

– Nie, nie jestem – wybełkotał Adolf. – Za dużo się działo, jeszcze mi huczy w głowie. Dam radę, dam radę. – Otarł z ust ślinę i zrobił krok w przód, ale zachwiał się, więc od razu złapał za grzejnik i oparł się o niego.

– Kuba, pomóż mi – szepnął Kłosiewicz.

Pajczyk podszedł do niego powoli, minął go i położył rękę na ramieniu pani Lorenc. Była niziutka, sięgała mu nieco powyżej ramienia. Jego dłoń drżała.

– Wy za mną, już. – Wuefista obejrzał się na Brodę, Cinka i Adolfa. – Jak mogliście mnie tak zawieść? Jak mogliście, gówniarze?

Wciąż łudził się, że to nieprawda. Że Bronisz i Sarnecki są może ranni, może boją się wrócić, może po prostu nie są w stanie. Lepiej, żeby byli nieprzytomni z upicia niż martwi. Nie docierało do niego w pełni to, co się wydarzyło, czy raczej to, o czym powiedzieli mu na dole Adolf i Pajac. Szli w milczeniu schodami na górę, nauczycielka wciąż cicho płakała, ale stawiała kroki, jeden za drugim, jak automat pokonując kolejne stopnie. Kiedy dotarli na piętro, przez okno klatki schodowej mignęło niebieskie światło. Kłosiewicz zerknął w tę stronę i w szybie ujrzał swoją postarzałą nagle twarz, a za nią granatową nyskę zajeżdżającą pod internat. Niebieski, świetlisty krąg omiatał zwir, ścianę i pnie pobliskich drzew, jak w klubie na imprezie rave.

Koszmar dopiero się zaczynał.

2020

– Skłamałabym, twierdząc, że jestem na sto procent przekonana, że to Adolf – powiedziała Agnieszka, przyglądając się krytycznie zdjęciu. – Choć faktycznie, teraz, po sugestii, widzę pewne podobieństwo.

Siedziała na krawędzi swojego biurka ze skrzyżowanymi nogami.

– Pamiętaj, że to rekonstrukcja – mruknął stojący przed nią Rędzia. – Ja też nie jestem do końca przekonany. Trochę inaczej go pamiętam, pomijając, że ogólnie słabo. No i minęło sporo czasu, pewnie się zmienił, jak my wszyscy.

– Tak jak mówisz...

– Ale mamy jakiś trop.

Spojrzała na niego i odłożyła zdjęcie na bok.

– To byłoby chyba już zbyt nieprawdopodobne, co?

Rędzia wzruszył ramionami.

– Poprosiłem dzielnicowego o rozeznanie. Adolfa od lat nie ma w miejscu zameldowania, to raz.

– To jeszcze niczego nie oznacza.

– Niby tak, ale poczekaj. On faktycznie w dzieciństwie wpadł pod samochód i miał złamaną nogę, sam o tym opowiadał kiedyś na wuefie, to akurat pamiętam. To dwa.

– Którą nogę?

– Nie wiem. Trup ma ślady złamania na lewej. Co do Adolfa, nie jestem pewien. – Spojrzał na nią. – Kwestia jego wypadku z dzieciństwa nie była dla mnie jakimś wybitnie wartym zapamiętania szczegółem.

– Dalej?

– Berdak dotarł do wuja Adolfa, brata jego matki. Od zawsze mieli sporadyczny kontakt, a po tragicznej śmierci rodziców Adolfa w ogóle się urwał.

– A co im się stało?

– Pojechali na wycieczkę do RPA. Tam mieli w kilkanaście osób polecieć śmigłowcami na pustynne safari. I maszyny wpadły na siebie w powietrzu. Nikt nie ocalał, to było w dziewięćdziesiątym dziewiątym.

– Cholera... – mruknęła Agnieszka.

– No – potwierdził krótko Rędzia. – Dlatego właśnie pokusiłbym się o badania DNA. Poprosimy wujka o próbkę i zrobimy porównanie. Za tydzień, jak dobrze pójdzie, będziemy mieć wynik.

– A jak nic z tego?

– Wtedy będziemy się dalej zastanawiać. Może być?

Agnieszka rozłożyła ręce, nic nie mówiąc. Pomilczeli tak chwilę oboje.

– Też jesteś myślni w liceum? – zapytała nagle Agnieszka.

– Tak. Niechętnie tam wracam, ale to chyba nieuchronne.

– Klasowy outsider. – Trąciła go lekko w ramię.

Wyglądało to trochę zabawnie: kobieta w średnim wieku, prokurator, w służbowym kostiumie, w gabinecie z godłem państwowym na ścianie robi gest typowy dla dzieciaka pod podwórkowym trzepakiem. Ale Rędzi zrobiło się miło. Napatrzył się na ludzi w ich wieku, którzy zatracili już tę młodzieńczą werwę, myśląc przynależną ludziom na ich etapie życia powagę ze zwykłym stetryczeniem. We własnym przekonaniu byli odpowiednio poważni, w mniemaniu Rędzi – zdiadziali, a utraconą z wiekiem energię przywracał im czasem wyłącznie alkohol w dużych dawkach. I nie chodziło o fizyczność. Niektórych dotykało to bardzo wcześnie. Agnieszki na szczęście nie.

Podobno to tylko stan umysłu.

– Nigdy nie chciałem stawać po niczyjej stronie, kiedy mnie do tego zmuszano – wyjaśnił. – To zawsze był jakiś wybór: z kim jesteś albo przeciw komu. Po czyjej stronie. Ja byłem po swojej. Zawsze. I nie byłem samotny, jeśli o to ci chodzi. To, że nie kumpłowałem się z nikim z klasy, nie znaczyło, że nie mam kumpli. Miałem swoje środowisko, chłopaków z ulicy. Poznałaś paru, kiedy... Kiedy się razem bujaliśmy.

– Pamiętam. – Opuściła lekko głowę.

– Pytali potem o ciebie.

– Co im powiedziałaś?

– Nic. Nie wiedziałem, co powiedzieć. No i w końcu nie byłaś moją dziewczyną. Dla nich wszystko i tak było takie... niedopowiedziane. Dalej nie chcesz o tym rozmawiać?

W milczeniu pokręciła głową. Wciąż oparta siedzeniem o biurko, przytrzymując się krawędzi blatu, wyglądała trochę jak mała dziewczynka, nawet mimo zakietu i korporacyjnej spódnicy tuż nad kolana. Rędzia nie naciskał.

– Ten nasz Adolf – zmienił temat i zaczął przechadzać się po gabinecie – dziwny był gość, nie?

– Dziwny – potwierdziła. – Adolf i jego paczka. Zawsze miałam wobec niego ambiwalentne odczucia.

– Nie ty jedna.

– Wiem. To był palant, ale zabawny. Bardzo silny i dość przystojny...

– To takie istotne? – przerwał jej, przystając w miejscu.

Agnieszka spojrzała na niego zaskoczona i rozbawiona równocześnie.

– Chcesz mi powiedzieć, że wy, faceci, oceniając dziewczynę, nigdy, przenigdy, nie bierzecie pod uwagę jej urody? Że o cyckach i tyłku nie wspomnę, zakłamany hipokryta.

Zastanowił się przez chwilę.

– To może faktycznie wróćmy do Adolfa. Zabawny palant i...?

– I... Niewiele ponad to. – Zmarszczyła brwi. – Cholera, jak tak się dobrze zastanowić, to nie jestem w stanie powiedzieć o nim nic więcej. Po prostu był. Jakiś. Nawet nie wiem, czy miał rodzeństwo, psa, czym się interesował...

– Niczym się nie interesował. Chyba tylko brylowaniem. I pokazywaniem mięśni. Podejrzewam, że to dzięki nim miał posłuch wśród tych swoich kumpli.

– Ale został bohaterem, co?

– Dyskusyjna sprawa. – Rędzia się skrzywił.

– Ale został. – Zabrzmiało to jak przekomarzanie się.

– Szkoda tylko, że przy okazji były trupy.

Agnieszka przeciągnęła dłonią po twarzy, zdjęła okulary i odłożyła je na biurko, w bezpiecznej odległości od siebie.

– Ciekawe, co teraz z nim się dzieje – powiedziała.

Rędzia wskazał oczami leżącą na biurku wizualizację.

– Jeszcze za wcześnie na taki wniosek – zwróciła mu uwagę.

– Jakoś mnie nie interesuje, co się z nim dzieje. Adrian wspominał, że nikt nie wie, co u niego słyhać. Przynajmniej nikt z tych, z którymi o nim rozmawiał. Od dawna. To też może być jakieś potwierdzenie.

– Jeszcze kilka dni temu nie miałeś pojęcia, co dzieje się ze mną. Też myślałeś, że nie żyję?

– Twojej podobizny nie było w gazetach. – Spojrzał na nią. – Przy okazji: a jak mnie odbierałyście?

– Co masz na myśli?

– Wiesz, co mam na myśli.

– Zrewanżuję ci się potem takim samym pytaniem, wiesz o tym? – Zmrużyła figlarnie oczy i to też Rędzi bardzo się spodobało.

– Nie odpowiem na nie z oczywistych względów – mruknął. – Wiesz o tym?

– No tak, przecież ty z nikim nie gadałeś... – Wstała z biurka i przesiadła się na swój fotel.

– No więc? – Rędzia podszedł do biurka, oparł się o nie i pochylił, kierując w twarz Agnieszki stojącą na nim lampkę.

Była wyłączona.

– Na pewno chcesz wiedzieć? – zapytała Agnieszka, ledwo powstrzymując śmiech.

– Chcę skonfrontować swoje wyobrażenia ze stanem faktycznym. Grubawy, długowłose typ we flanelowej koszulinie, ponadrywanych dzinsach i martensach, za które obrywałem od nauczycieli, z plecakiem kostką z ponaszywanymi symbolami zła i bezceństwa, które wam, niewtajemniczonym, niczego nie mówiły. Słuchający zespołów, których nazwy też niczego wam nie mówiły.

– Trochę czuć cię było potem...

– A tak, miałem kłopoty z nadmiernym poceniem się. To hormonalne. Przeszło mi, na szczęście. Trafiłem?

– Nadaje się pan do tego, co robi w życiu, panie komisarzu. – Pokiwała głową. – Ale w sumie nie było to zbyt skomplikowane. Naprawdę nie wiesz, co o mnie mówili twoi koledzy z klasy?

Oderwał ręce od biurka i poprawił lampkę, przywracając ją do poprzedniej pozycji.

– Mówiłem ci już – powiedział z szerokim uśmiechem. – Ja nie miałem w tej klasie żadnych kolegów...

* * *

Sześć dni później prokurator Rybarczyk zadzwoniła do Rędzi. Siedział u siebie w pokoju, Berdaka nie było, bo miał wolne za ostatnią realizację, na której spędził prawie dwadzieścia godzin bez przerwy.

– Przyjedź do mnie teraz, jeśli możesz – poleciła krótko Agnieszka.

– Co się stało?

– Są wyniki badań genetycznych. Wszystko wskazuje na to, że ciało z Łękna to faktycznie Adolf.

– Ja pierdolę... – Westchnął, siadając ciężko na swoim krześle. – Zaraz będę.

Poszedł do naczelnika zgłosić wyjście.

– Coś drgnęło, widzę? – zapytał Kurylak, kiedy Rędzia poinformował go o ustaleniu tożsamości denata.

Nie powiedział naczelnikowi wcześniej o podejrzeniach, że to kolega z licealnej klasy. Dopóki nie było pewności, nie bawił się w zbędne jego zdaniem wyjaśnienia. Teraz musiał mu powiedzieć.

– Ano drgnęło. To mój dawny kolega z klasy – oświadczył.

Kurylak zrobił z palców budkę i kręcąc się na krześle, przyglądał się Rędzi znad jej szczytu.

– Powinienem cię z tego wyłączyć – stwierdził.

– Prokuratorka też jest naszą koleżanką. – Rędzia był spokojny.

Zależało mu na tym śledztwie wyłącznie ze względu na Agnieszkę i kontakt z nią. Dopóki to była jego sprawa, miał go zapewniony, później, kiedy przekaże zebrane materiały do wydziału dochodzeniowo-śledczego, do postępowania przygotowawczego, ten kontakt, przynajmniej zawodowy, urwie się w jakiś sposób. Co do Adolfa, nie miał pojęcia, w jaki sposób fakt, że to on okazał się denatem, miałby wpłynąć na jego bezstronność w śledztwie. Bo go nie lubił? To było ćwierć wieku temu i nawet trudno było to nazwać nielubieniem. Dla Rędzi Adolf nie istniał. Szczerze mówiąc, nie przejął się teraz za bardzo jego śmiercią, był tylko

mocno zdziwiony takim zrządzeniem losu czy raczej po prostu przypadkiem.

– Dobra, zrobimy tak: jeśli ją wyłączą, to ty też przekażesz to na przykład Berdakowi – zdecydował Kurylak. – Może być?

– Jasne. – Rędzia wstał. – To jadę, szefie.

Dwadzieścia minut później wpadł jak burza do pokoju Agnieszki. Siedziała za biurkiem, w szklach jej okularów odbijał się ekran laptopa.

– Nie ma żadnych wątpliwości? – wysapał.

Zdjęła okulary i ostrożnie odłożyła je na biurko. Rędzia śledził jej ruchy i pomyślał, że kiedyś jednak to się źle skończy, zważywszy na jej zwyczaj przysiadania na krawędzi blatu. Kiedyś w końcu się pomyli.

– Żadnych – powiedziała i spojrzała na niego z powagą, a on w tym momencie przestał myśleć o jej okularach.

Usiadł pod ścianą, oparł łokcie na kolanach, splótł palce i oparł na nich podbródek.

– Nie podoba mi się to – oświadczyła Agnieszka. – Pamiętasz naszą rozmowę przy torach? Tę o przypadku?

– Prawo serii. – Rędzia uniósł głowę i machnął ręką. – Skoro zdarzył się jeden, dlaczego nie dwa?

– Dziwny trójkąt, nie uważasz?

– Ty, ja i on?

– Dokładnie.

– Przypadek jeden na milion. Ale szóstka w totka też jest mało prawdopodobna, a jednak pada. Co teraz?

– Teraz robimy wszystko, żeby śledztwo w sprawie zmieniło się w śledztwo przeciwko.

– Jestem za. Minęło prawie dwa tygodnie od znalezienia ciała. Jakies propozycje?

– Ustal osoby, które mogły mieć z nim ostatnie kontakt. Przyjmijmy za przybliżoną datę śmierci dzień tego włamania do „Rajskiego Ogrodu”. Rozpytaj ich. Rodzina, znajomi i tak dalej. Ja poszperam u siebie, dane ze skarbówki i tym podobne. Do roboty, panie komisarzu...

* * *

Spotkali się dwa dni później, znów u Agnieszki w prokuraturze. Rędzia rozsiadł się w niewygodnym fotelu pod ścianą i założył nogę na nogę.

– Mam namiary na ludzi z klasy – poinformował Rybarczyk. – Praktycznie wszystkich, rozmawiałem już z kilkoma, nie mają pojęcia, co działo się z Adolfem po maturze. Tylko jakieś luźne fakty. Skończył politologię i podobno był w wojsku. Z kilkoma osobami chcę jeszcze porozmawiać osobiście i mam nadzieję, że dowiem się czegoś więcej. Domyślasz się z którymi?

– Cinek, Pajczyk i Broda. Jego przydupasy z paczki.

– Dokładnie. I Anka Kuźma. Ona zawsze była ogarnięta i dużo wiedziała o innych.

– Chcesz się skupiać tylko na ludziach z klasy? A rodzina? Znajomi?

– Kwestię najbliższej rodziny omówiliśmy niedawno. Jego rodzice nie żyją ponad dwadzieścia lat, wujek dowiedział się o jego śmierci od nas. O dalszej rodzinie nic nie wiem. A znajomi? Wygląda na to, że Adolf nie miał znajomych, a przynajmniej Berdak na nich nie trafił. Nie chodził do pracy, bo miał własną działalność, handlował autami, więc koledzy z pracy też odpadają. Przy okazji: Krzysiek Lichtblau ostatni raz widział Adolfa w dwa tysiące drugim, kiedy Adolf sprzedał mu samochód, i żałuje tej chwili jak cholera. Wydaje mi się czy ten facet był bardziej samotny niż bezdomni z dworca?

– Ja też coś mam. – Agnieszka okręciła się na krześle i odchyliła głowę do tyłu, masując sobie przez chwilę skronie nad zausznikami okularów.

– Informacje ze skarbówki. Nie był nigdzie zatrudniony. Faktycznie sprowadzał auta z Niemiec i krajów Beneluksu. Miał jednoosobową działalność gospodarczą od grudnia dwa tysiące pierwszego. Ostatnie zeznanie podatkowe jest za dwa tysiące drugi rok. Złożył je w marcu dwa tysiące trzeciego. Potem nic. Nawet jeśli nie zarabiał, powinien składać zerowe PIT-y, a tego nie robił. Wysłali kilka wezwań...

– Wspominałem ci, że Berdak był w jego miejscu zameldowania. Mieszka tam teraz rodzina, która wynajmowała od niego to mieszkanie, a potem je od niego kupiła, w dwa tysiące piątym.

– Nie ma po tym śladu w urzędzie skarbowym?

Rędzia wyteżył pamięć.

– Słuchaj, a on nie dostał tego mieszkania od rodziców na osiemnastkę? – zapytał.

– Faktycznie, łąził i tym się przechwalał, jakby sam je kupił. A oni po prostu je na niego przepisali.

– I dlatego nie zapłacił podatku od sprzedaży. I to wyjaśnia, czemu nie odbierał wezwań. Może po prostu lokatorzy mu ich nie dawali?

– Dziwne – mruknęła Agnieszka.

– Dziwne – przytaknął. – Plan na dziś mam taki, że odwiedzam te kilka osób, które powinny wiedzieć o Adolfie najwięcej. I zobaczymy, co z tego wyjdzie. Dam ci znać. Trzymaj się.

Podszedł do drzwi i złapał za klamkę.

– Będzie cię to kosztować trochę emocji – powiedziała Agnieszka.

Rędzia puścił klamkę i obejrzał się przez ramię.

– To pytanie czy stwierdzenie?

– Powiedzmy, że pytanie. – Przekrzywiła lekko głowę.

Odwrócił się od drzwi w jej kierunku.

– Nie będzie mnie nic kosztować, Aga – odparł z namysłem, wkładając ręce do kieszeni spodni i wzruszając ramionami. – To są całkiem obcy mi ludzie. Zawsze byli.

* * *

Broda mieszkał na Niebuszewie. Okazało się, że niedawno wrócił z pracy w Niemczech i podróżował busem, którym jechał również człowiek mający koronawirusa. Od tego czasu Paweł Kisiel przebywał na kwarantannie w swoim mieszkaniu. Codziennie odwiedzał go patrol policji; musiał im machać przez okno i spowiadać się z samopoczucia i temperatury ciała.

Rędzia najpierw do niego zadzwonił.

– Halo? – Głos w słuchawce był lekko zachrypnięty.

– Cześć, Paweł, Tomek Rędzia z tej strony.

Po drugiej stronie zapadła chwila ciszy.

– Tomek?

– Chodziliśmy razem do klasy, w liceum...

– Aaa, tak, fakt. Cześć. – Broda zawiesił głos, wyraźnie nie wiedząc, co powiedzieć.

– Pracuję w policji, chciałbym cię odwiedzić i zadać ci kilka pytań, co ty na to?

– Pytań? Przecież ja nic nie zrobiłem?

– Nie mówię, że zrobiłeś. – Rędzia wolał jeszcze nie wyjawiać celu wizyty, chciał zobaczyć twarz Brody, kiedy poinformuje go o śmierci Adolfa. – Musimy pogadać.

– Wszystko fajnie, tylko że ja jestem na kwarantannie.

– Wiem. Biorę to na klatę. Będę miał maseczkę i rękawiczki, zachowamy odległość i tak dalej.

– Nie możemy pogadać przez okno, jak z psami? – Przez chwilę zapadła niezręczna cisza. – Eeee, sorry...

– Nigdy ci tego nie wybaczę.

– Tomek, ja...

– Broda, strasznie zdziadziałeś, wiesz? – Rędzia parsknął śmiechem.

Broda też się roześmiał, ale z wyraźną ulgą. Rędzia był zaskoczony, bo Kisiela uważano za klasowego jajarza i trzeba przyznać, że jego wygłupy były naprawdę zabawne i pomysłowe. W przeciwieństwie do wygłupów Adolfa.

– Będę za chwilę, dobra? – powiedział już mniej oficjalnym tonem.

– No dobra, przyjeżdżaj...

Rędzia dojechał na Dembowskiego kilkanaście minut później. Broda mieszkał w niskim, długim, wielorodzinnym budynku, wybudowanym jeszcze za Niemca. Widać było, że to tanie budownictwo przeznaczone dla klasy robotniczej przemysłowego Zabelsdorfu: dziś kontrastowało silnie z wysokimi blokami o nowoczesnej architekturze postawionymi niedawno na parceli między ulicą a torami kolejowymi dzielącymi dawne Niebuszewo.

Broda czekał w oknie. Pomachał Rędzi, kiedy ten spojrzał w górę, i zniknął we wnętrzu mieszkania. Komisarz skierował się w stronę wejścia, mijając motocykl, niewielkiego Junaka, model M11. Wszedł na klatkę schodową, szykując maseczkę i gumowe rękawiczki. O ile nie podchodził zbyt restrykcyjnie do zasad izolacji społecznej na ulicy, to tu, podczas bezpośredniego spotkania niemal twarzą w twarz z osobą

podejrzaną o nosicielstwo wirusa, ryzyko faktycznie istniało. Wiedział, że maseczka zapewnia jedynie słabą ochronę, choć sam fakt jej noszenia dawał dość złudne poczucie bezpieczeństwa.

Kiedy dotarł na pierwsze piętro, Broda czekał już w drzwiach. Rędzia przyjrzał mu się. Był oczywiście zarośnięty, jego włosy i zarost na twarzy, widoczny zza fałdek maseczki, były wyjątkowo mocne i gęste, bez śladu siwizny. Gdyby Broda chodził codziennie do pracy i kazano mu wyglądać schludnie, musiałby się golić nie tylko tuż przed wyjściem, ale i w pracy, i to chyba ze dwa razy. Ale Broda nie chodził do pracy, o czym Rędzia wiedział z wywiadu od dzielnicowego. Paweł Kisiel pracował jedynie dorywczo i choć nigdy nie został nawet podejrzany o żadne sprawy, znany był jako trwały element lokalnej kultury piwno-wódczanej.

Zaprosił Rędzię do środka i bez słowa zamknął drzwi mieszkania. Rędzia, nie dając po sobie niczego poznać, obrzucił je szybkim, ale uważnym spojrzeniem. Na tej podstawie zawsze dało się wyciągnąć jakieś wnioski o zamieszkującym je lokatorze. Było małe, nawet jak na standardy starego budownictwa. Nie wyglądało na zaniedbane, ale nie było w nim niczego prócz mebli, małego telewizora: żadnych zdjęć bliskich, obrazków, książek, czegokolwiek, co zindywidualizowałoby te kąty, nadało im ten specyficzny klimat, który sprawia, że mury można nazwać czymś mieszkaniem.

– Tak sobie właśnie mieszkam – rzucił Broda, kiedy weszli do niewielkiego pokoju.

Rędzia pokiwał głową. Na nic więcej nie miał pomysłu.

– Mam jeszcze motor. – Broda patrzył na niego, jakby czekał na jakąś reakcję. – Uwielbiam jeździć na motorze. Żaden ścigacz ani harley: nasz junak. Kiedyś kupię sobie turystyczną beemkę i pozwiedzam Europę z namiotem, bo na razie kręcę się trochę tylko po Polsce. To mówisz, że jesteś gliniarzem? – zmienił nagle temat i obrzucił komisarza taksującym spojrzeniem.

– Tak wyszło – mruknął Rędzia i zerknął na niego. – Chcesz, żebym ci się wylegitymował?

Broda wyraźnie się ożywił.

– A, jeśli byłbyś taki łaskawy.

Rędzia roześmiał się i pokazał mu legitymację: nie tylko odznakę, ale i papier, dając mu je do ręki. Kiedy Broda studiował dokument, komisarz mu się przyglądał. Kisiel prawie się nie zmienił, miał tylko trochę większe i ciemniejsze worki pod oczami. Odrobinę mu się przytyło i widać było, że jeśli nie poćwicy, będzie tylko gorzej. Wciąż było mocno owłosiony, czarne kłaczki wyłaziły spod mankietów i kołnierzyka starej, flanelowej koszuli.

– Proszę, proszę... – Maseczka Brody wydeła się na chwilę od gwałtownego poddmuchu powietrza z jego ust.

– Pewnie jesteś ciekawy, po co przyszedłem? – zapytał Rędzia, wyjmując mu z ręki odznakę.

– Owszem. – Uniosły się gęste jak czarne szczoteczki do zębów brwi. – Nawet bardzo.

– Adolf nie żyje. – Patrzył Brodzie w oczy.

Pozostały nieruchome.

– Rozumiem, że to nie był wypadek? – zapytał Kisiel.

– Nie był.

– Teraz zapytasz mnie, co robiłem tego i tego dnia, o tej i o tej godzinie?

– Nie. Zapytam cię, kiedy widziałeś go po raz ostatni.

– Czyli jednak?

– O nic cię nie podejrzewam, Broda. – Rędzia westchnął. – To się stało dość dawno temu, ale zwłoki odnaleziono dopiero teraz.

– A dlaczego przyszedłeś akurat do mnie?

– Przychodzę do was wszystkich.

– To znaczy do kogo?

– Do ludzi z klasy.

– Nie bardzo rozumiem...

– Broda, umówmy się, że nie mogę ci powiedzieć wszystkiego, dobra? Potrzebuję odpowiedzi na kilka pytań i sobie idę. Może być? Więc kiedy widziałeś go po raz ostatni?

– Chyba w dwa tysiące drugim, jakoś latem. Wtedy była ta afera z Rywinem, dlatego pamiętam.

– A potem?

– Potem nie.

– Kumplowaliście się?

– Po szkole?

– Tak.

– Nie bardzo. Adolf poszedł na studia, a ja... Ja musiałem iść do roboty, zresztą studia nie dla mnie, i tak dobrze, że jakoś tę maturę zdałem. Potem on był w wojsku, a po wojsku złapał robotę, nie pamiętam, chyba w jakimś urzędzie. Słyszałem też, ale nie pamiętam od kogo, że wyjechał gdzieś do Anglii czy coś takiego. I jego rodzice zginęli w wypadku, to jeszcze pamiętam. W każdym razie po dwa tysiące drugim już na pewno go nie widziałem. Jakoś się to rozeszło... Wiesz, jak jest. Odległe światy i tak dalej.

– A Cinek?

– Nie, no Cinek to inna sprawa. Kumplujemy się trochę do dziś.

– Trochę?

– Mam ci napisać sprawozdania ze spotkań z ostatnich kilku lat?

– Nie, nie musisz. – Rędzia mlasnął, przestawała mu się ta rozmowa podobać. – A Pajac?

– Myślisz, że śmierć Adolfa ma jakiś związek z tą strzelaniną?

– Czemu sądzisz, że tak myślę?

– Bo nie zapytałeś o innych, tylko o naszą paczkę. Nie spytałeś, czy widuję się na przykład z tą... kujonką... – Podrapał się w głowę.

– Anką Kuźmą. Nie widujesz się.

– A skąd wiesz?

Rędzia przekrzywił głowę i wbił wzrok w Kisiela. Przez chwilę zdążył pomyśleć, że Broda jest jednak nie w ciemną bity, ale ostatnim pytaniem Kisiel zepsuł to wrażenie.

– A jak myślisz? – zapytał, niemal z wyrzutem.

– No tak... – Broda spuścił oczy. – Przecież bym wtedy pamiętał, jak ma na imię... A z Pajacem się nie widuję. To jeszcze odleglejszy świat. Słyszałeś, że karierę robi?

– Słyszałem.

– Taki Pajac, no... – Wzruszył lekko ramionami. – Dziwny z niego gość był, taki myszowaty. Zawsze. Chyba nawet jeszcze dziwniejszy niż ty, sorry.

Rędzia przypomniał sobie, jak niedawno dokładnie w ten sam sposób snuli z Agnieszką rozważania o Adolfie.

– Nie musisz się krępować – mruknął. – Wiem, jak byłem przez was odbierany.

– Ale to zawsze działa w dwie strony, nie? – Oczy Brody się śmiały. – Ty też nas musiałeś odpowiednio odbierać? Słuchaj, jak już przy tym jesteśmy, to...

Rędzia uniósł dłoń i przerwał mu.

– Broda, było, minęło. Byliśmy gówniarzami.

– Nie masz żalu?

– A ma to dla ciebie znaczenie?

Broda spojrział w okno.

– Szczerze? – Wrócił spojrzeniem. – Teraz chyba tak. Teraz jest mi głupio. Kiedyś były inne czasy, dzieciaki się nie cięły...

– Cięły się, Broda.

– Ty? – Oczy Kisiela zrobiły się wielkie jak spodki.

– Nie, no coś ty... – Rędzia zmrużył oczy. – Jezu, faktycznie się zmieniłeś...

Głowa Brody schowała się w ramionach; poczuł się chyba lekko urażony.

– To źle? – zapytał zdziwiony.

– Nie. To dobrze, Paweł.

Broda sapnął i znów maseczka wybrzuszyła się pod nosem.

– W każdym razie... No dobra, cięły się, ale się nie wieszały. Młody Cinka ma w szkole przejebane, bo farbuje włosy na kolorowo i ubiera się dziwnie. Ty co prawda nie miałeś kolorowych włosów, ale twój styl ubierania był lekko... No wiesz, przynajmniej dla nas. Hejt to straszna sprawa, gdyby za naszych czasów był internet, to dopiero by się działo, co?

– Jeśli to cię pocieszy, Broda, to nie mam żalu. Lepiej? Ja naprawdę was olewałem, przykro mi. Wasze zaczepki nie robiły na mnie wrażenia. I masz rację, dzisiaj jest gorzej. Bez porównania.

Rędzia opuścił mieszkanie Brody spocony. Oddychanie przez maskę, nawet te kilkanaście minut, było mordęgą. Wsiadł do auta, z ulgą

ściągnął ją z twarzy i rzucił wilgotny od oddechu kawałek materiału na siedzenie pasażera.

Zerknął w okno mieszkania Brody. Niewyraźna postać za szybą, w której odbijał się krajobraz, musiała być Kisielem. Stał w nim i patrzył na jego samochód. A może sprawdzał tylko, czy motocykl wciąż stoi przed budynkiem?

Mimo sympatycznego ostatecznie wrażenia, jakie sprawił na nim Broda, Rędzia czuł, że nie był do końca szczery. Deprymowała go obecna funkcja Rędzi? Broda był zupełnie innym człowiekiem, pomijając oczywistości w postaci zmiany wyglądu zewnętrznego. Postarzał się, jak każdy z nich. Ale on też się wyciszył. Skapcaniał. Żył jak asceta, takie przynajmniej można było odnieść wrażenie na podstawie jego mieszkania. Prócz motoru Broda nie miał chyba żadnych zainteresowań: tylko dorywczą pracę i czas po pracy, który poza wycieczkami na swym jednoślądzie wypełniał nie wiadomo czym. Był sam. Sam jak palec.

Rędzia przekręcił kluczyk w stacyjce, wrzucił jedynekę, zerknął w lusterko i wyjechał pomiędzy ustawionych w rzędzie samochodów na pas ruchu. Nawrócił na przedziwnym skrzyżowaniu Dembowskiego z Cegielskiego i pojechał do śródmieścia.

* * *

Kiedy dotarł do centrum, zaparkował na placu Świętych Piotra i Pawła. Obrzucił trochę nostalgicznym spojrzeniem gmach komendy wojewódzkiej policji i po chwili stanął pod przeszklonymi drzwiami sąsiadującej z nim przez ścianę filharmonii.

Budynek nowej siedziby szczecińskiej orkiestry symfonicznej budził swoją formą skrajne odczucia. Nagradzany w międzynarodowych konkursach architektonicznych biały, syntetyczny obiekt o prostej, a jednak skomplikowanej elewacji stał w miejscu przedwojennego Konzerthausu i w zasadzie była to jedyna rzecz, jaka go z nim łączyła. Dyskusyjna forma opierała się na jej wizualnym, odbieranym często jako zgrzyt zderzeniu z istniejącą tkanką miejską, jedynie w zarysie nawiązującą do niej wysokością i układem szczytów poszarpanej elewacji. Rędzia spojrział w górę, na zbiegające się w nich białe,

wertykalne i cienkie panele, a potem zajrzał do środka. Drzwi były zamknięte. Za nimi dojrzał człowieka w czymś w rodzaju skrzyżowania munduru z garniturem. Począł, aż podejdzie do nich, a kiedy wskazał kartkę z oczywistym wyjaśnieniem powodu zamknięcia, przyłożył do szkła odznakę. Drzwi otworzyły się jak na hasło.

– Słucham? – spytał spokojnie strażnik.

– Chciałbym rozmawiać z panią Anną Kuźmą. Pracuje tutaj.

– Proszę. – Strażnik odsunął się, wpuścił Rędzia do środka, a potem starannie zamknął drzwi, jakby od tego zależało to, czy wirus wniknie zdradziecko do przybytku kultury.

Rędzia przystanął pośrodku przestronnego holu, jak zwykle porażony jego pięknem i prostotą. W przeciwieństwie do elewacji wewnątrz budziło w odwiedzających raczej zgodne uczucia podziwu i zachwytu.

– Proszę poczekać, sprawdzę, czy pani Ania jest w pracy – powiedział i ruszył z godnością w stronę szerokich schodów.

Rędzia rozglądał się dookoła i chłonał widok. Naprawdę robił wrażenie. Nagle usłyszał stukot obcasów na terakotowej posadzce. Obejrzał się i zobaczył wysoką kobietę idącą ku niemu szybkim, zdecydowanym krokiem. Wyciągnął ręce z kieszeni i kiedy była już prawie przy nim, rzucił:

– Hej, Ania.

Obcasy zastukały *staccato*, kiedy zatrzymała się zdumiona w pół kroku.

– Tomek? – Rozpromieniła się. – Jezu, ale się zmieniłeś!

– Sporo osób mi to ostatnio mówi. – Roześmiał się.

Chciał dodać, że ona też się zmieniła, ale chyba lepiej było nic nie mówić. Nie starzała się ładnie. Miała wciąż to samo bystre spojrzenie intensywnie szarych oczu, ale wokół nich pojawiło się mnóstwo zmarszczek. Włosy zmatowiały, były teraz ciemnobrązowe, spięte ciasno z tyłu głowy, odsłaniając uszy z wpiętymi w nie wielkimi, kolistymi kolczykami. Emanowała z niej nieco artystowska według Rędzi aura, głównie z powodu powłóczystej szaty, której nie potrafił skojarzyć z żadnym znanym mu elementem kobiecej garderoby, a tym bardziej go nazwać.

– Masz chwilę? – zapytał.

– Tak, chodź usiądziemy sobie w barze...

Przeszli do niewielkiego baru pod wielkim nawisem. Ogromna, prostopadłościenna bryła przytłaczała ich, była jak szerokie, ale bardzo niskie wejście do jaskini. Za barem nie dostrzegł nikogo, kto mógłby ich obsłużyć, szafki chłodnicze stały puste; zniknęły desery, prócz butelek z napojami nie było w nich nic.

Bardzo smutny widok.

Usiedli na wysokich stołkach i patrzyli chwilę na siebie.

– Co u ciebie? – zapytała Anka.

Powiedział jej i zapytał o to samo. Nie żeby go to bardzo interesowało, ale rozmowa z ludźmi to czasem poświęcanie się, zwłaszcza w jego zawodzie. Na szczęście Anka zawsze była miła i taka pozostała. Miał nadzieję, że mimo wszystko to będzie luźna i odprężająca pogawędka, a nie powtórka rozmowy z Brodą. Na razie szło dobrze, więc nie żałował swojego pytania.

– A, powoli. Gram sobie, jak widzisz. – Rozejrzała się po wielkim holu.

– Drugie skrzypce. Męża nie mam, tylko psa i kota, i może to i dobrze, bo nikt mnie nie wkurza. Parę lat temu walczyłam z rakiem, jak na razie wygrałam, w styczniu minęło pięć lat od zakończenia terapii, więc jestem pełna nadziei. Chciałam sobie nawet z tej okazji polecieć do Meksyku, ale na razie nici z tych planów. Ogólnie wracam do pełni życia.

Mruknął coś i uśmiechnął się pokrępiająco. Nie bardzo wiedział, jak reagować na takie wiadomości; z jednej strony dobre, z drugiej straszne.

– Przychodzę do ciebie służbowo – powiedział w końcu ostrożnie.

– O? – Obrzuciła go ciekawym spojrzeniem. – Służbowo, mówisz? Tomek outsider i kontestator w służbie wymagającej totalnego podporządkowania się systemowi. Coś takiego.

– Widzisz, jakie to życie dziwne? – Westchnął.

– Ale ja nic nie zrobiłam? – Zmarszczyła rzadkie brwi poprawione tatuażem.

– Nic o tym nie wiem i masz prawo mi o tym nie mówić. – Mrugnął do niej. – Przychodzę zapytać o Adolfa.

Zobaczył, jak rzędzie jej mina.

– Zepsułeś mi dzień – mruknęła.

– Wiem, przepraszam. Ale musiałem.

– Nie, to nie ty – stwierdziła nagle. – To nie twoja wina. To on. To on zepsuł mi dzień. Ten, wszystkie poprzednie od tamtej pory i następne pewnie też. Co znowu zmalował?

Rędzię zastanowiła ta reakcja. Jak na jego gust była nieco przesadna.

– Nie wiem. Wiem tylko, że już nic nie zmaluje. Znalezione jego zmumifikowane zwłoki. Został zabity.

– Jezu. – Przytknęła do ust smukłą dłoń o długich palcach, pozbawioną jakiegokolwiek biżuterii. – Czytałam o tym w gazecie. To był on?

– Na to wygląda. Kiedy ostatnio go widziałaś?

Spojrzała na niego dziwnie.

– Czy ja jestem podejrzana? – zapytała zdumiona. – Takie pytanie od policji brzmią cokolwiek zastanawiająco.

– Nie. – Pokręcił ze śmiechem głową. – To się stało dość dawno temu i usiłuję po prostu odtworzyć jego przeszłość. Ustalić, kiedy dokładnie zniknął. To dość tajemnicza sprawa, jak się okazuje.

Zaczęła machinalnie skrobać gładki blat baru, wpatrując się w niego przez dłuższą chwilę.

– Nie widziałam go od matury i nie chcę widzieć. No, to już w zasadzie wykluczone... Zniszczył życie mojej cioci. Nigdy się już z tego nie podniosła, wiesz? – Kiedy spojrzała na Rędzię, jej oczy pociemniały; wyglądały jak niebo zaciągnięte burzowymi chmurami. – Nie była w stanie wrócić do szkoły, codziennie chodziła do skrzynki sprawdzić, czy nie przyszedł list z prokuratury, bała się każdego dzwonnka do drzwi. Zmarła pół roku później na udar. To znaczy dostała wtedy udaru, a zmarła po miesiącu w szpitalu. Nikomu w klasie nie powiedziałam. Codziennie od tylu lat pluję sobie w brodę, że namówiłam ją na tę cholerną wycieczkę. Do dziś w oczach mamy widzę, że trochę mnie za to obwinia. I gównu mnie obchodzi, że Adolf uratował tamtych i został jakimś pieprzonym bohaterem. Boję się, że gdybym zobaczyła go na ulicy, nie skończyłoby się to dla niego dobrze.

Teraz już Rędzia rozumiał, o co jej chodziło przed chwilą i że ta reakcja wcale nie była przesadzona.

– Nie jesteś jedyną osobą, która tak sądzi, ale musisz przecież uważać na palce – zwrócił jej uwagę. – I Adolf chyba nie byłby tego wart.

– A może jednak, Tomek? – Spojrzała na niego tym pochmurnym wzrokiem, ale po chwili jej twarz pojaśniała. – Nie, masz rację, nie byłby tego wart. Ale komuś jednak musiał się narazić, co?

– Na to wygląda – przyznał. – Czyli nic nie wiesz?

– Nie. Nie pomogę ci w tym. Ale jak chcesz bilet na fajny koncert, kiedy ten cały syf się skończy, daj znać. To załatwię ci z przyjemnością. Nie jest to co prawda Kazik czy jakieś tam inne *electronic body music*, ale też fajne. – Roześmiała się.

– Uwielbiałem też Pendereckiego. – Pokiwał głową, też lekko rozbawiony. – Więc nie traktuj mnie jak muzycznego troglodytę. A ty? Byłaś świetna z matmy, dziwiłem się, że nie poszłaś na matfiz, tylko na ogólny?

– Nie było sensu. Od dziecka chciałam zostać skrzypaczką. Często zdarza się, że osoby uzdolnione muzycznie są też dobre w matematyce czy w logicznym myśleniu. Szachach na przykład. – Popatrzyła na niego ciepło i pochyliła się w jego stronę. – Szkoda, że jak się jest młodym, to jest się takim głupim i ślepym. Człowiek dopiero po latach uświadamia sobie, ile stracił, rezygnując z pewnych rzeczy.

– Co masz na myśli? – zapytał.

– Nie co, tylko kogo – odparła. – Ciebie.

Nie wiedział, co powiedzieć. Anka się roześmiała.

– Nie, nie podkochiwałam się w tobie, mistrzu dedukcji. Tylko byłeś szalenie interesującym facetem o szerokich horyzontach, a przez te cztery lata więcej słów zamieniłam z tym idiotą Adolfem niż z tobą. Przepraszam, przez trzy, bo w czwartej nie odezwałam się do tego debila słowem. W każdym razie nic tego nie przywróci. A teraz praktycznie się nie znamy i kiedy spotkamy się następnym razem, w supermarkecie albo na ulicy, to będziemy jeszcze starsi i jeszcze bardziej pomarszczeni.

– Gdyby człowiek wiedział, że upadnie, toby się położył, co? – Westchnął. – No, dobra, dziękuję ci, Aniu. Nie zabieram więcej czasu...

Zostawił jej wizytówkę, pożegnał się i wyszedł na zalaną słońcem ulicę, wypuszczony przez tego samego, tchnącego powagą i spokojem strażnika.

Jego następnym celem były Gumieńce; tam mieszkał Marcin Saganowski, czyli Cinek. Kolejny as z paczki Adolfa.

* * *

Połowa domu należąca do Saganowskiego była zaniedbana. Wyraźnie ktoś próbował coś przy nim robić, ale wyglądało to na działania z doskoku, zapewne z jednego z dwóch powodów: braku czasu albo pieniędzy. Wszedł przez furtkę i pokonawszy małe schodki, znalazł się przed drzwiami wejściowymi. Zadzwoił. Cinek otworzył drzwi i Rędzia zobaczył, jak sięga do wieszaka i zdejmuje z niego kurtkę.

– Cześć – powiedział.

Saganowski nie był specjalnie zdziwiony jego widokiem i Rędzię to z początku trochę zaskoczyło: po pierwsze, właśnie brakiem zdziwienia, a po drugie tym, że go od razu rozpoznał. Po chwili domyślił się przyczyn.

– Cześć – odparł Cinek. – Możemy pogadać na zewnątrz? Syn ma lekcje online.

– Jasne.

Dom był spory, więc Rędzia uznał to tłumaczenie za wykręt. Cinek nie chciał go wpuścić do środka, ale musiał to uszanować. Szczerze mówiąc, też nie wpuściłby do siebie policjanta bez wyraźniej potrzeby.

– Ty nie w robocie? – zapytał.

Cinek spojrzał na niego dziwnie.

– Nie, pracuję teraz zdalnie. – Wszedł na zewnątrz i zamknął za sobą drzwi. – Chodźmy do ogrodu.

Przeszli na tył domu. Saganowski stanął przy wielkim krzewie bzu i wyciągnął z kieszeni kurtki paczkę papierosów.

– Palisz? – zapytał Rędzię.

Komisarz pokręcił głową.

Cinek zapalił papierosa, zaciągnął się głęboko i spojrzał kątem oka na Rędzię.

– Nie wiem, co się z nim działo przed śmiercią – powiedział. Widząc minę Rędzi, dodał: – Tak, wiem, po co przyszedłeś. Broda do mnie dzwonił.

Rędzia już się tego domyślił, a teraz żałował jedynie, że nie zobaczy reakcji Cinka na wiadomość o śmierci Adolfa. Mógł się domyślić już

wcześniej, w mieszkaniu Brody, że ten od razu skontaktuje się z najlepszym kumplem, no ale cóż, nikt nie jest doskonały... Poza tym co, miał prosić Brodę, żeby Cinkowi nie mówił?

– Słuchaj... – Saganowski strzepnął popiół z papierosa. – Powiem szczerze: nie chcę o tym gadać. Te przeżycia nie były miłe. Daliśmy dupy, i tak dobrze, że się skończyło na trzech trupach. Bo mogło być gorzej, wiesz? Naprawdę mogło być gorzej, gdyby nie Adolf. Nie widziałem go od... Jakichś dwudziestu lat. Wpadłem na niego gdzieś na mieście, ale nie pamiętam okoliczności. Wspominał, że chce wyjechać do Anglii albo pójść pływać na statku. Nawet się śmiałem, bo studiował politologię: co na statku może robić politolog? Miał jeszcze pomysł, że będzie sprowadzał auta z Niemiec. Twierdził, że to niezły biznes. Ogólnie odniosłem wrażenie, że miota się w życiu i nie bardzo wie, co chce robić.

– Mówisz: około dwudziestu lat. A potrafisz to określić bardziej precyzyjnie?

Cinek się skrzywił.

– Chyba nie. Na pewno była jesień, ale nie wiem którego roku. Dwa tysiące jeden? Dwa? Trzy? Za cholerę nie pamiętam. Nie pomogę ci. – Wzruszył ramionami.

Temat w zasadzie był wyczerpany. Rędzia nie chciał pytać, co u niego słyhać, tak jak zapytał Anię Kuźmę, bo go to nie interesowało. Cinek też najwyraźniej nie był zainteresowany losami Rędzi. Komisarz miał wrażenie, że Saganowski jest lekko podenerwowany, i to bynajmniej nie jego wizytą. U niego wyglądało to na stan permanentny: to było widać w sposobie, w jaki palił papierosa, który za jednym sztachnięciem spalał się przynajmniej o centymetr, w jaki się wysławiał i jak unikał spoglądania Rędzi w twarz, strzelając wzrokiem po wszystkim dookoła, byle tylko nie zatrzymać go na nim. Rędzia uważał, że takiego zachowania nie można było tłumaczyć niechęcią, zresztą wzajemną. Cinek musiał zdawać sobie sprawę z tego, że Rędzia za nim nie przepada, nawet dziś.

Z paczki Adolfa to Pajczyka i właśnie Cinka Rędzia lubił najmniej. Broda nie był może zbyt lotny, ale zabawny, Sarnecki miał nawet ujmujący styl bycia i tylko czasami bywał palantem, Fanta zaś był

całkowicie neutralny, Pajczyka od zawsze uważał za szczurka, a Cinek... Cinek był po prostu wredny.

– Dobra, Marcin, będę leciał. Gdybyś sobie coś jednak przypomniał... – Rędzia sięgnął po wizytówkę, zastanawiając się, czy nie będzie to czyste marnotrawstwo papieru, kiedy Saganowski wyprostował się gwałtownie.

– Czekał – powiedział, gasząc papierosa w słoiku stojącym na cementowej wylewce koło ściany budynku. – Chodź jeszcze ze mną...

Wrócili przed front domu i weszli po schodkach wejściowych.

– Chwila – rzucił Cinek i wszedł do środka.

„To ja”, wyrzeszczane z lekkim napięciem w głosie, dobiegło komisarza zza niedomkniętych drzwi. Czekał. Kilka minut później, kiedy zaczął już tracić nadzieję, Saganowski znów się pojawił. Trzymał coś w ręku.

– Nie wiem, czy to ci się przyda. To zdjęcie z jakiejś imprezy, zrobione aparatem Sarneckiego. To była cyfra, jedna z pierwszych, jakie widziałem na oczy. Z wyświetlaczem LCD. Jacek podpierdolił staremu, żeby się pochwalić, i bał się, że jak on się dowie, to dostanie od niego wciury. Nie wiem, po co je trzymam, nawet mnie na nim nie ma...

Rędzia wziął zdjęcie od Cinka i przyjrzał mu się. Widać na nim było pokój, typowy pokój nastolatka z lat dziewięćdziesiątych: parę plakatów z „Bravo”, regał z książkami i komputer. Siedział przed nim Pajczyk, wpatrzony w ekran, z ręką zaciśniętą na joysticku. Dzisiejsze dzieciaki nawet nie wiedziałyby pewnie, jak to trzymać. W tle, przy stole zobaczył Sarneckiego i Fantę, i dwie dziewczyny z klasy; właściwie dwie i pół, ale jednej nie dało się rozpoznać, bo widać było jedynie jej nogi w czarnych, obcisłych rajstopach i krawędź również czarnej mini. Na stole stały oranżada, chipsy i paluszki. Nad Pajacem pochylał się Adolf, wpatrzony w monitor, z otwartymi ustami, jakby kibicował Pajczykowi, ekscytując się jeszcze bardziej niż on. Rędzię uderzyły dwie rzeczy: że właściwie powinno być odwrotnie i to Adolf powinien grać, a Pajac stać nad nim. Wyglądało to jakoś tak nienaturalnie, zważywszy na ich relację. Drugą rzeczą były młode twarze Fanty i Sarneckiego. Rędzia zaczął się zastanawiać, jak wyglądaliby dzisiaj. Co robiliby w życiu. Kim byli.

– Zrobię sobie odbitkę i ci oddam – mruknął do Cinka, ale ten machnął ręką.

– Nie trzeba. I tak by w końcu wylądowało w śmieciach przy którychś porządkach. Coraz mniej we mnie sentymentu do starych czasów.

– Naprawdę? – zdziwił się Rędzia. – To chyba jesteś wyjątkiem.

Cinek znów zerknął na niego tym swoim krzywym spojrzeniem.

– Może inni mają czas na sentymenty, a niektórzy muszą skupiać się na tym, co teraz i co potem.

Rędzia chrząknął, uznając słowa Cinka za podsumowanie wizyty, które stanowiło dobry pretekst do jej zakończenia. Zostawił jednak Saganowskiemu swoją wizytówkę, chyba jako rewanż za zdjęcie, bo nie spodziewał się, że Cinek kiedykolwiek do niego zadzwoni.

– Dobra, na razie – rzucił na odchodnym, schował zdjęcie do wewnętrznej kieszeni kurtki, po czym zbiegł po schodkach i wyszedł na ulicę, nie oglądając się za siebie.

W samochodzie odetchnął głęboko i wyjął zdjęcie z kieszeni. Przyjrzał mu się i teraz faktycznie zobaczył podobieństwo między Adolfem a wizualizacją. Spec z laboratorium się spisał, a Rędzia zaczął się nagle zastanawiać, dlaczego on wcześniej nie dostrzegł tego podobieństwa. Ani Agnieszka. Gdyby nie Adrian Malicki, byłby ze śledztwem gdzieś w szczerym polu.

Chociaż gdyby miał to uczciwie przyznać przed samym sobą, teraz tak naprawdę był niewiele dalej...

* * *

Kuba Pajczyk, zwany w czasach licealnych Pajacem, mieszkał na Osowie, przy ulicy Andersena. Miał duży, nowy dom ze sporym, zadbanym ogrodem. W środku było wręcz pedantycznie czysto, aż Rędzia zaczął zastanawiać się, czy po tym jak wyjdzie, gospodarz nie rzuci się na kanapę, żeby zetrzeć z niej ślady jego naskórka. W domu nie było zwierząt, co Rędzię trochę cieszyło z uwagi na uczulenie na ich sierść, ale wiedział, że w takim środowisku zwierzaki nie mają racji bytu. Podejrzewał też, że Pajczyk nie lubi zwierząt. I że w ogóle nikogo nie lubi.

Siedział, czekał, aż wróci z kawą dla siebie i wodą dla niego i myślał o nim. Niezbyt ciepło.

Kuba Pajczyk też należał do paczki Adolfa. Był chyba najinteligentniejszym obok Sarneckiego jej członkiem, trzeba to obiektywnie przyznać. Ale inteligentny nie oznacza automatycznie mądrego, Rędzia traktował te pojęcia odrębnie. Dla niego bycie inteligentnym nie było tożsame z mądrością, która w przeciwieństwie do inteligencji stanowiła zespół pewnych cech, i to dobrych, a tych akurat Pajacowi brakowało.

Pajczyk od kilkunastu lat był aktywnym, lecz kontrowersyjnym z powodu poglądów i zachowań radnym miejskim. Równocześnie prowadził sporą firmę odziedziczoną po ojcu: zakład utylizacji odpadów z ekoportem i skupem złomu. Publicznie deklarował, że związana z tym niezależność finansowa czyni go niepodatnym na pokusy łapówkarstwa, czym przekonywał do siebie całkiem sporą część społeczeństwa Szczecina. Jednocześnie dużą grupę zrażał swoimi skrajnie prawicowymi poglądami, maskowanymi w wypowiedziach publicznych ostrożnymi sformułowaniami, za to bardziej widocznymi na jego profilu na Facebooku. Oskarżenia o mowę nienawiści, rasizm, homofobię i nietolerancję mieszały się z wyrazami poparcia i entuzjastycznymi opiniami o działalności Pajczyka na rzecz rozwoju miasta. Jako przedstawiciel opcji prawicowej i członek Klubu Radnych „Stronnictwo Magnolii” otwarcie krytykował działania prezydenta we wszelkich możliwych przejawach.

Ale to nie dlatego Rędzia go nie lubił. Nie z racji przekonań. Nie lubił go, bo wiedział, jakim jest człowiekiem. Jakim był. A jakim się stał teraz, miał się zaraz przekonać. Dopuszczał ewentualność, że mógł się zmienić na lepsze, ale jako realista wiedział też, że to dość mało prawdopodobne i nie zmieniło się nic. Albo zmieniło się na jeszcze gorsze.

Pajczyk wrócił z kuchni do wielkiego salonu i postawił przed Rędzią szklanekę wody, a przed sobą maleńką filiżankę z czarną jak smoła kawą i swoją wodę. Szklany blat niskiego stolika brzęknął przyjemnie. Rędzia znów obrzucił Pajczyka szybkim spojrzeniem.

Przytyło mu się lekko, prawie zupełnie wyłysiał, na twarzy miał rzadki, udający brodę zarost, który chyba nawet pielęgnował, jakby chciał rozpaczliwie nadać swojej pulchnej, dziecięcej twarzyczce rys

męskiej twardości. Miał bystro patrzące oczy, ale najgorszy w tym wszystkim był przylepiony do twarzy dziwny grymas, mający być uśmiechem, który obwieszczał bez żenady: „Wszyscy jesteście debilami”. Rędzia widywał go dość często w „Kronice”, w „Kurierze”, dużo rzadziej w lokalnym dodatku „Gazety Wyborczej”. Teraz też widniał na tej twarzy.

– Znaleźliśmy ciało Adolfa – poinformował Pajczyka na wstępie. – Został zamordowany.

Patrzył, jak gospodarz splata palce, przygląda się im, a potem spogląda przez wielkie, przeszklone, przesuwne drzwi prowadzące na zacieniony nawisem drugiej kondygnacji taras i ogród.

– Myślałem, że przyszedłeś coś załatwić – powiedział Pajczyk, wyłamując kciuk.

– Nie. Przyjechałem zapytać cię, kiedy go ostatnio widziałeś.

– Jestem o coś podejrzany?

Rędzia westchnął.

– Jesteś z wykształcenia prawnikiem, Kuba, tak? No, właśnie. To wiesz, że gdybyś był o coś podejrzany, nie siedzielibyśmy sobie u ciebie w domu na kanapce?

– Niby prawda. – Pajczyk sięgnął po kawę i zamoczył w niej usta. – W takim razie to będzie bardzo krótka wizyta, Tomek. Nie żebym cię wypraszał, nie zrozum mnie źle, broń Boże...

– Więc dlaczego krótka?

– Bo w tej sprawie nie mam nic do powiedzenia. – Pajczyk uśmiechnął się szeroko ćwiczonym latami uśmiechem „nie mam nic do ukrycia”. – Po prostu.

– Nie odpowiesz mi nawet na to jedno pytanie? – zdziwił się Rędzia. – Nie pytam o szkołę, o stare czasy, tylko o to, kiedy ostatnio go widziałeś? Usiłuję ustalić jego dalsze losy, to wszystko.

Pajczyk wciągnął policzki do środka i przez chwilę je przygryzał, błędząc wzrokiem po ścianach salonu.

– Dobrze, przez szacunek dla ciebie i dla służby, którą reprezentujesz, odpowiem ci na to pytanie i wyjaśnię krótko powód, dla którego nie chcę o tym gadać. A więc ostatni raz widziałem Adolfa, kiedy założył działalność gospodarczą. Byłem już wtedy radnym, to była moja

pierwsza kadencja, i ten nieszczęsny idiota myślał, że mu coś tam przyspieszę czy załatwię, nawet nie pamiętam, co to było. Jakaś głupota. To był dwa tysiące drugi. Natomiast powód, dla którego nie chcę o Adolfie rozmawiać, chyba znasz, prawda?

– Mogę się domyślać. – Rędzia skinął głową.

– No właśnie. Przyznaję, że mnie fascynował w liceum jako silna osobowość, nie mnie jednego zresztą, ale mi przeszło.

– Dlaczego?

– Bo przejrzałem na oczy, Tomek. Alleluja! Przejrzałem, kiedy zrozumiałem, że on traktuje mnie jak popychadło. Traktował tak wszystkich; dla zabawy, dla sportu, dla własnego widzimi się, z powodu własnych kompleksów, nie wiem. Może w tamtym czasie potrzebowałem kogoś w rodzaju duchowego przewodnika, ale koniec końców doszedłem do wniosku, że poradzę sobie sam. Przestałem go potrzebować. Nie powiem, jest we mnie jakieś poczucie wstydu, że dałem się tak wodzić za nos. Przecież prawie zniszczył mi życie...

– Mówisz o wycieczce? Uczciwie rzecz biorąc, zniszczyliście je sobie razem, cała wasza szóstka.

Pajczyk oparł łokcie o kolana i przejechał dłońmi po bokach twarzy wpatrzony niewidzącym spojrzeniem w wielką połąć trawnika za oknem.

– Na ten temat tym bardziej nie chcę gadać, wiesz?

Zapadła cisza. Pajczyk znów upił łyk kawy, a potem jednym haustem wypił szklanekę swojej wody. Odstawił ją na stół, delikatnie i z namysłem, a potem pochylił się w stronę Rędzi, jakby chciał mu przekazać jakiś sekret.

– Nawet nie masz pojęcia, ile kosztowało mnie wyrwanie się z jego objęć – powiedział szeptem. – A może nie tyle wyrwanie się, ile uwierzenie w siebie. Przekonanie się, że jestem coś wart, a nawet nie „coś”, tylko o wiele więcej niż on i reszta tych debili. Kosztowało mnie to mnóstwo wysiłku, czasu, emocji i pieniędzy. Chodziłem na psychoterapię, kursy autorozwoju, prawie wpadłem w alkoholizm, ale dałem radę, bo jestem silny. I wiesz, czemu nie chcę o tym gadać? Bo gadanie o Adolfie to jak kieliszek wódki dla niepijącego od lat alkoholika. Jeden mały kieliszek może zaprzepaścić kilka lat walki. Zrujnować wszystko, co przez ten czas się osiągnęło. Od gadania nie

przestanę oczywiście wierzyć w siebie, zwłaszcza że osiągnąłem taki sukces dzięki własnej pracy, ale nawet nie o to chodzi, wiesz?

– A o co? – zapytał Rędzia leniwie.

– O to, że nie życzę sobie mieć przez niego spierdolonego popołudnia. Nawet wspomnienie o Adolfie wprowadza mnie w zły nastrój, a ja nie lubię mieć złego nastroju. Dlatego temat uważam za zamknięty. – Wyprostował się i na jego twarz wrócił nieszczerzy uśmiech. – Chcesz pogadać o czymś innym?

Rędzia oderwał się od oparcia kanapy. Była wygodna jak cholera i tylko z jej powodu mógłby chcieć zostać tu dłużej.

– Jestem w robocie. – Westchnął i podniósł się, nie bez trudu. – Cóż, dzięki i za to.

Pajczyk też wstał.

– Mam nadzieję, że moje wyznania zostaną między nami, panie komisarzu? – zapytał poważnie, najwyraźniej specjalnie używając stopnia, a nie zwracając się do Rędzi po imieniu.

Rędzia, komisarz Rędzia, spojrzał mu w oczy.

– Możesz traktować mnie jak księdza – oznajmił. – Idź i nie grzesz więcej.

Wyszedł z domu Pajczyka z mieszanymi uczuciami. Pajczyk niepotrzebnie chyba zastrzegł sobie tajemnicę, zupełnie jakby nie zdawał sobie sprawy, że wszyscy wiedzieli o jego relacji z Adolfem, bo to po prostu rzucało się w oczy. Może miał nadzieje, że wszyscy zapomnieli? Mimo ogromu pracy, który, jak twierdził, włożył w „wyleczenie się” z Adolfa, wciąż pozostała w nim ta gorzka zadra wstydu, która sterczała z jego duszy i sterczeć będzie już pewnie do końca życia.

Rędzia wsiadł do samochodu. Cholernie chciało mu się pić. Wody, którą dał mu Pajczyk, nawet nie tknął, zapomniał. A może wcale nie zapomniał.

Przyszło mu też do głowy, że kiedy rano, przed wyjściem z prokuratury Agnieszka zapytała go, czy dzisiejszy dzień będzie go kosztować sporo emocji, nie pomylił się, odpowiadając jej nonszalancko, że nie, nie będzie.

Teraz widział, że jednak coś było na rzeczy. Faktycznie, towarzyszyły mu spore emocje. I pomijając spotkanie z Anką Kuźmą, wyłącznie negatywne.

* * *

Rędzia miał nadzieję, że tym razem będzie lepiej. Następnym punktem była wizyta u kogoś, kogo nigdy nie widział nawet na oczy.

Ulica Gorkiego zastawiona była samochodami. Rędzia, nie widząc szans na najmniejszą chociażby szczelinę, w którą mógłby się wcisnąć, nawrócił i znalazł miejsce przy niewielkim parku, gdzie był dawniej cmentarz żydowski. Dziś świadczył o tym jedynie pomnik; zlepek kilku macew, efekt kompromisu i marna próba opowiedzenia dwustuletniej historii tego miejsca. Zamknął auto, przeszedł kilkadziesiąt metrów, odnalazł właściwy numer i wdusił przycisk domofonu.

Kiedy usłyszał szybkie, rzucone na mocnym wydechu „halo?”, zapytał:

– Dzień dobry, Tomasz Rędzia, KMP Szczecin, czy pani Frankiewicz?

– Tak, a o co chodzi? – Właścicielka głosu musiała widać wykonywać jakąś czynność wymagającą wysiłku.

– Chciałbym porozmawiać o człowieku, od którego kupiliście państwo mieszkanie. Mogę wejść na chwilę?

– Tak, tak. – Oddech zwolnił nieco, a w głosie zabrzmiało wyraźne zdziwienie. – Tylko męża nie ma...

– Nie szkodzi. Czy jest pani na kwarantannie?

– Nie, proszę, niech pan wejdzie...

Kiedy usłyszał brzęczyk, pociągnął drzwi i wszedł do środka. Dawne mieszkanie Adolfa znajdowało się na pierwszym piętrze. W drzwiach stała już kobieta, wyraźnie przestraszona. Była drobna, blada, miała ostre rysy twarzy, a lekko skośne i podkreślone makijażem szeroko rozstawione oczy i taka sama przerwa między brwiami przypominały Rędzi pyszczek kotki jakiejś egzotycznej rasy.

– Ktoś od was pytał już niedawno o tego pana – stwierdziła, otwierając drzwi i wpuszczając Rędzię do środka. – Mówimy o tym zamordowanym, tak? To ciąg dalszy?

– Dokładnie.

Westchnęła.

– Przepraszam, właśnie sprzątam. Mogę pana zaprosić do kuchni?

– Oczywiście...

Przeszli tam i Frankiewiczowa posadziła Rędię przy małym stoliku. Obok siebie, a właściwie nad sobą, na ścianie miał korkową tablicę wypełnioną kolorowymi rysunkami małego dziecka. Miało zdecydowanie bogatą wyobraźnię albo oglądało za dużo kreskówek.

Odmówił herbaty, kawy też. Kobieta usiadła naprzeciwko niego, złożyła ręce jak do modlitwy i zastygła wpatrzona w Rędię, aż poczuł się odrobinę nieswojo. W podstawówce dał się wmanewrować w szkolne przedstawienie teatralne i teraz czuł się mniej więcej tak jak wtedy, kiedy wyszedł na scenę i widząc całą szkołę siedzącą na widowni i wgapioną w niego, zapomniał swojej kwestii.

Teraz przynajmniej wiedział, co mówić. Czy raczej, o co pytać.

– Jak to się zaczęło?

Frankiewicz przeniosła spojrzenie na tablicę z rysunkami.

– Od wynajmu. Odpowiedzieliśmy na ogłoszenie w „Kontakcie”, była kiedyś taka gazeta z samymi ogłoszeniami. Przyjechaliśmy do Szczecina, bo mąż dostał tu dobrą pracę. Odpowiedzieliśmy na anons, spotkaliśmy się z panem Stecem i podpisaliśmy umowę na rok. Powiedział wtedy, że to duże mieszkanie i nie ma sensu, żeby tu mieszkał sam. Wolał wynająć sobie kawalerkę, czy nawet pokój, a mieszkanie komuś i w ten sposób być kilka stówek do przodu. Robił wrażenie bardzo oszczędnego człowieka.

– W czym to się przejawiało?

– Między innymi w tym, o czym przed chwilą mówiłam. Sprawiał takie wrażenie, jakby każdą złotówkę oglądał przed wydaniem dwa razy.

– Kiedy podpisaliście państwo umowę?

– W lipcu dwa tysiące pierwszego. Na rok, jak mówiłam, potem przedłużyliśmy ją na kolejny, przy okazji pytając, czy nie chciałby nam tego mieszkania sprzedać. Wie pan, stwierdziliśmy z mężem, że zwiążemy się z tym miastem na dobre, miejsce nam odpowiada, lokalizacja, w ogóle wszystko. Planowaliśmy też dzieci, co nam się udało. Ale pan Stec nie był chętny.

– Spotykaliście się?

– Co roku, kiedy podpisywaliśmy umowę. Raz przyjechał, kiedy od pękniętej rury w pionie zalało mieszkanie; chciał oszacować straty

i dogadać się w sprawie remontu. Poza tym, nie. Nie było takiej potrzeby. Jesteśmy spokojnymi lokatorami.

– Kiedy widzieliście się ostatni raz?

– W lipcu dwa tysiące trzeciego, kiedy zbliżał się termin podpisania kolejnej umowy, przyszedł esemes od pana Steca, że wyjechał do Anglii i planuje tam zostać co najmniej kilka lat. W sprawach pilnych mieliśmy się kontaktować z jego ojcem, podał numer komórki.

– Czyli ten ostatni raz był...?

– W lipcu dwa tysiące drugiego. A nie, przepraszam tuż przed świętami Bożego Narodzenia tego roku pękła ta rura... Wtedy przyjechał. Czyli widzieliśmy się trzy razy. Może cztery, nie pamiętam teraz dokładnie.

– I co, faktycznie kontaktowali się potem państwo z jego ojcem?

– Sporadycznie. Rozmawialiśmy parę razy przez telefon, wymieniliśmy kilka esemesów. To wszystko. W dwa tysiące piątym znów zapytaliśmy o możliwość kupna. I tym razem pan Stec się zgodził.

– Pan Stec, czy jego... ojciec?

– Ojciec. Numer komórki pana Steca był chyba nieaktywny, bo kiedy próbowaliśmy zadzwonić do niego w pilnej sprawie, kiedy jego tata nie odbierał, i automat odpowiadał, że nie ma takiego numeru czy że taki abonent nie istnieje; coś w tym stylu. Więc kiedy zbliżał się termin nowej umowy, zadzwoniłam do jego ojca i zapytałam. Powiedział, że zapyta syna, a następnego dnia oddzwonił i oznajmił, że syn się zgadza.

– Ma pani numer do tego ojca?

– Żartuje pan? – Roześmiała się. – To było piętnaście lat temu! Nie może pan go sam zapytać?

Rędzia potarł czubek nosa i wbił wzrok w kolorowy bohomasz przedstawiający chyba zamek na szczycie góry. Podpisany był: „Piotruś lat 5”. „Ś” było w lustrzanym odbiciu.

– Zapytałbym, ale nie wymyślono jeszcze skutecznej metody kontaktu z zaświatami. Chociaż, kto wie, być może właśnie pani ją zna, bo ojciec Mariusza Steca zginął w wypadku w dziewięćdziesiątym dziewiątym.

Otworzyła szeroko oczy i usta.

– Jak to?

– Też chciałbym to wiedzieć. Zapytam o coś jeszcze: co działo się z korespondencją do Steca, która przychodziła tu z banku, urzędu skarbowego czy skądkolwiek?

– Wtedy również dzwoniłam do jego ojca... To znaczy, do tego człowieka. – Zmieszła się. – Mówił, że kogoś przyśle i faktycznie, w ciągu dwóch, trzech dni pojawiał się ktoś, mówił, że jest od pana Steca i zabierał list. Dziwne tylko, że ci ludzie byli... No...

– Śmiało...

– Wyglądali jak menele. – Zabrzmiało to jak intymne wyznanie; chyba przez skrepowanie, z jakim to powiedziała.

– Wie pani, może oni wcale nie wyglądali jak menele, tylko po prostu byli menelami – pocieszył ją. – Dobrze, wróćmy do sprzedaży mieszkania. Czy Mariusz Stec przyjechał, żeby dokonać transakcji?

– Nie. – Zawahała się. – Na akcie stawił się pełnomocnik.

– Ten, hmm, ojciec?

– No, właśnie nie. To był jakiś młody mężczyzna, podobno przyjaciel pana Steca. Nie pamiętam, jak się nazywał, ale to jest w akcie notarialnym.

– Też wyglądał jak menel? – zapytał od niechcienia Rędzia.

– Nie, no skąd. Był bardzo elegancki.

– A skąd pani wie, że to nie był ten sam człowiek, z którym rozmawiała pani przez telefon?

– Mieli zupełnie inne głosy.

– Jak wyglądał?

– Wie pan... – stropiła się lekko – to było dawno temu.

– A widziała kiedyś pani tego ojca na własne oczy? Spotkaliście się kiedykolwiek?

– Nie, nigdy.

– Nie wzbudziło to pani podejrzeń?

– Może ze dwa razy zastanawialiśmy się nad tym z mężem, ale nie było to aż tak dziwne. Przecież nie było nawet jakiejś palącej potrzeby spotkania.

– Ma pani ten akt notarialny w domu?

– Tak, oczywiście. – Wstała energicznie, wyszła z pokoju i dwie minuty później wróciła z brązową, papierową teczką okraszoną srebrnym orłem

polskiego godła.

Wyjęła z niej wypis z aktu i podała Rędzi, siadła obok komisarza i zaglądała mu przez ramię. Zaczął czytać. Dokument był typowym aktem zbycia nieruchomości, w tym wypadku na rzecz Pawła i Jolanty Frankiewicz, zbywającym był Mariusz Karol Stec reprezentowany przez Szczepana Pabisia, którego pełnomocnictwo potwierdzone było klauzulą apostille. Sporządzono je w konsulacie RP w St. Helier na wyspie Jersey, stanowiącej brytyjską dependencję. To była jedyna nietypowa rzecz w całej umowie. Konto podane do przelewu zapłaty należało do Adolfa.

Rędzia pomachał dokumentem i zapytał:

– Mogę zrobić zdjęcie?

– Nie wiem... Chyba tak.

– Może się pani nie zgodzić. W razie czego prokurator, która prowadzi śledztwo, będzie kontaktować się z notariuszem, ale mnie chodzi o czas. Potrzebuję tylko danych pełnomocnika, nazwiska notariusza i numeru repertorium aktu.

– Proszę... – Patrzyła, jak Rędzia wyciąga komórkę i robi zdjęcie pierwszej strony. – Myśli pan, że coś jest nie tak z aktem?

– Nie, dlaczego? – zapytał, kadrując arkusz papieru w aparacie komórki.

– Mówił pan o jego ojcu, że jakaś dziwna sprawa... Że ktoś się pod niego podszywał.

– Ale on nie był zaangażowany w umowę, prawda?

– No, nie. – Odetchnęła z wyraźną ulgą.

Oddał jej wypis i patrzył, jak starannie chowa go do teczki i odnosi na miejsce. Kiedy wróciła, miała w ręku małą, zieloną książeczkę.

– Wie pan co, jak pan już tu jest, a pan Stec nie żyje... Ja nie wiem, co z tym zrobić. Znalazłam kilka miesięcy temu za regałem, kiedy odmalowywaliśmy pokój synka. Musiała tam wpaść, mąż mówił, żeby odnieść to gdzieś, do jednostki albo co... – Podała ją Rędzi.

Komisarz wziął ją z ciekawości do ręki. Była to książeczka wojskowa. Otworzył ją odruchowo i poczuł się trochę dziwnie, kiedy napotkał wzrok Adolfa spoglądającego na niego ze zdjęcia. Stec wyglądał tak samo jak w liceum. Miał ten specyficzny błysk w oczach i błakający się na ustach uśmiezek. Nawet przed fotografem Adolf grał fajnego chłopaka. Widać

było, że jest świadomy swojego uroku, bo ta mina nie była wymuszona. Cały Adolf. Dawno, dawno temu. Zerknął na szczegóły: skierowano go do Centrum Szkolenia Służb Uzbrojenia i Elektroniki w Olsztynie. Blisko na przepustki do domu nie miał, ale nie miał też do kogo przyjeżdżać, skoro rodzice nie żyli.

– Dobrze, zabiorę ją – zdecydował. – Dziękuję, dam znać, jeśli coś się wyjaśni.

Pożegnał się i wyszedł, poklepując kieszeń kurtki, w której spoczywała książeczka wojskowa Adolfa.

Nie powiedział prawdy pani Frankiewicz. Bo owszem, sądził, że coś jest nie tak z aktem. Coś śmierdziało w całej tej sprawie wynajmu mieszkania, a więc najprawdopodobniej ze sprawą sprzedaży również. Mogło być tak, że Adolf nie podpisał pełnomocnictwa dobrowolnie. A może nawet o nim nie wiedział? Ten „ojciec” nie dawał mu spokoju. Konkluzja była następująca. Nikt nie miał pojęcia, co działo się z Adolfem po dwa tysiące trzecim roku. Ostatnim widocznym śladem jego istnienia był PIT za poprzedzający rok i rozmowa przed esemesem informującym o wyjeździe do Wielkiej Brytanii. Przez trzy lata, do śmierci, nie istniał, jakby się ukrywał. Może faktycznie był w tej Anglii? Dawni przyjaciele z licealnej paczki, ci, którzy przeżyli, nie mieli pojęcia, co się z nim działo, a przynajmniej tak twierdzili, i nie miał tego jak zweryfikować. Nie było praktycznie żadnego sposobu na ustalenie kręgu bliskich znajomych. Berdak się starał, odwalił kawał roboty i przepytał sąsiadów, nawet tych, których Rędzi trudno było zaliczyć do tej kategorii, ale Berdak ją sobie poszerzył. I nic. Nikt nie potrafił powiedzieć, czy miał dziewczynę, chłopaka. Po rozmowie z Frankiewicz Rędzia założył, że zniknięcie nastąpiło w okolicach drugiego kwartału dwa tysiące trzeciego roku i mógł mieć z nim coś wspólnego ów tajemniczy „ojciec”. Ktoś musiał maczać w tym palce. Kim był „ojciec”? A skoro ten ślad się urwał, pozostało tylko sprawdzić pana Pabisia, który jawił się na akcie jako pełnomocnik Adolfa.

Nie tracąc czasu, Rędzia wyciągnął telefon i zadzwonił do Berdaka.

– Słuchaj, ustalisz mi pilnie adres zamieszkania, Pabiś Szczepan, PESEL 79091891926? – Powtórzył pesel. – Czekam.

Berdak oddzwonił kilka minut później, które Rędzia spędził na zastanawianiu się, dlaczego Adolf podstawiał Frankiewiczom kogoś, kto podawał się za jego nieżyjącego ojca. Wiedział, że nie był to Pabiś, przynajmniej tak twierdziła Frankiewiczowa. W takim razie kto i po co?

– Pabiś Szczepan, zameldowany aleja Jana Pawła II dwadzieścia osiem przez czternaście – wyszczał Jarek. – Wysłać ci esem?

– Nie trzeba. – Rędzia uruchomił silnik i spojrział w lusterko.

– Mogę się odmeldować?

Rędzia podziękował, rozłączył się i pojechał w stronę Jasnych Błoni.

* * *

Pod podanym adresem zastał na oko sześćdziesięcioletnią kobietę. Otworzyła mu drzwi, otaksowała go wzrokiem i zapytała raczej nieprzyjaźnie:

– Słucham?

Rędzia, przedstawiając się jej, pomyślał, że od dawna nie robił tego tak często. Może powinien powiesić sobie na szyi kartkę z tym tekstem? Albo nadrukować na bluzie? „Cześć, jestem Tomek, w czym mogę pomóc?”

– Czy zastałem pana Szczepana? – zapytał.

– Nie. – Jej zuchwa poruszyła się lekko w nieskoordynowany sposób.

– Kiedy będzie?

– Nie będzie. – Wpatrywała się w niego, aż stracił nadzieję, że powie coś więcej.

– Poda mi pani jakieś szczegóły? – zachęcił ją.

– Syn nie mieszka w Polsce. Przebywa od dawna w Dubaju. Pracuje tam.

– Jak mogę się z nim skontaktować?

– Nie może pan.

Poczuł, jak lekko rośnie mu ciśnienie. Zastanawiał się przez sekundę, czy odplacić tą samą monetą i przestać być grzecznym i uprzejmym, ale doszedł do wniosku, że wytrzyma. Niedługo, ale wytrzyma.

– Będę nalegał – powiedział. – Poza tym przykro mi, ale nie może mi pani mówić, co jako policjant mogę, a czego nie.

Nie było mu wcale przykro, ale wciąż jeszcze wytrzymywał.

- Nie może pan się skontaktować, bo nie mam kontaktu z synem.
- W ogóle?
- W ogóle, proszę pana. To moja sprawa i policji nic do tego, prawda?
- Zgadza się, ale ja nie pytam o pani relacje z synem, tylko gdzie jest.
- Czemu się pan go czepia?
- Ja się nie czepiam. Ja pytam, jak mogę się z nim skontaktować.
- Niech pan jedzie do Dubaju.

Uznał, że wystarczy. Zacisnął usta, mocno, żeby to wyraźnie widziała.

– Mam sprawdzić pani połączenia telefoniczne? Okaze się, czy faktycznie nie ma pani z nim kontaktu. Sprawdzenie jego ewentualnych wizyt w Polsce lub pani wyjazdów też nie sprawi mi dużych trudności. Chce pani? Wtedy wrócę i będziemy inaczej rozmawiać.

Przez jej twarz znów przemknął tik. Ten z zuchwą.

– Nie mam kontaktu z synem – powtórzyła jak katarynka, ale już uprzejmiej.

Rędzia sięgnął do kieszeni kurtki.

– Tu jest moja wizytówka. Proszę się zastanowić. Chcę mu tylko zadać kilka pytań, to wszystko. – Podał jej kartonik, który wzięła z wahaniem, jakby parzył albo śmierdział. – Do widzenia.

Kiedy parkował pod komendą, zadzwoniła jego komórka. Rędzia, nie wysiadając z samochodu, zerknął na wyświetlacz: ciąg cyfr wyglądał jak numer konta bankowego, a nie telefonu. Zastanawiał się przez chwilę, czy odbierać i czy to czasami nie jakiś afrykański wałek, ale zaryzykował.

– Halo?

– Szczepan Pabiś z tej strony. Pan mnie szukał.

Rędzia uśmiechnął się do siebie w lusterku wstecznym.

– Tak. Proszę przekazać mamie wyrazy mojej szczerzej radości z powodu niespodziewanego odnowienia kontaktu z synem. Trochę jak w Biblii: ten mój syn zaginął, a odnalazł się... – zakpił.

Zapadła chwila ciszy. Rędzia i tak nie spodziewał się wybuchu śmiechu ani oklasków, więc było mu wszystko jedno.

– O co chodzi? – Głos Pabisia był obojętny.

– Nie domyśla się pan?

Westchnienie.

– Proszę pana, ja nie mam czasu na głupoty. Wie pan, która jest u mnie godzina?

– Zdaje się, że około szesnastej? Obudziłem pana?

Usłyszał lekkie cmoknięcie.

– Nie podoba mi się, że policja nachodzi moją mamę. Jestem w Dubaju od ponad dziesięciu lat, więc najprawdopodobniej zaszła jakaś pomyłka. Wyjaśnijmy to i pożegnajmy się.

– Znał pan Mariusza Steca?

– Kogo?

– Hmm, podobno byliście przyjaciółmi?

– Kto panu tak powiedział?

– Ktoś, komu sprzedał pan należące do niego mieszkanie. Jako jego pełnomocnik. Odświeżyłem panu pamięć?

W telefonie słychać było tylko oddech Pabisia. Był lekko przyspieszony.

– Co w tym złego, że byłem czyimś pełnomocnikiem?

– Nic. Akurat w tym nie ma nic złego. Chciałem tylko zapytać, czy wtedy, w dwa tysiące piątym roku, widział się pan ze Stecem?

– Nie.

– On wtedy przebywał za granicą?

– Tak. W Anglii.

– Jak załatwialiście sprawę pełnomocnictwa? Mówię o apostilu?

– Poczta.

– A jak się dogadywaliście?

– Przez telefon.

– Jego telefon wtedy już nie działał.

– Skąd pan wie, że miał tylko jeden telefon?

– Rozmawiał pan z jego ojcem o sprzedaży?

– Nie rozumiem?

Typowe zagranie na czas.

– Czego pan nie rozumie? – zapytał dość obcesowo. – Pytam, czy rozmawiał pan wtedy z jego ojcem.

– Pewnie tak. O co tu chodzi? Co mają na celu te pytania?

– Pytania zwykle mają na celu to, żeby udzielić na nie odpowiedzi, panie Szczepanie.

– Czy jestem o coś podejrzany?

– Właśnie poważnie się zastanawiam. Bo zadaję proste pytanie i widzę, że pan kręci. Tak się nie zachowują ludzie, którzy mają czyste sumienie.

– Proszę pana, kolega poprosił mnie o przysługę, więc...

– Jak długo się znaliście?

– Kilka lat.

– Ile?

– Nie pamiętam. Może z dziesięć?

– Przed chwilą powiedział pan, że rozmawiał z jego ojcem o sprzedaży mieszkania.

– Powiedziałem, że to możliwe. Nie pamiętam dokładnie.

– To dziwne, że Stec nie poprosił własnego ojca o bycie pełnomocnikiem, prawda? Zwłaszcza że to on zajmował się sprawami mieszkania podczas jego nieobecności w kraju, a nie pan.

– Jego stosunki z rodziną to nie moja sprawa.

– Może dlatego nie poprosił, bo jego ojciec od sześciu lat już nie żył, jak pan myśli? Bo ja myślę, że skoro się znaliście dziesięć lat, to powinien pan to wiedzieć...

– Pyta pan o rzeczy, które wydarzyły się piętnaście lat temu. To był mój kolega, poprosił mnie o przysługę, i tyle.

– Pan jest zdenerwowany, panie Szczepanie. – Rędzia chciał go podkurwić i sprowokować do jakiegoś błędu.

Facet ewidentnie kręcił. Wiedział, że gdzieś dzwonią, ale nie do końca orientował się gdzie. Domyślał się tylko, że to kościół, ale nie wiedział który i Rędzia to wyczuwał. Jego odpowiedzi były gorączkowym szukaniem drogi do tego właściwego kościoła.

– Owszem, denerwuje mnie pana impertynencja – odparł Pabiś.

Znowu próbował zyskać na czasie. Rędzia przykręcił śrubę.

– Zdenerwuje się pan bardziej, jeśli powiem, że pana kolega Mariusz Stec został zamordowany rok później? Niedawno odnaleźliśmy jego ciało.

Pabiś rozłączył się nagle. Rędzia wsłuchiwał się w ciszę i przyszło mu do głowy, że może przeszarżował. Kilkadziesiąt sekund później z numeru, z którego dzwonił Pabiś, przyszedł esemes: „Nie zrobiłem nic złego. Jestem tylko lojalny. Proszę mnie nie niepokoić w tej sprawie, ponieważ nie mam nic więcej do powiedzenia”. Rędzia natychmiast odpisał: „Lojalność to bardzo względne pojęcie”. Czekał jeszcze chwilę,

ale nic się nie działo. Oddzwonił do Pabisia, ale ten go rozłączył, a kiedy spróbował jeszcze raz, usłyszał tylko podany z troską tonem automatyczny komunikat: *The person you're trying to reach is unavailable.*

Z tym, co miał, pojechał do Agnieszki, zadzwoniwszy do niej z pytaniem, czy może wpaść. Zaprosiła go, zaznaczając, że nie na długo. Zastanawiał się przez chwilę, czy dawała mu coś do zrozumienia, ale ponieważ nie mógł wiedzieć tego na pewno i nie chciał pytać, to dał sobie spokój i po prostu pojechał do prokuratury.

Na miejscu opowiedział jej o przebiegu rozmów. Na koniec wspomniał o rozmowie z Pabisem.

– O co chodzi z tym „jestem lojalny”? Wobec kogo? Dupek nie odbiera telefonu ani nie odpowiada na esemesy. Przecież nie polecę do Dubaju? – Spojrzał na Agnieszkę, jakby liczył na to, że zaprzeczy.

– Nie polecisz – zgodziła się z nim, rozwiewając wątpliwości. – Obawiam się, że wymiaru sprawiedliwości nie stać na taki luksus, zwłaszcza że wciąż działamy po omacku.

Nic nie powiedział. Wyjął komórkę, wszedł w album ze zdjęciami i powiększył zdjęcie wypisu z aktu, które zrobił w mieszkaniu Frankiewicz. Patrzył na nie przez chwilę, myśląc intensywnie, a potem zapytał:

– Coś mi przyszło do głowy. Dałoby radę wydobyć od notariusza akt z oryginałem tego pełnomocnictwa?

– Po co?

– Chciałbym coś sprawdzić.

– Co?

– Ta babka ma tylko wypis z aktu notarialnego, tak? Oryginały wszystkich dokumentów są u notariusza.

– No i?

– Śmierdzi mi to pełnomocnictwo.

Agnieszka chwyciła blat i odsunęła się od biurka, odjeżdżając od niego kawałek krzesłem.

– Myślisz, że zostało sfałszowane w Anglii? – zapytała lekko zdziwiona. – W konsulacie? Jak to możliwe?

– Nie wiem. Może wcale nie zostało, ale sprawdźmy to, co?

– Muszę wystąpić do sądu z wnioskiem o zwolnienie notariusza z tajemnicy notarialnej... Poczekaj, przecież minęło więcej niż dziesięć lat od sprzedaży, oryginał z dokumentami jest już w sądzie wieczystoksięgowym... Musiałabym tam szukać.

Rędzia spojrzał na nią błagalnym wzrokiem.

– Ogarniesz to?

– Jeszcze jakieś życzenia, proszę pana?

– Tak – odparł całkowicie poważnie, aż uśmiech zszedł jej z ust.

– Trochę się boję zapytać jakie.

– Nietrudne. Dasz radę załatwić akta tamtej sprawy?

– Jakiej „tamtej”? – jednak zapytała.

Rędzia spojrzał w wielkie okno i przeczesał dłonią krótkie włosy. Zakłady fryzjerskie były zamknięte z powodu pandemii, więc radził sobie sam i wyszło mu trochę za krótko. Teraz czuł, jakby głaskał po głowie obcą osobę.

Znów popatrzył Agnieszce w oczy i powiedział powoli:

– Strzelaniny w Śmielinie.

1994

Stołówka internatu technikum leśnego w Śmielinie była pusta. Na stolikach rozstawionych po całej sali jak pod linijkę leżały krzesła, poustawiane tam nogami do góry przez sprzątaczkę. W najodleglejszym kącie, gdzie nie dochodziło jeszcze światło brzasku, przy jednym ze stolików, z którego zdjęto krzesła, siedział samotny mężczyzna.

Jerzy Sarnecki przyjechał przed chwilą ze Szczecina. Była piąta trzydzieści rano, na zewnątrz było już dość jasno, ekipa zaczynała pracę na miejscu tragedii, a on siedział zgrabiony, z łokciami opartymi o blat i twarzą schowaną w dłoniach, nie ruszając się i nie reagując na głosy dochodzące z korytarza. Nie odwrócił się, kiedy prokurator Walczak podszedł i stanął nad nim w ciszy, nie będąc pewnym, czy może mu zakłócić rozmyślenia.

– Jak się trzymasz, Jurek? – zapytał w końcu Walczak.

Sarnecki drgnął, podniósł głowę i odwrócił ją ku prokuratorowi; maska ze złożonych dłoni została dokładnie w tym samym miejscu, nieruchoma, jak w oczekiwaniu, aż twarz schowa się w niej na powrót. Jej wnętrze było wilgotne.

– Co mam ci powiedzieć? – zapytał Sarnecki drżącym głosem.

– Przykro mi. Wiesz, że bardzo mi przykro...

– Wiem. Dziękuję ci, Bolek. I dziękuję, że do mnie zadzwoniłeś. Że nie dowiedziałem się z radia albo od policji.

– Te komórki to jednak przydatna rzecz. Jak twoja żona?

– Jest z nią teraz lekarz. Dał jej zastrzyk na uspokojenie. – Sarnecki zacisnął lekko szczęki i zamrugał powiekami, jakby obudził się właśnie ze snu. – Słuchaj, czy Jacek... Czy on tam jeszcze leży?

– Tak, przykro mi. Trwają czynności...

– Rozumiem. Mogę tam pójść, zobaczyć go?

– Nie możesz. Nie teraz. I tak cię nie wpuszczą. A ja zaraz tam muszę wrócić. Potem będziemy rozmawiać z chłopcami. – Walczak rozejrzał się po stołówce. – Myślę, że zrobimy to tutaj.

Sarnecki wbił wzrok w blat, przełknął ślinę i opuścił rękę. Dłonie uderzyły w stół z głośnym plaśnięciem.

– Słuchaj, mam do ciebie ogromną prośbę – powiedział do Walczaka tak cicho, że słowa ledwie przebiły się przez pogłos uderzenia, który wciąż odbijał się od ścian.

Prokurator lekko wzruszył ramionami; naprawdę leciutko, bo nie chciał urazić Sarneckiego, ale zamierzał dać mu do zrozumienia, że teraz nie jest najlepszy czas na prośby.

– Później, Jurek, dobrze? – powiedział łagodnie. – Widzisz przecież, co się dzieje.

– Właśnie o to chodzi. Ja... Ja muszę z nimi porozmawiać.

– Z kim?

– Z kolegami Jacka. Z tymi, którzy byli na polanie.

– To wykluczone, Jurek.

– Gówno tam wykluczone. – Sarnecki podniósł głos, ale zaraz go na powrót ściszył, jakby sam zawstydział się jego mocy. – Pozwól mi z nimi porozmawiać. Z każdym po kolei i na osobności!

– To właśnie robimy. Będziemy robić, za chwilę.

– Ale jesteście gliniarzami, prokuratorami, a ja ojcem ich kolegi. Was się boją, mnie znają. Pozwól mi, błagam cię... Muszę wiedzieć, co tam się stało! Zginął mój syn, do kurwy nędzy! Mój jedyny syn, rozumiesz? Rozumiesz, pijaku jeden? – Sarnecki wstał gwałtownie z krzesła, stanął przed Walczakiem, a potem chwycił klapy i płaszcz, i sztruksowej marynarki prokuratora i zacisnął na nich palce.

Ich knykcie wbiły się Walczakowi w pierś. Boleśnie.

– Jurek – stęknął, kładąc dłonie na ramionach Sarneckiego.

– Pozwól... – szepnął tamten, odpuszczając. – Chryste, przecież nic im nie zrobię...

Walczak zagryzł wargę. Znał Sarneckiego od dwudziestu lat. Nie byli przyjaciółmi, nie w tym tradycyjnym rozumieniu tego pojęcia, ale wypili razem morze, a może nawet pierdolony ocean wódki. Widzieli się w krępujących sytuacjach: obszczani, zarzygani, kiedyś nawet uprawiali

seks z prostytutkami w jednym pomieszczeniu, na jednym łóżku. I obaj wiele sobie nawzajem zawdzięczali. Można było powiedzieć, że znają się jak łyse konie. I przez te dwadzieścia wspólnych lat Walczak nigdy nie widział w oczach Sarneckiego łez. Zobaczył je teraz. I to był dla niego wstrząs, bo wiedział, że tacy ludzie jak Sarnecki nigdy nie płaczą. A jednak...

– Idę na polanę. – Chrząknął, poprawiając marynarkę i płaszcz. – Masz jakieś pół godziny. Jeżeli któryś z nich zgłosi potem, że stosowałeś jakąś przemoc, nie będę patrzył na naszą relację, rozumiesz? W dupie będę miał, że pijemy razem od dwóch dekad. Zgłoszę to, gdzie trzeba. I miej tego świadomość...

– Chcę tylko porozmawiać...

– Muszę pogadać z komendantem Gardiaszem. Może mieć obiekcje.

– Chuj tam. Zabierz go ze sobą na tę polanę. Powiedz, że chcesz pogadać, wymienić spostrzeżenia, cokolwiek. Z tym jego krawężnikiem sam załatwię, żeby nie widział, albo też go zabierzcie ze sobą. Bolek, zrób to dla mnie! Dla mnie nie zrobisz!?

– Pół godziny. Nikt nie wychodzi z internatu. Jak wrócę tu za pół godziny, pół godziny z zegarkiem w rękę, Jurek, to ma cię tu nie być, rozumiesz?

Sarnecki, odwracając wzrok, pokiwał energicznie głową.

– Odwdzięczę ci się, Bolek – powiedział cicho gdzieś w przestrzeń stołówki.

– Nie chcę. – Walczak westchnął z rezygnacją. – Pamiętaj: pół godziny.

* * *

Prokurator Walczak stał za rogiem budynku internatu i palił papierosa. Chciał przez chwilę pobyć sam. Wypuścił z płuc dym i z powrotem, zamiast kolejnej jego dawki, wciągnął do nich wilgotne, pachnące lasem powietrze.

Musiał tam zaraz wrócić.

Na polanę.

W jego rejonie jeszcze nigdy nie zdarzyło się coś takiego. Szczytem, nawet nie normą, było zabójstwo w oparach wódki. Dwa, może trzy

rocznie. Gwałtowna reakcja dająca upust emocjom, nad którymi nie pozwala zapanować płynący we krwi alkohol. Nóż. Młotek. Butelka. Cokolwiek, co akurat było pod ręką i czym dało się zgruchotać kość czaszki albo przeciąć duże naczynie krwionośne. Żadnej kalkulacji, przemyślenia, późniejszej refleksji. Cios. Śmierć.

Nie wiedział, co ma teraz począć. Jak się do tego zabrać.

– Było badanie lekarskie przed wartą? – Usłyszał nagle czyjś głos dochodzący zza rogu.

Lekki wiaterek przywiał zapach tytoniu. Wiarusy. Walczak zastygł w bezruchu. Skojarzył głos. To prokurator wojskowy, z którym kwadrans wcześniej poznał się w internacie. Przyjechał z oficerem inspekcyjnym garnizonu.

– Było.

– Alkomat?

– Nie sprawiał wrażenia pijanego.

– Był alkomat?

– Nie wiem. Powtarzam, oficer dyżurny jednostki zeznał: nie wyglądał...

– Wpisać, że badanie alkomatem było. Wynik oczywiście zero, zero.

– Może schował flaszkę gdzieś przy ogrodzeniu?

– Wykluczone. Niby jak ją wniósł do jednostki?

– Jak to jak? Normalnie...

– Jaja sobie robisz, człowieku? To jak kontrolujecie żołnierzy? Nawet nie sugerujcie takich rzeczy. W momencie ucieczki był trzeźwy jak niemowlę, rozumiemy się?

– Oni też pili na tej polanie. Częstowali go.

– I bardzo dobrze. Zobaczymy, ile promili wyjdzie po sekcji. Dopilnować, żeby w papierach był porządek. Ma być tak, żeby nawet do jednego przecinka nie dało się dopierdolić, jasne?

– Tak jest.

– Rafał... Jak dalej?

– Urbańczyk.

– Z którego poboru?

– Z lata. Nie wiem, co mu do łba strzeliło. Zaraz miał iść do cywila.

– Jak kartoteka?

– Normalka. Parę ZOMZ-ów za jakieś pierdoły, i tyle. Jak każdy z nich. Nie wyróżniał się ani na plus, ani na minus.

– Skąd on był?

– Z Kołobrzegu.

– Czemu spierdolił?

– Wie pan, panie pułkowniku...

– Nie wiem. Dlatego pytam.

– Tydzień temu prosił szefa kompanii o przepustkę, bo chciał do dziewczuchy jechać. Podobno list napisała, że już nie kocha.

– I co?

– Odmowa była.

– Bo?

– To już trzeba gaciowego pytać.

– Zapytam. Zapytam...

Prokurator Walczak rzucił niedopałek pod nogi i wdeptał go czubkiem buta w ziemię. Włożył ręce do kieszeni płaszcza, odkleił plecy od ściany i ruszył w kierunku wejścia do internatu. Kiedy wyszedł zza rogu, obaj wojskowi umilkli zaskoczeni i po ich minach widział, że zastanawiają się, ile z ich rozmowy usłyszał i czy w ogóle coś. Postanowił zachować wszystko dla siebie. Miał teraz lekką przewagę, bo wiedział, że wojskowi zrobią wszystko, żeby umniejszyć winę dezertera, co było jednoznaczne ze zwaleniem jej na chłopców. A on chciał dojść do prawdy.

Ale miał pewien problem, bo po drugiej stronie był ktoś, komu równie mocno zależało na przerzuceniu jak największej odpowiedzialności na żołnierza.

Jurek.

Walczak dotknął róna kapelusza i ukłónił się wojskowym. Prokurator ubrany był po cywilnemu, oficer inspekcyjny w randze majora był w moro. Minął obu i wszedł do internatu, żeby znaleźć komendanta Gardiasza i zabrać go ze sobą na polanę.

* * *

Zapis nagrania z przesłuchania wstępnego osoby biorącej udział w zdarzeniu: Imię: Marcin, Nazwisko: Saganowski, Miejsce: internat

Technikum Leśnego w Śmielinie k/Złocieńca.

Prokurator: Opowiedz, jak to było.

Marcin Saganowski: Ja nie pamiętam, proszę pana.

P: Niczego?

MS: Niczego. Trochę mi się przejaśniło, dopiero gdy wracaliśmy. Pamiętam drogę przez las i jak prawie nieśliśmy Adolfa. Razem z Brodą.

P: Z Pawłem Kisielem?

MS: Tak. Kisiel to Broda. On już w siódmej klasie miał zarost i dlatego...

P: Marcin, skupmy się na wydarzeniach na polanie. Więc nie pamiętasz, co się wtedy działo?

MS: Nie. A przedtem to pamiętam tylko huk strzałów.

P: A zanim się upiłeś?

MS: Pamiętam, jak ten żołnierz wyszedł z lasu. Już wtedy szumiało mi w głowie. Mocno.

P: Wyszedł i co zrobił?

MS: Usiadł przy ognisku. Adolf poczęstował go wódką. Potem my z Pawłem poszliśmy na bok.

P: Po co?

MS: No... Pogadać.

P: O czym?

MS: O niczym konkretnym. Tak naprawdę mieliśmy coś swojego. Do picia znaczy. I Adolf nas denerwował.

P: Dlaczego?

MS: Krzyczał strasznie. Jak wypił, to jakby ogłuchł. Strasznie się darł. To poszliśmy na stronę.

P: Co piliście?

MS: Noo... Broda...

P: Paweł Kisiel?

MS: Tak, Paweł miał jakiś wynalazek. Podał ojcu. Nie wiem, co to było, ale chyba było mocne. Smakowało wiśnią.

P: Naprawdę nie pamiętasz niczego, co działo się w trakcie?

MS: Pamiętam, jak pełzłem koło Brody...

P: Pawła Kisiela?

MS: Tak, Kisiela, przepraszam. Patrzyłem, co on robi, i robiłem to samo. Ledwo go widziałem. Czołgał się, więc ja też się czołgałem. Byle dalej od tego koszmarnego huk.

P: Więc strzały słyszałeś?

MS: Jezu, no pewnie. Mówiłem przecież.

P: Mówiłeś. A ile?

MS: ...

P: Ile strzałów słyszałeś, Marcin?

MS: Nie potrafię powiedzieć. Nie pamiętam. Nic nie pamiętam. Przepraszam, że się upiłem. Ja nie chciałem. Myśli pan, że nas wywalą ze szkoły?

P: Nie wiem, kolego.

MS: Aha. Proszę pana, czy ja mogę już iść?

P: Tak. Niewykluczone, że jeszcze porozmawiamy. Na razie możesz wrócić do pokoju.

MS: To do widzenia.

P: Do zobaczenia. Jedenasty maja, godzina ósma pięćdziesiąt dziewięć.

* * *

Zapis nagrania z przesłuchania wstępnego osoby biorącej udział w zdarzeniu: Imię: Paweł, Nazwisko: Kisiel, Miejsce: internat Technikum Leśnego w Śmielinie k/Złocieńca.

Prokurator: Opowiedz mi teraz, jak to było.

Paweł Kisiel: Ja chyba nie bardzo wiem, co tam się stało.

P: Jak to nie wiesz?

PK: Byłem pijany. Przepraszam. Ja bardzo przepraszam za to, co się stało. Wiem, że nie powinienem pić alkoholu i w ogóle...

P: Zostawmy to teraz. Teraz chcę się od ciebie dowiedzieć, co zaszło na polanie, kiedy pojawił się ten żołnierz. Musimy to ustalić.

PK: No, on wyszedł z lasu. Jakby znikąd. Siedzieliśmy, gadaliśmy, popijaliśmy i on nagle po prostu wyłonił się z tego lasu.

P: Mówił coś?

PK: Przywitał się z nami. Usiadł i zapytał, co pijemy.

P: Był pijany?

PK: No, chyba był.

P: Chyba?

PK: Ja byłem pijany. Wszyscy byliśmy.

P: Ale ja pytam o niego.

PK: Ktoś go tam poczęstował, skoro już przyszedł...

P: Posłuchaj, ustalmy coś: kiedy zadaję pytanie, chcę usłyszeć odpowiedź „tak”, „nie” albo „nie wiem”, dobra? Jeśli będę chciał, żeby odpowiedź była szersza, powiem ci. Zgoda?

PK: Zgoda.

P: To był pijany, jak wyszedł z tego lasu, czy nie?

PK: Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie.

P: Czyli nie wiesz?

PK: No tak, nie wiem.

P: Długo z wami siedział?

PK: Nie mam pojęcia. Nie potrafię tego ocenić. Wiem, że gadał z nami, ale ile to trwało?

P: Z tobą też rozmawiał?

PK: Nie. My z Cinkiem, z Marcinem Saganowskim, siedzieliśmy trochę z boku. Mieliśmy swoje... Picie. Alkohol znaczy.

P: Skąd?

PK: Cinek załatwił od ojca.

P: Twój kolega Cinek mówił, że to ty podebrałeś swojemu ojcu?

PK: Tak?

P: Tak. Któryś z was kłamie. I już mi się to nie podoba.

PK: Bo... To ja podebrałem, ale niech pan nikomu nie mówi, dobra? Dostanę w dupę, jak się ojciec dowie.

P: To była śliwowica, prawda?

PK: Tak.

P: Nie, Paweł, to wcale nie była śliwowica. Nie tak mówił Saganowski. Dlaczego kłamiesz? Dlaczego obaj kłamiacie? O co chodzi?

PK: ...

P: Odpowiesz mi?

PK: To był skręt, proszę pana. Marihuana. My go wypaliliśmy, razem...

Niewyraźne.

P: Nie płacz. Zostawmy to na razie. Już? Możemy kontynuować?

PK: Tak. Tak.

P: Widziałeś, jak żołnierz strzela do Sarneckiego?

PK: Nie. Od razu jak padł strzał, to nas z Cinkiem przygięło do ziemi. Ktoś krzychał. Sarnecki chyba.

P: Przecież Sarnecki dostał pierwszy?

PK: Fakt. Czyli nie on. To Pajac chyba...

P: Do protokołu: Jakub Pajczyk.

PK: Tak, Pajczyk. Kuba Pajczyk.

P: Co krzychał?

PK: Nie pamiętam. Potem był drugi strzał. Pamiętam tylko, że kiedy tam spojrzałem, to wszyscy leżeli na ziemi.

P: Jak to?

PK: No, nie wiem. To było koło ogniska, my z Cinkiem byliśmy z boku i niby dobry widok był. Nikt nie stał. Wszyscy leżeli albo siedzieli na ziemi. Ja się nawet początkowo nie zorientowałem, że ktoś dostał. Myślałem, że karabin wypalił sam jakoś, nie wiem. W powietrze. Że może ten dezertier pokazywał im, jak się strzela...

P: Ile zdążyliście wypalić, zanim to się stało?

PK: Po jakieś trzy sztachnięcia.

P: Dobrze... Czyli to było jeszcze przed tym, jak Stec rzucił się na żołnierza?

PK: No, tak. Potem zobaczyłem, że Fanta ucieka...

P: Proszę cię o posługiwanie się nazwiskami kolegów, a nie pseudonimami, dobrze?

PK: Dobrze... Że Bronisz ucieka, wrzeszcząc jak dzikus. Zniknął w ciemności, próbowałem go wypatrzyć i znów padł strzał. Wtedy pomyślałem, że jednak coś się złego dzieje, więc nakryłem głowę rękami i zacząłem na kolanach i łokciach pełznąć w stronę lasu. Potem były kolejne strzały... I cała seria... Jezu...

P: Poczekaj, bo czegoś nie rozumiem: kiedy Bronisz uciekał, to pozostali leżeli na ziemi?

PK: Nie, no wtedy już Adolf się z nim szarpał i broń wypaliła. Inaczej kto by strzelił?

P: Ale widziałeś to czy się tylko domyślasz?

PK: Widziałem.

P: Jesteś pewien? Przed chwilą mówiłeś, że wpatrywałeś się w Bronisza?

PK: Ale jestem pewien, że widziałem, jak wszyscy leżą czy tam siedzą.

P: Dobrze... Wrócimy jeszcze do tego. Co potem?

PK: Pełznąłem przed siebie, Saganowski robił to samo obok mnie i wtedy poszła cała seria. Jezu, jaki to był huk. Coś nieprawdopodobnego.

P: Widziałeś to? Jak Adolf strzela do dezertera?

PK: Nie. Wtedy już widziałem tylko ciemność przed sobą, czułem, jak od mokrej trawy przemakają mi ciuchy, modliłem się, żeby to się skończyło, i myślałem, że się ze strachu... ten, narobię w spodnie. To wszystko.

P: Wszystko?

PK: Potem była cisza. A nie, przepraszam, poszedł jeszcze jeden strzał.

P: Jeden? Nie seria?

PK: Nie, pojedynczy wystrzał. To akurat dobrze pamiętam, bo myślałem, że po tej serii to już koniec. Że ja ten koniec sobie wymodliłem. I wtedy huknęło jeszcze raz. Ostatni. To Adolf musiał na wiwat chyba pierdolnąć... Jezu, przepraszam, wypsnęło mi się. I to już był koniec. Zapadła cisza, a potem Pajczyk zaczął krzyczeć do Adolfa.

P: Krzyczeć?

PK: Chyba krzyczał, przecież nam wszystkim dzwoniło w uszach, poza tym to emocje...

P: Co krzyczał?

PK: Adolf, człowieku, zajebałeś go... Przepraszam, ale to był cytat.

P: W porządku. Co jeszcze?

PK: Załatwiłeś sukinkota! Uratowałeś nas! Jezu, Adolf, zaje... No, on tak krzyczał, w ten deseń. Klęczał nad nim, potrząsał nim za wszarz...

P: Za co?

PK: Za ubranie... I krzyczał w kółko to samo. Był spanikowany, chyba bardziej niż ja.

P: To Stec leżał?

PK: Tak. Niedaleko tego dezertera.

P: I co odpowiadał Pajczykowi?

PK: Bełkotał i dyszał. Ta walka musiała go kosztować mnóstwo wysiłku. W ósmej biłem się z takim jednym kolesiem. To nawet nie była bójka, tylko takie siłowanie, wie pan, wyzwanie... Podobno szarpaliśmy się niecałe trzy minuty, a obaj padaliśmy ze zmęczenia. Myślałem, że nie wstanę, taki byłem złachany. A to zwykła bójka, w dodatku bez gniewu, po prostu takie głupie zapasy, nawet bez ciosów. A jednak emocje były. Chociaż bez porównania z tym...

P: Zgadza się, bez porównania. Pamiętasz coś jeszcze?

PK: Nie. Pozbieraliśmy się jakoś z Saganowskim, wzięliśmy Steca pod ramiona, bo ledwo szedł, i wróciliśmy do internatu. Pajczyk strasznie przeżywał. Paplał jak najęty, machał rękami i opowiadał, jak Adolf napierdalał tamtego, a potem nagle przystanął i się zrzygał w krzaki. I do końca już nic nie mówił, tylko włókł się z tyłu. To chyba pamiętam najlepiej, bo już trochę wytrzeźwiałem.

P: Nikt nie sprawdził, co z Broniszem i Sarneckim?

PK: Nie, no pewnie, że sprawdziliśmy. Sarnecki leżał cały we krwi, miał otwarte oczy i nie ruszał się. Nie oddychał. Było jasne, że nie żyje, widzieliśmy to wszyscy. Adolf się popłakał, Saganowski też, mnie mało brakowało. A Pajczyk wziął latarkę z plecaka Adolfa i podbiegł do lasu, gdzie leżał Marek, a po chwili wrócił cały błydy i powiedział, że on nie ma połowy głowy. Więc poszliśmy do internatu. A potem, to już pan wie. Radek, to znaczy pan Kłosiewicz, zadzwonił na policję i zaczęła się ta cała jazda.

P: Dobrze, na razie to wszystko, Paweł. Możesz wracać do pokoju. Jedenasty maja, godzina dziewięta dwadzieścia dwie.

* * *

Zapis nagrania z przesłuchania wstępnego osoby biorącej udział w zdarzeniu: Imię: Jakub, Nazwisko: Pajczyk, Miejsce: internat Technikum Leśnego w Śmielinie k/Złocieńca.

Prokurator: Jesteś bardzo zdenerwowany.

Jakub Pajczyk: Pan by nie był?

P: Racja. Co ci się stało pod okiem?

JP: Nie wiem. Chyba drapnęła mnie gałąź.

P: Ktoś mówił, że miałeś rękę we krwi?

JP: Tak, ale to nie była moja krew. To Jacka, bo ja sprawdzałem, czy żyje, i musiałem się pobrudzić...

P: No, dobrze... Widziałeś tę szarpaninę swojego kolegi, Mariusza?

JP: Tak.

P: Ze szczegółami?

JP: Noo...

P: Tak czy nie?

JP: To już było po tym, jak padło kilka strzałów. Oni byli między mną a ogniskiem, więc widziałem tylko dwie czarne postacie. Taki teatr cieni, wie pan? Ale widziałem dokładnie, jak usiłowali sobie nawzajem wyrwać karabin. I wtedy on wypalił. A kiedy Mariusz wreszcie tego kałacha zdobył, cofnął się i wymierzył do żołnierza. Wtedy on wyciągnął z pochwy bagnet i rzucił się w jego stronę. Mariusz strzelił raz z biodra, tamten upadł, a Mariusz opuścił lufę i jęcząc, wystrzelił jeszcze kilka razy.

P: A jakbyś opisał zachowanie Mariusza? Już w trakcie szarpaniny z tym żołnierzem?

JP: On był jak Franz Maurer.

P: Kto?

JP: No, Franz. Z *Psów*.

P: Rozumiem, że to jakiś bohater, tak? Filmowy?

JP: Tak. Nie widział pan tego?

P: Nie, nie chodzę do kina.

JP: Franz to jest taki gość z zasadami. Nie wyięka.

P: Teraz chyba rozumiem, o co ci chodzi. Mniej więcej.

JP: No... Sarnecki leżał na ziemi i umierał, albo już umarł, my wszyscy staliśmy jak wryci, a Mariusz rzucił się na niego...

P: Przepraszam: staliście? Twój kolega mówił, że leżeliście. Że nie widział nikogo stojącego.

JP: ...

P: Spokojnie, pomyśl, przypomnij sobie, nie spiesz się. To bardzo ważne.

JP: Nie w tym sensie staliśmy. Nie wiem, jak chłopaki, bo ja rzuciłem się na ziemię, ale chodzi mi o to, że chcieliśmy wcisnąć się w mysią dziurę, jak to się mówi, i zniknąć, a on po prostu z zimną krwią podbiegł do tego gnoja i rzucił się na niego... Szkoda tylko, że wtedy ten karabin wypalił i zabił Bronisza. Bronisz już wtedy uciekał i może to dlatego pozostali go nie widzieli?

P: To był przypadek. Zabił żołnierz, nie Adolf. Tu chodzi o intencje.

JP: Wiem, ale... Ten pocisk mógł polecieć wszędzie, a dostał Fanta... Już prawie uciekł. Nie do uwierzenia, co?

P: Pewnych rzeczy nie da się przewidzieć.

JP: No, wiem. I wie pan, tak sobie myślę, że w sumie to chyba nawet dobrze, że Adolf był pijany.

P: Dlaczego tak myślisz?

JP: Bo na trzeźwo mógłby się za długo zastanawiać. I wtedy byłoby po nim. I po nas też...

P: Adolf... To znaczy Stec był pijany, bo uciekliście, żeby pić wódkę. Gdybyście nie uciekli, to wszystko by się nie wydarzyło, pomyślałeś o tym, Jakub? To są tak zwane konsekwencje.

JP: A pan pomyślał, że gdyby ten pijany żołnierz nie natknął się na nas na tej polanie, to mógł dotrzeć aż do internatu? To tylko kawałek przez las. I co wtedy?

P: To dywagacje.

JP: Ja wiem jedno: Adolf uratował naszą czwórkę, a kto wie, może nawet całą klasę. I panią Jadwigę, i Radka Kłosiewicza. Panie prokuratorze...

P: Tak, Kuba?

JP: Czy to będzie zapisane w protokole?

P: Wszystko będzie zapisane.

JP: To ostatnie, co powiedziałem, też?

P: Tak.

JP: To dobrze.

P: Dlaczego tak ci na tym zależy?

JP: Bo chciałbym, żeby wszyscy wiedzieli.

P: O czym?

JP: Że Adolf zachował się jak bohater. On JEST bohaterem.

P: Rozumiem. Możesz wracać na górę, Kuba. Jedenasty maja dziesięć pięćdziesiątego czwartego. Godzina dziesięć czterdzieści osiem.

* * *

Zapis nagrania z przesłuchania wstępnego osoby niebiorącej bezpośredniego udziału w zdarzeniu: Imię: Anna, Nazwisko: Kuźma, Miejsce: internat Technikum Leśnego w Śmielinie k/Złocieńca.

Prokurator: Słyszałem, że jesteś najlepszą uczennicą w szkole?

Anna Kuźma: Tak, proszę pana.

P: Spokojnie, nie denerwuj się, zadam ci tylko kilka pytań...

AK: Jak mam się nie denerwować, proszę pana, skoro zginęli moi koledzy.

P: Rozumiem cię, oczywiście. Myślałem, że chodzi o okoliczności...

AK: Chodzi!

P: O te konkretne, że rozmawiasz z prokuratorem...

AK: Też.

P: Posłuchaj, Aniu, załatwmy to szybko, dobrze? Kilka pytań i wracasz do pokoju, tak?

AK: Tak.

P: Czy wiedziałaś, że twoi koledzy wymknęli się w środku nocy na zewnątrz?

AK: Nie.

P: Nie słyszałaś wcześniej, przypadkiem albo i nie przypadkiem, że coś takiego planują?

AK: Nie.

P: Dobrze. To teraz powiedz, co słyszałaś w nocy.

AK: Obudził mnie wystrzał. Był głośny i kiedy tworzyłam oczy, strasznie biło mi serce. Potem był następny. Zaczęłam zastanawiać się, o co chodzi. Moje koleżanki z pokoju też się obudziły i zaczęłyśmy o tym rozmawiać.

P: Co było dalej?

AK: Potem były jeszcze dwa wystrzały, jeden po drugim. I wreszcie cała seria, takie króciuteńkie „trrrrrrat”. I na końcu jeszcze jeden, pojedynczy.

P: Jesteś pewna?

AK: Tak.

P: Skąd ta pewność?

AK: Nie wiem. Po prostu jestem pewna. Mam dobry słuch i pamięć muzyczną. Chcę iść do konserwatorium.

P: Świetnie. Co wydarzyło się potem?

AK: Kilka minut później przyszedł do naszego pokoju pan Kłosiewicz i zapytał, czy są u nas chłopaki. Kiedy mu powiedziałyśmy, że nie, wyglądał na zawiedzionego, aż się zdziwiłyśmy. Dopiero później zrozumiałam, dlaczego wolałby, żeby jednak byli u nas... Dodał, żebyśmy na wszelki wypadek nie podchodziły do okna. Wiem, o co mu chodziło, w wiadomościach widziałam, jak w Sarajewie snajperzy strzelają do ludzi na ulicy. Mówili, że jak słyszać strzały, to trzeba się ukryć. Więc kazałam dziewczynom zostać w łóżkach.

P: Bardzo słusznie. Byłaś przy tym, jak oni pojawili się w internacie?

AK: Nie, bo pan Radek kazał nam zostać w pokoju i nie wychodzić. Słyszałam tylko krzyki z dołu. To moja ciocia krzyczała.

P: Twoja ciocia?

AK: Jadwiga Lorenc, nasza druga opiekunka. To moja ciocia. Ona pojechała do szpitala, prawda?

P: Tak. Niestety tak, nie czuła się najlepiej.

AK: Nie dziwię się. Jak oni mogli nam to zrobić? Nie mogę tego zrozumieć...

P: Aniu, posłuchaj, czy pamiętasz coś jeszcze?

AK: Nie. Niczego więcej nie pamiętam, przykro mi.

P: Rozmawiałaś w międzyczasie z którymś z nich?

AK: W jakim międzyczasie?

P: Od momentu, gdy zjawili się w internacie, do teraz?

AK: Nie. Nie miałam takiej okazji.

P: Dobrze, Aniu, dziękuję ci bardzo. Do widzenia. I powodzenia w konserwatorium. Jedenasty maja dziewięćdziesiątego czwartego. Godzina dziesiąta trzynaście.

* * *

Zapis nagrania z przesłuchania wstępnego osoby biorącej udział w zdarzeniu: Imię: Mariusz, Nazwisko: Stec, Miejsce: internat Technikum Leśnego w Śmielinie k/Złocieńca.

Prokurator: Poczekaj, bo miałem o to zapytać i zapomniałem: Adolf to twój pseudonim, prawda?

Mariusz Stec: Tak.

P: Taki nietypowy trochę. Powiedz mi, skąd się wziął.

MS: Nie wiem. Nie pamiętam. Tak jakoś. Chłopaki wymyślili kiedyś i tak zostało.

P: Dobrze, to wróćmy do twojej walki z tym żołnierzem. Trzymałeś broń za lufę?

MS: Kiedy mu ją wyrywałem?

P: Dokładnie.

MS: Chyba tak.

P: Pokaż mi, proszę ręce.

MS: Ręce?

P: Tak. Dłonie. Pokaż.

MS: Po co?

P: Chcę je obejrzeć.

MS: Okej...

Przerwa w nagraniu.

P: Nie bolą cię?

MS: Nie, dlaczego?

P: Lufa mogła być gorąca, skoro wcześniej padło kilka strzałów. Nie oparzyłeś się?

MS: Nie, chociaż teraz, jak pan mi powiedział, to faktycznie czuję lekkie pieczenie. Ale niezbyt mocne. Widać trzymałem za coś innego. Za to na górze takie, na przykład.

P: Rurę gazową?

MS: Chyba tak.

P: Tamtędy gazy wylotowe wracają do środka. To element mechanizmu oddawania strzałów. Też jest wtedy gorąca.

MS: No to za coś innego. Może za jego ręce. Pan wie, było ciemno, a ja walczyłem o życie w końcu, nie?

P: Racja, Mariusz. Walczyłeś o życie.

MS: No i byłem pijany. Jezu, jeszcze mi się w głowie kręci. Mogę dostać wody?

Przerwa.

P: Dobrze, Mariusz, kontynuujmy. Skąd w ogóle wiedziałeś, jak się obsługuje broń tego rodzaju?

MS: Ja... Nie wiem... No, oglądałem *Psy*. Franz tam strzelał z kałasznikowa, z identycznego. Było pokazane, jak się przeładowuje, że ciągnie się za taki dzyndzel. W życiu bym nie pomyślał, że mi się to potem przyda. I że to takie proste. Proszę pana... Ja zabiłem człowieka.

P: Tak, ale... To trochę jak wojna, wiesz? Jeśli ty nie zabijesz wroga, on zabije ciebie. Mój tata był niewiele starszy od ciebie, jak zabijał Niemców w czasie okupacji. A ten dezertter był twoim wrogiem. Chciał cię zabić.

MS: Ktoś mówił, że nie powinienem ładować w niego całej serii. Że to przekroczenie granic obrony koniecznej i tak dalej...

P: Nie myśl o tym teraz. Zrobiłeś to, co wtedy uważałeś za konieczne. Działałeś w stanie silnego pobudzenia i wzburzenia, usprawiedliwionego okolicznościami. Stan nietrzeźwości nie działa co prawda na twoją korzyść, ale na razie to zostawmy. To wszystko będzie podlegać ocenie. Fakty są takie, że zabiłeś wroga. Wroga, rozumiesz?

MS: W sumie tak. Ale Fanta...

P: To nie ty strzeliłeś do Bronisza, Mariusz. To tamten. Gdyby nie twoja reakcja, najprawdopodobniej zginęłoby was więcej. Również ty.

MS: Dzięki, że mnie pan pociesza.

P: Nie ma sprawy, ale taka jest prawda. Po prostu. Porozmawiasz potem z psychologiem. On pomoże ci to wszystko poukładać. Dobrze się sprawiłeś, Mariusz. Jak to jest być bohaterem, chłopie?

Cisza.

MS: Kiedyś, jako dzieciak, myślałem sobie, że fajnie byłoby dokonać czegoś bohaterskiego. Być jak He-man albo Kapitan Planeta czy ktoś w tym rodzaju. Ale byłem naiwnym gówniarzem.

P: Wszyscy byliśmy. I wszyscy chcieliśmy zostać bohaterami. A ty nim zostałeś naprawdę.

MS: No... Ale najbardziej cieszę się z tego, że uratowałem kolegów. To tak naprawdę się liczy.

P: I tego się trzymaj. To na razie wszystko, być może się jeszcze spotkamy. Jedenasty maja dziewięćdziesiątego czwartego. Godzina dziesiąta trzydzieści dziewięć. Do zobaczenia, Mariusz.

* * *

Przesłuchanie Jadwigi Lorenc odłożone ze względu na stan psychiczny wykluczający rozmowę.

* * *

Zapis nagrania z przesłuchania wstępnego osoby niebiorącej bezpośredniego udziału w zdarzeniu: Imię: Radosław, Nazwisko: Kłosiewicz, Miejsce: internat Technikum Leśnego w Śmielinie k/Złocieńca.

Prokurator: Dobrze się pan czuje?

Radosław Kłosiewicz: Żarty pan sobie robi?

P: Przykro mi, pytam bardziej ze względów formalnych niż ludzkich. Chodzi mi o to, czy jest pan w stanie złożyć zeznanie? Tu i teraz?

RK: Tak.

P: Dobrze. Jest pan wychowawcą klasy?

RK: Nie. Jestem opiekunem wycieczki. Uczę wychowania fizycznego.

P: A ta pani? Lorenc, tak?

RK: To nauczycielka geografii z innej szkoły. Uczniowie poprosili ją, żeby pojechała jako drugi opiekun.

P: Jest ciotką jednej z uczennic?

RK: Tak.

P: Dlaczego nie poprosili któregoś ze swoich nauczycieli?

RK: Nie zgadzali się.

P: Dlaczego?

RK: Mieli obowiązki związane z maturami.

P: Wszyscy? Pani od muzyki też?

RK: ...

P: Proszę mi powiedzieć, czy ta klasa jest trudna.

RK: W jakim sensie?

P: Czy uczniowie sprawiają trudności wychowawcze?

RK: Nie. Nie rozumiem, skąd takie wnioski.

P: Skoro nie chciał z nimi pojechać żaden z nauczycieli uczących w ich szkole...

RK: Wyjaśniałem to już panu.

P: Tych sześciu, którzy uciekli...

RK: To jest dobra klasa. Niektórzy są zagubieni, to prawda, ale to taki wiek. Już pan zapomniał, jak to jest mieć te siedemnaście, osiemnaście lat?

P: Czy jest pan z uczniami na „ty”?

RK: Z niektórymi.

P: Dlaczego?

RK: To moja decyzja.

P: Nie twierdzę, że ich albo że któryś z uczniów pana do tego zmusił. Ale to raczej niezwykle?

RK: Dzieli nas tylko kilka lat różnicy. Uznałem, że skracając dystans, łatwiej do nich dotrę. Ustaliliśmy, że mówią mi po imieniu tylko w nieformalnych sytuacjach: na wuefie czy na SKS-ie. Nie zrobiłem tego bezmyślnie, rozumie pan? To nie są złe dzieciaki. Nie mają zatargów z prawem...

P: Aż do dziś.

RK: Wie pan, co się dzieje od paru lat, prawda? Rodzice niektórych z nich odnieśli sukces finansowy, a to może zawrócić w głowie. Widać te podziały po sposobie ubierania się, po gadżetach w rodzaju discmanów, po tym, jak formują się poszczególne grupy. Chciałem z nich stworzyć dobrą, wspierającą się grupę ponad tymi podziałami. To mój obowiązek jako nauczyciela.

P: Dobrze, przejdźmy do wydarzeń dzisiejszej nocy.

RK: Obudziły mnie strzały. Uprzedzając pańskie pytanie: nie miałem pojęcia, że się wymknęli na zewnątrz. Obiecali mi przed wycieczką, że nie wykręcą żadnego numeru. Że nie będzie alkoholu. Nie będę tego teraz komentował. Kiedy zorientowałem się, że to wystrzały...

P: Przepraszam, był pan w wojsku?

RK: Tak. Kiedy zorientowałem, że to wystrzały, i to całkiem blisko, przebiegłem się po pokojach, żeby sprawdzić, czy wszyscy są.

P: Dlaczego? Miał pan już jakieś podejrzenia?

RK: ...

P: Odpowie mi pan na pytanie?

RK: To był odruch. Musiałem sprawdzić, czy wszyscy uczniowie są na miejscu, ale szczerze mówiąc, już wtedy coś mnie tknęło. Nie przecucie, raczej podejrzenie, że paczka Adolfa znów coś zmalowała. Ale w najczarniejszych myślach nie przewidziałem, że to może być coś takiego...

P: Jak i gdzie nastąpiło pańskie spotkanie z tą czwórką po tym całym wypadku?

RK: Byłem u siebie w pokoju i zastanawiałem się, co robić. Pani Jadwiga spała, bo bierze leki nasenne i wkłada sobie zatyczki do uszu. Przeleciałem się po pokojach i kiedy zorientowałem się, że ich nie ma, zdecydowałem się zadzwonić na policję.

P: Tak od razu? Nie chciał pan ich najpierw poszukać?

RK: Miałem wyjść na zewnątrz, w ciemność i wołać ich? Zostawić resztę samą?

P: Rozumiem... A dalej?

RK: Zszedłem do dyżurki i zadzwoniłem pod 997. Kiedy rozmawiałem z dyżurnym, oni właśnie wrócili. Niestety, nie wszyscy... Saganowski z Kisiem podtrzymywali Steca, Pajczyk był z tyłu. Jak mnie zobaczyli, Kuba...

P: Pajczyk?

RK: Tak, Pajczyk krótko wyjaśnił, że Adolf ich uratował, że jest bohaterem i... I ja wtedy zapytałem, gdzie są pozostali. Wtedy Pajczyk powiedział, że nie żyją, że zastrzelił ich jakiś pijany żołnierz, który uciekł z jednostki, a Adolf go obezwładnił i też zastrzelił. Do mnie to nie docierało, wie pan? To było jak film. To taki banał, tak wszyscy mówią, ale doznać takiego uczucia samemu... Nikomu tego nie życzę...

P: Pan ponosił odpowiedzialność za grupę, zdaje pan sobie z tego sprawę?

RK: Tak. Co mi grozi?

P: W tej chwili trudno stwierdzić. Trzeba wziąć pod uwagę wszystkie okoliczności. Ale pana sytuacja nie jest za wesoła. Proszę opowiedzieć jeszcze, co pan zauważył w momencie spotkania z uczniami.

RK: Śmierdzieli alkoholem. Stec mówił nieco bełkotliwie. Pajczyk miał ręce we krwi. To znaczy nie umazane, ale widać było jej ślady w bruzdach skóry. Zapytałem go o to. Powiedział, że sprawdzał, czy Bronisz jeszcze żyje, i pobrudził się jego krwią. Nie wiedziałem w pierwszej chwili, co zrobić. Ręce mi się tak trzęsły jak nigdy w życiu. Zgarnąłem ich na górę, musieliśmy coś zrobić z tą panią Lorenc, bo wpadła w panikę. Policjanci zjawili się błyskawicznie, kilka minut później przyjechał komendant posterunku i karetka, a zaraz po nich ci wojskowi. Ale do nich nie dzwoniłem. Nie wiem, kto ich zawiadomił...

2020

– Wyciągnęłam z archiwum akta sprawy dotyczące strzelaniny. – Agnieszka wskazała stertę kilkunastu teczek zapakowanych w kartonowe fascykuły. – Z koszalińskiej okręgówki. Nie mam tych, które dotyczyły późniejszych postępowań wobec Kłosiewicza czy chłopaków, nawet nie wiem dokładnie, czy wobec nich były w ogóle prowadzone, najprawdopodobniej tylko w przypadku Adolfa. Ale to jest teraz mniej istotne. Wciąż nie rozumiem tylko, po ci te akta.

– Skoro nie przekonałem cię wtedy, chyba nie ma sensu, żebym tłumaczył ci jeszcze raz?

– Spróbuj, choćby z szacunku dla mnie.

Rędzia zszedł z biurka, na którym przysiadł wzorem Agnieszki, zapominając, że to nie jego biurko. Zajął fotel pod ścianą i westchnął.

– Nie mamy się czego złapać, jeśli chodzi o śmierć Adolfa, tak?

– Tak. I z tego powodu chcesz się łapać czegokolwiek?

– Nie, to nie tak. Uważam, że jego śmierć mogła mieć coś wspólnego z tymi wydarzeniami.

– To już wiem. Tylko co?

– Właśnie po to chcę je przejrzeć. – Wskazał akta.

– To nie jest szukanie odpowiedzi na pytanie, Tomek. To próba stworzenia pytania pod gotową odpowiedź. Tak nie pracuje dochodzeniowiec.

– Wierzysz w przeczucia? – zapytał.

– Żartujesz? – Prawie się roześmiała.

Rędzia spojrzał gdzieś w bok.

– Kurwa, ja też nie – powiedział. – Ale coś mi mówi, że to ma sens. Zróbmy tak: przeczytam te papiery, popytam jeszcze ewentualnie i podejmiemy decyzję: zostawiamy to czy nie. Może być?

Skinęła lekko głową. Rędzia wziął teczki i pojechał do komendy. Pogadał z Kurylakiem, który też był lekko zdziwiony, że Rędzia chce cofać się w aż tak odległą przeszłość. Ale nie oponował. Resztę dnia komisarz spędził nad aktami.

Czytając lekko pachnące starością akta, miał poczucie właśnie takiej wycieczki w przeszłość. Zapach kartek, charakterystyczny krój czcionki formularzy wypełnianych na maszynie do pisania, błady tusz pieczętek; wszystko to powodowało, że czuł się niemal jak chrononauta.

A im bardziej zagłębiał się w ich treść, tym bardziej rosło w nim przekonanie, że na polanie w Śmielinie wydarzyło się coś dziwnego. A na pewno nie odbyło się to tak, jak ustalono w śledztwie, którego część materiałów miał przed sobą.

* * *

Szczecin, 29 czerwca 1994 r.

Podsumowanie opinii biegłego z zakresu badań broni strzeleckiej i balistyki: *W standardowym magazynku (dwurzędowym, łukowym) 7,62 mm kbk AKMS będącym w dyspozycji JW 1976 mieści się trzydzieści nabojów. Badany egzemplarz nr seryjny SC 33768 znajdujący się rozkazem d-cy JW 1976 na stanie st. szer. Urbańczyka Rafała w momencie rozpoczęcia przez niego pełnienia służby wartowniczej w dn. 10.05.94 zawierał w magazynku wydaną przez d-cę warty amunicję w postaci 30 szt. 7,62 mm nabojów wz. 43 z pociskiem z rdzeniem zwykłym PS. W chwili odnalezienia broni na polanie znajdowało się w niej 14 szt. nabojów, z czego 13 szt. w magazynku i 1 szt. w komorze nabojowej. Ramię nastawcze przełącznika rodzaju ognia ustawione było w pozycji dolnej „P” (ogień pojedynczy). Kolba znajdowała się w pozycji złożonej. Stwierdzono nieznaczne uszkodzenie końca wylotu lufy przy osłabiaczu podrzutu w obrębie jego wewnętrznej strony, które mogło być spowodowane np. upadkiem broni lufą w dół na twarde podłoże typu kamień lub beton.*

Na miejscu zabezpieczono łuski od nabojów 7,62 mm wz. 43 w liczbie szt. 16 oraz zdeformowany pocisk wydobyty z pnia rosnącego opodal drzewa. 7 dalszych, zdeformowanych w mniejszym stopniu odnaleziono

w ziemi pod zwłokami szer. Urbańczyka. Na podstawie opinii biegłego z zakresu anatomopatologii stwierdza się, że w ciele szer. Urbańczyka znajdowało się 5 szt. pocisków, w ciele denata Sarneckiego Jacka 1 szt. (w obrębie klatki piersiowej – opinia patologa sądowego) oraz 1 szt. w głowie denata Bronisza Marka, co razem z pociskiem tkwiącym w drzewie daje 15 szt. Zatem nie odnaleziono jednego pocisku. Charakter śladów na poddanych badaniom porównawczym za pomocą aparatury makro- i mikroskopowej pociskach otrzymanych z próbnych odstrzałów w LK Policji oraz tych ujawnionych i zabezpieczonych na miejscu, a także wydobytych z ciał ofiar wskazuje bezspornie, iż wszystkie należy uznać za pochodzące z tej samej serii i wystrzelone z tego samego egzemplarza broni, tj. 7,62 mm kbk AKMS nr seryjny SC 33768. Wątpliwości budzi jedynie jeden z pocisków znajdujących się w ciele szer. Urbańczyka. Ślady ujawnione na nim nieznacznie różnią się od pozostałych w zakresie braku bruzdy, charakterystycznej dla pozostałych ujawnionych w zwłokach oraz dla pocisków próbnych. Bruzda kojarzona jest ze wspomnianym wyżej nieznacznym uszkodzeniem wylotu lufy w obrębie osłabiacza podrzutu. Świadczyć to może (uwzględniając pozostałe czynniki), że broń uszkodzona została po oddaniu pierwszego strzału.

Lokalizacja i ułożenie ciał ofiar oraz prawdopodobne tory lotu wystrzelonych pocisków (plan i profil) oraz miejsce, z którego oddano strzały, zaznaczono na załączniku graficznym dołączonym do niniejszej opinii.

Rędzia przerzucił stronę i zobaczył dość nieudolny szkic. Przedstawiał plan niewielkiej polany, z zaznaczeniem układu znalezionych na niej ciał. Dwa były bardzo blisko siebie, jedno znajdowało się na przeciwległym skraju. Legenda pozwoliła mu się zorientować, że to był Fanta. Sarnecki z dezenterem leżeli jeden obok drugiego. Dalsze szkice pokazywały ułożenie ciał. Sarnecki leżał na wznak, z szeroko rozrzuconymi rękami, podobnie jak żołnierz, z tą różnicą, że ten rękę miał złożone na brzuchu. Fantę natomiast znaleziono w pozycji twarzą do ziemi, z rękami wzdłuż ciała, jakby nawet nie próbował zamortyzować upadku. Kiedy Rędzia doszedł do zdjęć, jego serce przyśpieszyło. To, co

do tej pory było bezosobowym szkicem, zmieniło się we wstrząsające obrazy.

Sarnecki miał otwarte oczy. W momencie robienia zdjęcia śmierć nie odcisnęła jeszcze na jego twarzy swojego piętna i wyglądał, jakby po prostu wpatrywał się ze zdziwieniem w coś, co ma nad sobą. Mogłoby się wydawać, że z lekko rozchylnych ust padnie zaraz pytanie, zadane tym charakterystycznym, zblazowanym tonem, jakim Sarnecki często się posługiwał: „Co jest, kurwa?”.

W przypadku Fanty nie było najmniejszych wątpliwości, że nie żyje. Nie da się żyć z takimi obrażeniami, jakie miał. Było widać jedynie miazgę, w jaką zmieniała się jego potylica.

Dezertier, starszy szeregowy Rafał Urbańczyk, wyglądał jak ofiara wojny, zabita bezpośrednio na linii frontu. Miał półprzymknięte powieki, w oczach zastygło cierpienie, dłonie były złożone na brzuchu, jakby chciały bezskutecznie zatamować krwotok. W zalanym krwią mundurze polowym widniało kilkanaście poszarpanych ran wlotowych. Urbańczyk nie miał łatwej śmierci.

Rędzia przeglądał suche, bezosobowe wyjątki z opinii i protokołów z oględzin oraz z sekcji zwłok, próbując wyciągnąć z nich swoje wnioski.

Urbańczyk Rafał: łącznie 12 ran perforujących i penetrujących w obrębie tułowia: klatki piersiowej i nadbrzusza, w tym: 7 przestrzałów ze zranieniami przenikającymi (postrzały perforujące) i 5 ślepych (postrzały ślepe, pociski tkwiące w tkankach ciała). Stwierdzono rąbki otarcia naskórka (kontuzyjny) także w obrębie ran wylotowych, co może świadczyć, że powstały poprzez dociśnięcie uwypuklonej pociskiem skóry do podłoża, a zatem ofiara w momencie oddawania strzałów znajdowała się w pozycji leżącej. Strzały oddano z pobliza względnego...

Sarnecki Jacek: pojedyncza rana penetrująca klatki piersiowej spowodowana pociskiem, przebicie płuca lewego, w konsekwencji zjawiska tymczasowej jamy postrzałowej doszło do wieloodłamowych złamań kości żeber, następnie przemieszczenia odłamków i rozerwania ścian naczyń krwionośnych klatki piersiowej. Zgon nastąpił w wyniku wstrząsu krwotocznego i niewydolności oddechowo-krążeniowej.

Charakter obrażeń rany wlotowej świadczy o postrzale z pobliza względnego (obecność rąbka zabrudzenia i kontuzyjnego oraz tatuażu prochowego)...

Bronisz Marek. Pojedyncza rana głowy, duża gwiazdzista rana wlotowa tyłu głowy, postrzał z oddali, pocisk tkwiący w strukturach czaszki w okolicach powierzchni oczodołowej trzonu kości jarzmowej lewej, znaczny ubytek tkanki mózgowej spowodowany penetracją pocisku...

Rędzia przeglądał papiery dalej. Wyniki analizy na obecność alkoholu etylowego we krwi wskazywały jednoznacznie, że niemal wszyscy byli mniej lub bardziej pijani. W przypadku ofiar wykonana dwiema metodami swoistymi analiza wykazała, że Sarnecki miał około siedmiu dziesiątych promila, Urbańczyk prawie półtora, a Fanta promil. Broda i Cinek, solidarnie po jeden i dwie dziesiąte, a Pajac tylko pół promila. Badania ocaleńcom wykonano alkometrem rano, co nie dawało zdaniem Rędzi miarodajnego wyniku, skoro do strzelaniny doszło około pierwszej. A jeśli mieli takie stężenie kilka godzin po niej, to w nocy musiało być większe. Krótko mówiąc, musieli tam nieźle pochlać.

Przez następną godzinę próbował powiązać ze sobą zeznania chłopaków i opinie biegłych oraz czas i miejsce. Było to trudne. Z zeznań wyłaniał się obraz całkowitego chaosu, jaki panował na polanie podczas strzelaniny, czemu akurat trudno się dziwić. Rędzię zastanowiło to dziwne uszkodzenie lufy. Może w wyniku walki? Zwrócił też uwagę na brak w aktach rzeczy, które jego zdaniem powinny się tam znaleźć. Co ze śladami prochu na rękach uczniów? Nie badano ich? Przełącznik rodzaju ognia znajdował się w pozycji „P”, skoro wszyscy słyszeli, że padła seria, i to długa, a to było niemożliwe przy ogniu pojedynczym? A potem jeszcze jeden, pojedynczy strzał? Pociski, które przeszły przez żołnierza, były wbite w ziemię pod jego ciałem, o czym świadczy załącznik graficzny, a także opinia biegłego anatomopatologa, co oznacza, że dezertter leżał już, kiedy do niego strzelano. Pojawiło się mnóstwo pytań, a najgorsze było to, że w leżących przed Rędzią teczkach brakowało na nie odpowiedzi.

Wrócił do jednej ze stron, żeby sprawdzić nazwisko, które wcześniej rzuciło mu się gdzieś w oczy. Potem połączył się z komendą powiatową policji w Drawsku Pomorskim.

Przedstawił się i zapytał funkcjonariusza:

– Słyszałeś o Macieju Gardiaszu?

– Jasne, dawny komendant posterunku w Złocieńcu. A czemu pytasz?

– Chciałbym z nim pogadać o pewnej sprawie sprzed lat. Żyje?

– Pewnie. Dalej mieszka w Złocieńcu. Zapytaj w tamtejszym komisariacie.

– Dzięki, cześć. – Odłożył telefon na biurko i zaczął wiązać teczki.

Potem zgłosił Kurylakowi wyjście do prokuratury i pojechał odwiedzić akta Agnieszce.

– Patrz, co mam. – Pokazała mu jakiś papier, kiedy tam dotarł.

– Co to? – zapytał, odkładając na jej biurko karton z aktami.

– Pełnomocnictwo dla Pabisia.

– Załatwiłaś w sądzie?

– Owszem. Zajęło mi to jakieś dwie godziny. Nie cieszysz się?

– Pewnie, że się cieszę. Jak cholera.

– Nie wyglądasz...

– Zawsze tłumilem emocje w sobie – mruknął i wyciągnął rękę po dokument. – A szczerze mówiąc, jestem zaskoczony. Jakoś byłem przekonany, że utkniemy, bo sprawa jak zwykle rozbija się o względy proceduralne.

– Uratowało cię, że miałeś kopię wypisu. Nie trzeba było szukać numeru repertorium, dat i tak dalej.

Rędzia oglądał dokument, do którego podpięta była koperta. Wyglądał normalnie, o ile się na tym znał. Przyjrzał się pieczęci, potem zbliżył papier do oczu i obejrzał go pod światło. Później obejrzał kopertę: zaadresowana na kancelarię notarialną w Szczecinie miała znaczek z Elżbietą II i brytyjskie stemple pocztowe.

– Cholera wie – mruknął i oddał papiery Agnieszce, a ona odłożyła je na biurko. – Niby nadany na Jersey... Da radę sprawdzić w konsulacie?

– Niewierny Tomasz...

– Zgadza się, i jestem z tego dumny. Możesz jakoś skontaktować się swoimi kanałami z... – ponownie wziął do ręki pełnomocnictwo i zerknął

na nie – ...konsulem honorowym w St. Helier i zapytać, czy taki dokument rzeczywiście został wystawiony?

Agnieszka patrzyła na niego w milczeniu.

– No co? – zdziwił się. – To ostatnia rzecz, jaką jeszcze można sprawdzić. To chyba żaden problem? A rozjaśni wszelkie wątpliwości. Sprawdzisz?

– Masz szczęście, że cię lubię. – Wychyliła się i zabrała mu dokument.

– Nie macaj, muszę to oddać. Dobrze, sprawdzę to, dla ciebie.

– Cieszę się. Jadę do Złocieńca, wiesz?

– Do Złocieńca? Po co? Wycieczka już się dawno skończyła – zażartowała ponuro.

– Jadę pogadać z ówczesnym komendantem tamtejszego posterunku. Był na miejscu, kiedy sprząтали ten bałagan po Adolfie.

– À propos bałaganu: mam trochę nowych informacji, tym razem z banku, w którym Adolf miał konto. Od dwa tysiące trzeciego nie przeprowadzano na nim żadnych operacji, z wyjątkiem poboru opłat za jego obsługę i naliczania odsetek oraz wpływu kasy za sprzedaż mieszkania. Te pieniądze wciąż są na koncie. Bank próbował się kontaktować z Adolfem telefonicznie, a potem listownie, wysyłając pisma na adres tego mieszkania, które wynajmował, ale bezskutecznie.

– Jak skarbówka, co?

– Dokładnie.

– A po listy zapewne również przyszedł jakiś menel.

– O co chodzi z tymi menelami? – zapytała Agnieszka.

– Słupy. Facet podszywający się pod ojca Adolfa dawał im pewnie dychę, zawoził w okolicę Gorkiego, kazał odebrać list i przynieść, potem dawał drugą dychę i sprawa załatwiona. Nie chciał się pokazywać osobiście, po prostu.

– Skąd wiesz, że to był facet?

– Słusznie, pani prokurator. Słusznie. – Spojrzał na nią z uznaniem.

Trochę udawał, a trochę nie.

– Czyli Pabiś też musiał być jego czy jej wysłannikiem? – zapytała.

– Otóż to. Dlatego tak mi na nim zależy. To jest nitka, po której moglibyśmy dotrzeć do kłębka, czyli „tatusia”, tylko że nie możemy jej

sięgnąć, bo leży za daleko. Za daleko jak na możliwości finansowe organów ścigania. Może jakieś zapytanie do policji Emiratów?

– Mam wystąpić o ekstradycję? – zapytała z jawną kpina w głosie.

Nie zareagował na zaczepkę.

– Pytanie brzmi, czy to, co działo się z mieszkaniem Adolfa, działo się tylko bez jego wiedzy czy wbrew jego woli – rzekł zamyślony. – Myślisz, że ze względu na chorobę mógł nie być w stanie decydować o czymkolwiek i ktoś to robił za niego? Ale po co aż taka mistyfikacja?

– Nie wiem. Nie znam się na nowotworach.

– Może miał przerzuty do mózgu i za bardzo nie kontaktował? Mózg się nie zachował, więc...

– Tomek, nie znam się na nowotworach, jasne? – powiedziała Agnieszka odrobinę za głośno.

Porzucił temat. I tak były to dywagacje, których nie dało się potwierdzić.

– Czytałaś te akta? – zapytał, wskazując teczkę, które przed chwilą położył na jej biurku.

– Myślisz, że nie mam co robić? – prychnęła, ale nagle spuściła wzrok.

– No, dobra, coś tam czytałam do poduszki.

– Dlatego że cię przekonałem?

– Nie, chciałam się sama przekonać, dlaczego to dla ciebie robię.

– I co?

– I nic.

– Naprawdę nic? Nic cię nie uderzyło?

Spojrzała na niego.

– Zupełnie nie wiem, co tam się wydarzyło. No, może nie zupełnie, ale te zeznania to chaos.

Rędzia wycelował w nią palec; jego dłoń wyglądała teraz jak mały, skałkowy pistolecik z odwiedzionym kurkiem.

– Właśnie! – powiedział z naciskiem. – Nieprecyzyjne i często przeczące sobie. Każdy pamiętał piąte przez dziesiąte. Adolf nie miał na rękach oparzeń, które pojawiłyby się po złapaniu za gorącą lufę.

– Mógł nie łapać za lufę, tylko za magazynek i kolbę.

– Może... Ale nie daje mi spokoju ta zabawa z przełącznikiem rodzaju ognia. To już nie bardzo da się wyjaśnić. Brakuje mnóstwa istotnych

szczegółów. Zabawny był tekst Adolfa o *Psach*, zwróciłaś uwagę? Pajczyk też wspominał o Franzu. Pamiętam, jak całą klasą byliśmy na tym filmie w kinie, z anglistką. Na drugiej części, to było dosłownie miesiąc przed tą cholerną wycieczką. Nieważne, te zeznania faktycznie są chaotyczne, ale to jakoś można zrozumieć. Późniejsze przesłuchania już w Szczecinie, prowadzone w obecności psychologa przez prokuratora wojskowego, dają trochę inny obraz. Jest więcej szczegółów. Ale też nie wszystko gra. A ostateczne ustalenie przebiegu zdarzeń jest jak... Nie wiem, jak to nazwać. Wypadkową? Konsensusem?

– Tego już nie czytałam. Miałam dość.

– Zastanawiam się, czy jest sens pytać Cinka, Brodę i Pajczyka o to, co zapamiętali z tamtych wydarzeń.

– A ja wciąż się zastanawiam, gdzie jest związek. Między tym a zabójstwem Adolfa.

– Jeszcze nie wiem – Rędzia wyszczerzył zęby – ale go znajdę. Poszukasz czegoś o tym dezercerze? Starszy szeregowy Rafał Urbańczyk.

– Nie rozumiem, czego mam szukać.

– Rodziny. Przede wszystkim. Może żyją jego rodzice? Rodzeństwo?

– I?

– I zobaczymy?

– Zemsta?

– Kto wie? Wykluczamy wszystko.

– Wszystko, co ci przyjdzie do głowy?

Rędzia w zamyśleniu przejechał końcem języka po dolnych zębach.

– Na razie tak – powiedział. – A potem się zobaczy...

* * *

– Po co chcesz jechać do tego Złocienca? – zapytał Kurylak.

Rędzia siedział przy stoliku konferencyjnym, z nogami wyciągniętymi daleko przed siebie pod stołem, aż wystawały pod krzesłem naprzeciwko.

– Pogadać z byłym gliną, który był wtedy na miejscu – odparł. – Emerytowany komendant posterunku.

– To musi być teraz starszy niż Brama Portowa? – Kurylak sypnął szczecińską odmianą żartu.

– Zapewne. – Rędzia skinął głową. – Pytałem o niego w komisariacie w Złocięncu. Twierdzą, że wciąż jest sprawny.

Nagle drzwi się otworzyły i ktoś zajrzał. Berdak.

– Przepraszam, że przeszkadzam – powiedział, dał krok do przodu i nie zamykając drzwi, podniósł jakiś papier. – Komu to dać?

Kurylak, nie zmieniając pozycji, rzucił okiem na papier, od którego dzieliły go ze trzy metry.

– Bartkowi – rzucił krótko.

Berdak pokiwał głową, puścił oko do Rędzi i wyszedł.

– Więc uważasz, że zabójstwo twojego kolegi z klasy ma jakiś związek z tą strzelaniną?

– To jest tylko trop, szefie. Poszlaka. Jak na razie jedyna, ale myślę, że póki co warto tym tropem iść. Chwilowo nie mamy nic innego. Ci moi... koledzy z klasy też nie są ze mną do końca szczerzy. To, że się nie lubimy, to jedno, ale minęło ćwierć wieku i jesteśmy dorośli. A tam, na tej polanie, stało się coś dziwnego.

– Gadałeś o tym z tą prokuratorką?

– Tak. – Rędzia na chwilę spuścił wzrok. – Prezentuje podobne nastawienie co szef, ale uznała, że możemy tym tropem pójść. Formalnie te czynności nie będą nawet związane ze śledztwem, przynajmniej dopóki ten związek się nie potwierdzi.

– Dużo sobie obiecujesz po tej wycieczce?

– Niekoniecznie – odparł Rędzia trochę niezdecydowanie. – Liczę na cokolwiek. Ale zobaczymy. To co, puści mnie szef?

– Jedź. – Kurylak westchnął i przysunął się do biurka, co świadczyło, że zamierza wrócić do swojej roboty.

Rędzia z pewną trudnością przyciągnął nogi do siebie. Od tej pozycji lekko zdrętwiał mu tyłek i znów zaczęły boleć go kolana. Miał wrócić do biegania, ale na razie i tak nie można było ani wchodzić do lasu, ani nawet biegać, więc czekał, aż dolegliwości miną, a zakazy zostaną zniesione.

W Złocięncu znalazł się półtorej godziny później.

* * *

O adres zapytał w komisariacie. Gardiasz mieszkał na Leśnej, w pobliżu parku, w małym domku przy końcu ulicy. Kiedy Rędzia otworzył furtkę, zobaczył kogoś w ogrodzie; mężczyzna pochylał się nad jakąś skrzynką i gmerał w niej. Rędzia zorientował się, że to ul, kilka następnych stało wzdłuż szpaleru drzewek, chyba owocowych, bo miały pobielone pnie. Rędzia podszedł ostrożnie i chrząknął.

Starszy pan obejrzał się, nie przerywając pracy, i obrzucił Rędzię zaintrygowanym spojrzeniem. Komisarz zrewanżował mu się tym samym.

Gardiasz miał sympatyczną, pomarszczoną twarz, gęste brwi i jasne oczy. Rzadkie włosy, mlecznobiałe, miał zaczesane do tyłu. Był gładko i starannie ogolony, co tylko dobrze o nim świadczyło, bo w tym wieku golenie się wielu uważało za zbędne, a wymagające sporego nakładu pracy i koordynacji, której już często brakowało. Nawet jeśli robiło się coś przez pięćdziesiąt lat, mechanicznie i naturalnie, nadchodzi w końcu taka chwila, że to przestaje mieć sens. Gardiasz nie wyglądał, jakby w ten sens zwątpił, co Rędzię bardzo ucieszyło.

– Dzień dobry – powiedział. – Przyjechałem ze Szczecina. Komisarz Tomasz Rędzia. Chciałem z panem porozmawiać o wydarzeniach na polanie w Śmielinie.

Ręka Gardiasza zawisła nad ulem.

– W Śmielinie, powiada pan? – Miał szorstki, ale dość wysoki głos. – No dobra, da mi pan chwilę, kolego. Przeglądam ule i nie chcę wychłodzić gniazd. Pan sobie usiądzie na ławeczce i poczeka, dobrze? – Wskazał dom i Rędzia spostrzegł ławkę pod ścianą, niedaleko wejścia.

Rędzia pokiwał w milczeniu głową i poszedł tam. Usiadł i zaczął przyglądać się ogrodowi. Znów pomyślał o działce, a potem o Darku Suderze. Chwilę później podszedł do niego Gardiasz. Usiadł obok i zerknął na Rędzię.

– Spokojnie, pamiętam wszystko. – Uśmiechnął się.

– Nie rozumiem?

– Patrzy pan na mnie tak, jakby zastanawiał się, co mam pod czaszką. Starczą sieczkę czy może jednak coś tam jeszcze się tli?

Rędzia postarał się, żeby wyraz twarzy pozostał raczej obojętny, choć miał ochotę się roześmiać.

– Może nie wie pan tego o starych ludziach... – Gardiasz machnął ręką – ...że nie pamiętają co prawda, gdzie przed chwilą zostawili okulary, ale doskonale orientują się, co było na obiad w zakładowej stołówce w święto dwudziestego drugiego lipca w siedemdziesiątym dziewiątym. Ja pamiętam wszystko, co wtedy zdarzyło się w Śmielinie.

– Wszystko?

– No dobrze, nie wszystko. Tylko to, przy czym sam byłem, ewentualnie, co usłyszałem od innych.

– Opowie mi pan? Chciałbym to usłyszeć.

– A dlaczego pana to interesuje?

– Sądzę, że może mieć to związek z pewnym śledztwem, które prowadzę. W sprawie zabójstwa. Ofiarą jest człowiek, który wtedy zastrzelił tego dezertera.

Nie powiedział, że to była jego klasa. To nie miało znaczenia, a może właśnie miało i gdyby to zrobił, Gardiasz pominąłby coś?

– Stec? – zapytał starszy pan.

– Zgadza się. – Rędzia spojrział na niego zdziwiony. – Faktycznie, sporo pan pamięta.

– A w stołówce, w święto dwudziestego drugiego lipca, był bigos. – Gardiasz uśmiechnął się nieznacznie. – Ciekawe, że ta sprawa wraca po tylu latach.

– Wygląda pan, jakby się tego spodziewał.

– Spodziewał może nie, ale nie jestem zdziwiony, wie pan?

– Dlaczego?

– Bo to wszystko jakoś nie tak było, jak powinno. Mówię o śledztwie, a właściwie o tym, co się tam działo na samym początku, tuż po nocnych wypadkach. Spory udział w tym miał ojciec jednego z tych chłopaków, który zginął.

– Sarnecki.

– Tak jest, Sarnecki. – Gardiasz spojrział na las i przez jego twarz przemknął lekki grymas. – Pan jest z dużego miasta, to może pan nie wiedzieć, jak to jest w małych. Zwłaszcza na prowincji. Nie wiem, czy pan zna układy, które zwykle panują w małych miasteczkach jak ta. Nawet jak pan nie zna, to pan wie, że są. Zawsze. W każdej małej dziurze, średniej dziurze i sporej dziurze. Złocieniec, Drawsko nie były

wyjątkiem. Szczecin pewnie też nie, co? No właśnie. Nie były i nie są. Różnica jest taka, że zmienili się ludzie. Sarnecki w okolicach Złocieńca miał hotel. W dawnym folwarku, który przez pięćdziesiąt lat był PGR-em. Kupił go, kiedy PGR upadł, odświeżył, odremontował i przerobił na coś w rodzaju wiejskiej rezydencji. Nazwał to „Starym Folwarkiem”. Zrobił ten numer, zanim wszyscy zaczęli nazywać swoje restauracje, browary i hotele „starymi” chociaż były nowe. Wie pan, tradycja zobowiązuje i tak dalej... W każdym razie przyjmował w nim myśliwych z Niemiec i Skandynawii. I nie tylko myśliwych, imprezy integracyjne w tym jego folwarku organizowały duże zagraniczne firmy. On był tu panem i znał każdego. Dawał zatrudnienie okolicznym ludziom: w folwarku i przy nim. Kupował lokalne produkty, jak miód, mięso, nawet bimber. Okoliczne, chętne dziewczyny zabawiały gości i nie musiał przywozić prostytutek ze Szczecina. To była tajemnica poliszyneła. Ale to nie był żaden kurwidołek, tylko porządny przybytek, trzeba to uczciwie przyznać. A Sarnecki... On tu mógł wszystko. Prokurator Walczak, który prowadził sprawę tej strzelaniny, był jego starym kumplem od wódki. Dowódca jednostki, z której zdezerterował ten żołnierz, też.

– A pan?

– Ja? – Twarz Gardiasza rozpromieniła się w szerokim uśmiechu. – Ja byłem tylko komendantem posterunku, do niczego im niepotrzebnym. To sieć, panie kolego, w którą zaplątani byli tu wszyscy. Prawie wszyscy. – Uśmiechnął się skromnie. – A rybakiem był Sarnecki. Ja nie mówię o jakichś ciężkich przestępstwach, to był układ bardziej towarzyski. Załatwiali sobie różne rzeczy, jakieś odrolnienia gruntów, pozwolenia na budowę, koncesje i tak dalej, jak któryś ze znaczniejszych gości Sarneckiego nabroił w mieście albo został złapany po pijaku za kółkiem, to też się rozchodziło po kościach... Koniec końców i tak wszyscy lądowali u Sarneckiego w folwarku. Normalna rzecz...

Rędzia nic nie mówił. Słuchał. Odgonił niemrawą pszczołę, która zapędziła się w okolice ławeczki.

– Sarnecki był tu wtedy, wie pan, kolego? To znaczy nie wtedy, kiedy to się zdarzyło, tylko później. Przyjechał tuż przed świtem ze Szczecina. Walczak do niego zadzwonił i skoro on tak szybko się tu zjawił, to Bolek

ten telefon musiał wykonać jeszcze w nocy. Kiedy tylko się dowiedział od nas o strzelaninie.

– Jak Sarnecki to zniósł?

– A jak pan myśli, kolego? – Gęste brwi Gardiasza powędrowały ku górze, a skóra na czole zmarszczyła się w drobną harmonijkę. – Ale miałem wrażenie, że dość szybko się pozbierał. Tak szybko, że zaczął się tu niemal szarogęścić. Ponieważ znał i Bolka, i wojskowych z jednostki, to gadał z nimi wszystkimi. Podobno nawet podpowiadał, co trzeba robić, jakby się na tym znał. Negował sens działań, które miały ustalić przebieg zdarzeń, i upierał się na jakieś bezsensowne z kolei eksperymenty, które do niczego by nie doprowadziły. Miał kontakt z tymi chłopcami, z nauczycielem też, a przecież ich wszystkich trzeba było oddzielić od reszty. Słyszałem też, jak Sarnecki kłócił się z prokuratorem wojskowym, który również przyjechał ze Szczecina. Nie wiem, o co poszło i o czym rozmawiali, ale emocje były.

– Myśli pan, że Sarnecki kochał syna? – zapytał Rędzia.

– Tak – odpowiedź padła bez chwili zastanowienia.

– Skąd pan to wie?

– To było po nim widać. Ja to widziałem, kiedy tu był. Mówił mi to również Walczak.

– Skoro tak, to powinno zależeć mu na wyjaśnieniu wszystkiego do końca, tymczasem pan twierdzi, że postępował odwrotnie: powodował, że nie przykładano odpowiedniej wagi do rzeczy, do których się powinno przykładac, i to szczególnie starannie. Ale może to właśnie dlatego, że się nie znał?

– Niekoniecznie – odparł Gardiasz tajemniczo. – Ale w dobrym kierunku pan idzie.

– On taki był. Taki jest. To tego typu człowiek: uważa, że wszystko wie najlepiej i że bez niego nikt nic nie robi.

– A, ja wiem, kolego, że on taki był. Ale to nie dlatego.

– Sugeruje pan, że on robił to specjalnie?

– Owszem – mruknął leniwie Gardiasz. – Dalej, dalej...

Rędzia zmarszczył brwi.

– Czy mogło chodzić o jakąś tajemnicę? – zapytał. – Czy uczniowie pijący wódkę w lesie i spotkanie z żołnierzem tej jednostki mogło jakoś

spowodować ujawnienie czegoś tajnego, niewygodnego?

– Co pan ma na myśli?

– Nie wiem, gdybam teraz. Chodzi mi o tę jednostkę w środku lasu...

Stary glina uśmiechnął się porozumiewawczo.

– Wie pan, za komuny różnie ludzie gadali, co jest za tą siatką, ale według mnie nie chodzi o nic tajnego. Przecież wojsko nie może być rozlokowane tylko w miastach, w lasach też koszar pełno. Za daleko pan idzie. – Spojrzał na Rędzię zezem i zapytał: – Wie pan, panie kolego, ilu zbrodniom towarzyszył pity wcześniej alkohol? No właśnie. To był splot nieszczęśliwych okoliczności. Żołnierz, którego zostawiła dziewczyna, decyduje się na dezercję. Za takie coś, nawet gdyby nic się nie stało, mówię o strzelaninie, groziły już poważne prokuratorskie konsekwencje, a nie spotkanie z profosem wojskowego aresztu. Przecież wyniósł broń, i to załadowaną ostrą amunicją. Musiał być bardzo zdesperowany, ale kiedy ma się osiemnaście, dziewiętnaście lat, wszystko wygląda inaczej, prawda? No... Na dodatek grupa pijanych nastolatków. Spotkanie w środku nocy i wszystko nagle wymyka się spod kontroli. Mało zna pan podobnych przypadków, samonakręcających się spirali?

– Czy ten żołnierz mógł postrzelić się sam?

– Z kałacha w brzuch?

– Przypadkiem.

– Panie kolego: jaki to musiałyby być przypadek?

– A próba samobójcza?

Charakter ran Urbańczyka świadczył wyraźnie o tym, że nie mogła to być próba samobójcza, ale Rędzia chciał trochę namieszać i usłyszeć, co na ten temat ma do powiedzenia stary glina.

– Z takiego karabinka najwygodniej tylko w podbródek, inaczej trudno dosięgnąć spustu, choć dla chcącego nic trudnego. Ale żadna z ran nie powstała od strzału z przyłożenia. – Gardiasz poprawił się na ławeczce i założył ramiona na piersi. – Dobra, jak już pan wspomniał o tym, że Sarneckiemu powinno zależeć jak nikomu innemu, to powiem panu coś. – Ściszył głos, jakby ktoś mógł ich podsłuchać. – Analiza mechanoskopijna ujawniła, że wszystkie pociski mają identyczne ślady, z wyjątkiem jednego, co może świadczyć, że po pierwszym wystrzale broń została nieznacznie uszkodzona w obrębie lufy – bez wpływu na

strzelanie, ale jednak pozostawiło to ślad na pozostałych pociskach, rozumie pan? I on był w ciele żołnierza.

– Czytałem opinię specjalisty. Stąd moje pytanie o możliwość próby samobójczej.

– Też ją czytałem. Brano ją pod uwagę podczas śledztwa, to oczywiste. A potem była podważana przez adwokata Steca. Wnosił o powtórne badanie, ale ten jeden pocisk, kluczowy, zaginął. Nie będę rzucał oskarżeń, ale tylko jedna osoba w zasadzie miała do niego dostęp. No, może dwie czy trzy, ale tylko jednej z nich mogło zależeć, żeby on zaginął.

– Prokurator Walczak? Dlaczego?

– Na moje oko, panie kolego, to któryś z uczniów strzelił pierwszy do tego żołnierza, raniąc go, a dopiero potem rozpętało się piekło. Żołnierz się tylko bronił... Ale to tylko moja teoria... – Mrugnął do Rędzi i pół twarzy zmarszczyło się razem z powieką. – Niech pan doda do tego Walczaka i dopowie sobie resztę. Nic nie świta? To niech pan pyta dalej, aż dojdziemy do sedna. – Gardiasz uśmiechał się zagadkowo. – Bo na razie pan wciąż błądzi...

– Co z badaniami GSR[1]?

Gardiasz roześmiał się gorzko.

– Ci chłopcy umyli się przed przyjazdem techników, bo przecież byli cali umorusani. Jeden miał krew na rękach, bo sprawdzał, czy ci zabici żyją. A próbki na ślady pobrano tylko od Steca, co było moim zdaniem grubym błędem. A i tak zostały później zakwestionowane przez jego obrońcę, ponieważ technik, który je pobierał, polował dzień wcześniej z Sarneckim, co wykluczało możliwość wykonania tej czynności akurat przez niego.

– To technik o tym nie wiedział? – zapytał zdumiony Rędzia. – To tak, jakby strażak czując gaz, spróbował zapalić papierosa? Podstawa podstaw!

– Pewnie wiedział, ale co z tego? Może myślał, że jak umyje starannie ręce i zachowa ostrożność przy pobieraniu próbek, to nic się nie stanie? Pewnie był tu jedyny, który miał przeszkolenie i musiał to zrobić, bo mu prokurator kazał. To co miał począć?

– A jak to wyszło?

– Sarnecki powiedział to adwokatowi. O tym polowaniu. Tego papugę przysłali rodzice Steca ze Szczecina, przyjechał około dziesiątej. Jaguarem.

– To też ewidentne działanie na szkodę śledztwa?

Gardiasz zrobił zdziwioną minę.

– Naprawdę? – zapytał z kpina w głosie, a potem sapnął. – Ale jest pan już bardzo blisko. Jeszcze się pan nie domyśla, kto mógł strzelić pierwszy?

– Syn Sarneckiego? Jacek?

– No, wreszcie. – Gardiasz kiwnął głową.

Rędzia aż westchnął głęboko, czując w nosie kręcący zapach wiosny.

– Skąd Sarnecki mógł o tym wiedzieć? – zapytał.

– Bo rozmawiał z każdym chłopakiem na osobności, zanim wziął ich w obroty Walczak. To któryś z nich musiał mu o tym powiedzieć, więc potem robił wszystko, żeby to nie wyszło na jaw. I dlatego moim zdaniem są dwie wersje zdarzeń: ta, którą ma pan w aktach, i ta prawdziwa, którą poznał Sarnecki. Ja wtedy sprzeciwiałem się odbyciu tych rozmów, to było grube naruszenie zasad, ale Walczak kazał odpuścić.

– A pan posłuchał?

– A co miałem zrobić? Byłem tylko komendantem małego komisariatu. Łatwo panu mówić, panie komisarzu. – Obejrzał się, kiedy od strony ulicy doszedł ich jakiś dźwięk. – Łatwo panu mówić...

Zapadła chwila ciszy, ale tylko między nimi. Ptaki ćwierkały jak oszalałe i Rędzia myślał, że on zaraz też oszaleje. Nie cierpiał tego od dziecka i nie miał pojęcia dlaczego. Żaden ptak nic mu nigdy nie zrobił. On im też nie.

– A wie pan – odezwał się nagle Gardiasz, już weselszym tonem – Sarnecki wystawił pomnik, tam na polanie.

– Pomnik?

– Taki pamiątkowy kamień. Obelisk. Z napisem: „W tym miejscu w maju 1994 roku rozegrała się tragedia, w której zginęło dwóch młodych chłopców”.

– Dlaczego dwóch? Przecież zginęło trzech?

Gardiasz zerknął na Rędzię pobłażliwie.

– Kolego. – Pokręcił głową. – Mordercę syna miał czcić?

– No dobrze, co z tym pomnikiem?

– Ano nic, mówię to panu jako taką ciekawostkę. W lipcu tego roku, kiedy to się stało, dwa miesiące po tragedii, przyjechała ekipa z gotowym kamieniem, wykopali dół, zrobili fundament, kilka dni później wrócili i zakotwili ten granitowy blok. I już, pojechali. Nie wiem, po co to wszystko, bo tam nikt nie chodzi. Przez te ćwierć wieku trafiły tam pewnie ze trzy osoby, i to tylko przypadkiem, bo pobłądziły.

– Może to było ważne dla niego? Przede wszystkim dla niego?

– No, to na pewno, bez żadnych wątpliwości. Sarnecki przyjeżdżał potem w rocznicę tych wydarzeń. Rok w rok. Walczak mi opowiadał. Był z nim tam parę razy. Jechali na polanę, on sprzątał, taką podkaszarkę przywoził ze sobą i ścinał te chaszczce, co przez rok wyrosły, a potem stawał przed tym pomnikiem i patrzył na niego.

– Modlił się?

– Nieee. – Gardiasz roześmiał się. – Na tym kamieniu nie ma nawet krzyża. Sarnecki nigdy nie pozwalał, żeby Bóg mieszał się w jego sprawy. Nazwisk też nie ma. Wie pan, on nawet kwiatów żadnych nie składał pod tym pomnikiem ani nie zapalał zniczy. Po prostu stał i wpatrywał się w niego w milczeniu, czasem kwadrans, a czasem i godzinę, a później wracał do siebie albo zostawał w tym swoim folwarku. I tak co rok. Dziesiątego maja. Któregoś razu okazało się, że pomnik jest zniszczony.

– Czyli ktoś tam jednak chodził?

– Nie wiem, albo sam się przewrócił, a może jakimś gnojom przeszkadzał. Jak Sarnecki to zobaczył, to tydzień później przywiózł drugi, identyczny. Przestał przyjeżdżać parę lat temu, odkąd mu nogę odjęli przez cukrzycę. No, chory jest, mówili mi ci z folwarku, że się stary posypał. Tak to jest, jak się zdrowie zaniedba. I od tej pory to wszystko stoi zarośnięte. Nikt o tym kamieniu nie pamięta, bo od początku chyba wszyscy chcieli o tej sprawie zapomnieć, i to jak najszybciej, panie komisarzu. Najsprawniej poszło Walczakowi, choć choroba mu trochę pomogła, nie powiem.

– No, właśnie, ten Walczak. – Rędzia ożywił się lekko. – Powie mi pan o nim coś więcej?

– Bolek Walczak był wtedy prokuratorem rejonowym w Drawsku Pomorskim. Tyle pan pewnie sam się dowiedział z akt sprawy. Mieszkał tu, w Złocięncu, dojeżdżał codziennie do pracy. Był w porządku, raczej solidny, ludzi nie krzywdził, ale też w jakiś sposób zależał od Sarneckiego. Jak prawie wszyscy w okolicy. No i był alkoholikiem. Walczak skończył karierę prokuratorską wkrótce po tej tragedii. Prokuratura wojewódzka w Koszalinie zarzuciła mu rażące niedbalstwo w prowadzeniu postępowania w tej sprawie. Dostało mu się za te nieszczęsne ślady GSR, za to, że nie odseparował uczniów i mogli ustalać zeznania. Część z nich była w momencie zdarzenia nieletnia, więc teoretycznie przesłuchania powinny odbyć się w obecności opiekuna prawnego. Sprawa zaginięcia tego pocisku, kolejna rzecz. Dobrze, że nikt z Koszalina nie wiedział o tym, że pozwolił Sarneckiemu gadać z nimi sam na sam, zanim jeszcze on to zrobił oficjalnie, do protokołu. – Machnął ręką. – W dziewięćdziesiątym ósmym mój syn, wie pan, on pracuje w nadleśnictwie, spotkał Walczaka na środku Złocięńca: stał na chodniku i nie pamiętał, jak dojść do domu. O dziwo, nie był wtedy pijany, bo zwykle bywał. Potem poszło szybko: alzheimer. Strasznie z niego podstępny skurwysyn.

– Z tego, co pamiętam, gazety prawie nie pisały o wydarzeniach w Śmielinie? A przynajmniej nie tyle, ile by się można spodziewać?

– A jak pan myśli dlaczego? – Gardiasz spojrział na niego krzywo. – Napisali tyle, ile napisali, bo przecież to było naprawdę głośne wydarzenie, ale ponieważ brakowało nowych informacji, bo na wszystkim trzymali łapy wojskowi i Walczak, zasłaniając się tajemnicą śledztwa, to dalej nie było o czym pisać. Ile można wałkować ten sam temat? Mniej więcej w tym samym czasie zdarzyła się ta katastrofa PKS-u koło Gdańska. Tam było więcej trupów, ponad trzydzieści. Rachunek jest prosty: więcej trupów, większa sprzedaż. Wszystko. – Mlasnął z niesmakiem.

– Sarnecki też trzymał łapę na informacjach?

– Pewnie tak. – Gardiasz wzruszył ramionami. – Nigdy nie lubił szumu wokół siebie.

Zamilkli. Lekki wiatr poruszał gałęziami drzew. Niektóre miały już liście, inne tylko zawiązki, a jeszcze inne były zupełnie nagie. Ciepłe

promienie słońca myszkowały między nimi, a Rędzia z Gardiaszem siedzieli z zamkniętymi oczami, wystawiając ku niemu twarze. Rędzia pomyślał, że gdyby nie ptaki, mógłby spędzić tu trochę czasu.

– Szkoda tylko tego chłopaka, co z nimi był, bo ta wycieczka złamała mu karierę – odezwał się nagle Gardiasz.

– O kim pan mówi? – Rędzia otworzył oczy.

– O tym młodym nauczycielu, który nimi się opiekował. Niby niewinny, a winny. Słyszałem, że go skazali i poszedł do więzienia. Jakie to życie czasem niesprawiedliwe jest, nie?

Rędzia nie odpowiedział. Posiedział jeszcze chwilę, aż wreszcie musiał uznać, że czas się zbierać. Odsunął się od starszego pana, zmieniając pozycję tak, żeby mieć go przed sobą.

– Będę uciekał – rzekł. – A powie mi pan jeszcze, gdzie ten pomnik?

– Chce pan tam jechać?

– Tak.

Gardiasz cmoknął.

– Trudno trafić.

– To pojedzie pan ze mną? Odwiozę z powrotem.

Gardiasz machnął ręką, jakby odganiał jedną ze swoich pszczoł.

– Panie komisarzu, powiem szczerze: ja tam nie chcę jechać. I tak ledwo chodzę, a autem nie da się tak daleko wjechać. Ale wytłumaczę, pan na pewno trafi, bo widzę, że sroce spod ogona pan nie wypadł. – Gardiasz poprawił się na ławeczce i przymknął powieki, wizualizując sobie widocznie drogę w myślach. – W Śmielinie, tuż przed tablicą wyjazdową w kierunku Drawska, będzie skręt w szutrówkę, do internatu technikum leśnego. Jest drogowskaz. Pan sobie tam zaparkuje przed tym internatem. Droga do lasu jest szeroka, bo tamtędy drewno wywożą ciężarówkami. Przejdzie pan nią trzysta metrów i będzie polana, po prawej. Trzeba nią przejść pod przeciwległy skraj lasu, mniej więcej przez środek. Kamień jest tak pośrodku tej linii drzew, jak pan przejdzie się kawałek wte i wewte, to pan znajdzie. Ma jakiś metr wysokości i takie spiczaste zwieńczenie, jak mała piramidka. Szary. Zapamięta pan?

– Zapamiętam. – Rędzia wstał z ławki. – Jeszcze raz dziękuję.

– A proszę bardzo. – Gardiasz ukłonił się, nie wstając. – Powodzenia, kolego.

Rędzia wyszedł na ulicę i wsiadł do samochodu. Dosłownie kilka minut później parkował przed budynkiem internatu. Był pusty, wszyscy mieszkający w nim uczniowie pojechali do domów. Rędzia przyglądał mu się przez chwilę, usiłując sobie wyobrazić, jak wyglądał dwadzieścia sześć lat temu, kiedy nocowali w nim jego koledzy i koleżanki z klasy. Kiedy zdarzyło się coś, co teraz go tu przywiodło. Budynek nie mógł się za bardzo zmienić, to było po nim widać. Prefabrykowane płyty jeszcze bardziej popękały, a szklane panele pokryły się od wewnątrz zielonymi porostami. Tylko okna były nowe.

Komisarz ruszył w stronę lasu. Po blisko dziesięciu minutach spaceru dostrzegł polanę, o której mówił Gardiasz. Złaził ją wszerz i wzdłuż, aż wreszcie po dwudziestu minutach natrafił na pomnik, chociaż prawie przegapił ten niewielki kamień. Spodziewał się, że będzie większy, tymczasem przypominał rozmiarami zwykły nagrobek i to dlatego niknął pośród bujnych traw i chwastów.

Stanął przed obeliskiem i odgarnął zasłaniające go źdźbła trawy. Wykute w kamieniu litery były ledwo czytelne: rowki zarosły mchem, a gładka powierzchnia polerowanego kamienia zmatowiała. Było w tym coś smutnego: oto przedmiot ustawiony tu na pamiątkę pewnego zdarzenia sam został zapomniany. Rędzia zmarszczył nagle brwi, postąpił krok naprzód i pochylił się. Z kieszeni wyciągnął scyzoryk i zaczął zeskrobywać mech z części napisu. „Trzech chłopców”. Nie dwóch, jak wspominał Gardiasz. Może coś mu się jednak pomyliło? Rędzia nie wiedział, czy było to istotne. Rozejrzał się jeszcze po polanie i wrócił do samochodu. W środku było gorąco, wewnątrz nagrzało się od słońca, więc uchylił lekko szybę. Kiedy wyjechał na asfalt, przyśpieszył. Smukłe pnie drzew, które widział kątem oka, zaczęły się zlewać w brunatnozieloną plamę, kiedy nagle przed sobą zobaczył żółty punkcik. Zwolnił, plama znów zmieniła się w pionowe linie pni niknących w koronach, ale tym razem stały one za siatką, która zmaterializowała się razem z wieńczącym ją drutem kolczastym. Jego srebrna spirala niknęła w perspektywie jak anorektyczna anakonda znikająca w dżungli, a żółty punkcik urósł do sporych rozmiarów

prostokąta z napisem: „Teren wojskowy – wstęp wzbroniony”. Rędzia zatrzymał się i pomyślał, że co mu szkodzi. Kiedy w ogrodzeniu pojawiła się przerwa, a w niej droga, skręcił w nią i jakieś dwieście metrów dalej trafił na bramę wjazdową do jednostki wojskowej.

Podjechał do szlabanu. Tuż obok stał mały ceglany budynek z wiatą, kryty pomarańczową dachówką. Po kilkunastu sekundach pojawił się żołnierz w zielonym berecie wojsk lądowych. Na oko nie miał jeszcze trzydziestki, a na berecie dystynkcje młodszego chorążego. Podszedł do samochodu i pochylił się, zaglądając przez uchyloną szybę do środka.

– Słucham? – zapytał.

– Chciałbym się widzieć z dowódcą jednostki.

– W jakiej sprawie?

Rędzia pokazał mu odznakę.

– Komisarz Tomasz Rędzia, Komenda Miejska Policji w Szczecinie. Ale wizyta jest, powiedzmy, kurtuazyjna. Nie obrażę się, jeśli pana szef nie znajdzie dla mnie czasu. – Wyszczrzył zęby, chowając blachę do kieszeni kurtki.

– Chwileczkę. – Mina chorążego nie wyrażała żadnych uczuć.

Wrócił do wartowni i zniknął w środku. Minutę później, którą Rędzia spędził, kontemplując gęsty jak afrykański busz las, szlaban uniósł się nagle, co komisarz potraktował jako zaproszenie.

Gdy mijał wartownię, zobaczył w drzwiach kolejnego żołnierza, który unosił rękę, więc zatrzymał się. Rudy, wąsaty i lekko otyły mężczyzna w randze kapitana i z przypiętym do kieszeni moro identyfikatorem z napisem „oficer dyżurny jednostki” obszedł samochód i powtórzyła się sytuacja sprzed chwili, jakby nie wierzył młodszemu stopniem koledze.

– Dowódca nie ma – oznajmił kapitan. – Przyjmie pana major Szymański, który go zastępuje. Proszę to założyć na szyję i podjechać po budynek „K”, na końcu tej drogi. Podoficer dyżurny kompanii zaprowadzi pana do niego. – Podał Rędzi identyfikator z logo jednostki i napisem „gość”.

Rędzia ruszył. Jednostka wyglądała dokładnie tak samo, jak wszystkie inne na terenie całej zachodniej Polski oraz Warmii i Mazur, wybudowane w latach dwudziestych i trzydziestych przez Niemców.

Trzy-, czterokondygnacyjne ceglane budynki kryte stromymi dachami, dziś ocieplone i pomalowane na kolor ciepłej żółci poustawiane były jak klocki na dywanie w pokoju dziecka z zaburzeniami ze spektrum autyzmu: w idealnym porządku. Minął rzędy garaży. Na placach pomiędzy nimi stały samochody, a przed jednym wielka armatohaubica. Krzątali się przy niej żołnierze z zakasаныmi rękawami. Wyglądali jak mrówki, które natknęły się na martwe zwierzę.

Rędzia dojechał w końcu do budynku z wymalowaną na elewacji wielką i czerwoną literą „K”. Wysiadł z samochodu i wszedł do chłodnego wnętrza sztabu jednostki. Przy biurku obok wejścia siedział jakiś sierżant, który wyglądał na weterana, i to bynajmniej nie z Afganistanu czy Iraku, a raczej z inwazji na Czechosłowację. Widząc Rędzię, wstał i mruknął coś niezrozumiałego, od razu ruszając w kierunku schodów, więc Rędzia poszedł za nim. Musiał przyznać jedno: wojak miał kondycję, którą mógł zawstydić niejednego młokosa. Na przykład Rędzię.

Komisarz nie wiedział, po co konkretnie chciał zobaczyć się z dowódcą. Nie był też pewien, o co chce go zapytać, bo zakładał, że wydarzeń sprzed ponad ćwierćwiecza już nikt nie pamięta. Zdążył zauważyć, że amnezja w zakresie wybranych zdarzeń była tu powszechną przypadłością. Jego plan dotyczący rozmowy był raczej nieprecyzyjny i polegał na pójściu na tak zwany żywioł.

Gdy dotarli na pierwsze piętro, sierżant zapukał do wielkich drzwi, a kiedy dobiegło zza nich gromkie „wejść!”, otworzył je. Bez słowa wpuścił Rędzię do środka i zniknął jak duch, zostawiając po sobie woń przepalonego oddechu.

Przy biurku stał wysoki mężczyzna, łysy jak kolano, w okularach o cienkich oprawkach. Zakasane rękawy munduru polowego ukazywały mocno owłosione przedramiona.

– Dzień dobry, Szymański. – Oficer podszedł do Rędzi sprężystym krokiem i wyciągnął do niego rękę, ale zreflektował się po chwili i schował ją za siebie.

– Wciąż się nie mogę przyzwyczać. – Roześmiał się. – Tu u nas, na odludziu, podchodzimy do sprawy trochę luźniej. Wie pan, kordon lasu, nikt nieupoważniony z zewnątrz nie ma tu wstępu.

– A ja?

– Pan jest upoważniony. – Major wskazał dyndający mu na piersi identyfikator.

– Aha – komisarz pokiwał głową – zapomniałem.

– Jesteśmy jak enklawa, niedostępna dla wirusa...

Rędzia już nie komentował. DPS-y też były enklawami, a wirus szalał tam w najlepsze czy raczej w najgorsze. Może oficer opierał swoje przekonanie na fakcie, że żołnierze nie musieli przychodzić i wychodzić z pracy, tylko wciąż byli na miejscu, ale wątpił, żeby to dotyczyło najwyższej kadry, która zwykle wynajmowała mieszkania poza jednostką.

A może pan major po prostu dostał taki rozkaz. I jak widać, można traktować kwestię epidemii bardzo skrajnie w obie strony: albo jak Bożena, albo jak pan major Szymański. On wolał zostać pośrodku. Uważał, że tak jest mimo wszystko najzdrowiej.

– Dziękuję, że zgodził się pan na moją wizytę – powiedział.

– Przykro mi, że pan pułkownik Łozecki nie mógł pana przyjąć, ale jest w sztabie dywizji na spotkaniu. Minęliście się pewnie po drodze. – Uśmiechnął się. – Jako szef sztabu jednostki postaram się panu pomóc najlepiej, jak umiem.

– Nie boi się pan, że pan pułkownik przywiezie ze Szczecina jakiś prezent?

– Nie rozumiem?

– Nie, nieważne... – Rędzia rozejrzał się po gabinecie, którego ściany zdobiły proporce, plakietki i dyplomy.

W rogu, na stojaku, stały flagi Polski i NATO. Szymański zauważył, że gość się rozgląda, i powiedział:

– Jako 4. Pułk Artylerii imienia króla Zygmunta III Wazy kontynuujemy tradycje wielu jednostek, które uległy rozformowaniu – wyjaśnił i przez chwilę Rędzia poczuł się jak w punkcie werbunkowym. – A to zobowiązuje.

– Do czego?

– Jest pan komisarzem, czyli oficerem, zgadza się? – Major zerknął na niego. – I pan mnie pyta do czego?

– Dawno pan tu służy? – Rędzia założył ręce do tyłu.

Przez chwilę poczuł się jak ważna osoba na wizytacji. Te osoby zwykle tak chodziły, jakby świerzbiły je ręce i musiały nad tym jakoś zapanować.

– Od początku. Przyszedłem do JW 1976 prosto po szkole oficerskiej.

– W którym roku?

– W dziewięćdziesiątym czwartym.

– Był pan tu, kiedy wydarzyła się ta tragedia na polanie?

– Nie, przyjechałem jesienią. Ale rzecz jasna słyszałem o tym. Wtedy to była świeża sprawa.

– Ja właśnie w tej sprawie.

– Pan? Policjant? O ile pamiętam, była zastrzeżona dla prokuratury wojskowej?

– Nie do końca. Sprawcą był żołnierz, ale zginęli cywile. No i on został zastrzelony przez cywila.

– Fakt, kręcił się tu ten prokurator z Drawska, Walczyk.

– Walczak.

– Tak, Walczak. Z tego, co wiem, nie ma tu już nikogo, kto służył w naszej jednostce w tamtym czasie.

– Co tu było wcześniej? – zapytał Rędzia. – Zanim powstał pułk?

– Ale pan skacze z tematu na temat – zdziwił się Szymański. – To samo. W dziewięćdziesiątym czwartym, w ramach reorganizacji struktur z pułkowych na brygadowe, przeformowano tutejszy 7. Dywizjon Artylerii na 4. Pułk. Co do zasady, wiele się nie zmieniło.

– A przed osiemdziesiątym dziewiątym?

– Przez cały czas były to koszary artylerii.

– Nie było tu niczego... Tajnego?

– Wie pan, za komuny wszystko, co dotyczyło wojska, było tajne. Takie czasy.

– A wyjątkowo tajnego?

– Mam wrażenie, że do czegoś pan zmierza...

– A ja mam wrażenie, że unika pan odpowiedzi. Pierwsza zasada klubu: nie mówimy o klubie?

– Nie mam ochoty na zagadki, panie komisarzu. Może niech pan powie wprost, o co chodzi?

– Krążyły pogłoski, że Armia Czerwona przechowywała tu głowice jądrowe do swoich pocisków dalekiego zasięgu.

Major roześmiał się.

– Ach, to... – Machnął ręką. – Nasłuchał się pan pewnie od ludzi, co? Rozumiem: zasieki, gęsty las i tak dalej... Nie, panie komisarzu. Od czterdziestego piątego stacjonowało tu wyłącznie wojsko polskie.

– A w czym to Ruskim przeszkadzało?

– To, o czym pan mówi, było niemożliwe i nawet niepotrzebne. Głowic atomowych do rakiet taktycznych i taktyczno-operacyjnych oraz bomb nie składowano w polskich jednostkach wojskowych. My mieliśmy tylko środki przenoszenia: wyrzutnie rakiet, samoloty, bomby...

– To gdzie były głowice?

– W naszym rejonie? We wszystkich większych bazach armii radzieckiej. Na lotnisku w Bagiczu, w Bornem i koło Białogardu. Wydanie głowic Polakom oraz wojskom pozostałych sygnatariuszy Układu Warszawskiego było możliwe wyłącznie na podstawie rozkazu Dowództwa Zjednoczonych Sił Zbrojnych Układu. Ruscy trzymali je u siebie, w swoich bazach, pilnował ich Specnaz. To tyle, jeśli chodzi o legendy oraz bajki z mchu i paproci.

– Rozumiem... – Rędzia wskazał okno, za którym była gęsta, nieprzenikniona zieleń sosen. – Ciężko wam tu chyba w lesie, bez cywilizacji?

– Ja nie narzekam. Lubię las, nie lubię miejskiego zgiełku.

– A zwykli żołnierze?

– To służba. Sami się zdecydowali, nikt ich nie zmuszał.

– Ja nie mówię o zawodowych. Mówię o zasadniczych.

– Służbę zasadniczą zlikwidowano wiele lat temu, panie komisarzu.

– Tak, to były jeszcze czasy, kiedy wartość pełnili żołnierze służby zasadniczej, a nie emeryci z agencji ochrony mienia.

– Zgadza się. Tak między nami, też nie jestem zwolennikiem tego rozwiązania. Za to dziś do wojska idą ludzie, którzy chcą bronić ojczyzny. Wartościowi i odpowiedzialni. Czemu ma pan taką minę?

– Jaką?

– Sceptyczną.

– Naprawdę? Cóż... Mam na ten temat nieco inny pogląd.

- Wolno panu. A można wiedzieć jaki?
- Nie wiem, czy ta dyskusja ma sens, panie majorze. W zasadzie chodzi mi jedynie o to, czy ci młodzi ludzie zdają sobie sprawę, że staną się częścią maszyny służącej nie tylko obronie umiłowanej ojczyzny.
- Nie bardzo rozumiem?
- A co jeśli to nie będzie obrona, tylko atak?
- Co pan mówi?
- Wie pan, kiedy lata temu brałem kredyt na mieszkanie, proponowali mi go we frankach. A ja zapytałem: a co jeśli za dziesięć lat Szwajcaria przestanie istnieć? A razem z nią ten nieszczęsny frank? Co wtedy? Doradca zadał mi to samo pytanie: co pan mówi? Bo to takie niewiarygodne, prawda? Myśli pan, że młodzi Niemcy wstępujący w trzydziestym do Reichswehry też myśleli, że po prostu będą bronić Vaterlandu przed Francuzami? Pewnie tak...
- Mogę postarać się zrozumieć pański punkt widzenia, ale musi pan pamiętać o jednym. Tu jest odsiew. Badania psychologiczne. Nie bierzemy gówniarzy zafascynowanych bronią, którzy lubią sobie postrzelać i spędzić trochę czasu w lesie, jedząc korzonki i polując z nożem na zające i wiewiórki.
- Ale rozkaz to rozkaz.
- Jest coś takiego jak doktryna...
- Doktryny się zmieniają. Sojusznicy się zmieniają. Prawo się zmienia. Ludzie się zmieniają. Wszystko się zmienia.
- Wolałby pan czasy, kiedy do wojska szedł każdy, kto miał nogi, ręce, oboje oczu i nie miał widocznych objawów ciężkiego upośledzenia umysłowego? Skoro jest pan policjantem, pewnie ominęła pana obowiązkowa...
- Skończyłem normalne studia i byłem w SPR-ze, dopiero potem wstąpiłem do policji.
- O! A co pan kończył?
- Wydział Chemiczny na polibudzie, uwierzyłby pan? W każdym razie za moich czasów była jeszcze służba zasadnicza. Miałem pod sobą żołnierzy na praktyce oficerskiej.
- Aha. Czyli wie pan, o czym mówię.
- No, właśnie wiem.

– Słyszę w pana głosie sarkazm.
– Przepraszam, naprawdę się starałem, żeby go ukryć.
– Czyżby?
– Nie. – Rędzia skapitulował. – Po prostu armia to nie moja bajka.
– Sam pan widzi, jakie były efekty naboru. Między innymi takie, jak na tej polanie.

– Co trzeba było zrobić w tamtych latach, żeby tu trafić? Dopóki pan mi nie wyjaśnił kwestii głowic jądrowych, byłem pewien, że żołnierze służby zasadniczej trafiali tu, do Śmielina, po naprawdę ostrej selekcji, mam na myśli aspekt psychologiczny. Pewniacy. Sprawdzeni i przewidywalni w swoim zachowaniu. Może dostawali wyższy żołd, chociaż gdzie go tu mogli wydać? I na co? Na żołędzie od wiewiórek?

Major uśmiechnął się smutno.

– To chyba raczej działało w drugą stronę. Tu trafiali ci, którym w poprzednich jednostkach zdarzały się wyskoki na miasto albo inne wybryki, choć zapewne nie na tyle poważne, żeby trafić do aresztu. Jak sam pan zauważył, tu nie ma dokąd wyskoczyć.

– Starszy szeregowy Urbańczyk jednak wyskoczył...

Szymański spojrzał na Rędzię uważniej.

– Czemu pan tu właściwie przyjechał? – zapytał.

– Nie żyje człowiek, który go wtedy zastrzelił na tej polanie.

– O... Skoro jest pan tu służbowo, to znaczy, że go zamordowano, prawda? Myśli pan, że to ma jakiś związek z tym, co zrobił? Przecież to było tyle lat temu?

– Ponad ćwierć wieku.

– Taak. Pamiętam, że tego chłopaka kreowano na bohatera.

Rędzia pokiwał w zamyśleniu głową.

– Jak zginął? – zapytał Szymański.

– Gwałtownie – odparł komisarz. – Dobrze, dziękuję panu, panie majorze, nie zabieram więcej czasu. I przepraszam za uszczypliwości wobec najświętszej matki armii.

– Musiał pan wyjątkowo ciężko przejść służbę. – Szymański miał zatroskany wyraz twarzy.

– Tak się składa, że pomijając kompletnie stracone sześć miesięcy życia, swoje długotrwałe przeszkolenie wojskowe i służbę wspominam

z rozrzewnieniem i uśmiechem na ustach.

– To już nic nie rozumiem. – Oczy majora zrobiły się okrągłe ze zdziwienia.

– No właśnie, ja też nie. – Rędzia uśmiechnął się szeroko. – Taki paradoks, wie pan? Może to dlatego, że za dużo wtedy widziałem. Jeszcze raz dziękuję i do widzenia.

Tym razem major Szymański nie kwapił się już do uścisku dłoni.

– Dałbym panu proporczyk z odznaką pułkową na pamiątkę, ale chyba sobie darujemy, prawda? – W jego oczach błysnęły wesołe iskry.

Rędzia zatrzymał się w pół kroku.

– A, jeśli pan major taki uprzejmy, to wezmę dwa. Dam swoim synom. Oni też chcą kiedyś bronić ojczyzny...

Kilka minut później Rędzia wyjeżdżał z jednostki. Spokojnie mógł sobie darować wizytę w JW 1976. W zasadzie niczego mu nie dała, prócz pamiątek dla chłopaków. Wracał do Szczecina, rozmyślając o tym, czego dowiedział się dzisiaj od Gardiasza. Zeznania, również te uczniów śpiących w internacie, były spójne w jednym: najpierw padły pojedyncze strzały, a potem seria, która najprawdopodobniej utkwiała w ciele żołnierza i jeszcze jeden strzał. Pytanie brzmiało, kto zna budowę i obsługę tego typu broni na tyle, żeby w takim stresie przestawić tryb na ogień ciągły? Adolf? A co z alkoholem? Adolf był najbardziej pijany, Rędzia znał jednak ludzi, którzy mając we krwi tyle promili co on, potrafili jakoś prowadzić auto. I po co Sarnecki naciskał na rozmowy z kolegami syna? Co chciał uzyskać? Pomyślał, że trzeba go będzie o to zapytać.

* * *

Swoimi wątpliwościami podzielił się następnego dnia z Kurylakiem, z samego rana, a potem z Agnieszką, kiedy odwiedził ją w prokuraturze. Był tu już stałym gościem, nie pamiętał ani jednego roku swojej kariery w policji, w którym byłby w prokuraturze więcej razy niż przez te kilka tygodni.

– Oni nie ponieśli praktycznie żadnych konsekwencji – dodał, kiedy zakończyli ten temat, nie dochodząc do żadnych sensownych wniosków. –

Żadnych. Nie mówię już o poprawczaku czy nawet więzieniu, bo niektórzy byli już pełnoletni. Nie znam szczegółów tego, co działo się w tej sprawie, w sensie prawnym. Ale nie przeniesiono ich do innej szkoły, nie mieli nadzoru kuratora, niczego. Przez miesiąc wszyscy w szkole milkli, kiedy oni szli korytarzem, czasem ktoś poklepał Adolfa po ramieniu, a potem wszystko wróciło do normy, pamiętasz? Odniosłem też wrażenie, że nauczyciele nie brali ich do odpowiedzi na lekcjach, jakby się czegoś bali albo nie chcieli ich... Nie wiem, narazić na stres? I nie odbyła się już żadna szkolna wycieczka, przynajmniej aż do naszej matury...

– Widzę w tym rękę Sarneckiego. – Agnieszka upiła łyk energetyka i pokręciła puszką, z której dobiegł chlupot resztek napoju. – Mówię o braku konsekwencji. Musiał zadziałać, gdzie trzeba. Teoria, że Jacek strzelił pierwszy, nie jest taka znowu głupia...

Rędzia patrzył na jej smukłe palce zaciśnięte na aluminiowym denku i srebrną bransoletkę na nadgarstku. Poczul charakterystyczny zapach napoju. Nie cierpiał go.

– Też tak myślę – powiedział. – Ale bez przesady, stary Sarnecki w Złocińcu i okolicach mógł być panem, jednak tu, u nas? Cokolwiek by mówić, Szczecin to jednak za duże miasto. Nawet na niego.

– Może znał właściwych ludzi?

– Może... Za to Kłosiewicz dostał po dupie, co? Siedział rok, półtora? Nie pamiętam. Proces się długo toczył, wyrok ostatniej instancji zapadł już po naszej maturze. – Rędzia się zadumał. – Wiesz, myślałem trochę o nim. O Radku Kłosiewiczzu, choć ja nie byłem z nim na ty, jak tamci. Czytałem jego zeznania, ale w sumie tylko tyle. Jakoś w tym wszystkim umknął, choć przecież jak się tak dobrze zastanowić, mógł mieć motyw, prawda?

– Teoretycznie tak – odparła Agnieszka, wrzucając puszkę do kosza koło biurka. – Ale idąc tym tokiem myślenia, musielibyśmy w ten krąg wrzucić wszystkich, całą naszą klasę. Pamiętasz, jak Adolf wyśmiewał się kiedyś z Darka Łukaszewskiego, z jego ciuchów z lumpeksu? Przy całej klasie? Pamiętasz, jaki on wtedy miał wzrok i minę? Tylko ty zareagowałeś...

– Bo też chodziłem po ciuchbudach.

– I wielu innych z nas. – Wzruszyła ramionami. – Ale tylko ty coś wtedy Adolfowi powiedziałeś.

– Myślisz, że Łukaszewski doszedł do wniosku, że Adolf zniszczył mu tym życie i postanowił go ukarać? Jednak Kłosiewicz miał bez porównania większe powody do zemsty niż on.

– Nie, no bez przesady. – Roześmiała się, przysiadając na krawędzi biurka i krzyżując nogi.

Rędzia musiał przyznać, że był to ładny widok.

– Więc może nie idźmy akurat tą drogą, ale uważam, że skoro już wiążemy ze śmiercią Adolfa ludzi, którzy się wtedy przewinęli przez sprawę strzelaniny...

– Ty wiążesz.

– Niech ci będzie: ja wiązę. W każdym razie nie wolno w tym pominąć Kłosiewicza. Można powiedzieć, że mamy sprawcę określonego grupowo. Przynajmniej teoretycznie. A to, że chcę go sprawdzić, to nic innego jak próba jego zindywidualizowania. Motyw zabójstwa, czyli zemsta, też jest naszym... Dobra, moim założeniem i szukanie sprawcy w tym gronie jest tylko konsekwencją tego założenia. Równie dobrze to mógł być jakiś wypadek i próba jego ukrycia. A przede wszystkim ukrycia następstw tego wypadku w postaci ofiary.

– Wszystko rozumiem, ale dlaczego Kłosiewicz miałby zabić Adolfa dopiero po dwunastu latach? – Agnieszka chwyciła kolano dłońmi i pochyliła się, marszcząc brwi.

– Może tyle czasu dojrzewał do zemsty? – Rędzia odpowiedział pytaniem i dodał: – Nie spadnij.

Przekrzywiła odrobinę głowę i zmierzyła go wymownym spojrzeniem, rzuconym znad oprawek okularów. Zeszła z biurka i podeszła do Rędzi, stając nad nim w milczeniu. Uznał, że tym samym daje mu do zrozumienia, by opuścił jej miejsce, co zrobił, acz z niechęcią. U niego w pracy nie było takich wygodnych krzeseł, ale z organów ścigania to prokuratury były teraz na topie, a nie jakieś tam psy.

Agnieszka usiadła na swoim miejscu i kliknęła myszą.

– Jeśli chodzi o motyw zemsty kogoś z rodziny tego dezertera, to możesz spokojnie ten wątek porzucić – powiedziała. – Był pólsierotą, jego ojciec zmarł, kiedy Urbańczyk miał pięć lat. Matka zmarła w dwa

tysiące drugim. Nie miał rodzeństwa. Mieszkał w Kołobrzegu. To wszystko, dalej się w temat nie zagłębiałam.

– W takim razie przerzucam to na Kłosiewicza.

– Sprawdzam go właśnie w SIP-ie – mruknęła.

Zaczęła klikać w klawiaturę. Szukając danych w Systemie Informacji Prokuratorskiej „Libra”, wpatrywała się z uwagą w ekran laptopa, a Rędzia obserwował jej profil.

– To śledztwo nie jest priorytetem – powiedziała nagle, nie odrywając wzroku od monitora.

– Dla mnie każde śledztwo w sprawie zabójstwa jest priorytetem.

– Rozumiem, ale wiesz, co mam na myśli. Trup sprzed prawie piętnastu lat...

– To coś zmienia?

– Nie o to chodzi.

– No dobrze, więc o co? To ma być ostrzeżenie czy tylko informacja, bo nie bardzo rozumiem? Bardzo często mi to powtarzasz, ale to są sugestie, a nie polecenia, tak? Rozumiem, że polecenie byłoby bardziej stanowcze w tonie i sformułowane w sposób raczej niebudzący moich wątpliwości?

– Mam wrażenie, że wkładasz w to dużo emocji, Tomek. Bardzo dużo. Nieadekwatnie do sytuacji.

Rędzia spojrział w okno.

– Możliwe – przyznał po chwili cicho.

– Dlaczego?

– Nie wiem. – Wzruszył ramionami. – Tak mam. Lubię wyjaśniać sprawy do końca.

Ledwo skończył to mówić, pomyślał, że dlatego właśnie chciałby wrócić do sprawy między nimi; tej sprzed ćwierci wieku temu. Ale nie powiedział tego na głos.

– To zrozumiałe, ale wiesz, że nie o tym mówię. – Zerknęła na niego.

– Znałem go. To po pierwsze. Nie jest to moim zdaniem powód do formalnego wyłączenia mnie ze sprawy, ale sam ten fakt wpływa w jakiś sposób na mój emocjonalny stosunek do niej.

– Ja też go znałam. Może jednak powinniśmy poprosić górę o wyłączenie?

– Nie. – Rędzia powiedział to odrobinę za głośno. – Dokończmy to.
– Albo i nie. – Uśmiechnęła się. – Szansa na wykrycie jest znikoma.
– To nieistotne. Nie zamierzam przez to pracować gorzej niż zwykle.
– Szukasz wszędzie. Będę upierać się przy swoim zdaniu, że w zbyt wielu miejscach.

– Nie robię tego po omacku, Aga. Wszystko wynika z czegoś. Na przykład dziwne zachowanie Sarneckiego w Śmielinie. Albo ten Pabiś. Gość też nie daje mi spokoju. A najgorsze, że nie mamy jak go podejść.

– Ach! – Agnieszka aż podskoczyła na krześle. – Dostałam wiadomość od pani konsul z Jersey!

– Teraz mówisz? Przecież to kluczowe!

– Mam naprawdę dużo roboty, Tomek. To śledztwo jest promilem tego, co aktualnie mam na tapecie.

– Przykro mi. – Wzruszył ramionami, bo co mógł powiedzieć; on też nie miał lekko, robił sobie zaległości, ale w przeciwieństwie do niej widział w tym sens. – I co!?

– Nie myliłeś się, że coś ci tam śmierdziało. Pełnomocnictwo dla Szczepana Pabisia nie zostało tam nigdy wystawione. To fałszerstwo.

Rędzia patrzył na Agnieszkę uważnie. Nie wyglądała, jakby się za bardzo podeksycytowała. On wręcz przeciwnie.

– Jest możliwe, że się pomyliła? – upewnił się. – Że coś nie zagrało w systemie?

– Też ją o to zapytałam mailowo. Bardzo uprzejma kobieta, odpisywała na bieżąco. Nie ma możliwości pomyłki ani zagubienia. To ewidentne fałszerstwo.

– Teraz coś na niego mamy. – Zatarł zadowolony ręce. – Tylko jak go tam osiągnąć w tym cholernym Dubaju?

Agnieszka nie odrywała wzroku od komputera.

– Co mamy, Tomek? – zapytała obojętnie. – Wiesz, jak to się odbywa? Ustalona z polskim notariuszem treść pełnomocnictwa wędruje do Anglii do mocodawcy. Mocodawca przygotowuje dokument i podpisuje go w konsulacie, w obecności konsula, po czym odsyła go do Polski, do pełnomocnika, z klauzulą apostille. Teoretycznie Pabiś mógł być nawet nieświadomy, że nie ma prawa stawać do aktu, bo jest umocowany na

podstawie sfalszowanego dokumentu. Dupa. Pytałeś niedawno, czy Adolf tylko nie wiedział, czy się nie zgadzał. Tu może być podobnie.

– Podcinasz mi skrzydła – poskarżył się.

– Od kiedy jesteś taki wrażliwy? – Szeroko otworzyła oczy, zanim uświadomiła sobie, że żartuje. – No dobrze – mruknęła. – Wróćmy do Kłosiewicza, przynajmniej jest na miejscu. Chyba. Radosław Adam Kłosiewicz. Skazany wyrokiem sądu na dwa i pół roku bezwzględnego więzienia, odbył karę w części, zwolniony warunkowo po półtora roku odsiadki. Kara oczywiście się zatarła. Jeśli dziś znów pracuje w jakiejś szkole, to mogą o tym nie wiedzieć. Ustal dalsze szczegóły i pogadaj z nim.

Rędzia wstał.

– Dzięki i trzymaj się – rzucił do Agnieszki.

– Taki szybki jesteś? – Obrzuciła go rozbawionym spojrzeniem.

Nie uśmiechnął się.

– Od czasu zabójstwa minęło czternaście lat. Szansa na wykrycie sprawcy spada zwykle drastycznie, im więcej czasu mija od zdarzenia. A po tylu latach to w ogóle nie ma o czym mówić. To na co mamy czekać?

– Bierz go, skrzydlaty asie – syknęła złowieszczo.

Teraz się uśmiechnął. Machnął jej na pożegnanie i wyszedł.

* * *

Kłosiewicza nie było w domu, ale ponieważ Berdak podesłał mu również adres jego miejsca pracy, pojechał do składu budowlanego na Santocką. Jak widać, drogę krzewienia kultury fizycznej wśród młodzieży uznał za niewartą powrotu i Rędzia mu się chyba nie dziwił. Skład, w którym pracował Kłosiewicz, oferował piaski, żwiry, gnejsy, ozdobne kamienie i betonowe elementy małej architektury, czyli wszystko to, czym można będzie sobie zaaranżować ogród, kiedy tylko świat wróci do normalności.

Albo i nie wróci.

Na drzwiach niewielkiego pawilonu wisiała kartka o treści niemal dokładnie takiej samej, jak na większości drzwi we wszystkich firmach w kraju. Rędzia zniechęcony już zamierzał wrócić do samochodu, kiedy

usłyszał zza budyneczku charakterystyczne odgłosy szorowania metalu po betonie. Ktoś coś zamasyście szuflował, odgłos był miarowy i jednostajny, jakby to robiła maszyna, a nie człowiek. Rędzia poszedł za tym dźwiękiem i kiedy znalazł się na wielkim placu za pawilonem, zobaczył jego źródło.

Część placu podzielona była na małe sektory, oddzielone od siebie półtorametrowej wysokości ścianami z żelbetowych płyt. W boksach leżały sterty kamyczków różnej wielkości i kolorów, Rędzia aż się zdziwił, że w naturze można spotkać tak żywe barwy. W jednym z boksów stał pochylony półnagi mężczyzna i wielką szuflą podsypywał żwir na górę sterty. Podeszedł do niego i powiedział:

– Dzień dobry.

Zaskoczony człowiek wyprostował się nagle i spojrzał w jego stronę.

– Nic panu nie sprzedam – oznajmił, opierając się na szuflę. – Zamknięte, przykro mi.

To był Radosław Kłosiewicz, Rędzia nie miał żadnych wątpliwości. Prawie się nie zmienił, tylko wśród króciuteńko przystrzyżonych włosów bez śladu łysiny prześwitywały srebrne kropeczki. Poza tym nic. Aż nie do wiary, facet był po pięćdziesiątce. Widać ruch na świeżym powietrzu mu służył.

– Komisarz Tomasz Rędzia. – Rędzia błysnął gwiazdą.

– Nie robię nic nielegalnego. – Kłosiewicz pokręcił głową. – Żle pan trafił. To moja firma, zachowuję wszelkie obostrzenia, przestrzegam wytycznych GIS, nie ma się czego przyczepić.

Patrzył na Rędzię wyczekująco.

– To pana interes? – zdziwił się Rędzia.

Najwyraźniej Berdak coś mu źle przekazał.

– Tak. Pewnie zmyliło pana, że bawię się tu kamyczkami?

– Trochę.

– Po co mam w domu siedzieć? Korzystam z okazji i sprzątam. Wysłałem chłopaków na wolne. I tak prawie nie ma klientów, doskonale radzę sobie sam.

– Nie przychodzę w sprawie kontroli – powiedział. – Przychodzę w sprawie Adolfa.

Patrzył, jak Kłosiewicz garbi się lekko i mocno zaciska palce na trzonku szufli.

– Został zamordowany – dodał.

– Nie mam z tym nic wspólnego – odpowiedź był cicha i dobitna.

Rędzia nie spodziewał się innej. Przez chwilę pomyślał, że może nie powinien przyznawać mu się do tego, kim jest, czy może raczej kim był kiedyś. Zaczął zastanawiać się, czyby mu to pomogło, czy wręcz przeciwnie, więcej zyskałby, przyznając jednak, że był jego uczniem.

Kłosiewicz wciąż milczał, stojąc nieruchomo, trzymając się szufli jak pijany słupa. Było dość chłodno pomimo pełnego słońca, na jego skórze błyszczały krople potu, ale Rędzię na ten widok przeszedł nagle lekki dreszcz. W końcu podjął decyzję. Zrobiłby może inaczej, gdyby wtedy pojechał na tę wycieczkę. Ale nie pojechał.

– Byłem pańskim uczniem – powiedział. – Chodziłem do tej samej klasy co Adolf i reszta. Nie trzymałem się z nimi i nie byłem na tej wycieczce. Prowadzę to śledztwo przypadkiem. Nie ma przesłanek świadczących o tym, że to, co wydarzyło się w Śmielinie, ma związek z jego śmiercią, ale badam również ten trop. Uważam go wręcz za bardzo istotny.

– To oczywiste. – Kłosiewicz uśmiechnął się, ale to był słabiutki uśmiech, przemknął ledwie przez jego twarz i zniknął jak zdmuchnięty.

– Co jest oczywiste?

– Że będę podejrzany, i to w pierwszej kolejności.

– Nie jest pan podejrzany. Gdyby pan był, nie rozmawialiśmy w takich okolicznościach – skłamał Rędzia i kopnął lekko mały, chropowaty i pasiasty kamień, który leżał koło jego nogi.

Patrzył, jak sunie jakiś metr w stronę boksu ze swoimi braćmi. Nie, jednak nie skłamał; w końcu formalnie Kłosiewicz nie miał statusu podejrzanego w sprawie.

– Dobrze i to. – Kłosiewicz podniósł szufłę i powtórzył: – Dobrze i to...

Cisnął nią w pryzmę żwiru, obaj patrzyli, jak czerpak utyka w niej do połowy.

– Chodźmy – rzekł do Rędzi i ruszył w stronę pawilonu. – Nie będziemy tak przecież gadać...

Kiedy usiedli w kanciapce, jedynym wolnym od betonowych elementów miejscu pawilonu, Kłosiewicz powiedział:

– Tamte wydarzenia zmieniły mi życie, to oczywiste. Czasem myślę sobie, że to była przykra konsekwencja popełnionych przeze mnie błędów wychowawczych, a czasem, że to po prostu głupi przypadek. Wiem, że nie powinienem był bratać się z uczniami, nie w takim stopniu, ale chciałem do was lepiej trafić. Adolf i reszta tej jego paczki to nie byli źli chłopcy. Trochę ich poznałem, chodzili do mnie na SKS, dużo gadaliśmy, wiedziałem o nich sporo. Tak pojmowałem swoją misję jako nauczyciela. Stało się to, co się stało. Teoretycznie każdy nauczyciel ryzykuje tak samo i to ryzyko wpisane jest w zawód, to samo przydarzyło się temu człowiekowi, który poszedł ze swoimi uczniami w góry i porwała ich lawina. Mógł to przewidzieć? Nie. Mogłem dać sobie spokój i nie jeździć na żadne wycieczki, bo nikt za to nie płacił, to jest tylko dobra wola. Wielu moich kolegów z grona pedagogicznego tak postępowało, bo chciało mieć święty spokój, i ja to szanuję. Ja miałem po prostu inny pogląd. Po skazaniu odsiedziałem swoje, poukładałem sobie życie, ale do zawodu już nie wróciłem i pewnie pan się nie dziwi, co? Wyjechałem do pracy za granicę. Zdobyłem mały kapitał, założyłem firmę, zbudowałem skład i jakoś sobie radzę. Nie chcę wracać do tamtej sprawy.

– Nikt nie chce.

– Ale pan wraca.

– Ja muszę. Zna pan ich dalsze losy?

– Żartuje pan? Nie wiem, co się dzieje z uczniami, i nie chcę wiedzieć. Wie pan, ja chyba nawet nie mam do nich żalu. Też byłem młody i wiem, jak to jest. Kto mógł wtedy pomyśleć, że niewinna nocna wyprawa do lasu na rozpicie flaszki zaowocuje trzema trupami?

– Co pan robił w dwa tysiące szóstym roku, w lipcu?

– Dlaczego akurat taka data?

Rędzia pomyślał, że to może świadczyć na korzyść Kłosiewicza. Chyba że był przebiegły. A więc cofam pytanie, wysoki sędzie.

– A pamięta pan, co wtedy robił?

Kłosiewicz uśmiechnął się lekko.

– Od dwa tysiące trzeciego do dziewiątego pracowałem w Irlandii. Najpierw na plantacji mieczyków, potem w kawiarni, i w stadninie,

w rzeźni i w mleczarni. Nawet w księgarni. Ani razu nie przyjechałem do Polski. Nie miałem po co. To stąd wziąłem kapitał na firmę. – Wskazał na maleńkie okienko. – Oszczędzałem każdy grosz.

– Rozumiem. – Rędzia odruchowo zerknął przez nie na hałdy żwiru i kamieni w boksach. – Chciałbym jeszcze uściślić jedną rzecz: był pan w Irlandii czy Irlandii Północnej?

– W Irlandii. W republice.

– Pytam, bo niektórzy są przekonani, że Irlandia Północna to część Irlandii, a nie Wielkiej Brytanii.

– To może być dość bolesna pomyłka, kiedy tam się jest – zauważył Kłósiewicz.

– Tylko się upewniam. A na Jersey może pan był? – zapytał od niechcienia Rędzia, obserwując jego twarz.

– Dlaczego akurat na Jersey?

Odpowiedź była szybka i naturalna. I wyrażała autentyczne zdziwienie.

– Tak tylko pytam. Naprawdę nie przyjeżdżał pan do Polski przez cały czas emigracji? Przez pięć lat?

– Sześć. Ani razu. Nie było potrzeby, a ciułałem każdy grosz. Opłaciło się. – Kłósiewicz ręką zatoczył szeroki łuk nijak niepasujący do ciasnego wnętrza. – Każdy pieprzony dzień. Do dziś nie mogę patrzeć na kwiaty, ale jestem panem swojego życia. Kto wie, może powinienem nawet być im wdzięczny?

– Im? Nie Adolfowi?

Kłósiewicz patrzył na niego przez chwilę nieruchomym wzrokiem.

– Jak wspomniałem, nie mam już do nich żalu, ale to nie zmienia faktu, że wszyscy byli winni w równym stopniu – powiedział. – To, że Mariusz uratował kolegów, nie umniejsza ani jego winy, ani ich. Ale to już zamknięta przeszłość...

– Nawet pan nie wie, ile razy to ostatnio słyszałem – mruknął Rędzia.

– Może tak po prostu jest.

Rędzia wyciągnął rękę i pomacał brzeg stojącej obok kamiennej fontanny w formie kwiatu lotosu. Nie było w niej wody, stała tu jako element ekspozycji.

– Wie pan, ja zawsze w tej klasie szedłem pod prąd – powiedział. – Przeważnie miałem zdanie odrębne niemal w każdej sprawie, i to nie dla zasady, tylko po prostu taki byłem. I chyba nic się nie zmieniło, mimo że klasy już dawno nie ma.

– To znaczy?

– Dla mnie to nie jest zamknięta sprawa. Ja ją dopiero zamierzam zamknąć. Dzięki i do widzenia. – Wyciągnął do Kłosiewicza rękę, zapominając o wirusie. – I cieszę się, że panu wyszło, jeśli mogę wyrazić prywatną opinię. Naprawdę. Zdaję sobie sprawę, że to efekt pańskiej ciężkiej pracy, ale mimo wszystko należało się panu jak cholera.

Kłosiewicz uścisnął jego dłoń z zaskoczeniem w oczach.

– Dziękuję – powiedział po prostu, z szerokim uśmiechem i przez chwilę znowu był dawnym Radkiem, wuefistą.

Rędzia wrócił do samochodu. Kiedy mościł się w fotelu, jego wzrok padł na buteleczkę z kremem odkażającym. Przypomniał sobie oczy Bożeny i jej głos, kiedy codziennie pytała przez telefon, czy na siebie uważa. Pomyślał o niej ciepło i dla świętego spokoju zaaplikował sobie na dłoń gęstą, przezroczystą maź, rozsmarowując ją na skórze dłoni.

Potem wyciągnął telefon i zadzwonił do Agnieszki.

– Jak tam? – zapytała.

– Pudło. – Westchnął.

– Pudło?

– Nie było go w tym czasie w kraju. Tyrał w Irlandii.

– Wiesz, co to Ryanair?

– Twierdzi, że nie przyleciał ani razu.

– Jest sens to sprawdzać?

– Może. Jeśli ci się chce, możesz uderzyć do Straży Granicznej albo nawet samego Ryana. Poleciał tam przed wejściem Polski do Unii, więc może przed dwa tysiące piątym coś będzie, ale potem to nie wiem.

– No dobrze. Czyli szukamy dalej?

– Szukamy. – Rędzia ponownie westchnął. – Co porabiasz wieczorem?

– To co zwykle. Telewizja, wino, łóżko.

– Nie masz ochoty wyskoczyć na piwo i pogadać o czymś innym niż o naszych kolegach ze szkoły? Mnie też się nie chce wracać do domu.

– Wszystko jest pozamykane, Tomek. Przypominam, jest epidemia.

Zamknął oczy i uderzył potylicą w zagłówek.

– Kurwa, fakt...

– Możemy kupić coś w Żabce i obalić u mnie albo u ciebie. Też mam dość tej pieprzonej izolacji.

Poczuł, jak zasycha mu w gardle. Jak miał to odebrać? Postanowił nie dać po sobie niczego poznać. Musiał myśleć rozsądnie. Miał żonę, dzieci i kredyt. Był dojrzałym, trzeźwo myślącym facetem. Poza tym kto powiedział, że Agnieszka ma coś na myśli? Uznał też, że na wszelki wypadek lepiej zaprosić ją do siebie, wtedy ryzyko, że coś głupiego wpadnie mu do głowy, będzie o wiele mniejsze.

– W takim razie zapraszam cię do siebie. Wolisz wino czy piwo? Jakby co, mam też coś dla prawdziwych mężczyzn.

– Wino. Białe, półwytrawne. Załatw do tego krakersy, camemberta i zielone winogrona, najlepiej bezpestkowe, a zrobisz mi wieczór.

– Załatwię – obiecał.

– Wpadnę koło osiemnastej. Nie chcę potem zbyt późno wychodzić.

– Jak sobie życzysz – odparł Rędzia.

Pożegnał się, odłożył telefon na siedzenie, przekręcił kluczyk w stacyjce i ruszył w stronę domu, zastanawiając się, gdzie do cholery znajdzie teraz zielone winogrona.

I to bezpestkowe.

* * *

Wszystko potoczyło się samo. Rędzia nie miał na to wpływu, tak uważał, choć przecież jakąś cichą nadzieję na to, co się stało, musiał mieć. Jak każdy facet. I to Agnieszka wyszła z inicjatywą, co, jak sądził, mogło go trochę usprawiedliwiać. Siedzieli na kanapie, pili wino, jedli te cholerne, kwaśne jak ocet siedmiu złodziei zielone winogrona po dwanaście pięćdziesiąt za kilo i gadali jak najęci, opowiadając sobie historie swojego życia. A potem ona spojrzała na niego, odstawiła kieliszek na stolik, przysunęła się i pocałowała go.

Mógł odwrócić głowę, ale nie odwrócił.

Mógł powiedzieć „nie”.

Nie powiedział.

Mógł zrobić cokolwiek.

Nie zrobił.

Prawda była taka, że nie chciał robić. Poddał się jej pocałunkowi i chwilę później tarzali się po podłodze, turlając się w stronę sypialni, niemal zrywając z siebie ubrania, co było bardzo trudne, zważywszy na to, że niemal przez cały czas pozostawali złączeni ustami. Jak w jakimś pieprzonym *Greyu*. Albo filmie o roku nieprzestępnym. Wino i tarzanie się po podłodze, ciche jęki, tylko opaski na oczy brakowało.

A teraz miał kaca. Moralniaka. Ze zdjęcia na ścianie spoglądała na niego żona i chłopaki, a on, leżąc w ich wspólnym łóżku, gapił się na nagą, obcą kobietę, z którą przed chwilą skończył uprawiać seks.

Stała przy oknie, na jego ciemnym tle. Wciąż naga. Co prawda Rędzia mieszkał na dziewiątym piętrze i to w skrajnym bloku, ale miał nadzieję, że nikt znajomy z osiedla nie liczy teraz i pięter, i okien, żeby ustalić, u kogo w mieszkaniu odbywają się seksualne harce. Wyobraził sobie przez chwilę zaskoczenie teoretycznego obserwatora. A potem konsekwencje, już dla niego. Przestał się nad tym zastanawiać i skupił się na niej. W ciemnym kwadracie, jak w ramie obrazu, widział jej nagą postać. Długie nogi, wąskie, ale krągłe biodra, wcięcie w talii, linię kręgosłupa pomiędzy lekko wystającymi łopatkami i smukłą szyję odkrytą teraz dzięki krótko ściętym włosom. Wspaniały kształt przypominający klepsydrę albo wiolonczelę. Jak arcydzieło natury. Dojrzałe i wysublimowane. Rędzia cieszył się tym widokiem, czerpał z niego radość i to tak zachłannie, jakby ktoś miał ją zaraz stąd zabrać.

Nagle parsknął lekko przez nos.

– Co? – zapytała, ale nie odwróciła się od okna, co go ucieszyło.

Chciał mieć tę przyjemność jak najdłużej. Chciał zapomnieć o kacu.

– Nie, nic. Przypomniała mi się lekcja wuefu, w trzeciej klasie. Pamiętasz, sala gimnastyczna przedzielona była taką wielką kotarą? Po jednej stronie chłopaki, po drugiej dziewczyny.

– Pamiętam. – Pokiwała głową, wciąż nie odwracając się. – Kiedy grałyśmy w siatkówkę, żadna nie chciała przyjąć piłki, żeby nie złamać paznokcia.

– My graliśmy wtedy w kosza, a że było nas za dużo jak na połowę sali, to robiliśmy zmiany. Ja akurat zszedłem z boiska i usiadłem na ławce,

przy tej kotarze. Była lekko odsunięta, więc was widziałem. Stałaś tyłem, lekko pochylona i czekałaś na przyjęcie piłki. Miałaś te swoje długie, czarne włosiska i wypięte w moją stronę pośladki. A na nich żółte szorty z cienkiego materiału opiętego na koronkowym obrzeżu majteczek. Nawet mi wtedy nie stanął, wiesz? Byłem za bardzo zaskoczony. Po prostu patrzyłem na to z zachwytem i zastanawiałem się, jak wcześniej mogłem nie zauważyć, jak atrakcyjną dziewczyną jesteś... A rok później poszliśmy do łóżka. To był mój pierwszy raz, wiesz?

– Wiem. Zorientowałam się. – Odwróciła się od okna i cień uśmiechu przebiegł po jej twarzy.

– A twój? Nigdy cię o to nie zapytałem. Ani wtedy, ani potem. Potem zresztą nie dałaś mi okazji...

Milczała chwilę.

– Nie – powiedziała w końcu. – Mój nie.

Zapadła cisza. Nie była niezręczna, po prostu nastąpiła i trwała przez jakiś czas. W końcu nigdzie się nie spieszyli.

Agnieszka podeszła do łóżka i usiadła na jego skraju w pozie kopenhaskiej syrenki. Jedną ręką podparła się o materac, a ramieniem drugiej objęła za kark; krągłości drobnych piersi spotkały się, tworząc głęboką szczelinę dekoltu niknącą w zgięciu łokcia. Spuściła lekko głowę i zaczęła wpatrywać się w delikatny wzór na prześcieradle.

– Jesteś zawiedziony? – zapytała, nie unosząc głowy, a jedynie zerkając na Rędzię spod zmarszczonych brwi.

Puściła kark i wodziła teraz palcem po jednym z rombów na prześcieradle. Rędzia wzruszył ramionami.

– Czy ja wiem? Jakie to ma w sumie znaczenie? Zwłaszcza tu i teraz?

– Właśnie...

– Pewnie, że byłoby miło, ale... – Machnął ręką. – Zresztą tak podejrzewałem.

– Dlaczego? – Palec na prześcieradle zatrzymał się nagle.

– Pomijając brak krwi, bardzo sprawnie ci to szło, w przeciwieństwie do mnie.

– Miałam dobrego nauczyciela.

– Adolfa? – Rędzia miał nadzieję, że nie. Że ktokolwiek, byle nie on.

Odpowiedź, którą dostał po chwili, wstrząsnęła nim, sprawiając, że oddałby naprawdę wiele, żeby to jednak był Adolf.

– Mojego ojca – powiedziała drewnianym głosem.

– Jezu Chryste... – wydusił z siebie.

Tylko na tyle było go stać.

Podbródek Agnieszki zaczął drżeć, jej oczy wpatrzone w twarz Rędzi pociemniały i zwilgotniały. Nagle wstrząsnął nią szloch. Rędzia przysunął się do niej i wyciągnął ręce, żeby ją objąć, ale pokręciła gwałtownie głową, porwała poduszkę i wcisnęła ją sobie w twarz. Mocno. Tak mocno, że stłumiony płacz był ledwo słyszalny, a drzenie jej ramion można by pomylić ze śmiechem. Rędzia widział jej palce zaciśnięte na materiale tak silnie, że aż pobielały. Potem pochyliła się, powoli, jak podcięte drzewo, które dopiero zaczyna padać, a ciężar i grawitacja jeszcze nie zdążyły nadać mu pędu. Złożyła głowę na łóżku, wciąż z podkulonymi nogami, i leżała tak, już w ciszy i nieruchomo. Rędzia patrzył w okno, w czarne niebo za nim, i czekał. Nagle Agnieszka podniosła się i usiadła w tej samej pozycji, w której była, zanim padły te straszne słowa. Znowu była wdzięczną syrenką z długimi nogami zamiast rybiego ogona. Wyprostowała się, wyginając głowę i ramiona do tyłu, jakby dopiero się obudziła. Łopatki niemal się zetknęły, a piersi spłaszczyły, kiedy skóra napięła się na mostku i spiętych nim żebrach. Łabędzia szyja wyprężyła się we wdzięczny łuk, ukazując ścięgna i żyły. Rędzia zapragnął nagle jej dotknąć. Musnąć białą skórę chociaż końcówkami palców.

– To chyba nie był dobry moment, żeby mówić ci o tym, co? – Agnieszka uśmiechnęła się lekko do Rędzi, ocierając łzy i oddając mu poduszkę. – Zmoczyłam ją całą...

– Nie ma czegoś takiego jak dobry moment na to, żeby powiedzieć komuś o molestowaniu przez własnego ojca. – Wziął poduszkę z jej ręki i odłożył na bok. – Kurwa, to był nawet fajny facet...

Poznał go, kiedy przyszedł po Agnieszkę po raz pierwszy, żeby zabrać ją na koncert do „Słowianina”. Potem widzieli się jeszcze kilka razy, zamieniali zwykle parę słów, nic konkretnego, taka niezobowiązująca gadka. Agnieszka nigdy nie zaprosiła go do siebie, do mieszkania, a on nie nalegał, nie miał więc okazji, żeby porozmawiać z jej ojcem o czymś

więcej. Kończyło się na zdawkowej wymianie grzeczności i informacji o sytuacji w szkole i na świecie.

– Nigdy nie mówiłam, że nie jest fajny. Jedno drugiemu nie przeszkadza. Można być i fajnym, i pedofilem. Trzeba mu oddać, że był delikatny...

– Proszę cię, Aga, bo się zaraz porzygam. Jak możesz tak mówić?

– Nie zrozumiesz tego – powiedziała gorzko. – Nigdy. Tego się nie da wytłumaczyć komuś, kto tego nie przeżył. Nie wierzysz, że ktoś, kto cię kocha, może cię skrzywdzić. Przecież to sprzeczność sama w sobie. A kiedy jednak zdajesz sobie sprawę, że to krzywda, to nie dopuszczasz tego do siebie. Tłumaczysz go jakoś albo po prostu zamykasz się w sobie, kiedy to się dzieje, i wypierasz. Skupiasz się na tym, co dobre, a nie na tym, co złe. Sporo czasu zajęło mi poukładanie sobie tego wszystkiego. Wybrałam studia w Poznaniu nie tylko z powodu lepszego poziomu niż na naszym uniwerku. I może nie powinnam ci była tego mówić. Nie tylko teraz, ale w ogóle.

– Żałujesz, że mi powiedziałaś?

Zastanowiła się przez chwilę.

– Nie. To było nawet... Przyjemne, w pewnym sensie. Takie oczyszczające. Zwłaszcza ten płacz. – Wskazała poduszkę lekko zawstydzona.

– Możesz mi mówić wszystko, Agnieszka – rzekł Rędzia poważnie.

– To zabrzmiało... – Urwała.

– Jak?

– Nie zakochaj się tylko we mnie – powiedziała tonem, który wydał się Rędzi ostrzegawczy. – Proszę cię, Tomek.

– Skąd wiesz, że nie jest za późno? – zapytał.

– Nie jest. Powiedz mi, że nie jest.

– Nie jest – uspokoił ją. – Możesz się nie martwić.

– I niech tak zostanie, dobrze? – poprosiła.

– Zrobię, co mogę – obiecał z łobuzerskim uśmiechem, kładąc się na boku i podpierając się łokciem.

Wstała i zaczęła się ubierać. Rędzia z fascynacją patrzył, jak wkłada kolejne elementy garderoby, i stwierdził, że ubieranie się może być

równie seksowne, jak rozbieranie. Kiedy skończyła, wsunęła na stopy czółenka i spojrzała na niego.

– Dzięki. – Uśmiechnęła się.

– Nie idź – poprosił cicho.

– Jesteś zonaty.

Spojrzał w bok lekko zniesmaczony. Ten moment nie był dobry na przypominanie takich rzeczy.

– To, że pójdziesz, zmieni cokolwiek w tej kwestii? – zapytał.

– Nie. Co się stało, to się nie odstanie.

– Więc zostań. – Poklepał materac obok siebie.

Pochyliła się nad nim i kiedy zorientował się, że chce go pocałować, nadstawił usta. Lecz ona przekrzywiła głowę i pocałowała go w policzek.

– Do zobaczenia – powiedziała, patrząc na niego.

W jej oczach były wesole iskierki, w jego smutek.

Kiedy wyszła, wziął prysznic. Stojąc przed lustrem, unikał swojego wzroku. Wycierał się ręcznikiem zamasyście i tak mocno, że aż poczerwieniała mu skóra. Potem wrócił do łóżka, rzucił się na nie i zadzwonił do Bożeny. Wysłuchał relacji z dzisiejszych wydarzeń, pogadał chwilę z synami, a potem oznajmił, że miał ciężki dzień i idzie spać.

– Dobrze się czujesz? – zapytała Bożena.

– W jakim sensie? – nie zrozumiał.

Głowę miał zajęta czymś innym.

– Nie kaszlesz? Nie straciłeś węchu ani smaku? Nie masz gorączki?

– Aaa, to. – Roześmiał się. – Nieee, spokojnie. Wszystko jest w absolutnym porządku.

– To dobrze. – Westchnęła, ale nie brzmiało to, jakby była spokojniejsza. – W takim razie idź spać. Pa. Kocham cię.

– Ja was też. Do jutra.

Odłożył komórkę na stolik nocny i wpatrzył się w sufit. Po chwili chwycił się za głowę i zaczął masować jej boki. Krótkie włoski tarły z chrzęstem o skórę wnętrza dłoni, łaskocząc go lekko.

– Kurwa... – szepnął do siebie.

Przewrócił się na brzuch i położył twarz na drugiej poduszce. Pachniała Agnieszką. Zamknął oczy i wtulił w nią twarz, wdychając

zapach nosem i ustami. Przypomni ł sobie, jak Agnieszka poprosi a go,  eby si  w niej nie zakocha , a on jej obieca ,  e tego nie zrobi. Jakby takie obietnice w og le miały jakiegokolwiek pokrycie, a ludzie wp yw na to,  e ich dotrzymaj .

Sk ama .

By o ju  za p źno.

Jakie  dwadzie cia par  lat za p źno.

[1] pozosta oci powystrza owych

2020

Następnego dnia Rędzia wziął na tapetę kolejne nazwisko z akt sprawy Śmielina. Rzuciło mu się w oczy, kiedy je przeglądał, choć osoba ta nie uczestniczyła bezpośrednio w wydarzeniach. Miała z nimi jedynie luźny związek. Chodziło o psycholog, która w dziewięćdziesiątym czwartym sporządzała opinię w sprawie chłopaków. Rędzia znalazł ją gdzieś między innymi papierami, a teraz chciał sprawdzić, czy po pierwsze kobieta w ogóle pamięta tamtą sprawę, a po drugie, co mogłaby mu o niej opowiedzieć, poza tym co napisała w swojej opinii.

Katarzynę Świątkowską odnalazł niemal natychmiast, używając po prostu internetowej wyszukiwarki. Była dziś profesorem, pracownikiem naukowym i wykładowcą w Katedrze Psychologii Klinicznej i Psychoprofilaktyki Instytutu Psychologii na Wydziale Humanistycznym szczecińskiego uniwersytetu, okazało się również, że jest cenionym i polecanym psychoterapeutą. Ponieważ na stronie podany był numer kontaktowy, od razu do niej zadzwonił.

Nie liczył, że ktoś odbierze, bo dziś prawie wszyscy pracowali zdalnie, ale miał nadzieję i tej nadziei kurczowo się trzymał. Jakby co, zawsze zostawały systemy i wizyta w domu.

– Świątkowska, słucham?

A jednak. Rędzia przedstawił się i powiedział, w jakiej sprawie dzwoni, dodając, że zależy mu na spotkaniu. Kiedy odparła, że pamięta sprawę strzelaniny w Śmielinie, zaczęło zależeć mu jeszcze bardziej, co najwyraźniej pani profesor odczytała z jego tonu.

– Zapraszam pana na uczelnię – oświadczyła krótko. – Nie mam zajęć, ale jestem na miejscu.

– Teraz?

– A ma pan wcześniej coś do załatwienia?

– Nie.

– To teraz. Zapraszam, budynek uniwersytetu na Krakowskiej, ten mniejszy, trafi pan? Na miejscu spyta pan w dyżurce, powinien ktoś tam być.

– Trafię. Do zobaczenia.

Odłożył telefon i jego wzrok padł na małą, zieloną książeczkę, leżącą na biurku pod ścianą, na samym jego skraju. Wziął ją do ręki, otworzył okładkę i znów spojrzał na niego Adolf. Coś przyszło mu do głowy. Myślał przez chwilę, klepiąc książeczką wewnątrz lewej dłoni, a potem odwrócił się w stronę Berdaka.

– Jarecki – zagadnął go. – Dobrze wspominasz studia?

– A co?

– Nie przejechałbyś się do rektoratu uniwerku albo na wydział humanistyczny po pewne informacje?

Berdak oderwał się od jakichś papierów, nad którymi ślęczał.

– Jakie?

– To byłaby taka powtórka z tego, co zrobiłeś na początku z moimi kolegami z klasy, tylko tym razem nie dam ci nazwisk. Potrzebuję namiarów na kilku kolegów Adolfa z roku.

– Po co?

– Niewykluczone, że któregoś z nich powołali w kamasze razem z nim, do tej samej podchorążówki. To dość prawdopodobne. Chciałbym pogadać z kimś na temat przebiegu jego służby.

– A nie prościej zapytać w wojsku?

Rędzia westchnął.

– Posłuchaj tatusia, synku, i zapamiętaj: nigdy nie załatwiał niczego z wojskiem.

– Dlaczego?

– Nie byłeś w wojsku?

– No, skąd.

– A ja byłem, więc po prostu przyjmij to do wiadomości. Załatw w rektoracie czy na wydziale. – Splótł ręce na podołku i zaczął bujać się na krześle w przód i w tył. – Zobacz, już odwaliłem za ciebie kawał roboty, bo wskazałem ci miejsca, gdzie masz szukać. Docień to. Uśmiechnij się do pań, jak tylko ty potrafisz, oczaruj je i przynieś mi

listę kolegów Steca Mariusza, zwanego Adolfem, dobra? Razem z numerami telefonów, rzecz jasna – zastrzegł.

– Rzecz jasna – bąknął Berdak, jakby to nie było jednak takie oczywiste.

Rędzia wstał, klepnął Jarka w ramię i wyszedł z pokoju. Kwadrans później był już na Krakowskiej. Trochę błędził po korytarzach budynku, ale w końcu zapukał do drzwi gabinetu psycholożki. Kiedy usłyszał „proszę”, nacisnął klamkę i wszedł do środka.

Profesor Świątkowska była na oko pięćdziesięcioletnią kobietą, bardzo wysoką, co od razu wzbudziło w Rędzi coś w rodzaju respektu pojawiającego się u niemal wszystkich mężczyzn, którzy na swej drodze spotykają kobiety dużo wyższe od siebie. Miała ciemnobrązowe oczy i takie same włosy, rozpuszczone na plecy i ramiona. Podeszła do niego z wyciągniętą ręką, którą bezwiednie uścisnął.

– Wie pan, co to jest tajemnica zawodowa? – zapytała.

Zaskoczyła go. Wyglądało na to, że pojawił się jakiś problem.

– T-t-tak – powiedział ostrożnie. – Ale myślałem, że skoro to było tak dawno temu...

– Te osoby wciąż żyją.

– Nie wszystkie – zauważył. – Wie pani, pani profesor, ja wiem, że sąd musi wydać zgodę na zwolnienie pani z tej tajemnicy, ale chodzi o to, że śledztwo jest w bardzo wczesnej fazie, a równocześnie rozwija się dość dynamicznie. Chodzi o czas. Proszę panią właściwie o podzielenie się bardziej wrażeniami i osobistymi odczuciami, bo wyniki opinii psychologicznej przecież znam.

Patrzył jej uważnie w twarz. Uśmiechnęła się lekko i wskazała małe krzeselko przy jej biurku.

– Pamiętam dobrze tę sprawę – stwierdziła, kiedy już usiedli. – Pisałam wtedy doktorat z traum u młodych ludzi i akurat to mi wtedy pasowało, więc się starałam. Poza rozmowami z tymi chłopcami konsultowałam się również z ich nauczycielami i rodzicami, żeby wyrobić sobie opinię. Mam ten doktorat nawet tutaj. – Wskazała jedną z półeczek zastawionych książkami i czasopismami. – W moim egzemplarzu zostawiłam notatki i czekając na pana, zerknęłam do nich.

Rędzia uśmiechnął się do niej promiennie.

- Uwielbiam ludzi, którzy bardzo poważnie podchodzą do swojej pracy.
- Takich jak pan? – Zmrużyła oczy.

Uśmiech Rędzi nieco zrzędł.

– Powiniennem uważać na słowa, co? – zapytał. – Zaraz mnie tu pani zdiagnozuje...

– Spokojnie. – Machnęła ręką. – Niech pan opowiada, o co dokładnie chodzi.

Wyjaśnił jej szczegółowo swoje niesprecyzowane do końca i niepotwierdzone wciąż jeszcze podejrzenia dotyczące związku wydarzeń sprzed lat ze śmiercią ich głównego bohatera. Wysłuchała go i zapatrzyła się w okno. Rędzia pomyślał, że wygląda dokładnie tak, jak on wyobrażał sobie wykładowcę akademickiego. Nawet nie tyle fizycznie, ile zachowaniem, sposobem bycia i mówienia, gestykulacją czy mimiką. Poza tym emanowała niezwykłym spokojem, który udzielał się Rędzi.

– Pamięć to bardzo złożona rzecz – zaczęła, poprawiając włosy, ale nie kokieteryjnie, po prostu ich kosmyk wysunął się zza ucha i opadł na skroń i policzek. – I to zabrzmiało mniej więcej tak, jakby powiedzieć, że kosmos jest duży. Tyle samo wyjaśnia.

– Zdaję sobie sprawę – odparł Rędzia. – Nie oczekiwałem, że w czasie tego spotkania poznam sedno zagadnienia. Tak jak przed chwilą wspomniałem: chciałem poprosić panią o wrażenia.

– Ja wiem, panie komisarzu. Ale zacznijmy od pewnego przykładu. Najlepiej własnego. Mam na myśli pański przykład. Przyjęcie wigilijne sprzed dziesięciu lat. Pamięta pan je?

– Pamiętam – mruknął Rędzia.

Nie przepadał za Wigilią. Tak już miał.

– Na pewno?

– Raczej tak.

– Przecież co roku są niemal takie same? Jeśli nie zajdzie nic niezwykłego, co je jakoś wyróżni? Zmiana miejsca, pierwsza Wigilia bez członka rodziny, który zmarł w danym roku?

– W zasadzie tak.

– Ale pamięta pan tę konkretną Wigilię Anno Domini 2010?

Rędzię zaczynało już to wkurzać, ale wiedział, ale Świątkowska ma jakiś cel. Chciał go zobaczyć.

– Tak – odparł, starając się mówić miłym tonem.

– Gdybym zapytała teraz pana, jak przebiegła ta kolacja, opowiedziałby mi pan to, przypominając sobie po kolei, co się wtedy działo. Oczywiście wszystkiego pan nie zapamiętał, bo nie było takiej potrzeby, pański mózg wybrał sobie to, co istotne. Tak w skrócie, bo to trochę bardziej skomplikowane, ale nie o to chodzi. Ale gdyby siedzieli tu wszyscy uczestnicy tej kolacji i opowiedzieli nam o niej tak, jak oni to pamiętają, zobaczylibyśmy, że te wersje się różnią. Jak bardzo? Otóż to. Chodziłoby o szczegóły, ale one czasem są bardzo istotne, bo to od nich tak naprawdę zależy odbiór całości. Prawda jest względna. Powiem panu również, że jedynie część wydarzeń, które pan zapamiętał, przebiegła dokładnie tak, jak pan je teraz pamięta. Reszta to wrażenia i pańskie wymysły. Pan sobie to dopowiedział jako konsekwencje i najbardziej prawdopodobne zakończenia danych momentów, których nie zapamiętał pan w całości, bo ich pan na przykład nie widział. Czy podzieliłem się opłatkiem z tatą? Tak, pamiętam, jak wkładał opłatek do ust. Ale w tym momencie podeszła mama, pan odwrócił głowę i nie widział, jak tacie opłatek upada na podłogę. Przyjdzie to panu w ogóle do głowy, gdyby ktoś zapytał?

– To zależy, jak by pytał.

– O właśnie. Poza tym fakt, że tata nie doniósł opłatka do ust, nie jest aż tak istotny, żeby się tym zajmować: podzieliliście się nim, złożyliście sobie życzenia, fakt jako taki się dokonał, tradycji stało się zadość. Ale gdyby dociekać... – Uśmiechnęła się do niego.

– Coś w tym jest. – Pokiwał głową.

– Niech pan zwróci uwagę: oni wszyscy niewiele pamiętali. A z tego wszystkiego wyłania się obraz chaosu, bo każdy z nich zapamiętał coś innego, choć też nie jest przeważnie tego do końca pewny. Prokurator miał ciężkie zadanie, żeby ustalić faktyczny przebieg zdarzeń...

Rędzia nie wyprowadził jej z błędu i nie wyjaśnił, że prokurator miał własny wkład w tę sprawę.

– Ale wszyscy, dosłownie wszyscy, pamiętają jeden szczegół...

– Strzały – powiedział.

– Właśnie. Stres działa w różny sposób, w zależności od natężenia, przebiegu zdarzeń i indywidualnych cech charakteru. Ale praktycznie

zawsze koncentruje uwagę na szczegółach bardzo istotnych dla bezpieczeństwa naszego życia, odcinając dopływ pozostałych bodźców jako nieistotnych z punktu widzenia ochrony tego naszego życia. To, co najgroźniejsze, zapamiętuje się najdokładniej. Na pozostałe szczegóły nawet nie tyle nie ma miejsca, ile prostu nie wpływają one do pamięci roboczej, z powodu koncentracji uwagi wyłącznie na tym jednym, najważniejszym. Silny stres może jednak spowodować uporczywe wspomnienia zdarzeń, które go wywołały. Rozpamiętujemy wypadek, w którym braliśmy udział: pamiętamy bardzo dużo szczegółów, nawet tych mniej istotnych. Na przykład, że samochód miał uchyloną szybę kierowcy, obok szła staruszka, ktoś krzyczał... To wynik działania substancji i hormonów, które wydzielają się w takich sytuacjach: to one pomagają wyryć te wspomnienia w pamięci, rozumie pan? A więc mamy tu przykłady i takie, i takie. Oczywiście w omawianym przypadku dochodzi jeszcze kwestia alkoholu, co też nie pozostaje bez znaczenia, i musimy to wziąć pod uwagę. Pajczyk zapamiętał najwięcej, bo widocznie zaszedł tu określony zespół okoliczności: mało wypił, miał taką, a nie inną konstrukcję psychiczną i zdolności umysłowe... Stec był bardzo pijany i chyba to spowodowało jego niemal całkowity brak wspomnień. To nie była amnezja psychogenna. To nie ten typ.

– A co pani sądzi o Pajczyk?

– Cóż... Są ludzie, do których lgną inni ludzie. Mają w sobie coś takiego magnetycznego. Nie muszą być nawet lubiani, po prostu przyciągają innych swoim sposobem bycia, nie wiem... Taki był właśnie Stec i to było widoczne: taki właśnie obraz wyłonił mi się po rozmowie z nim, z jego kolegami, nauczycielami. Gdybyśmy żyli w Stanach, byłby pewnie liderem szkolnej drużyny, miał najładniejszą dziewczynę...

– On nie miał dziewczyny, o ile wiem. – Rędzia przerwał jej. – Mam wrażenie, że one nie traktowały go poważnie.

– Tak, pytałam go o to, prześlizgnął się po temacie. Jego związki z dziewczętami nie trwały długo ani nie były głębokie. Twierdził, że nie pasowały do niego, ale raczej było odwrotnie. W każdym razie to był taki typ: magnetyczny. A Pajczyk odwrotnie. On dawał się przyciągać każdemu. Jakby sam lgnął do kogokolwiek, kto zechciał poświęcić mu

trochę uwagi. Był strasznie niedowartościowany, wie pan? Takie odniosłam wrażenie, choć to nie był głupi chłopak.

– A to ma związek? – zdziwił się Rędzia. – Ja też byłem niedowartościowany.

Świątkowska się roześmiała.

– Jak każdy nastolatek, mniej lub bardziej. Chce pan o tym porozmawiać?

– Już za późno. Zresztą minęło mi, na szczęście. I Pajczykowi zdaje się również. Jest świadomy własnej wartości jak nikt inny. Aż za bardzo świadomy z tego, co zdążyłem się zorientować.

– Niekoniecznie. Poglądy pana Pajczyka i sposób, w jaki je wyraża publicznie, są mi znane, jak wielu mieszkańcom Szczecina, ale proszę pamiętać, że takie zachowania często coś maskują. To też bardzo znany i dość prosty mechanizm.

– Mogę panią zapytać o Sarneckiego?

– Ale on wtedy zginął?

– Chodzi mi o ojca Jacka. O Jerzego Sarneckiego. Miała pani z nim wtedy jakiś kontakt?

– Tak – przyznała. – Rozmawiałam z tym człowiekiem. Niewiele dałam radę z niego wyciągnąć, ale coś niecoś mi się jednak udało. A ponieważ rozmawiałam też z chłopcami, to na podstawie tych rozmów dało się naszkicować obraz jego i jego relacji z synem. Kochał go, i to bardzo mocno, nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Ale to była trochę zaborcza miłość. Chciał pokierować jego losem według własnego uznania...

– To akurat nic dziwnego – przerwał jej Rędzia.

– Pan to uznaje za normalne? – Brwi psycholożki podjechały do góry.

Rędzia spojrział gdzieś w bok.

– Absolutnie nie, mówię tylko, że to się bardzo często zdarza. O to mi chodziło i nie kontynuujmy tematu.

– Rozumiem.

– Nie rozumie pani. – Rędzia, wciąż pochylony, pokręcił głową.

– Ależ tak. – Kiedy spojrział na Świątkowską, zobaczył na jej twarzy lekkie rozbawienie.

– Bardzo mi przykro – bąknął.

– Na szczęście nie narzekam – odparła. – U mnie skończyło się dobrze i dziś nie wyobrażam sobie, że mogłabym robić w życiu coś innego. Ale wróćmy do Sarneckiego.

– Wróćmy – zgodził się Rędzia.

– Podobno Jacek bardzo się bał, że zawiedzie ojca. Też go kochał, ale ta miłość była podszyta obawą. Nie było tu konkurencji, rywalizacji między nimi dwoma jak u Kennedych czy Trumpów, nie; on był pod jego wielkim wpływem, ale równocześnie jako bardzo inteligentny dzieciak wiedział też, na co go stać, i chciał to udowodnić. Nie zdążył.

– To prawda. – Rędzia znów patrzył gdzieś w bok, ale tym razem sięgał spojrzeniem w przeszłość. – Był inteligentny. Tego nie można mu odmówić. Dlatego dziwiłem się trochę, że trzyma ze Stecem. Stać go było na więcej.

– I tu wracamy do zagadnienia niewytłumaczalnego magnetyzmu Mariusza Steca. – Świątkowska zmieniła nogi. Rędzia obserwował, jak kozaki zataczają łuki i zatrzymują się; jeden na podłodze, drugi w powietrzu, kiedy lewa noga spoczęła na kolanie prawej.

– To może jednak wróćmy do Sarneckiego? – zaproponował.

– Sarnecki bardzo dobrze się trzymał jak na sytuację, w której się znalazł – kontynuowała psycholożka. – To niewiarygodnie odporny psychicznie człowiek. Zapewne dzięki temu odniósł taki sukces w swojej branży. Ale śmierć własnego dziecka musiała na niego wpłynąć. To zawsze wpływa, panie komisarzu, nawet jeśli nie zdajemy sobie z tego sprawy. Jedyne dziecko, z którym wiązał nadzieje i plany. – Pokręciła głową. – Nikomu, najgorszemu wrogowi, nie życzę takich przeżyć.

– Miał iść na prawo, bo tak chciał ojciec, a potem przejąć rodzinne imperium. Wtedy to jeszcze nie była taka duża firma, ale przyszłość pokazała, że Sarnecki mógł mieć rację z pchaniem go w tym kierunku.

– A on chciał? – zapytała Świątkowska.

Rędzia zastanawiał się przez chwilę.

– Nie wiem. – Wzruszył w końcu ramionami. – Nie kumplowałem się z nim, ale wyglądało na to, że się z tym pogodził. Mówił o tym tak... naturalnie. Jakby tak po prostu musiało być.

– Sam pan widzi. Byli naprawdę bardzo ze sobą związani, choć podejrzewam również, że Sarnecki raczej tego synowi nie okazywał. Wie

pan, to takie niemeńskie. – Spojrzała na niego krzywo. – Ale jestem pewna, że w razie potrzeby Sarnecki oddałby za syna wszystko. Poświęciłby dla niego nawet swoje życie.

Rędzia podrapał się po nosie. To nie była dla niego nowość. On też oddałby za swoich chłopaków życie, nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości. Ale pytanie, jakie sobie zadał, brzmiało inaczej: czy Sarnecki byłby gotów dla swojego syna poświęcić życie kogoś innego?

– Cóż, bardzo dziękuję, pani profesor. – Uśmiechnął się półgębkiem do Świątkowskiej i wstał.

Kolana zaboląły go jak cholera. Zastały się widać, bo dawno nie biegał, a może to dlatego, że kiedyś biegał za dużo?

– Nie ma sprawy, panie komisarzu – odparła Świątkowska.

Po powrocie do komendy Rędzia stwierdził, że skoro dzień zaczął się tak udanie, to może dalej będzie podobnie. Nadszedł czas, żeby pogadać z Sarneckim, i to był już chyba najwyższy czas. Jego dziwne działania tam, na miejscu, w maju dziewięćdziesiątego czwartego wymagały wyjaśnienia, zwłaszcza że był chyba jedyną osobą będącą w centrum zdarzeń, do której komisarz miał bezpośredni dostęp. Poza tym wiedział o czymś, o czym nie mieli pojęcia inni.

Chodziło mu głównie o tajemnicze rozmowy z Adolfem, Pajacem, Brodą i Cinkiem.

Nie bawił się już w wyszukiwarke, tylko usiadł do służbowego komputera i sam sprawdził adres Sarneckiego. Ojciec Jacka mieszkał na osiedlu Park Ostrowska na Żelechowej. Rędzia był tym trochę zdziwiony, w końcu Sarnecki siedział w nieruchomościach od zawsze, i zastanawiał się, dlaczego nie wybudował sobie willi z ogrodem gdzieś na obrzeżach miasta. Nie umawiał się z nim. Sarnecki miał teraz siedemdziesiąt sześć lat, więc z dużym prawdopodobieństwem siedział w domu, choć oczywiście różnie mogło być. Zdarzali się w końcu i osiemdziesięcioparolatki latający na motolotniach, ale Rędzia zdecydował, że jakby co, pomartwi się później.

I tak ustawa o przeciwdziałaniu rozprzestrzeniania się koronawirusa zabraniała obecnie lotów na paralotniach.

Jadąc na Żelechową, Rędzia rozmyślał o tym, co stało się wczoraj w jego mieszkaniu. Nie rozmawiał z Agnieszką od tamtej pory, minęło

przecież zaledwie paręnaście godzin, zresztą o czym tu gadać? O tym, że coraz więcej o niej myślał? Nie powinien. Musiał wyrzucić ją z głowy. Nie zamierzał wikłać się w romans, zresztą ona to raczej wykluczała. Pewnie, że mógł się postarać, pokazać jej, że mu zależy, tylko po co? Jakie były perspektywy takiego układu? Jako gliniarz zdawał sobie sprawę, że większość niecných uczynków ulega w końcu odkryciu, i to często przez głupi przypadek. Zdawał sobie też sprawę z tak zwanej ciemnej liczby przestępstw, czyli tych, które nigdy za takie nie zostały uznane, bądź nikt nie miał świadomości, że zostały popełnione, ale pewności, że akurat jego romans pozostałby tajemnicą przed Bożeną czy kimkolwiek innym, kto mógłby jej o tym uprzejmie donieść, nie mógł mieć. Nigdy. Miał czterdzieści cztery lata, żonę, synów, kredyt i mimo drobnych kłopotów, które ma przecież każdy na tym popieprzonym świecie, uważał się za człowieka spełnionego i szczęśliwego. Tak jak powiedział Agnieszce podczas pierwszego spotkania.

Musiałby być idiotą, żeby to wszystko stracić dla innej kobiety. Tyle teorii. A praktyka?

Zaparkował przed osiedlem, na poboczu, w okolicy poniemieckiego, odrestaurowanego przez dewelopera pałacyku, wokół którego skupiały się pozostałe budynki, od którego w zasadzie zaczynało się całe osiedle. Było wciąż w budowie, choć dało się już przewidzieć efekt finalny. Rędzia znalazł właściwy budynek. Zadzwoił domofonem i kiedy usłyszał niecierpliwe „halo?” wypowiedziane chrapliwym głosem, przedstawił się imieniem, nazwiskiem, stopniem i miejscem pełnienia służby.

Przez dłuższą chwilę nic się nie działo. Nie słyszał nawet oddechu, który powinien dobiegać z głośnika. Już wyciągał palec, żeby zadzwonić drugi raz, kiedy rozległo się brzęczenie. Pociągnął drzwi i wszedł na klatkę schodową, a kilkanaście sekund później stał pod drzwiami mieszkania Jerzego Sarneckiego.

Otworzył mu wysoki mężczyzna z siwymi, przerzedzonymi włosami zaczesanymi na bok. Miał ostre i przenikliwe spojrzenie, blady odcień pomarszczonej skóry i stał oparty o kule, ponieważ nie miał lewego podudzia. Rędzia widział Sarneckiego ze dwa razy te ćwierć wieku temu, ale nie poznałby go teraz. Wiek, zmiany fizyczne i brak zainteresowania

jego osobą spowodowały, że praktycznie w ogóle nie zapisał się w jego pamięci.

– Dzień dobry – powiedział mu, już twarzą w twarz.

– Zapraszam – burknął Sarnecki, odwracając się i kuśtykając w głąb mieszkania, zostawiając widocznie zamknięcie drzwi gościowi, co też Rędzia uczynił.

Kiedy doszedł do pokoju, za którego drzwiami zniknął gospodarz, Sarnecki siedział już na kanapie. Obok niej stał wózek inwalidzki.

– Trudno mi się chodzi, więc po mieszkaniu poruszam się na wózku – poinformował komisarza, kiedy zorientował się, na co patrzy.

Rędzia się rozejrzył. Mieszkanie było duże, wręcz ogromne jak na jego standardy. Na jednej ze ścian wisiał portret, malowany chyba ze zdjęcia. Był spory i przedstawiał Jacka.

– To mój syn, nie żyje od lat. Mieszkam sam. – Sarnecki wpatrywał się w komisarza nieruchomym wzrokiem, czytając mu chyba w myślach. – Rozwiodłem się z żoną, dałem jej dom, sobie kupiłem to mieszkanie. Po co mi więcej?

Rędzia posłał mu niezobowiązujący i nieokreślony półuśmiech. Nie zdążył jeszcze o nic zapytać, a już uzyskał sporo istotnych informacji.

– Co pana do mnie sprowadza? – zapytał w końcu Sarnecki.

Rędzia wskazał na portret.

– Chodziłem z Jackiem do klasy – powiedział cicho, patrząc, jak Sarnecki sztywnieje na kanapie. – Pan mnie nie pamięta, bo nie kolegowałem się z pana synem, byliśmy, jakby to powiedzieć... W dwóch przeciwstawnych obozach...

– Rozumiem. – Sarnecki pokiwał siwą głową, masując kikut ukryty w podwiniętej nogawce białych spodni.

– Przychodzę w sprawie zabójstwa Mariusza Steca. Adolfa. Kojarzy pan?

Sarnecki w milczeniu i bardzo powoli znów pokiwał głową.

– Znał pan tę ksywkę?

– Tak. Znałem kolegów Jacka. Tych najbliższych – dodał po chwili, jakby tłumaczył się, dlaczego nie pamiętał nazwiska Rędzi.

– Niedawno znaleziono jego ciało, został zamordowany, najprawdopodobniej latem dwa tysiące szóstego roku. Na Łęknie,

kojarzy pan, pisano o tym w gazetach?

Znów skinienie głową. Sarnecki siedział sztywno wyprostowany, a jedynym ruchomym elementem była głowa. Nawet dłoń przesuwająca się po udzie zastygła w bezruchu.

Rędzia przystąpił do frontalnego ataku.

– Uważam, że to morderstwo ma bezpośredni związek z wydarzeniami na polanie w Śmielinie i w związku z tym pana odwiedziłem.

– Co za przypadek, co?

– W jakim sensie?

– Adolf, pan... Ofiara i śledczy, znaliście się...

– Zdziwię pana. Prokuratorem prowadzącym śledztwo jest nasza koleżanka z klasy.

– Która?

– Agnieszka Rybarczyk.

– Nie pamiętam – szepnął Sarnecki.

– Ofiara i dwóch śledczych – doprecyzował Rędzia słowa Sarneckiego. – I mam nadzieję, że morderca będzie jednak spoza grona klasowego. W przeciwnym razie trudno będzie uwierzyć, że to przypadek, prawda?

– Dlaczego pan to ze sobą wiąże?

Rędzia zamilkł. Dobre pytanie. Tyle razy zadawała mu je Agnieszka i on sam sobie. Teraz doszedł do wniosku, że nie była to tylko jedna z nici, którą chwycił i za którą szedł.

– Tamta sprawa się jeszcze nie zakończyła, panie Jerzy. – Użył imienia Sarneckiego bardziej z szacunku niż z chęci skrócenia dystansu, na co nie miał ochoty, a jego rozmówca z pewnością też. – I ja ją przy okazji zamierzam dokończyć.

Sarnecki patrzył mu prosto w oczy, bez zmrużenia powieki.

– Co pan chce wiedzieć? – zapytał leniwie.

– Przede wszystkim dlaczego pan wtedy mataczył? Dlaczego wpływał pan na prokuratora Walczaka? I dlaczego działał pan wbrew swojemu interesowi jako ojca jednej z ofiar?

Sarnecki oblizał usta.

– Sporo pan się dowiedział.

– To moja praca. Powie mi pan dlaczego?

Sarnecki objął się jedną ręką w pól, a drugą potoczył po pokoju.

– Jestem już stary – powiedział nagle z namysłem. – Nigdy nie myślałem, że to tak szybko nadejdzie, wie pan? Niby się człowiek przygotowuje, ale jak przyjdzie co do czego... Okazuje się, że nie był na to gotowy. Nie dbałem o siebie, myślałem, że jak mi tak dobrze idzie w interesach, to z resztą będzie tak samo. Nie było. Nie mam komu zostawić majątku, mam tylko byłą żonę i siostrę, z którą praktycznie nie utrzymuję kontaktu. Jej syn to rozpuszczony debil, któremu w głowie tylko fury i dupy. Żałuję też jednej rzeczy, wie pan jakiej?

– Że Jacek pojechał na wycieczkę.

– Nie, nawet nie tego. Żałuję, że się wtedy nie zgodziłem, żeby wasza klasa spała w „Starym Folwarku”. W moim hotelu. Kurwa, to był największy błąd mojego życia. – Jego nos nagle poczerwieniał, a w oczach błysnęły łzy. – Gdyby nie to...

Spojrzał w sufit i potarł nos, głośno wciągając powietrze. Opanował się jakoś i kiedy znów spojrzał na Rędię, jego twarz miała ten sam co przedtem nieprzenikniony wyraz.

– Zależało mi na jak najszybszym i jak najdokładniejszym dojściu do prawdy – rzekł cicho.

– Od tego byli policja i prokurator. Prokurator, któremu pan przeszkadzał. Czemu pan chciał wchodzić w ich kompetencje? Nie ufał im pan? Przecież Walczak był pańskim przyjacielem? Nie mówi mi pan całej prawdy, panie Jerzy.

– W czasie śledztwa chroniłem Adolfa, bo wstępne ustalenia wskazywały, że on nie musiał zabijać tego żołnierza. Nie w ten sposób, rozumie pan? Wojskowi poruszali tę kwestię już tam, w internacie, próbując wszystko zwalić na chłopaków. Znałem dowódcę jednostki i on powiedział mi w zaufaniu, że wojskowy prokurator będzie próbował wybielać dezertera, jak tylko się da, żeby ta sprawa nie uderzyła za bardzo w wojsko. Wobec tego zdecydowałem, że muszę Adolfowi pomóc. Groziły mu konsekwencje przekroczenia obrony koniecznej, w końcu strzelał do tego dezertera leżącego już na ziemi kilka czy kilkanaście razy, ale ja byłem mu wdzięczny, że zabił zabójcę mojego syna. Nie wie pan, jak to jest, i nie życzę, żeby się pan dowiedział. Ja po prostu nie mogłem pozwolić, żeby prawdziwy mężczyzna poszedł siedzieć jak za zabójstwo człowieka, a zabił przecież gnidę.

Rędzia wpatrywał się w niego w milczeniu.

– Nie przekonał mnie pan – stwierdził po chwili. – Starał się pan, ale jednak nie czuję się przekonany.

– Słucham? O czym pan mówi?

– Nie mam żadnych wątpliwości, że to któryś z chłopaków strzelał pierwszy. Co zdarzyło się potem, to już inna kwestia, ale pierwszego strzału nie oddał starszy szeregowy Urbańczyk. I pan wtedy musiał być tego świadomy. Pan to wiedział, prawda?

Sarnecki miał kamienną twarz.

– Po co było niszczyć chłopakom życie? – zapytał. – To był głupi wypadek z koszmarnymi konsekwencjami, który by się nie zdarzył, gdyby ten cholerny żołnierz nie uciekł z jednostki.

– Moje podejrzenia wzbudziły te pana rozmowy z nimi, z każdym po kolei i na osobności. Bardzo pan na to nalegał. Po co? Potem pojechałem zobaczyć obelisk, który wystawił pan na polanie. Powiedział mi o nim ktoś, kto wtedy przy tym był. I wtedy zorientowałem się, że były dwie wersje tego pomnika, a w zasadzie napisu. W pierwszej wersji dotyczył dwóch chłopaków, tak mówił mi ten człowiek. Chciał pan, żeby wszyscy pamiętali o ofiarach, ale nie o sprawcy. Kiedy pojechałem tam niedawno, było już o trzech, i myślałem, że on się po prostu pomylił. Ale nie pomylił się, prawda? Kazał pan zmienić napis, bo to pana syn strzelił pierwszy. Dopiero wtedy ranny żołnierz wyrwał mu broń i zaczął strzelać, zabijając jego i Fantę, zanim Adolf go obezwładnił i zabił. Zgadza się, panie Jerzy?

Sarnecki wpatrywał się w niego z kamiennym wyrazem twarzy. Potem z ust wyrwał mu się dziwny odgłos, ni to parsknięcie, ni westchnienie, drgnął przy tym, jakby bezgłośnie kichnął. Rędzia uznał, że to objaw kapitulacji.

– To był przypadkowy wystrzał. – Sarnecki nie patrzył na niego. – To był pieprzony wypadek. Przecież Jacek nie chciał! Znał go pan, czy on kiedykolwiek przejawiał jakieś objawy agresji? Wobec kogokolwiek? Wobec pana? – Podniósł głowę, jego powieki były szeroko otwarte.

– Raz. – Rędzia patrzył mu prosto w twarz.

Sarnecki oklapł na kanapie.

– To tylko gówniarskie zagrywki, każdy chłopak w tym wieku tak ma. Ale to nie oznacza, że może wymierzyć do kogoś z broni i bez zmrużenia powieki zabić go, prawda? – Sarnecki chyba potrzebował potwierdzenia, bo aż pochylił się w stronę Rędzi, jakby go od niego oczekiwał.

– Prawda. – Komisarz musiał obiektywnie przyznać Sarneckiemu rację: to, że ktoś staje przed kimś i mówi: „jebnąć ci?“, nie oznacza, że byłby w stanie zrobić to, co stało się na polanie.

Zresztą wtedy po prostu odwrócił się od Jacka i odszedł, a tamten nie miał na tyle odwagi, żeby kontynuować zaczepki. Byli wtedy sami.

– Ten dezerterski faktycznie musiał się bronić i wyszło, jak wyszło, musiałem więc oddać mu sprawiedliwość, mimo że zabił mojego syna. Zasługiwał na to. Długo nosiłem się z zamiarem poprawki, aż to w końcu to zrobiłem. Ja zawsze kończę to, co zacząłem, rozumie pan? Zawsze.

– Kto panu o tym powiedział?

– Jeden z nich.

– Który?

– Nie powiem panu. To już nie ma znaczenia. Nie wracajmy do tego.

– Nie ma znaczenia? Złamał pan Walczakowi karierę. Prokurator wojewódzki był podobno zaszokowany, jak spieprzono to śledztwo na samym początku. To pana zasługa. To pan je kazał spieprzyć Walczakowi. Zabrać pocisk, zdradzić, że policyjny technik miał kontakt z bronią mniej niż dobę przed pobraniem próbek na obecność śladów GSR. Torpedował pan to śledztwo.

– Walczak był alkoholikiem. I tak tracił kontrolę nad rzeczywistością, odwołanie go było kwestią czasu. Wynagrodziłem mu to z nawiązką. Do końca życia chlał najlepszą whisky, jaką można było kupić w Złocięncu. A jeszcze lepszą przywoziłem mu czasem ze Szczecina.

– Zadbaj pan o niego, widzę?

– Owszem. Niech pan nie mierzy tego swoimi kategoriami, tylko jego. Był szczęśliwy. I tylko ja byłem przy nim, kiedy umierał w szpitalu i nie pamiętał nawet, jak się przetyka pokarm. Ma pan jeszcze jakieś pytania, panie komisarzu?

Rędzia odczytał intencje Sarneckiego jednoznacznie. Jego pytanie było bardzo elegancką formą polecenia natychmiastowego opuszczenia domu.

– Pewnie jeszcze się spotkamy, panie Jerzy. – Westchnął, wstając. – Być może będę chciał pana o coś jeszcze zapytać, a być może... – zawiesił głos – ...proszę nie robić sobie kłopotu i mnie nie odprowadzać. Zadzwoń do pana w razie czego.

Wyszedł, czując na sobie wzrok Sarneckiego. W drodze do komendy przejechał przez Wawrzyniaka. Agnieszka pakowała właśnie torbę, wypychając ją aktami.

– Za niecałą godzinę mam rozprawę – poinformowała go, kiedy stanął w drzwiach jej pokoju. – Co tam?

Nie zająknęła się słowem o wczorajszym wieczorze. Nie dała po sobie poznać niczego mimiką ani żadnym ruchem czy w zasadzie wahaniem, z jakim go wykonywała. Jakby wczoraj nic między nimi się nie wydarzyło. Rędzia był lekko zaskoczony. Przełknął tę gorzką pigułkę i bez zbędnych wstępów opowiedział jej o swojej wizycie u Sarneckiego. Usiadła za biurkiem, zdjęła okulary i zmierzwiła sobie włosy.

– No dobrze, dowiedziałeś się, jak było naprawdę, i co dalej? Co to zmienia w sprawie zabójstwa Adolfa?

– Nie wiem. Może właśnie wszystko? Któryś z nich nie mówił mi prawdy. Cinek, Broda albo Pajczyk. Może wie o tym tylko jeden z nich, a może wszyscy, i trwają w tej zmowie milczenia. Zeznania jednego z nich, albo wszystkich, są zatem kłamstwem. W większości się pokrywają, więc chodzi prawdopodobnie o to drugie: tkwią w tym wszyscy. Rozumiem, że wtedy wzajemnie się kryli, ich prawo, ale ja chcę wiedzieć wszystko. Czeka mnie rozmowa. Kilka rozmów. Nie wiem, czy cisnąć Sarneckiego, żeby mi w końcu powiedział, który z tej trójki znał prawdę. Najpierw przycisnę Brodę, Cinka i Pajaca. Tym razem mi się nie wywiną.

– Może zaprosić ich tutaj? – zapytała Agnieszka.

– Niegłupie – przyznał Rędzia. – To może ich trochę zmiękczyć. Chociaż... – zastanowił się przez chwilę – jeśli nie zmiękczyła ich maszyna, przez którą przepuścili ich wtedy, to chyba nie ma na co liczyć teraz.

– Zastanów się. – Agnieszka wstała i zapięła teczkę. – Daj znać, teraz muszę lecieć. Pa. – Pomachała mu, więc wyszedł.

Miał ochotę poczekać na nią i pójść ten kawałek na parking razem z nią, ale skoro ona mu tego nie zaproponowała, nie chciał się narzucać. Nie miał pojęcia, o co chodzi, choć po chwili zastanowienia doszedł do wniosku, że po prostu o nic. Kompletnie o nic. Może ona tak ma? Przygody z mężczyznami na jedną noc, nic niezwykłego: teraz trafiło na niego, zwykły seks bez zobowiązań. Przecież zupełnie jej nie znał. Już nie. To nie była ta sama dziewczyna, z którą włóczył się w liceum po koncertach, po mieście czy po sklepach. Musiał to sobie wreszcie uświadomić. Rozdzielić przeszłość od terażniejszości, ale nie w sprawie Adolfa, jak doradzała mu Agnieszka. Ten rozdział dotyczyć musiał wyłącznie jej.

Niespiesznym krokiem ruszył wzdłuż korytarza w kierunku klatki schodowej. Kiedy schodził na dół, poczuł, jak w kieszeni kurtki wibruje telefon. Nieznany numer. Przystanął na półpiętrze i odebrał.

– Halo?

– Panie komisarzu, Marta Saganowska z tej strony, żona Marcina...

– Dzień dobry. Co się stało?

– Byłam rano na komisariacie, zgłosiłam, ale nie chcieli przyjąć, mówili, że minęło dopiero kilka godzin, że pewnie wypił...

– Spokojnie. – Rędzia poczuł, jak przyspiesza mu puls. – Spokojnie, jeszcze raz, po kolei.

– Marcina nie ma. Nie wrócił na noc do domu. – Usłyszał, jak żona Cinka wybucha nagle płaczem.

Odczekał chwilę, bo wiedział, że jakiegokolwiek słowa niczego teraz nie zmienią. Dał jej kilkanaście sekund, a kiedy pierwsza fala minęła, rzekł spokojnie:

– Pani Marto, płacz teraz nie pomoże, proszę się skupić i powiedzieć mi wszystko, dobrze?

Podziałała.

– Tttak... – wyjąkała.

– Kiedy wyszedł?

– Wczoraj około szesnastej.

– Mówił, dokąd idzie?

– Do kolegi.

– A do jakiego?

– Nie wiem.

– Do Brody?

– Wydaje mi się, że gdyby szedł do Brody, toby powiedział: Idę do Brody. – Chlipnęła.

Te słowa były znakiem, że się jakoś ogarnęła.

– Wspomniał, kiedy zamierza wrócić?

– Tak. Miał być przed dwudziestą.

– Dzwonił? Przedtem albo potem?

– Nie. Ja zadzwoniłam o dwudziestej trzydzieści.

– I co?

– Miał wyłączony telefon. Próbowałam potem przez całą noc. Rano też nic, więc poszłam na komisariat, a tam powiedzieli, że jest jeszcze za wcześnie na zgłoszenie zaginięcia... Że mogą je przyjąć, ale i tak nikt nic jeszcze nie robi, bo po pierwsze jest epidemia, a po drugie, sam się niedługo znajdzie. Potem miałam lekcje z dzieckiem, online, więc nie dzwoniłam. A teraz jest prawie południe, a on dalej się nie odnalazł...

– Dlaczego wcześniej pani do mnie nie zadzwoniła? – zapytał. – Przecież zostawiłem mu wizytówkę. Musiał pani o tym powiedzieć?

– Powiedział – przyznała po chwili milczenia. – Ale nie wiem, czemu nie zadzwoniłam...

Rędzia za to wiedział. Bo Cinek odpowiednio ją do niego nastawił. Dlatego.

– Ale teraz pani dzwoni... – powiedział ostrożnie.

– Tak. – Jej głos zabrzmiał teraz mocniej i bardziej pewnie. – Teraz dzwonię.

– Dobrze. – Westchnął. – Zrobię, co będę mógł.

– Dziękuję – szepnęła.

– Czy to mu się wcześniej zdarzało? Takie niespodziewane zniknięcia? – zapytał jeszcze.

– Nigdy – odparła z całą stanowczością. – Marcin jest poważnym człowiekiem, myśli o mnie i o dziecku. Broda go czasem wyciąga na jakieś piwo, ale on nie jest w stanie zrozumieć, że ktoś ma rodzinę, obowiązki i stałą pracę, więc musi wrócić do domu na czas. Broda jest niebieskim ptakiem. Nie wiem zupełnie, co Marcin w nim widzi.

– To męskie sprawy – bąknął Rędzia.

– Tak, to bardzo pojemne pojęcie i równocześnie niewiele wyjaśniające – sarknęła.

Tak samo jak babskie – pomyślał Rędzia, ale nie powiedział tego głośno.

– Marcin zachowywał się ostatnio jakoś dziwnie?

– Tak... – Zawahała się. – Był wyraźnie nieswój od kilkunastu dni. Zapytałam go o to, ale odparł, że w robocie przez te braki w ludziach i ograniczenia nie ma za fajnie. I żebym się nie martwiła; wystarczy, że on się martwi.

Rędzia z telefonem przyciśniętym do ucha podszedł do okna i zapatrzył się w niebo. Było jak we Włoszech: błękitne, maźnięte słońcem i zupełnie nie pasowało do tego, co działo się na ziemi, nad którą wisiało.

– Dam znać, kiedy tylko czegoś się dowiem – obiecał Saganowskiej i pożegnał się.

Zapisał sobie telefon Saganowskiej w kontaktach, a potem od razu wybrał numer Brody. Coś ścisnęło go w żołądku, kiedy usłyszał: „Osoba, do której dzwonisz, ma wyłączony telefon”. Anulował połączenie i zadzwonił do Berdaka.

– Jarecki, mam prośbę. Weź podjedź do Pawła Kisiela na Dembowskiego i sprawdź, czy jest w domu, dobra? To znaczy powinien być, bo ma kwarantannę, ale sprawdź, czemu nie odbiera.

– Jasne. A dlaczego sam nie podjedziesz?

Rędzia westchnął.

– Szczerze? Bo nie chce mi się z nim gadać. Z nimi wszystkimi nie chce mi się gadać, rozumiesz? Muszę tylko wiedzieć, że jest w domu, i to mi wystarczy. Mogę na ciebie liczyć?

– Jasne. Teraz?

– Najszybciej jak się da, dobra?

– Co z naczelnikiem?

– Zaraz załatwię.

Zadzwonił do Kurylaka i wyjaśnił mu, czemu prosił Berdaka, żeby to sprawdził.

Naprawdę nie chciało mu się tam jechać. Chciał tylko mieć pewność, że Broda nie zniknął jak Cinek. Znikanie mężczyzn w ich wieku zdarzało się i żona Cinka również musiała być tego świadoma, bez względu na to,

co mówiła policjantom w komisariacie i jemu też. Zwykle to było kilka godzin albo dni, choć oczywiście zdarzały się i poważne sprawy. Rędzia miał jednak nadzieję, że ta do nich nie należy. Że Cinek odnajdzie się cały i zdrowy, dostanie opierdól od żony, i już. Potem kupi jej kwiaty na przeprosiny i to się już więcej nie powtórzy, a jeśli nawet, to przynajmniej Rędzia nie będzie musiał mieć z tym nic wspólnego.

Tylko ten Broda...

To nie wyglądało dobrze... Nie ma takich przypadków. Nie teraz.

Zszedł do samochodu. Wsiadł do niego, ułożył się wygodnie w fotelu i zamknął oczy. Nie chciał jeszcze wracać do komendy. Chciał chwilę posiedzieć w samotności, poza tym miał dziwne przeczucie, że i tak musiałby zawrócić z drogi.

Dostał dwadzieścia długich minut świętego spokoju, a potem rzeczywistość o niego się upomniała. Kiedy zadzwonił Berdak, najgorsze obawy Rędzi zaczęły się potwierdzać. Jeszcze nie na sto procent, ale to było jak kolejna łopata ziemi rzucona przez grabarza na wieko trumny.

– Słuchaj, Tomek, wygląda na to, że tego twojego Kisiela nie ma w domu.

– Jak to nie ma? Przecież jest na kwarantannie!

– Dzwonię, pukam, dobijam się i nic. Cisza.

– Dobijaj się dalej, zaraz przyjadę!

Rędzia rozłączył się i klnąc pod nosem jak szewc, uruchomił silnik i z piskiem opon ruszył w stronę Niebuszewa.

* * *

Jadąc do mieszkania Brody, bez przerwy wybierał jego numer, ale za każdym razem beznamiętny głos informował go, że abonent jest nieosiągalny. Wkurzony jak cholera, zajechał na miejsce. Berdak czekał koło swojego auta, oparty o drzwi z założonymi na piersi rękami i obojętną miną.

– Miałeś się dobijać? – Rędzia wysiadł ze skody.

– Kurwa, tak się dobijałem, że wyszli już wszyscy mieszkańcy, a on nie... – rzucił flegmatycznie Jarek.

Rędzia wyjął z kieszeni telefon. Bateria miała już tylko osiemnaście procent. Wybrał dwie dziewiątki i ósemkę i przyłożył komórkę do ucha.

– Gdzie dzwonisz? – zapytał Berdak.

Rędzia podniósł palec do ust.

– Dzień dobry, nadkomisarz Tomasz Rędzia, Komenda Miejska Policji Szczecin – odezwał się po kilku sekundach. – Czy mogę prosić pilnie o ekipę do awaryjnego otwarcia mieszkania? Dembowskiego pięć. Na Niebuszewie. Tak, naprawdę pilnie. Aha, niestety osoba, która tam mieszka, jest na kwarantannie, ale chodzi wyłącznie o otwarcie drzwi... Tak... Czekamy, do widzenia.

Włożył telefon do kieszeni i spojrzał na Berdaka, który miał wielkie oczy.

– Myślisz, że on tam...?

– Jeśli już, to ktoś jego – odpowiedział.

Pięć minut później zajechał wóz bojowy straży pożarnej. Miał włączone tylko sygnały świetlne. Zatrzymał się, zastawiając wąską uliczkę, i z kabiny wysiadł strażak. Rędzia podniósł rękę, podszedł do niego i pokazał mu blachę.

– Cześć – przywitał się.

– Cześć.

Nie podali sobie rąk, co od kilku tygodni zdążyło stać się tradycją, która zastąpiła poprzednią, czyli właśnie ich podawanie. Rędzia obrzucił strażaka spojrzeniem; miał dystynkcje młodszego kapitana, a na głowie kask. Rędzię zawsze bawiło, że oni na każdej akcji, choćby nawet polegała na zdejmowaniu kota z drzewa, na głowie mieli kaski. Cóż, przepis to przepis. A dziś dodatkiem do kasku była czarna maseczka na usta i nos. Rędzia uświadomił sobie, że swoją zostawił w aucie, ale nie zamierzał po nią wracać.

– Trzeba otworzyć drzwi do jednego mieszkania – poinformował strażaka.

Ten spojrzał na elewację budynku, ale według Rędzi to nie był odruch wynikający z praktyki, gdzie od natychmiastowej oceny sytuacji zależało naprawdę wiele, tylko próba zyskania na czasie.

– Podobno gość z koroną, tak? – zapytał kapitan.

Rędzia popatrzył mu w oczy. A przynajmniej spróbował, bo to, z winy strażaka, nie do końca mu się udało.

– Z koroną leżałby na Arkońskiej – odparł tylko.

Na ulicy Arkońskiej znajdował się szpital wojewódzki, obecnie jednoimienny, przeznaczony wyłącznie dla pacjentów z koronawirusem.

– Ale jest na kwarantannie?

– Tak – przyznał Rędzia. – To coś zmienia?

Strażak wciąż omijał wzrokiem jego twarz, wodząc nim po elewacji.

– Skoro nie reaguje na pukanie, to może jednak z koroną? Albo go po prostu tam nie ma?

– Kurwa, chłopie, otworzysz mi te drzwi?

Szare oczy spojrzały wreszcie w twarz Rędzi spod krawędzi uniesionej przyłbicy kasku.

– Kwit mi dasz, że w razie zniszczeń pójdzie to na waszą odpowiedzialność.

– Nie ma sprawy – mruknął Rędzia. – Na kredowym papierze ci napiszę ozdobną czcionką, tylko wreszcie je otwórz.

– Nie mamy kombinezonu, tak? Otwieramy, ale nie wchodzimy. Jakby co, musimy mieć sprzęt ochronny.

Rędzia go rozumiał. Nie miał wątpliwości, że strażakowi nie chodzi o własne bezpieczeństwo. Gdyby się zaraził, z obiegu wypadłby cały zastęp straży, a może nawet wszyscy, którzy mieli teraz zmianę.

– Jasne. – Pokiwał głową i skinął na Berdaka.

Kapitan machnął ręką na swoich i z wozu wypadło trzech kolejnych strażaków.

– Toporek, breszka i taran, najwyżej wrócimy po rozpierak – rzucił.

Jego ludzie podeszli do drzwiczek z boku wozu i wyjęli sprzęt. Rędzia z Berdakiem czekali na nich pod drzwiami klatki schodowej. Weszli razem na górę i Rędzia wskazał im drzwi, a oni bez słowa zabrali się do roboty. Nagle rozległ się czyjś słaby głos.

– Co się dzieje?

Obejrzeni się. W drzwiach naprzeciwko stała drobna staruszka w szlafroku z jakiegoś świecącego materiału w cielistym kolorze. Na twarzy miała maskę chirurgiczną. Trzymała się mocno futryny

i błyskała na nich szklami okularów w cieniutkich drucianych oprawkach.

– Nic się nie dzieje, proszę wrócić do mieszkania – polecił Rędzia, a potem uśmiechnął się lekko do staruszki.

Odnalazł w sobie resztki dobroci i podarował je jej. Zgarbiła się lekko i zaczęła znikać za drzwiami swojego mieszkania.

– Ten pan był na kwarantannie, a wychodził z domu – rzuciła jeszcze na do widzenia oskarżycielskim tonem i całkiem zniknęła.

Drzwi zamknęły się cicho i jakby z szacunkiem.

Rędzia pogapił się jeszcze chwilę w miejsce, gdzie przed chwilą stała kobiecina, urażony faktem, że nie doceniła jego starań, marnując ofiarowane jej ostatnie na dziś okruchy dobra, które miał w sobie. A może nawet nie na dziś, tylko na wiele dni?

Strażakom wystarczył sprzęt, który wzięli ze sobą. Kilka minut później drzwi, nawet nie za bardzo zniszczone, stały przed nimi otworem. Były zamknięte tylko na dolny zamek.

– Wow – stęknął nagle jeden ze strażaków, kiedy w ręku Rędzi zobaczył broń.

– O tym nie było mowy – syknął kapitan.

– Strzeżonego pan glock strzeże. – Rędzia wpatrywał się w szparę w drzwiach do mieszkania Brody.

Tak mawiał Darek Suder. Glock nie chronił jednak przed wszystkim, o czym niestety Darek sam się przekonał. Zaraz mijały dwa lata od tamtej chwili.

– Dzięki, możecie lecieć. – Rędzia obejrzał się na kapitana. – Naprawdę potrzebujesz ten kwit?

Strażak wzruszył ramionami, wciąż wpatrzony w pistolet, na którym Rędzia zaciskał obie dłonie.

– Nie, ale lepiej niech właściciel się do nas nie zgłasza. – Wskazał toporkiem na drzwi. – I tak spuścimy to na was. Cześć!

Komisarz, nie oglądając się, oderwał od glocka lewą dłoń, pomachał nią do strażaka, potem ostrożnie wysunął przed siebie nogę i czubkiem buta delikatnie popchnął drzwi. Za plecami słyszał oddech Berdaka. Nie miał pojęcia, czego się spodziewać, ale sam fakt, że zza drzwi nie buchnął smród zwłok, był w jakiś sposób pocieszający.

To już coś.

– Broda? – powiedział cicho, wchodząc do mieszkania, a kiedy nikt się nie odezwał, powtórzył nieco głośniej. – Broda, jesteś?!

Mieszkanie było puste. Nie wyglądało, jakby działo się tu coś niepokojącego. Bałagan był w normie, jak to u kawalera. Przy wejściu stały dwie pary butów, w szafie leżały na stercie podkoszulki, wisiały dwie koszule i marynarki, zobaczył jeszcze na półkach koszyk ze skarpetkami, bieliznę i jakieś dresowe bluzy. W małej łazience na półce pod lustrem leżały przybory toaletowe. Nic nie wskazywało na to, żeby Broda gdzieś nagle wyjechał. Ani na to, że ktoś tu szperał wbrew woli właściciela. Dopiero teraz Rędzia uświadomił sobie, że przed budynkiem nie było motocykla Brody.

– Dobra, nie mamy tu czego szukać – rzucił do Berdaka.

Przy wyjściu znajdowała się skrzyneczka z symbolem kluczy. Rędzia otworzył ją. W środku wisiały jakieś klucze, więc zdjął je z haczyka, a kiedy wyszli na klatkę, spróbował włożyć jeden z nich w górny zamek. Dolny już do niczego się nie nadawał.

– Myślisz, że da się to zamknąć? – zapytał z powątpiewaniem Berdak.

– Przynajmniej spróbuję – mruknął Rędzia. – Przecież nie można tak tego zostawić, bo mu zaraz chatę opieprzą. Człowieku, to przecież Niebko...

Udało się. Rędzia podejrzewał, że przy mocniejszym kopnięciu i tak wszystko wróci do poprzedniego stanu, ale chociaż próbował. Nawet chciał, żeby Broda powiedział mu kiedyś: „Ale za te drzwi to mi wisisz”. Naprawdę. Miał jednak dziwne i niepokojące przeczucie, że Broda już nigdy niczego nie powie.

Schował klucze do kieszeni kurtki.

– Wracamy? – zapytał Berdak.

– Chwila...

Stał przed drzwiami mieszkania staruszki, która tak niewdzięcznie go potraktowała, i zapukał w nie mocno. Stały otworem niemal w tej samej chwili, ledwie zdążył zabrać rękę. Maseczka wciąż zakrywała pomarszczoną twarz.

– Dzień dobry, policja. – Rędzia nie uśmiechał się już, staruszka nie zasłużyła. – Mam kilka pytań.

– A ja mam jedno. Dlaczego nie ma pan maseczki? To policji wolno, a nam nie?

– To były dwa pytania, proszę pani. Wczoraj przechodziłem test. Był negatywny. Jestem zdrowy. Mogę? Nie będę nawet wchodził do środka, porozmawiamy przez próg.

– Słucham. – Informacja o stanie zdrowia wyraźnie ją uspokoiła.

– Mówiła pani, że sąsiad wychodził mimo kwarantanny.

– Owszem, wychodził.

– Kiedy?

– Kilka razy.

– A ostatnio?

– Wczoraj po południu.

– O której?

– Około czwartej, piątej.

– Był sam?

– Nie, z kimś. Ale tamten drugi miał chociaż maseczkę.

– Nosił maseczkę wewnątrz budynku?

– Znaczący zakładał ją właśnie, kiedy wyjrzałam przez wizjer. – Nie wyglądała na skrupowaną faktem podglądania sąsiadów.

– Jak wyglądał?

– No... Był raczej wysoki. – Staruszka miała niecałe metr sześćdziesiąt wzrostu i Rędzia podejrzewał, że dla niej każdy choć nieznacznie wyższy od niej, choćby nawet on przy swoim metrze siedemdziesięciu trzech, może być odebrany jako wysoki.

– A twarz? Włosy?

– Raczej ciemne.

– Takie jak moje?

– Mniej więcej.

Rędzia rzucił w myślach mięsem. Opis pasował do jakichś trzydziestu procent męskiej populacji.

– Ale miał śmieszna maseczkę. – Staruszka ożywiła się, stanęła na palcach, a oczy błysnęły znad białej, prostokątnej plamy zasłaniającej dolną połowę jej twarzy.

– W jakim sensie śmieszna?

– Może nie śmieszna, tylko straszna. No, głupia taką.

– Czyli?

– Czarną z narysowanymi takimi białymi, trupimi zębami. Wie pan, jak czaszka ludzka ma takie wyszczerzone zębiska. To on taką miał. – Złożyła ręce jak do modlitwy, wyraźnie uradowana, że przypomniała sobie coś istotnego.

Rędzia pokiwał głową.

– Dobrze, dziękuję pani za pomoc. Do widzenia. – Odwrócił się, skinął głową na Berdaka, dając mu sygnał do odwrotu.

Wyszli na ulicę.

– Nawet nie wiedziałem, że robią nam w robocie testy na koronawirusa? – zdziwił się Berdak. – Mnie nikt nie proponował.

– A kto powiedział, że robią? – Rędzia był tak samo zdziwiony jak Berdak. – Słuchaj, jak najszybciej lokalizacja telefonów, tak? Musimy sprawdzić ich ostatnie kroki. I jeszcze jedno: Broda, wracając z Niemiec, musiał na granicy wypełnić kartę lokalizacyjną. Sprawdź, czy nie wskazał w niej może innego miejsca odbywania kwarantanny niż swoje mieszkanie.

– Gdzie mam to sprawdzić?

– Kurwa, nie wiem. – Rędzia westchnął. – Musisz się wykazać. Straż Graniczna przekazywała karty do urzędu wojewódzkiego, a tam wklepywali to do systemu informatycznego. Spróbuj tam. Albo w sanepidzie, tam chyba te dane trafiały docelowo...

Rozstali się na ulicy, każdy wsiadł do swojego samochodu i rozjechali się. Jadąc w stronę centrum, Rędzia wybrał numer Marty Saganowskiej. Łudził się jeszcze, że Broda mógł faktycznie chcieć zmienić miejsce pobytu, na przykład dla higieny psychicznej. Ale szansa była znikoma i Rędzia był tego niemal pewny.

– Czy Marcin wziął wczoraj maseczkę? – zapytał żony Cinka, kiedy odebrała.

– Oczywiście! Nie cierpi ich nosić, ale przecież nie będzie się narażał na mandat, prawda?

– Jak wyglądała? – Nie chciał jej niczego sugerować, więc nie zapytał, czy była czarna i miała zębiska.

– Uszyłam mu taką w kwiaty, ale nie lubił jej...

– Tę w kwiaty wziął?

– Właśnie nie, miał od kolegi z pracy taką idiotyczną z wyszczerzonymi zębami. Mówiłam mu, że stary koń, a głupi, ale mnie nie słuchał...

– Marcin był wczoraj u Brody – przerwał jej. – Niedługo po wyjściu z domu. Wyszli gdzieś razem.

– Boże, przecież Broda ma kwarantannę! Czy ten mój stary zidiociał do reszty!?

– Odezwę się, kiedy dowiem się czegoś więcej. – Rędzia rozłączył się i natychmiast zadzwonił do Pajczyka.

– Słuchaj – powiedział, kiedy Pajac odebrał. – Chciałem ci tylko powiedzieć, żebyś na siebie uważał.

– Skąd ta troska?

– Po prostu na siebie uważaj, dobrze?

– A coś się stało?

Rędzia zacisnął lekko zęby.

– Nie mogę skontaktować się z Brodą ani z Cinkiem. Wygląda na to, że zniknęli. Nie chcę panikować ani snuć czarnych wizji, ale uznałem, że na wszelki wypadek cię ostrzegę.

– Czego mogę się spodziewać?

– Nie mam pojęcia. Rozglądaj się dookoła i za siebie. Zamykaj na noc mieszkanie. Unikaj ciemnych, odludnych miejsc.

– Spokojnie, mam pozwolenie na broń.

– Gratuluję. A coś do tego pozwolenia?

Pajczyk roześmiał się tym swoim denerwującym chichotem.

– A jak myślisz?

– No to wiesz, co robić w razie czego – powiedział Rędzia i rozłączył się, znów bez pożegnania.

Miał uczucie, że ostatnio chamieje.

Rzucił telefon na siedzenie pasażera i wrócił do komendy. Berdaka nie było w pokoju. Rędzia usiadł na swoim krześle i wbił wzrok w ścianę przed sobą, w czerwony punkt lizaka. Policjantka sekcji ruchu drogowego na kalendarzu wciąż wyglądała jak zwykła modelka, a nie policjantka, nie pomógł jej ani mundur, ani ten lizak trzymany wątlą dłonią o smukłych palcach, zakończonych tipsami, za które każdy naczelnik wypieprzyłby ją od razu z roboty. Rędzia skoncentrował się na

czerwonym kółeczku z białą kropką pośrodku. Zniknięcie Saganowskiego i Kisiela wciąż nie dawało mu spokoju.

Nagle coś mu się przypomniało. Sięgnął do teczki z papierami ze śledztwa i poszukał jednego z pierwszych wytworzonych w nim kwitów. Lista Berdaka z numerami telefonów do kolegów z klasy. Znalazł Krzyśka Lichtblaua i zadzwonił do niego.

– Hej, masz chwilę?

– Jasne, co tam?

– Pamiętasz, jak rozmawialiśmy o Adolfie? Powiedziałeś mi o samochodzie.

– Niestety pamiętam. A co?

– Jak go odebrałeś?

– Przyjechał nim do mnie z umową.

– Hmm... Czyli nie wiesz, gdzie wtedy mieszkał?

– Wiem.

– A skąd wiesz?

– Bo byłem u niego najpierw go obejrzeć.

– Gdzie?

– Na Kozierowskiego. Wynajmował tam pokój.

– Pamiętasz numer?

– Nie, ale pamiętam dom, bardzo charakterystyczny, bo był koszmarnie brzydki, miał płaski dach i wyjebane do góry kominy, jak w fabryce. Stoi przy takiej ścieżce gospodarczej między ramionami tej ulicy, pierwszy po prawej. Zresztą co ci będę opowiadał... Przecież tam mieszkał Fanta.

– Co!?

– Adolf wynajmował kąt u matki Bronisza. Swoje mieszkanie wynajął komuś i mieszkał u niej. To duży dom.

Rędzia zamknął oczy, ale postanowił się na siebie nie denerwować. Lubił siebie, mimo wszystko. Tylko dlaczego, kurwa, nie zapytał Krzyśka o to wtedy, kiedy rozmawiał z nim pierwszy raz? No ale przecież nie mógł pytać o wszystko. Pozostawało mu tylko cieszyć się, że to jakoś wyszło, i mieć nadzieję, że mu coś da. Cokolwiek.

Pojechał tam od razu.

Odnalazł dom bez trudu. Kozierowskiego była maleńką uliczką na Pogodnie. Miała kształt podkowy, a pośrodku łącznika jej ramion znajdowała się wąska, równoległa do nich ścieżka, która kiedyś była dojazdem do ogrodów, aż w latach osiemdziesiątych wybudowano tam kilka domów. W jednym z nich mieszkał kiedyś Fanta. Brzydka, peerelowska kostka z płaskim dachem zmieniła się co prawda w biały, modernistyczny kubik, ale nie miał wątpliwości, że to ten dom.

Otworzyła mu kobieta w maseczce na twarzy. Chyba spodziewała się kogoś innego, bo szeroko otwarte drzwi przymknęły się nagle, zostawiając tylko tyle miejsca, by mogła sama się w nie wpasować.

– Słucham? – Ton był obojętny.

Rędzia mignął odznaką i przedstawił się.

– Nie zajmę pani dużo czasu, nawet nie będę wchodził – zastrzegł, choć nie wyglądało na to, żeby w ogóle miała zamiar go wpuszczać. – Chciałem tylko zapytać o poprzednią właścicielkę domu.

– Nie znałam jej. Kupiliśmy dom w dwa tysiące czternastym, ale od miasta. Pani, która tu mieszkała, zmarła bezpotomnie. Sąsiedzi opowiadali, że tej pani zginął syn. Wychowywała go samotnie, żyła z wynajmu pokoi. To wielki dom, jej mąż pływał, wybudował go, a potem zginął w jakiejś katastrofie morskiej, kiedy ten syn miał siedem lat. Jakoś się trzymała, ale na starość zdziwaczała. Dom zaczął popadać w ruinę, w ogóle o niego nie dbała, coraz mniej ludzi chciało tu wynajmować pokój, aż umarła. Miasto przejęło nieruchomość i kiedy urzędnicy skończyli te wszystkie procedury, które trwały latami, wystawiło ją na sprzedaż. Kupiliśmy to i... Tyle. – Wzruszyła ramionami.

– Wie pani może, kiedy umarła?

– Ktoś z sąsiadów mi mówił, ale nie pamiętam. Dwa tysiące czwarty? Piąty?

– Nie zostało nic po jakimś lokatorze?

Roześmiała się.

– Nie sądzę. Wybebeszyliśmy ten dom do gołego, nawet tynki. Tu wszystko było stare: instalacje, okna, stolarka... Kontenery na odpady budowlane szły w dziesiątki. Wie pan, jak się budowało trzydzieści,

czterdzieści lat temu? Nie wiem, z czego jest część ścian, ale mąż się śmieje, że nie bierze tego nawet najlepsze wiertło. Niestety, nie pomogę panu...

Rędzia podziękował i lekko zniechęcony odwrócił się, żeby zejść na ścieżkę.

– Nie wiem, czy to pana zainteresuje... – na te słowa odwrócił się z nagłym biciem serca – ...ale sąsiedzi mi opowiadali, że jakoś tak na rok przed śmiercią ta pani dostała nagle jakieś pieniądze. Kilka tysięcy. I wpłaciła je na schronisko dla zwierząt, to na Wojska Polskiego. To była straszna dziwaczka. – Pokręciła głową. – Nie mówię o szlachetności, bo to był bardzo piękny gest. Tylko że pod koniec życia, kiedy nikt już nie chciał u niej wynajmować pokoi, to nie miała nawet na rachunki za prąd czy gaz. Wyłączyli jej w końcu. Nie starczało jej z emerytury... To jedyna rzecz, jaką wiem o tej pani.

Serce zwolniło i Rędzia wrócił do samochodu.

Miał wrażenie, że od liceum nie minęło wcale aż tak dużo czasu, nie w perspektywie historycznej, ale w ciągu zaledwie kilkunastu lat wydarzyło się tyle rzeczy. Dwie rodziny, czy ściślej rzecz biorąc, ich gałęzie: Fanty i Sarneckiego wygasły. Tragedie miały różny wpływ na ludzi, jedni się jakoś pozbierali, jak Sarnecki, inni nie, jak Broniszowa. Jeden głupi wybryk młodych chłopaków miał niewyobrażalne konsekwencje, jego echo wciąż się nosło, było jak plama rozlanego na stole czerwonego wina wsiąkająca w bibułkę: zachłannie i niepowstrzymanie, niemal bez końca.

Datę śmierci matki Fanty można było ustalić bez trudu. Tylko czy był sens? Czy faktycznie, jak twierdzi Agnieszka, nie idzie z tym za daleko?

* * *

– Za szybki jesteś, Tomek – stwierdziła Agnieszka. – Może Broda z Cinkiem poszli w tango. Stwierdzili, że mają dość izolacji i odpoczną sobie od niej. Ludzie wariują od tego, wiem to po sobie.

Rędzia siedział z głową opartą o ścianę i podgryzał wnętrze dolnej wargi.

– Co musiało się stać, że Broda zaryzykował trzydzieści tysięcy kary za opuszczenie miejsca kwarantanny? – zapytał.

– Może mógł zyskać dużo więcej?

– Ale co? I tak mam złe przeczucia. Adolf też na początku tylko zniknął...

– Został zabity. A sądzić, że to samo przytrafiło się teraz Cinkowi i Brodzie...

– Zniknął, zanim został zabity. Brakuje kilku lat udokumentowanego w jakiś sposób życia.

– Był w Anglii. Wiele na to wskazuje.

– Jeśli był, to po co fałszowałby pełnomocnictwo? Mógł pójść do konsulatu i to załatwić. Jak setki innych ludzi w podobnej sytuacji.

– W Wielkiej Brytanii jest tylko kilka polskich konsulatów. Może miał daleko, nie chciało mu się jechać, nie stać go było na bilet...

– I zapłacił kupę forsy za podrobienie apostilu? Nie znam się na dokumentach, ale ten wygląda naprawdę profesjonalnie, i skoro łyknął go notariusz, musi być naprawdę niezły. Tego nie zrobi uczeń liceum plastycznego na domowej drukarce, Aga.

– Notariusz był umoczony?

– Możliwe. Ale to nie daje odpowiedzi na pytanie, po co fałszować to aż tak profesjonalnie. Gdyby notariusz w tym siedział, wystarczyłoby mu nawet pokolorowane kredkami ksero. A tu masz: pieczęcie, podpisy, wszystko.

– No dobrze, wróćmy do tego Adolfa.

– Brakuje trzech lat, Agnieszka. Nie istniał od połowy dwa tysiące trzeciego do swojej śmierci w dwa tysiące szóstym. Sprzedaż mieszkania to fikcja, to nie on je sprzedał. Gdzie wtedy był i co robił? Coś mi tu nie gra.

– To wciąż nie daje odpowiedzi na pytanie, jaki jest tego związek ze Śmielinem.

– Wciąż uważasz, że ten związek istnieje tylko w mojej głowie?

– Nie licz na intensyfikację działań w sprawie zaginięcia Brody i Cinka. Jest, jak jest.

– To odpowiedź na moje pytanie?

Jej twarz była bez wyrazu.

– Poniekąd – odparła.

Rędzia wstał.

– Cześć – powiedział i ruszył w stronę drzwi.

– Trochę za stary jesteś na dziecinne obrażanie się – rzuciła, wyglądając za nim zza monitora.

Zatrzymał się.

– Nie obrażam się. Idę do domu to przemyśleć. Wiem, że nie ma żadnych mocnych poszlak na ten związek. Zdaję sobie sprawę, że może jednak grzebię za głęboko...

– To już coś.

– Poczekaj. – Podniósł rękę. – Ale czasem, w jakiś niewytłumaczalny sposób czujesz pewne rzeczy...

– Ja jestem opcja szkiełko i oko, Tomek. A to nie jest film. Tu nie ma miejsca na przeczucia...

– To nie przeczucia – przerwał jej. – To hipotezy.

– Prowadzisz dwa różne śledztwa, zrozum to wreszcie. To drugie nie jest nawet śledztwem, tylko jakimś twoim hobby realizowanym w godzinach pracy. I to wprowadza lekki chaos w to, które faktycznie powinieneś prowadzić jako jedyne. W sprawie zabójstwa Adolfa, a nie strzelaniny w Śmielinie. Do tej pory dawałam ci to tylko do zrozumienia, może czas powiedzieć sobie jednak wprost, że już dość.

Pokiwał głową i wyszedł. Nie miał ochoty na dalsze pogawędki. Nie widział, jak Agnieszka odprowadza go lekko zatroskanym spojrzeniem.

W domu zjadł pierogi, potem nastawił *Delicate Sound of Thunder*, położył się na dywanie ze słuchawkami na uszach, zamknął oczy i odleciał do innego świata. A wieczorem dobiła go własna żona. Zadzwoiła koło dwudziestej i od razu zastrzeżiła go pytaniem:

– O co chodzi z tymi twoimi kolegami?

– Jakimi kolegami?

– Z klasy. Podobno zniknęli?

– Bożena, o czym ty mówisz?

– Hanka Berdak mi mówiła. Rozmawiałyśmy dziś, zadzwoniła do mnie.

– A skąd Hanka to wie?

– Przecież jest sekretarką w którymś z wydziałów w komendzie.

– Ale wojewódzkiej.

- Co za różnica?
- Zasadnicza. Dobrze, no i co z tego wynika?
- Pamiętasz tę akcję dwa lata temu? Kiedy ukrywaliśmy się z chłopcami w domu tego przestępcy, bo polował na ciebie jakiś psychopata? Bo ja pamiętam: bardzo dobrze to pamiętam, Tomasz...
- Powiedziała do niego „Tomasz”, a nie „Tomek”. To nie był dobry objaw.
- Co to ma do rzeczy? – Westchnął. – Było, minęło. Jestem policjantem, a nie przedstawicielem handlowym czy dyrektorem.
- Nie chcę powtórki z rozrywki.
- Nie będzie żadnej powtórki. I zapewniam cię: to nie była dla mnie żadna rozrywka.
- Chcę wiedzieć, czy coś ci grozi.
- Dziewczyno, co ma mi grozić?
- Zabili twojego kolegę z klasy. Teraz zniknęło dwóch następnych. Więc pytam, czy coś ci grozi. Przypominam ci, że masz dwóch synów, jeśli już nie myślisz o mnie.
- Sugerujesz, że o tobie nie myślę?
- Nic nie sugeruję. Aha, zapomniałabym, jest jeszcze koleżanka, ta prokuratorka, prawda?
- Aaa, o to chodzi... Nie zapomniałabyś. – Roześmiał się. Bożenie jakoś nie było do śmiechu.
- Mam się martwić, Tomek? – zapytała.
- Boże, czym?
- Odpowiedz mi.
- Za mało masz zmartwień, Bożena?
- To nie jest odpowiedź na moje pytanie.
- Dobrze. Nie musisz się martwić. Jeśli zastanawiasz się, czy ktoś eliminuje dawną klasę „b” z liceum numer siedemnaście, to pocieszę cię, że ja do tej klasy chodziłem, ale w niej nie byłem, rozumiesz? To jest przypadek...
- TAKI przypadek? Masz mnie za idiotkę?
- Mówię o sobie i o Agnieszce. Związek między tym zabitym a zaginionymi faktycznie istnieje, ale między nimi a nami już nie. Ja jestem gliniarzem od zabójstw, ona jest prokuratorem, to kto ma prowadzić śledztwo? Ksiądz proboszcz?

– Akurat ona? O nią też się nie muszę martwić? To zdaje się jest ta twoja pierwsza miłość.

Rędzia prawie zgrzytnął zębami. Oczywiście, że opowiedział jej kiedyś o Agnieszce, tak jak ona jemu o jakimś Patryku. Zgrabnie połączyła fakty: informacje od żony Berdaka i opowieść, którą uraczył ją dwadzieścia lat temu w ramach wyznań o swoich doświadczeniach, jakie zwykle są udziałem chyba każdej pary. Berdak wiedział tylko, że chodzili z Agnieszką do jednej klasy.

– Coś źle pamiętasz – burknął. – To nie była moja pierwsza miłość, tylko dziewczyna, z którą przeżyłem swój pierwszy raz, i to jest spora różnica. Agnieszkę przeniesiono tu w ramach dobrej zmiany, której ona nie uważa za dobrą, więc nie było płaszczyzny porozumienia. Powtarzam, Bożena, to czysty przypadek i zostawmy ten temat, dobrze? Nic mi nie grozi, rozumiesz? Nic. Dasz mi chłopaków do telefonu?

– Dopiero skończyli lekcje. To jakaś masakra...

– Będą o tym opowiadać wnukom...

Przekazała telefon synom. Włączyli tryb głośnomówiący i przekrzykiwali się wzajemnie, relacjonując mu dzisiejszy dzień. Rędzia uśmiechał się. Tęsknił za nimi wszystkimi. Z jednej strony miał spokojną głowę, bo wiedział, że Bożena przestrzega wszystkich obostrzeń, a on nie musi się martwić, że coś im sprzeda, z drugiej – po prostu mu ich brakowało. Kiedy skończył rozmawiać z synami, telefon jeszcze na chwilę przejęła Bożena.

– Uważaj na siebie, Tomek – poprosiła.

– Uważam. Mówię poważnie. Jestem już dorosły i odpowiedzialny, wiesz, mam?

– Kocham cię.

– Ja ciebie też. Dobranoc.

– Pa...

Rozłączył się i od razu wybrał z kontaktów numer Berdaka.

– Jarecki, pytanie mam, z gatunku osobistych – zaczął, kiedy Jarek odebrał.

– Nie pójdziemy do łóżka. Nie jesteś w moim typie.

– Trochę mniej osobiste.

– Mogę nie odpowiadać?

- Nie możesz. Czy ty rozmawiasz ze swoją żoną o pracy?
 - A ty ze swoją nie?
 - Ja teraz pytam ciebie.
 - No, czasem pogadamy, co tam słyhać w robocie... Jak to mąż z żoną.
 - To mam prośbę: nie rozmawiaj. A przynajmniej nie o szczegółach, które dotyczą mnie i którymi twoja może podzielić się później z moją.
 - To one aż tak się kumplują?
 - Nie wiem, Jarek, może po prostu plotkują jak to baby, chociaż jak się okazuje, nie tylko baby plotkują. Tak, o tobie mówię. Więc powtarzam: nie życzę sobie waszych rozmów o mnie, rozumiemy się?
- Berdak przetrwał przez chwilę słowa Rędzi.
- Były niewygodne pytania? O to chodzi?
 - Dokładnie o to chodzi. Mam nadzieję, że to się więcej nie powtórzy.
 - Słowo, że nie. Sorry, głupio wyszło. Nie pomyślałem, że zaraz polecisz gdzieś z jęzorem. Ale żeby było jasne, ja nic nie sugerowałem, jeśli masz na myśli tę prokuratorkę...
 - Nie szkodzi, że nic nie sugerowałeś. Im nie potrzeba żadnych sugestii. One je sobie same zafundują. Kończąc temat: co się dzieje w pracy, zostaje w pracy, jasne?
 - Jasne.
 - Cieszę się. Do jutra, Jarecki.
 - Do jutra...

2020

Następny dzień przyniósł nowe zdarzenia. Również takie, które nie były związane ze śledztwem. Na przykład to, co stało się rano u Rędzi w mieszkaniu.

Znowu.

Znowu nie powiedział „nie”, choć tym razem zastanawiał się, czy dałby radę. Kiedy tuż po siódmej rozległ się dzwonek do drzwi, był pewien, że to sąsiad albo sąsiadka w jakiejś sprawie. Spojrzał przez wizjer i nawet nie przyszło mu do głowy, żeby Agnieszki nie wpuścić, po cokolwiek przyszła.

– Możesz się spóźnić do roboty? – zapytała, kiedy otworzył.

– Myślę, że głowy mi nie urwą – odparł ostrożnie. – Coś się stało?

– Nie. – Wzruszyła ramionami i weszła.

Następne słowa między nimi padły, dopiero kiedy skończyli się kochać. Ona znów stała w oknie, tym razem jasnym i pełnym słońca i gdyby nie to, że był dzień, Rędzia miałby wrażenie *déjà vu*.

– Zaszłam wtedy w ciążę – powiedziała nagle wpatrzona niewidzącym wzrokiem w niebieski kwadrat okna.

– Nie rozumiem, kiedy? – Rędzia zmarszczył brwi.

Czuł, że Agnieszka chce mu znowu powiedzieć coś ważnego, coś, co ją gnębi, a on być może zdoła jej choć trochę pomóc. Zauważył, że zaczyna takie rozmowy, stojąc w oknie, zapatrzona w rozciągający się za nim widok: działki, stadion, dzwonnice kościoła na Wieniawskiego i rozmytą w dali pofałdowaną linię wzgórz Lasu Arkońskiego.

– Z tobą. – Odwróciła się.

Poczuł, jak zasycha mu w ustach.

– Słucham? – wydukał.

– Nie, nie teraz, no coś ty. – Roześmiała się, ale było w tym śmiechu coś nieszczerzego, jakby był zupełnie przypadkowy, a ona w ostatniej chwili chciała się od niego powstrzymać, uważając go w dodatku za całkowicie niestosowny. – Wtedy, w czwartej klasie, kiedy poszliśmy do łóżka. Zaszłam z tobą w ciążę.

Rędzia chciał coś powiedzieć, ale w głowie miał kompletną pustkę. Zasłonił usta dłonią, a potem zaczął masować żuchwę. Czuł, jak drętwieje mu kark. Musiał wyglądać niezbyt dobrze, bo Agnieszka powiedziała do niego miękko:

– Nie denerwuj się, Tomek, to nie twoja wina. Zdarza się... To ja powinnam uważać.

– Jeszcze raz – zażądał. – Powiedz to jeszcze raz, pełnym zdaniem. Westchnęła.

– Czego nie rozumiesz? – Rozłożyła ręce. – Bzykaliśmy się w czwartej klasie i ja zaszłam w ciążę. Powtarzam: to się zdarza młodym i niedoświadczonym. Pamiętasz Ulkę z „a”? Zaszła jeszcze wcześniej, w trzeciej...

– Nie interesuje mnie Ulka. – Odzyskał głos i jasność myśli. – Interesujesz mnie ty. My.

– W porządku...

– Co się stało z... Z dzieckiem?

– A jak myślisz? – Popatrzyła na niego z lekką kpina.

Nie chciała go urazić, po prostu trochę bawił ją fakt, że facet pyta o tak oczywistą rzecz. Skoro nie chodziła przez następne dziewięć miesięcy z brzuchem i nie urodziła, to było oczywiste, jak postąpiła. Pomyślała przez moment, że Tomek może nawet sądzić, że Damian to jego syn, choć lata się nie zgadzały. Wyglądał, jakby taka myśl przemknęła mu przez głowę. Był pogubiony i nie dziwiła mu się.

– Jak myślisz, Tomek? – powtórzyła.

– Nie myślę – warknął. – Chcę to usłyszeć.

– Usunęłam. Ojciec załatwił lekarza. Był przekonany, że to jego sprawka, a ja nie wyprowadzałam go z błędu.

– Skąd miałaś pewność, że to nie jego?

– Kobieta wie takie rzeczy...

– Przestań pierdolić, nie byłaś kobietą, tylko nastolatą, gówniarą. Oboje byliśmy gówniarzami i gówno wiedzieliśmy o życiu...

Agnieszce nie spodobał się ani ton jego głosu, ani wulgaryzmy, ale rozumiała Rędzię. Wciąż jeszcze go rozumiała. Oblizwała usta.

– Skąd wiedziałaś? – zapytał, już spokojniej i ciszej.

– Bo dni się nie zgadzały. Ojcem mogłeś być tylko ty. On się takimi rzeczami nie przejmował. Nie pytał, kiedy miałam okres, czy prowadzę kalendarzyk, nie używał prezerwatyw. Myślał, że jak odpowiednio wcześnie wyciągnie, to nic się nie stanie. Kiedy mu powiedziałam o ciąży, nie wierzył, ale uświadomiłam mu, że jest coś takiego jak preejakulacja i to też może skończyć się zapłodnieniem. Podejrzewał ciebie, ale przysięgałam na wszystkie świętości, że to nie ty. Jak się domyślasz, nie był zainteresowany dociekaniem prawdy metodami analitycznymi, zresztą wtedy nie było jeszcze testów DNA ani niczego takiego. Załatwił lekarza, nie było mnie trzy dni w szkole, i już. Po wszystkim.

Rędzia poczuł ucisk w żołądku. Zrobiło mu się niedobrze. Mówiła o tym tak beznamiętnie, jakby relacjonowała jakiś przypadek ze swojej pracy.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś? – Bezsilnie zacisnął pięści. – Dlaczego, do cholery, mi nie powiedziałaś?

– Co byś zrobił? Kazał mi donosić i urodzić? Rzuciłbyś szkołę, poszedł do pracy w fabryce i wychowywałbyś je razem ze mną?

Rędzia opuścił głowę.

– Też miałem prawo głosu... – szepnął zrezygnowany.

Ale wiedział, jak naiwny był wtedy i jakie w rzeczywistości bezproblemowe było jego życie, nawet to niełatwe życie zakompleksionego nastolatka, w porównaniu z jej życiem.

– Dlaczego mówisz mi teraz? – zapytał już głośniej.

– Bo na to zasługujesz. Ciężkoło mi to przez te lata. Masz rację, to było również twoje dziecko i powinieneś uczestniczyć w podejmowaniu decyzji. Ale okoliczności były, jakie były. Miałeś przynajmniej spokój.

Pokiwał głową. To prawda. Miał ten komfort. Ona nie, i to go też bolało.

– Zapytam cię o coś i proszę o szczerą odpowiedź, skoro już wyznajemy sobie różne niełatwe rzeczy – powiedział ponuro.

– Pytaj.

– Szczerą – zaznaczył.

– Pytaj – powtórzyła.

– Czy poszłaś wtedy ze mną do łóżka tylko po to, żeby zajść w ciążę? Żeby on się przestraszył i zastanowił nad sobą? Ale żeby dziecko nie było jego, tylko kogoś obcego, w razie gdyby trzeba było je urodzić? Żeby nie miało wad genetycznych?

– Ale pan kombinuje, panie komisarzu, no... – Pokręciła głową.

– Nie mam ochoty na żarty, Aga. Nie teraz. Dlaczego ja? Grubawy typ z przetłuszczonymi włosami i śmierdzący potem?

Podeszła do niego, delikatnie chwyciła palcami jego podbródek i uniosła jego twarz ku swojej. Poddał się temu. Kiedy prawie dotykali się nosami, popatrzyła mu w oczy.

– To prawda, była dobra strona tej sytuacji, bo potem, po aborcji, on już nigdy więcej mnie nie dotknął. Ale nie po to poszłam wtedy z tobą.

– Więc po co?

Wodziła oczami po jego brwiach, nosie i ustach. Rędzia chciał i nie chciał równocześnie, żeby go pocałowała.

– Nie miałam pojęcia, że mam płodne dni. Te wszystkie filmy, które oglądaliśmy na lekcjach biologii, o kalendarzyku, o obserwowaniu siebie... Nie interesowały mnie. Odpływałam wtedy, bo kojarzyły mi się z tym, co robił mi ojciec. A ja chciałam po prostu zobaczyć, jak to jest zrobić to z kimś miłym, fajnym i normalnym. Z kimś takim jak ty. Nie byłeś grubawy, tylko dobrze zbudowany, i o ile pamiętam, wziąłeś wtedy przedtem prysznic, więc odpadł problem tłuszczu i potu. I było mi z tobą naprawdę miło.

Pokiwał głową.

– Nie wierzysz mi? – zapytała.

Nie patrzył na nią. Ochota na pocałunek nagle mu przeszła.

– To dlatego to był nasz jedyny raz? – Zerknął na Agnieszkę. – To dlatego potem nie dałaś się dotknąć i prawie przestaliśmy się do siebie odzywać? I nie zwalaj na brak czasu, bo przecież trzeba się było uczyć do matury i tak dalej...

Odsunęła się od niego. Wróciła do okna i przysiadła na parapecie, zakładając ręce na piersi. Znowu wyglądała oschle i profesjonalnie.

– Nie mogłam ci tego zrobić. – To nie brzmiało jak wyjaśnienie, tylko jak sucha informacja.

– Czego?

– Nie chciałam, żebyś się angażował. Ani teraz, ani wtedy.

– Aha. To dlatego teraz chodzimy ze sobą do łóżka niemal co drugi dzień? Gdzie tu sens? Jesteś teraz niekonsekwentna.

Spojrzała na niego zimnym, krytycznym wzrokiem. Było w nim zdziwienie, że nie rozumie, o co jej chodzi.

– Może z tego samego powodu? – Zacisnęła usta w taki sposób, w jaki kobiety robią to po pomalowaniu ich szminką. – Chcesz to analizować, Tomek? Poza tym teraz mamy po czterdzieści cztery lata, a nie po osiemnaście. To zasadnicza różnica. Sam to przed chwilą powiedziałeś: byliśmy gówniarzami. A teraz jesteśmy dojrzałymi i odpowiedzialnymi ludźmi. Prawda, że jesteśmy?

Rędzia nic nie mówił. Nie potwierdził ani nie zaprzeczył. Ciszę przerwał dźwięk jego telefonu. Nie patrząc na Agnieszkę, odebrał i przyłożył telefon do ucha. Słuchał, błędząc wzrokiem po kątach pokoju. Nagle jego mina się wydłużyła.

– Nie trzeba, ja ją zawiadomię, Jarek... Tak... Ten komentarz był zbędny i nie życzę sobie tego więcej, rozumiemy się? Na razie.

Schował telefon do kieszeni i wstał.

– Co się stało? – zapytała Agnieszka.

– Pajczyk – rzucił krótko.

– Jezu, nie mów, że też zaginął? – Otworzyła szeroko oczy. – Czy nie żyje?

– Żyje – burknął Rędzia. – Poharatany, ale żyje. Berdak mówi, że uciekł dosłownie spod łopaty. Ktoś go porwał i chciał zabić.

– Kto?

– Nic więcej nie wiem. To się stało w Zdunowie. Przypadkowy kierowca znalazł na poboczu drogi zakrwawionego mężczyznę wzywającego pomocy. To był Pajac. Już chyba nawet wyszedł ze szpitala. Nic poważnego mu nie jest, ale najadł się strachu.

Agnieszka znowu zagryzła usta, tym razem kącik.

– O co chodzi z tym komentarzem? – zapytała.

– Jakim komentarzem?

– Berdak rzucił jakimś tekstem, który ci się nie spodobał. Dotyczył mnie, prawda?

Rędzia spojrział w sufit.

– Nieważne, Aga. – Westchnął. – Nieważne. Ubieraj się i jedziemy. Zgarnąłem cię z prokuratury, gdyby ktoś pytał, tak?

Skinęła krótko głową i powoli zaczęli się ubierać. Kiedy podawał Agnieszce górę od kostiumu, spojrział jej w twarz i zapytał:

– Teraz już wierzysz, że to jednak ma coś wspólnego ze Śmielinem?

Nie odpowiedziała. Patrzyła tylko, jak wyjmuje z metalowej kasetki w szafie z bielizną broń i wciska ją w kaburę.

* * *

Pajczyk nie wyszedł ze szpitala, bo po prostu do niego nie pojechał. Nie zgodził się na to. Uparł się, że poczeka na ekipę na miejscu, mniej więcej tam, gdzie go znaleziono. Żądał, żeby przyjechał też Rędzia, a ten, rad nierad, musiał ulec, ale skoro Agnieszka chciała pojechać z nim, uznał, że jakoś to zniesie. W drodze zadzwonił po ekipę kryminalistyczną i przewodnika z psem tropiącym.

Dotarli na miejsce bardzo szybko. Ulice wyglądały jak Times Square ze snu Toma Cruise'a w amerykańskiej wersji *Vanilla Sky*; puste, niemal wymarłe, Rędzia nie musiał nawet używać koguta.

Pajczyk siedział w radiowozie zaparkowanym na poboczu ulicy profesora Żuka, kilkaset metrów przed skrzyżowaniem z ulicą prowadzącą do szpitala w Zdunowie. Był ubrany w strój sportowy, zabawnie opinający jego dość wydatny brzuszek. Przypominał trochę Gru z kreskówki Pixara.

Kierowca, który Pajczyka znalazł, siedział wściekły w swoim samochodzie, bo policjanci z patrolu, którzy przyjechali pierwsi, uparli się, żeby został, dopóki ktoś nie zdecyduje, co z nim zrobić. Rędzia spisał tylko jego dane i telefon, a potem zadał kilka pytań.

– Jak to wyglądało?

– Normalnie. Jechałem ze szpitala i ten gość prawie wpadł mi na maskę. Był zakrwawiony i machał rękami, początkowo bałem się zatrzymać, ale pomyślałem, że to potrącony rowerzysta wzywa pomocy. Stałem i wysiadłem, a on zaczął bełkotać, że go porwali, że ktoś chciał go zabić i żebym wezwał policję. To wezwałem, potem wyjąłem apteczkę i dałem mu bandaże i plastry, ale on nie chciał, żebym mu pomagał; powiedział, że poradzi sobie sam. No to go zostawiłem, czekałem na policję, a te jełopy kazały mi poczekać na was... Przepraszam. – Zreflektował się.

– Nie szkodzi. Niech pan jedzie. Mam pana numer, gdybym czegoś jeszcze od pana potrzebował, zadzwonię.

– Do widzenia. – Widać było, że mężczyzna już nie może się doczekać, aż odjedzie.

Rędzia odprowadził spojrzeniem land rovera i wrócił do radiowozu. Na tylnym siedzeniu siedzieli Agnieszka z Pajczykiem i rozmawiali.

– Nie mówiłeś nic o naszej koleżance. – Pajczyk wychylił się z auta, żeby lepiej widzieć Rędzię.

– A ma to znaczenie?

– Nie. Ale numer, co?

– Co masz na myśli?

– Nno... Was dwoje prowadzących sprawę Adolfa. – Błady uśmiech wykwitł na jego okrągłej twarzy.

Dopiero teraz Rędzia zauważył na jego czole spore zadrapanie. Już nie krwawiło.

– Widzę, że humor ci dopisuje? – zapytał kwaśno.

Pajczyk spoważniał.

– Przeżyłem. To chyba jest powód do radości?

– Dobrze. – Westchnął. – Opowiadaj, zanim zrobi się tu cyrk.

Pajczyk z powrotem wsunął się do samochodu i oparł głowę o zagłówek.

– Dziś rano wyszedłem z domu, żeby pobiegać. Musiało być tuż po siódmej. Pobiegłem w stronę Gubałówki i jeszcze na Miodowej usłyszałem, że jedzie za mną samochód. Powoli. Zbiegłem na bok, żeby go przepuścić, a kiedy mnie mijał, ktoś wciągnął mnie do środka...

– Co to był za samochód?

– Nie oglądałem się, kiedy za mną jechał. A jak już mnie wciągnęli do środka, natychmiast zarzucili mi coś na głowę i skrępowali ręce taśmą klejącą. Ale chyba jakiś van. W środku było dużo miejsca, nie było siedzeń, tylko podłoga.

– Czyli musiało ich być co najmniej dwóch? Kierowca i porywacz?

– Na to wygląda. – Pajczyk spojrział na Rędzię i Agnieszkę. – Dwóch... Myślicie o tym samym co ja?

Rędzia patrzył na las oczami bez wyrazu. Podejrzewał, że Pajczyk nie ma racji. Broda i Cinek nie uprowadzili Pajczyka, uważał wręcz, że odbyli taką samą podróż jak on i kto wie, może nawet byli zakopani gdzieś niedaleko stąd.

– Powiedziałem: co najmniej, Kuba. A jeśli było ich trzech albo czterech? – zapytał.

Pajczyk milczał.

– Dobra, co dalej?

– Jechaliśmy, jechaliśmy, ale ja nic nie widziałem. Kiedy na samym początku otrząsałem się trochę z zaskoczenia i zacząłem krzyczeć, dostałem w żołądek i mi przeszła ochota do krzyczenia.

– Mówił coś? Albo mówili?

– Nie. Całą podróż przebiegała w ciszy. Próbowałem liczyć i notować w pamięci zakręty, ale szybko się pogubiłem. Pytałem, czego chcą, oferowałem im kasę, ale nikt nic nie mówił. To było najgorsze – zadrżał nagle – ta cisza i ta niepewność.

– Dojechaliście na miejsce i...?

– Poczuję, że zwalniamy, a potem samochód zaczął podskakiwać na wybojach, przez jakieś kilkanaście metrów. Zatrzymał się, usłyszałem, że odsuwają się drzwi i dostałem kopa. Wypadłem na zewnątrz, na szczęście na piach. Usłyszałem, że samochód odjeżdża i... I ten, co został, zdjął mi z głowy worek. Byliśmy tutaj. – Rozejrzył się. – Mniej więcej tutaj... Już dość daleko od ulicy, zasłaniały nas drzewa.

– Chciało mu się wieźć cię taki szmat drogi? Nie mógł sobie przygotować czegoś bliżej? – zapytał Rędzia sceptycznie.

– Czegoś? Masz na myśli mój grób?

– Tak.

Pajczyk zerknął na Rędzię. Nie było to ciepłe spojrzenie.

– Mam nadzieję, że zapytasz o to samego sprawcę, i to już niedługo. Na razie nie macie szczęścia i życzę wam, żeby los się odwrócił.

– Jak on wyglądał?

– Miał kominiarkę. Były w niej tylko otwory na oczy, ale oczu też nie widziałem, bo miał pod nią ciemne okulary. Ubrany był normalnie, spodnie bojówki, kurtka, taka czarna. Butów nie pamiętam. I jeszcze sportowa torba. Miał ją na ramieniu.

– Co dalej?

– Pokazał mi ręką kierunek, w którym mam iść. To poszedłem, a on za mną. Mówię wam, przez głowę przebiegały mi najczarniejsze myśli. – Pokręcił głową, wpatrzony w swoje kolana. – Żegnałem się z życiem, prawie jak... Prawie jak wtedy, na polanie, wicie?

Westchnął głęboko i kontynuował:

– Doszliśmy do jakiegoś miejsca i on wyciągnął z torby saperkę...

– Poczekaj: terroryzował cię czymś? Bronią, nożem, maczetą?

– Nie. – Pajczyk popatrzył na Rędię z zaskoczeniem, jakby właśnie to sobie uświadomił, a może raczej to, że mógł wtedy spróbować coś zrobić.

– Zrozumcie: byłem zestrany ze strachu, nie wiedziałem, gdzie jestem i co mi grozi. Łatwo wam mówić...

– Kuba, tylko pytam, tak? Ustalam fakty. Proszę cię, nie reaguj, jakbym każdym słowem chciał cię zgnębić. Doszliście na miejsce, on wyciągnął saperkę...

– Odlepił mi taśmę z rąk, dał mi ją i na migi kazał kopać. Wtedy... Wtedy już wiedziałem, że się z tego nie wywinę.

– I co, zaczęłeś kopać?

– Tak. Kopałem i usiłowałem coś wykombinować. Cokolwiek. Chciałem rzucić się na niego z tą saperką, ale skurwiel chyba to przewidział, bo stał daleko. Stał i patrzył. Pytałem, o co chodzi, mówiłem, że to na pewno pomyłka, znowu zaoferowałem mu pieniądze. Ale on nic, tylko się gapił. Minęła chyba godzina, byłem spocony jak mysz i w pewnym momencie on do mnie podszedł i wyciągnął rękę po łopatkę. I ja... Ja nawet wtedy nie myślałem, działałem odruchowo. Wziąłem zamach i walnąłem go w tę rękę. Wrzasnął tak, że aż ptaki pouciekały z drzew. Mam nadzieję, że mu ją prawie uciałem albo chociaż złamałem. A potem poprawiłem w łeb. Dostał z boku, na płask i upadł na ziemię. Więc

zerwałem się do biegu. I trafiłem jakoś na ulicę... – Spuścił głowę. – Zatrzymałem kogoś i ten ktoś zadzwonił po policję.

– Stracił przytomność?

– Chyba tak, skoro mnie nie gonił? Kto wie, może nawet nie żyje?

– Nie chciałeś sprawdzić, kto to? Ściągnąć mu kominiarki?

Pajczyk spojrział na Rędzię kpiąco.

– Ty byś zajrzał? Człowieku, to była walka o życie! Cios i w długą. Miałem się, kurwa, zastanawiać? A jakby jednak się pozbierał, wstał i wyciągnął giwerę?

– Tylko pytam, tak?

– Nie. Gdyby tak było, zapytałbyś po prostu: czy ściągnąłeś mu kominiarkę? Twoje pytania były odpowiednio nacechowane.

Rędzia zamilkł. Może dlatego, że Pajczyk miał rację. A on faktycznie powinien był się powstrzymać. Pajczyk założył ręce na piersi jak obrażony dzieciak i patrzył w szybę, gdzieś na las. Agnieszka pomyślała, że jest tu z nią dwóch dzieciaków.

– Wyjaśniłem ci przed chwilą swoje intencje, ale dobrze, nie będę się kłócić. – Rędzia westchnął. – A ty też zarzucasz nam nieporadność, ale zastanów się najpierw, czy twoje porwanie na pewno ma związek z Adolfem.

– Żartujesz? To chyba oczywiste, że ma!

– Możliwe, a nie oczywiste, Kuba. Pomyśl, czy nie masz wrogów w postaci konkurencji. Słyszałem, że biznes śmieciowy potrafi być bardzo agresywny? Mówię o eliminacji konkurencji.

Pajczyk nie odpowiedział.

– Kiedy biegasz, używasz Endomondo albo czegoś podobnego? – zapytała nagle Agnieszka.

– Nie – odparł. – Nie wziąłem nawet komórki, żeby mi nikt dupy nie zawracał. Poza tym nie biegam dla wyników ani żeby sobie cokolwiek udowodnić. Niczego nie muszę sobie udowadniać.

– Zawsze jesteś taki jednoznaczny? – zapytał Rędzia, zanim się zorientował, że zna odpowiedź.

Pajczyk taki właśnie był. Nie dopuszczał do siebie myśli, że może się mylić. Jego opinie wygłaszane publicznie były populizmem w czystej postaci, populizmem podszytym własnymi przekonaniem. Nie chodziło

nawet o przekonania, każdy ma jakieś, ale Pajczyk, dyskutując o jakimś zagadnieniu, brał pod uwagę jedynie te aspekty, które były dla niego wygodne, resztę negując bądź zaprzeczając ich istnieniu. Wybierał je sobie, dopasowywał do swojej teorii, zonglując nimi sprawnie jak cyrkowiec piłeczkami, tak szybko, że wielu ludziom ten fakt po prostu umykał. W końcu, obserwując zonglera, widzimy wyłącznie tę piłeczkę, na której akurat skupimy wzrok, reszta zaś jest tylko rozmazanymi smugami. A kiedy odpowiadał na pytanie, padało kilka odpowiedzi na inne, których nikt mu nie zadawał. Jak przed chwilą.

– Zawsze – potwierdził skwapliwie. – I umiem to obronić. To się nazywa bezkompromisowość.

Rędzia miał na to inne określenie, ale nie było sensu się sprzeczać.

– Gdybyś używał Endomondo albo chociaż miał komórkę, może dałoby się dokładnie prześledzić czas i trasę, którą cię wieźli, a potem na podstawie zapisów monitoringu ustalić pojazd: markę i numery – powiedziała Agnieszka.

Pajczyk zaczął oglądać sobie zadrapania na przedramionach.

– Gdyby człowiek wiedział, że się przewróci, toby się położył, znacie to? – zapytał i zabrzmiało to w jego ustach, jakby miał im za złe, że ośmielają się coś mu zarzucać.

Rędzia powoli, lecz nieubłaganie zaczynał żałować, że Pajczykowi się udało. Agnieszka miała w oczach to samo. Uśmiechnął się do niej krótko i zobaczył kątem oka, że Pajczyk to zauważył.

Nagle koło nich zatrzymała się policyjna furgonetka. Potem druga i trzecia. Po chwili dojechał jeszcze jeden samochód, szara skoda. Zaparkowały za nimi, zamigały koguty, boczne drzwi odsunęły się niemal jednocześnie. Kierowcy przejeżdżających obok samochodów zwalniali i mijając ich, ze zdumieniem przyglądali się kawalkadzie radiowozów.

– No i mamy: zaczyna się cyrk. – Rędzia westchnął.

Z pierwszej furgonetki wyskoczył pies na długiej linie, za nim jego przewodnik i dwóch policjantów. Z drugiej kilku techników kryminalistycznych. Z trzeciej następnych kilku policjantów i Rędzia wiedział, że to jeszcze nie koniec. Jednego z techników Rędzia poznał: był na Łęknie, kiedy odkopywano ciało Adolfa.

Zostawił Pajczyka i Agnieszkę w radiowozie i podszedł do nich.

– Kwinto, siad! – Pies, duży kundel, który miał coś wspólnego z owczarkiem niemieckim, posłusznie usiadł na poboczu, wpatrzony w swojego pana.

– Zjedźcie z ulicy w tę ścieżkę, my z panią prokurator i ekipą przejdziemy się kawałek, musimy trafić z poszkodowanym na miejsce zdarzenia – polecił Rędzia sierżantowi siedzącemu za kierownicą furgonetki i tym z radiowozu.

Potem podszedł do drugiego vana i powtórzył to samo. Kierowca skody nie czekał na niego, tylko ruszył. W bocznej szybie Rędzi mignęły profile twarzy dwóch mężczyzn. Jednego z nich znał i już wiedział, że sprawy przybiorą niedługo inny obrót.

Kiedy już samochody przemieściły się i zaparkowały na leśnym dukcie, wszyscy zebrali się w kole. Pajczyk był wśród nich i chyba był lekko wystraszony tym zamieszaniem. Nie wiedział, że zaraz dojedzie jeszcze więcej funkcjonariuszy. Tak właśnie to wyglądało przy uprowadzeniach.

Rędzia zreferował krótko okoliczności porwania.

– Znajdziesz to miejsce? – zapytał cicho Pajczyka, kiedy na chwilę przerwał.

– Choćbym miał szukać tydzień. To nie było daleko.

Rędzia wszedł do środka koła.

– Poszkodowany powiedział, że spróbuje odnaleźć miejsce, do którego został doprowadzony. Proszę o zachowanie szczególnej ostrożności, istnieje prawdopodobieństwo, nikłe, ale zawsze jakieś, że sprawca wciąż tam jest, najprawdopodobniej ranny lub nieprzytomny. Ruszamy.

Uformowali się w coś w rodzaju nieregularnej kolumny i poszli w głąb lasu ścieżką, którą wskazał Pajczyk. Szli powoli w pełnym słońcu, słychać było tylko dyszenie psa, który z wywieszonym jęzorem dreptał przy nodze pana, i ciche pomrukiwanie silnika jednej z policyjnych furgonetek, którą przyjechali technicy kryminalistyczni. Bujała się na koleinach piaszczystego duktu wyjeżdżonego ciężkim sprzętem używanym do transportu drewna.

Nagle do Rędzi podszedł funkcjonariusz, który przyjechał skodą.

– Jak tam panu, komisarzu, w nowym miejscu? – zapytał.

Rędzia nie spojrzał na niego, tylko dalej brnął przez piach, nieco zwalniając kroku. Począł, aż Agnieszka i Pajczyk wysforują się do

przodu.

– Świetnie – powiedział. – Niemal jak w domu.

Przystojny mężczyzna o zwodniczo miłej aparycji, który zadał pytanie, był funkcjonariuszem komendy wojewódzkiej. To normalne, że z racji kalibru przestępstwa, jakim było porwanie, ktoś od nich pojawił się na miejscu, ale Rędzia wolałby, żeby nie był to akurat Artur Dziekański, jego dawny współpracownik. Nie lubili się. Był jedyną osobą w wydziale, z którą nie był na „ty”.

– Podobno to element jakiejś grubszej sprawy? – zapytał Dziekański, wskazując idącego kilka metrów przed nimi Pajczyka.

– Wszelkich informacji udzieli mój naczelnik lub pani prokurator Rybarczyk. – Rędzia wzruszył ramionami. – W tej chwili nie ma żadnych formalnych powiązań między porwaniem a sprawą zabójstwa, którą prowadzę.

Dziekański szedł przez chwilę w milczeniu, przetrawiając słowa Rędzi. Ten drugi, którego komisarz nie znał, nie odzywał się.

– Zobaczymy się niedługo – powiedział w końcu Dziekański.

– Domyślam się. Do zobaczenia.

Rędzia przyspieszył i dogonił Agnieszkę i Pajczyka.

– Wiesz, dlaczego nie sądzę, żeby to była konkurencja z biznesu śmieciowego? – zapytał cicho Pajczyk.

Rędzia pokiwał głową. Patrzył pod nogi, na swoje stopy miarowo depczące po drobnym, niemal białym piasku. Czubki jego butów zagłębiały się w nim, a kiedy podnosił stopy do kolejnego kroku, rozsypywał się na boki delikatnymi kaskadami.

Kiedy dwadzieścia sześć lat temu Pajczyk z Adolfem, Cinkiem i Brodą wracali nocą z polany, ich stopy zagłębiały się w takim samym piasku. Otaczały ich takie same drzewa. Była noc, ale poza tym niemal wszystko było takie samo. Właśnie dlatego Pajac sądził, że to nie sprawka konkurencji. I akurat w tej sprawie Rędzia całkowicie się z nim zgadzał.

– Myślisz, że ktoś chce dokonać jakiejś symbolicznej zemsty? – zapytał Pajczyk, nie doczekawszy się odpowiedzi na swoje pytanie. – Na nas? Na tych, którzy zostali?

– Być może. – Rędzia zerknął na Agnieszkę, z mozołem brnącą przez piach w swoich espadrylach.

Była za bardzo skupiona na dotrzymaniu im kroku, żeby zauważyć jego spojrzenie. Pies rwał do przodu, jakby szedł na spacer do lasu, żeby się wybiegać, a nie do pracy.

– Równaj, Kwinto. – Przewodnik pociągnął za smycz krótkim szarpnięciem i pies zwolnił.

Pajczyk zaczął się nagle rozglądać dookoła. Otarł z czoła pot i syknął, kiedy przejechał dłonią po otarciu.

– To chyba gdzieś tu – wysapał.

– No to się zaraz przekonamy, czy byłeś skuteczny. – Rędzia nie mógł sobie darować.

Pajczyk nie zareagował. Wciąż się rozglądał, lekko ruszał ustami, jakby mówił do siebie, i obserwował otoczenie. W końcu zdecydował się i skręcił w las. W tym samym momencie zauważył coś na poszyciu. Schylił się i podniósł to z ziemi.

– Zostaw. – Rędzia chciał go powstrzymać, ale było już za późno.

Pajczyk pokazał mu, co trzyma w dłoni.

– To na pewno tu – stwierdził. – To kawałek taśmy, którą miałem skrepowane ręce.

Jeden z techników przewrócił oczami i Rędzia, widząc to, zwrócił się do Pajczyka:

– Proszę cię, żebyś niczego nie dotykał, tylko co najwyżej wskazywał to panom, dobra?

– Dobra... – mruknął Pajczyk i oddał taśmę technikowi.

– Tam? – zapytał go cicho Rędzia, pokazując małą, zalaną słońcem polaną prześwitującą za drzewami. Kiedy ten kiwnął głową, dodał: – Teraz cisza. Widzicie tam kogoś? Leżącego?

– Nie – odparła Agnieszka. – Chyba że za pryzmą ziemi. Minęło sporo czasu, więc albo już się obudził i uciekł, albo nie żyje.

Rędzia wyciągnął broń. Cała grupa zbiła się ciasniej, van zatrzymał się kilka metrów za nimi.

– Poczekajcie – powiedział cicho i odwrócił się do policjantów, wybierając jednego na chybił trafił. – Ubezpieczaj.

Sierżant wyciągnął pistolet i mocno ścisnął rękojeść. Przewodnik nawinał sobie linkę na dłoń i przyciągnął psa do siebie. Wszyscy odruchowo się pochyłili. Rędzia powoli ruszył przed siebie, na ugiętych

nogach, z bronią wycelowaną w ziemię, jakieś dwa metry przed siebie, wpatrzony w pryzmę żółtej ziemi. Nie spuszczał jej z oczu. Cała grupa obserwowała go, jak mija drzewa i wchodzi na polanę, unosząc broń. Po chwili opuścił ją, a potem podniósł wysoko rękę.

Wszyscy weszli na polankę. Na jej skraju widoczny był dół, niezbyt głęboki, podłużny, wypełniony cienkimi witkami korzeni okolicznych drzew. Trochę ziemi wyspało się do środka. Obok leżała torba i saperka oraz rolka srebrnej taśmy naprawczej, takiej samej, jakiej kawałek Pajczyk znalazł przed chwilą na drodze. Technicy zaczęli szykować się do pracy.

Rędzia spojrział na jednego z nich i nie widząc, żeby oponował, ostrożnie podszedł do krawędzi dołu. Kucnął i zaczął grzebać palcami w pryzmie ziemi, głęboko, coraz głębiej, aż trafił na ciemniejszą, mocno wilgotną i zbitą glebę.

– Dół był przygotowany wcześniej – stwierdził, oglądając się zdziwiony na Pajczyka. – Wyschnięta ziemia ma zbyt grubą warstwę jak na świeży wykop. A mówiłeś, że kazał ci go kopać?

– Bo kazał. Tu już była taka dziura jak po wyrwanym drzewie. – Wzruszył ramionami i roześmiał się nerwowo, co zabrzmiało jak beczenie. – Może przygotował ją wcześniej, żeby mi oszczędzić wysiłku przed śmiercią?

Rędzia zerknął na przewodnika.

– To co, do roboty? Czas ucieka.

Przewodnik podprowadził psa do torby, kazał mu usiąść. Jeden z techników w kombinezonie i rękawiczkach najpierw zajrzał do niej, ostrożnie rozchylając jej brzegi. Potem odsunął się, robiąc miejsce psu, ale przewodnik i tak powtórzył czynność technika.

– Muszę najpierw sprawdzić, czy nie ma tam żadnych niespodzianek – wyjaśnił.

Pies czekał grzecznie, ale ogon szurał po ziemi jak wycieraczka po szybie samochodowej w ulewny deszcz.

– Kawa, pieprz, te sprawy? – zapytał Rędzia.

– To nie chodzi o zmylenie psa, bo takie rzeczy nie działają. Chodzi na przykład o kawałek mięsa z połamaną żyłką. To działa... Ale czuć

zapach octu – stwierdził. – Ktoś był przewidujący. Dobra, zobaczymy. – Wstał z kolan i podsunął torbę psu pod nos. – Szukaj, Kwinto, szukaj.

Pies, merdając ogonem, zanurzył w niej pysk, a potem zbliżył nos do ziemi i zaczął dreptać w kółko. Wszyscy przyglądali się temu w milczeniu. Trwało to chwilę, ale pies był wyraźnie zdezorientowany. Podszedł do Pajczyka i zamerdał ogonem.

– Rozumiem, że nie mogę go pogłaskać? – zapytał Pajczyk.

– Nie. – Przewodnik miał zmarszczone brwi. – Dotykał pan tej torby?

– Oczywiście, przecież kazał mi ją nieść...

– Nie mówiłeś tego – stwierdziła Agnieszka.

– Mówiłem skrótowo. – Pajczyk wzruszył ramionami. – Miałem opowiadać ze szczegółami?

Rędzia spojrzał w niebo. Czuł, że nic z tego nie będzie.

– Tak. – Westchnął, nie patrząc na Pajczyka. – Ze szczegółami...

Pies nie podjął tropu. Razem z przewodnikiem pokręcili się jeszcze kwadrans po polance, ale w końcu funkcjonariusz stwierdził, że wystarczy. Kwinto nie wyglądał na przejętego. Usiadł przy panu i oglądał się na boki, wyraźnie ucieszony widokiem lasu. Technicy na serio zabrali się do roboty.

Rędzia z Agnieszką i Pajczykiem odeszli na bok. Dziekański stał z kolegą obok dołu i nie wyglądało na to, że będzie miał ochotę jeszcze do Rędzi podejść. Policjanci stali po dwóch–trzech i rozmawiali, kilku chodziło powoli wzdłuż linii drzew otaczających polanę.

– Prywatne opinie nie powinny mieć wpływu na działania zawodowe – oświadczył nagle Pajczyk, wyrывая Rędzię z zamyślenia.

Powiedział to gorzkim, pełnym gorczy tonem.

– Nie rozumiem?

– Rozumiesz. Nigdy za mną nie przepadałeś. Zresztą ja za tobą też.

Inni również...

Rędzia machnął niedbale ręką.

– Nie martw się. Nic się nie zmieniło.

– Wiesz, że mógłbym złożyć na ciebie skargę? Agnieszka, jesteś świadkiem.

Rędzia w ostatniej chwili powstrzymał wybuch śmiechu.

– Wiem – odparł. – Bardzo dobrze to wiem, że mógłbyś.

Agnieszka patrzyła przed siebie.

– Nie mieszaj mnie do tego, Kuba – powiedziała.

– To zrozumiałe, że będziesz trzymać jego stronę. Dlatego dam sobie spokój. Chcę tylko, żebyście traktowali mnie z szacunkiem. To moje prawo. Przypominam, że jestem ofiarą przestępstwa. Czy dostanę policyjną ochronę?

– Masz przecież broń – zauważył Rędzia i Pajczyk wreszcie się zamknął.

Dostrzegli nagle szary samochód. Zatrzymał się przy wjeździe na polanę. Agnieszka zerknęła na kierowcę, który wysiadł z auta i natychmiast zapalił papierosa.

– Okrągówka – mruknęła. – Zaraz wrócę.

Odeszła od nich. Pajczyk znów miał na twarzy swój uśmiezek. Odprowadził Agnieszkę spojrzeniem i odwrócił się, żeby zobaczyć, co robią funkcjonariusze.

– Bal maskowy, kurwa... – prychnął, zerkając na Rędzię, ale ten nie zareagował.

Wciąż patrzył na Agnieszkę, która przywitała się z przybyłym. Zaczęli rozmawiać. Rędzia widział ich postacie na tle drzew. Agnieszka założyła ręce na piersi; górowała nad prokuratorem wzrostem, mężczyzna oparty pośladkami o błotnik musiał zadzierać głowę, żeby widzieć jej twarz. Rozmawiali około pięciu minut, a potem Agnieszka wróciła do nich.

– Właściwie mogę się zbierać. – Zerknęła na zegarek.

Rędzia musiał jeszcze zostać. Pajczyk też stwierdził, że chce zostać na miejscu do końca, a przynajmniej do czasu, aż będzie tam prokurator. Rędzia uświadomił mu, że zajmie się nim zaraz jeden z techników, który zabezpieczy ewentualne ślady z jego ubrania i skóry, a potem się rozejrzał. Po polance kręciło się ponad dwadzieścia osób, każda z nich coś robiła, postanowił więc, że odprowadzi Agnieszkę do ulicy, a tam poprosi załogę radiowozu, żeby podrzucili ją do prokuratury. Szli sami ten krótki odcinek przez las, a komisarz wciąż czuł smak jej szminki do ust i zapach jej skóry.

– Ci goście byli z wojewódzkiej? – zapytała.

– Uhm.

– Myślisz, że to przejmą?

– Możliwe. Teraz pytanie, czy traktowane to będzie jako odrębna sprawa, czy powiązana z zabójstwem Adolfa. Sama wiesz, że te powiązania są luźne, ale wykazywałem je w czynnościach. Może nie ma z tego konkretnych materiałów, bo mimo wszystko wciąż działałam po omacku, ale są podstawy, by to ze sobą powiązać. Ale Pajczyk w pewnym sensie jest osobą publiczną. Sprawa zrobi się medialna, nie mam co do tego żadnych wątpliwości... Nawet nie o to chodzi, że on sam będzie o tym trąbił, bo nie będzie: jemu nie zależy na powrocie do tamtych wydarzeń. Ale nie co dzień mamy do czynienia z próbą uprowadzenia czy zabójstwa radnego miejskiego. Tylko czekać, aż wybije szambo...

– Myślę, że też mogę się spodziewać zainteresowania z góry. Ten z okręgówki, który przyjechał, jest podobno bardzo dyspozycyjny, więc pewnie złoży wniosek do prokuratury regionalnej o objęcie postępowania zwierzchnim nadzorem służbowym. I moje śledztwo w to też wrzuca.

Rędzia skrzywił się lekko.

– Nie traktuję tej sprawy ambicjonalnie, Aga – powiedział. – Nie chodzi o moje urażone ego. Boję się tylko, że jakby co, ktoś to po prostu spieprzy. A ja chcę to doprowadzić do końca. Zależy mi na tym.

– Myślisz, że mnie nie?

Rędzia nie odpowiedział.

– Zastanawia mnie jedna rzecz... – rzekł po chwili milczenia.

– No?

– Pajczyk miał zginąć. Po cholere porywacz był zamaskowany, skoro i tak jedyny poza nim świadek i uczestnik zdarzenia nikomu nie powiedziała, jak wygląda?

– Może zabezpieczał się na wypadek, gdyby ktoś postronny jednak to widział?

– Możliwe. A może jednak nie miał zginąć i chodziło o nastraszenie? Te okoliczności, jakby żywcem wyjęte ze Śmielina... Zwróć uwagę na jeszcze jedną rzecz: Pajczyk wspomniał, że przez cały czas nikt z porywaczy się nie odzywał. Wszystko pokazywali na migi. Bali się rozpoznania głosu? Może to faktycznie byli Broda i Cinek? Może z jakichś powodów ukrywają się przed nami i próbują w ten sposób na Pajczyka wpłynąć?

– Albo ukrywają się nie przed nami, tylko przed kimś innym – zauważyła Agnieszka.

Rędzia szedł kawałek w milczeniu. Powoli zbliżali się do ulicy, widać już było jeden z radiowozów, który tarasował wjazd na ścieżkę.

– Coraz mniej z tego rozumiem, Aga – powiedział w końcu. – A właściwie nic już, kurwa, nie rozumiem...

* * *

Kiedy całe zamieszanie się skończyło, Rędzia pojechał do komendy na te dwie godziny, które przynajmniej teoretycznie zostały mu do końca pracy. Miał nadzieję, że posiedzi chwilę w spokoju i pomyśli albo chociaż po prostu posiedzi w ciszy, niekoniecznie myśląc o czymkolwiek. Wciąż nie mógł otrząsnąć się z szoku, który odczuł, kiedy Agnieszka powiedziała mu o ciąży. Przez chwilę zastanawiał się, co zrobiłby, gdyby powiedziała mu wtedy, w czwartej klasie. I nie tylko o tym, ale również o ojcu... Największy żal czuł chyba o to, że Agnieszka na własne życzenie została z tym sama. Nie ufała mu na tyle, by się tym z nim podzielić, żeby mogli przejść to razem, tak jak razem do tego dopuścili. A on miał teraz poczucie winy. Agnieszka zapewniła mu komfort, który to on jej powinien zapewnić, ale nie miał tej szansy...

Nie dane mu było posiedzieć spokojnie.

Kiedy dotarł do swojego pokoju, Berdak poinformował go, że Broda nie wskazał w karcie lokalizacyjnej innego miejsca odbywania kwarantanny i pokazał Rędzi wykaz logowań komórek Cinka i Brody do stacji bazowych. Kiedy obaj postarali się odtworzyć trasę, jaką Saganowski i Kisiel pokonali z dnia zniknięcia, wyszło im, że Broda był gdzieś na Pomorzanach w okolicach wczesnego popołudnia, potem Cinek odwiedził Brodę około szesnastej. To potwierdzały słowa sąsiadki Brody: wyszli z jego mieszkania razem. A potem logowanie nastąpiło znów w tym samym BTS-ie w pobliżu kościoła na Włóściańskiej i to obu telefonów w tym samym czasie. A więc wciąż byli razem. I nagle wszystko się urwało w okolicach dwudziestej. Więcej danych nie było.

– Kurwa – mruknął Berdak. – O co tu chodzi?

– Co może być na Pomorzanach? – zapytał Rędzia, który od kilku godzin nie myślał o niczym innym. – Mam na myśli miejsce, w którym oni mogliby mieć jakiś interes?

– Nie wiem. – Jarek wzruszył ramionami i podał mu następną kartkę papieru. – Ale Święty Mikołaj był: masz tu listę z dziekanatu. Koledzy Adolfa ze studiów. Nie pytaj, co musiałem zrobić, żeby to zdobyć.

Rędzia spojrział na wydruk. Widać było, że Berdak drukował to na ich służbowej drukarce, która zostawiała na papierze ciemne smugi, ale nie mogli się doprosić o wymianę kartridża z tonerem. Miał przed sobą listę około osiemdziesięciu osób. Tylko przy części były numery telefonów.

– Mieli być tylko koledzy – zwrócił Jarkowi uwagę.

Berdak spojrział na niego umęczonym wzrokiem.

– Wziąłem, co dały. Człowieku, teraz przy tym RODO to nawet do siebie bały się mówić przy mnie po imieniu. Wydubiłem tylko nazwiska, bo po targach ustaliliśmy, że nie są to dane pozwalające na zrobienie z nimi czegokolwiek niezgodnego z prawem. Pesele sprawdziłem w bazie, na podstawie rocznika, ale nie zdziw się w którymś momencie, jeśli to nie będzie absolwent politologii. Numery telefonów ustalałem już tylko dla chłopów. Ciesz się tym, co masz.

– Brawo ty, Jarecki. Gdyby ci się nie udało, poprosiłbym Agnieszkę. Ale wiesz, wtedy to oficjalne pismo z prokuratury, a dlaczego, a po co, a wirus jest i nikogo nie ma. Wydrukuj to jeszcze raz.

– Po co?

– Dzwonimy od razu. Ja biorę tych od A do L, ty resztę.

Rędzia, nie zwlekając, wybrał pierwszy z numerów. Przedstawił się, wyjaśnił, w jakiej sprawie dzwoni, i zapytał człowieka, czy po studiach poszedł do wojska. Tamten odpowiedział, że na pierwszej komisji poborowej w wieku osiemnastu lat dostał kategorię „D”, w związku z czym w ogóle nie kwalifikował się do służby wojskowej, jako trwale do niej niezdolny. Następnym trzech miało kategorię „A” i dopiero po przyciśnięciu Rędzia wydobył z nich informacje, że uniknęli służby dzięki koneksjom albo wyjazdowi na staż zagraniczny. Pobór skończył się rok później, ich rocznik był przedostatni, jeśli chodzi o długotrwałe przeszkolenie wojskowe. Kolejny kolega Adolfa ze studiów był w SPR-ze w Pile, razem z Rędzią, jak się okazało, tyle że w innym plutonie. Jego

nazwisko coś Rędzia mówiło, ale uznał to za przypadek, zwłaszcza że wydawało mu się, że tamten skończył geografię, a nie politologię. Następny był w Toruniu. Obaj po skończeniu szkół dostali przydziały do jednostek, w których odbywali praktykę oficerską, jednak żaden nie trafił w niej na Adolfa, na co Rędzia po cichu liczył. Dowiedział się tylko tyle, że Adolf podobno wylądował gdzieś w Trójkącie Bermudzkim, czyli w jakiejś jednostce w środku lasu zlokalizowanej pomiędzy Żaganiem, Żarami i Gubinem.

Kiedy Rędzia wybierał przedostatni numer ze swojej listy, miał nadzieję, że Berdakowi idzie lepiej. Słyszał tylko, że rozmawia z kimś, ale nie wiedział, z jakim efektem. Skoro jednak wciąż dzwonił, oznaczało to niechybnie, że z takim samym jak on. Czyli żadnym.

– Andrzej Korzeń, słucham? – usłyszał w telefonie.

Po raz kolejny wyklepał tych samych kilka zdań, ale tym razem spotkała go miła niespodzianka.

– Adolf, no tak. – Jego rozmówca roześmiał się. – Tak, byliśmy razem w szkole. W Olsztynie. To był gość, mówię panu...

– Wiem, tak się składa, że chodziliśmy do jednej klasy w liceum.

– No to sam pan wie.

– Wiem. Moglibyśmy się spotkać?

– Chce mnie pan wezwać na przesłuchanie?

– Darujemy sobie formalności. Chcę pogadać, nic więcej.

– Kiedy?

– Jak najszybciej, szczerze mówiąc. Jest pan na miejscu?

– Moje miejsce jest teraz w Toruniu. Nie mieszkam w Szczecinie od lat.

– Uhm. – Słyszając to, Rędzia pomyślał sobie, że w każdej beczce miodu znajdzie się ta cholerna łyżka dziegciu.

– Dobrze, zrobimy tak – powiedział Korzeń. – Tak się składa, że przyjeżdżam na krótki urlop do Szczecina, do rodziców. Będę nawet dziś wieczorem, ale możemy odłożyć to do jutra rana?

– Możemy. – Rędzia odetchnął w ulgą.

– Ale jeśli pan woli, możemy pogadać teraz, przez telefon.

– Jutro rano będzie dobrze – odparł Rędzia.

Umówili się na dziewiątą, jak w starym kawałku Eugeniusza Bodo. W parku Kasprowicza.

– Przecież parki są zamknięte? – zdziwił się Korzeń.

– Woli pan, żebyśmy spotkali się u pana w domu albo jednak u mnie w komendzie? Chyba zdrowiej na świeżym powietrzu?

– Jak nam wlepią mandat, to pan stawia.

– Nie wlepią – uspokoił go Rędzia i pożegnał się.

Potem podszedł do Berdaka.

– Masz coś? – zapytał.

– Nie. – Podniósł telefon, wyraźnie zniechęcony. – A ty?

– Owszem, trafiłem na dobre źródło. – Popatrzył na kolegę; Jarek był wyraźnie wyczerpany. – Zamówimy chińszczyznę?

Jarek nie miał ochoty, ale Rędzia owszem. Nie chciało mu się przygotowywać obiadu w domu, poza tym i tak nie miał po co do niego wracać. Pomijając fakt, że lodówka niemal świeciła pustkami. Musiał więc jeszcze zrobić trochę zakupów, ale to zostawił na wieczór, kiedy było mniej ludzi. Kolejki przed sklepami spożywczymi osiągały horrendalne rozmiary i nie uśmiechało mu się stanie w nich.

Zadzwoił do „chińczyka” i złożył zamówienie.

* * *

Po południu wezwał go do siebie naczelnik. Kiedy Rędzia wszedł do jego gabinetu, natychmiast rzuciła mu się w oczy przystojna twarz Dziekańskiego. Obok niego siedziała zastępczyni Kurylak, starsza aspirant sztabowa Agnieszka Wojdas, niewysoka dziewczyna ze spiętymi z tyłu tlenionymi włosami. Od spojrzenia jej zielonych oczu niejednemu cierpła skóra. Rędzia ją lubił. Sposobem bycia przypominała mu samego siebie.

– Znacie się? – zapytał, a może stwierdził Kurylak, wskazując oczami Dziekańskiego.

Rędzia przytaknął skinieniem głowy.

– Usiądź – poprosił Kurylak, więc Rędzia odsunął sobie krzesło, dokładnie to naprzeciwko Dziekańskiego, i usiadł, opierając się wygodnie.

Wiedział chyba, o co chodzi.

– Pan komisarz Dziekański odwiedził nas w związku z porwaniem tego radnego. Zreferowałem mu pokrótce przebieg śledztwa w sprawie zabójstwa twojego szkolnego kolegi i nasze podejrzenia co do związku tych zdarzeń.

A więc nie mylił się.

– Ogólnie zwróciłem uwagę na dobrą współpracę z prokuraturą w tym zakresie – kontynuował Kurylak. – Pan komisarz poruszył też kwestię twojego zaangażowania w śledztwo dotyczące zabójstwa osoby, którą znałeś, ale wyjaśniłem, że nie było między wami żadnych zależności, konfliktów ani związków emocjonalnych.

– Zgadza się. – Rędzia potwierdził krótko.

– Pan komisarz nalegał na przydzielenie mu tego śledztwa? – Nie wiadomo było, komu Dziekański zadał to pytanie i czy to w ogóle było pytanie, czy stwierdzenie.

– Owszem, ale wtedy jeszcze nie znaleźliśmy tożsamości ofiary – odparł Kurylak, a Rędzia postanowił, że przyjmie starą, dobrą i skuteczną taktykę nieodzywania się niepytanym.

– Ale kiedy już ją stwierdzono, dalej pan chciał je prowadzić? – Teraz Dziekański patrzył prosto na Rędzię, więc musiał zareagować.

– Jestem tytanem pracy – powiedział. – I lubię kończyć to, co zacząłem.

– Pan komisarz Rędzia jest z nami od niedawna, ale faktycznie wykazuje się dużą pracowitością. – Kurylak patrzył na Rędzię bez jednego mrugnięcia.

Komisarz skromnie spuścił głowę i zaczął przyglądać się krawędzi blatu. Jak najbardziej zgadzał się z opinią przełożonego. Na twarzy zastępczyni Kurylaka błędził zagadkowy uśmiech.

– Pan radny Pajczyk poinformował mnie, że w jego mniemaniu działania policji są dość powolne i niezbyt efektywne.

– Pan radny Pajczyk sam ma co nieco za uszami.

– Co pan sugeruje?

– Nic. Nie jest z nami szczerzy, po prostu.

– Co ma pan na poparcie swoich słów?

– Odmawia odpowiedzi na kluczowe dla śledztwa pytania, zasłaniając się względami osobistymi.

– Ma takie prawo.

– Owszem. Ale dla mnie to świadczy o intencjach. W tym wypadku nie do końca czystych.

– No dobrze. – Dziekański westchnął i zrobił taką minę, jakby miał do przekazania coś naprawdę smutnego. – W porozumieniu z naczelnikiem wydziału kryminalnego Komendy Wojewódzkiej oświadczam, że obejmiemy śledztwo w sprawie zabójstwa zwierzchnim nadzorem w ramach wsparcia procesu wykrywczego. To oczywiście wynika z kompetencji KWP, ale również z powodu tego tajemniczego powiązania z porwaniem radnego Jakuba Pajczyka, które, przypominę panom, jest jednym z najgroźniejszych przestępstw kryminalnych.

– Jest z nami kobieta – wtrącił Rędzia.

– Słucham?

– Powiedział pan: „panowie”, a jest z nami kobieta – powtórzył cierpliwie Rędzia.

Kurylak złożył usta w ciup. Wojdas walczyła chyba ze sobą, żeby jej wargi nie rozciągnęły się w uśmiechu.

– A, tak, słusznie, przepraszam, pani naczelnik – zreflektował się Dziekański. – To co, dziękujemy panu komisarzowi, resztę ustaleń przekaże panu pański przełożony. Dodam tylko jeszcze, że niewskazane byłoby, gdyby jakiegokolwiek informacje dotyczące pana Pajczyka, a związane z próbą jego porwania, wypłynęły do mediów.

Rędzia wstał bez słowa i opuścił gabinet Kurylaka. Poszedł do siebie i usiadł przy biurku, odchylając się na krześle. Nie miał do nikogo pretensji. To była normalka.

Ludzie są przekonani, że śledczy to całkowicie autonomiczny organizm, działający i podejmujący decyzje bez jakiegokolwiek kontroli, rozliczany jedynie z wyników i to przeważnie tych dobrych. Nic bardziej mylnego. Śledczy jest trybikiem. Podejmuje decyzje, ale musi konsultować je z przełożonym. Nie ma opcji, żeby przełożony nie wiedział, gdzie jest podległy mu funkcjonariusz w godzinach pracy. Nie ma możliwości, żeby nie wiedział, co dzieje się w prowadzonej przez niego sprawie. Obowiązuje pełna dyscyplina. Oraz hierarchia. Kiedy tylko dotarła do

niego informacja o porwaniu Pajczyka, wiedział, że śledztwo wejdzie na nowe tory. Pozostało mu jedynie robić dalej swoją robotę i liczyć na to, że coś się wreszcie wyjaśni.

Wyprostował się na krześle i popatrzył na stojący na biurku telefon. Miał już numer, musiał tylko zadzwonić, ale wahał się, czy to zrobić. W końcu westchnął i wykręcił go.

– Prokuratura Okręgowa w Sulechowie, słucham?

– Dzień dobry, poszukuję kontaktu z panią Agnieszką Rybarczyk.

– Już tu nie pracuje.

– O, a mogę wiedzieć dlaczego?

– A kim pan jest?

– Ja... Wie pani, ona mi kiedyś bardzo pomogła, była po prostu ludzka i wyrozumiała, i pomyślałem, że wypadałoby w końcu jej podziękować. Nie zamierzam się odwdzięczać materialnie, nawet przysyłać kwiatów czy przychodzić osobiście i ją nagabywać, tylko po prostu powiedzieć zwyczajnie „dziękuję”, bo wcześniej nie miałem okazji. Szkoda. Mogłem się zdecydować wcześniej...

– Niech pan dzwoni do prokuratury rejonowej Szczecin–Niebuszewo, tyle mogę panu powiedzieć.

– Boże, ją też to dotknęło? – Postarał się, żeby w jego głosie było współczucie.

– Nie rozumiem?

– Słyszałem, co się dzieje w prokuraturach. Nie macie tam łatwo...

– Tak się składa, że to był wybór pani prokurator Rybarczyk. Proszę dzwonić do Szczecina, nie udzielę panu żadnych informacji poza tym, co powiedziałam.

– Oczywiście, dziękuję, do widzenia.

Rędzia się rozłączył. Uzyskał dość istotną informację. Agnieszka twierdziła, że powrót do Szczecina był zsyłką. Przejście z prokuratury okręgowej do rejonowej można było traktować jak degradację, ale teraz dowiedział się, że zrobiła to z własnej woli. Co miał o tym sądzić?

Wieczorem okazało się, że jego plan dotyczący zakupów nie wypalił. I tak stał w kolejce przed sklepem prawie czterdzieści minut.

Jasne Błonia były wyludnione. Wyglądały niewiarygodnie wręcz abstrakcyjnie pozbawione tego jednego elementu, który dopełniał obrazu miejskiej przestrzeni rekreacyjnej i nadawał sens jej istnieniu. Ludzi. Miejsce, w którym zawsze było ich mnóstwo, bez względu na aurę i porę dnia czy roku, tym razem świeciło pustkami. Tego roku wiosna jak zwykle eksplodowała tam zielenią soczystej trawy i fioletem krokusów, jednak tym razem bez świadków. Niemy, coroczny spektakl natury odbywał się bez widzów. Ludzie mieli co innego na głowie. I nie chodziło o maseczki.

Andrzej Korzeń był szczupłym, żyłastym facetem o pobrużdżonej twarzy i krótko ściętych włosach. Wyglądał starzej niż na swoje czterdzieści cztery lata.

– Jestem kapitanem Wojska Polskiego – wyjaśnił Rędzi na wstępie, kiedy usiedli na ławce. – Po SPR-ze, zamiast wysłać mnie na praktykę, zaproponowali mi zostanie w szkole i uczenie następnych „bażantów”. Zaliczyłem poligon, zdałem egzamin oficerski i dostałem dwie gwiazdki. Po likwidacji centrum w Olsztynie wszystko przeniesiono do Torunia, mnie też. I tak już dwadzieścia lat. Wielkiej kariery w armii nie zrobiłem, ale nie narzekam, jakoś się w tym odnalazłem...

Rędzia nie skomentował, bo przecież miał nieco inny stosunek do wojska. A nawet nie tyle nieco inny, ile wręcz krańcowo odmienny.

– A Adolf? – zapytał.

– No tak, Adolf... Wie pan, że dopiero w woju dowiedziałem się, że Stecu miał taką ksywkę w liceum? A także o tym, co wtedy zrobił? Na studiach się tym nie chwalił. I tak się dziwiliśmy, że po czymś takim w ogóle wzięli go w kamasze...

Rędzi to nie dziwiło. Albo to przegapili, bo przecież formalnie Adolf nie został za nic skazany, albo uznali, że z racji doświadczenia bojowego będzie znakomitym materiałem na oficera.

– W końcu zastrzelił człowieka. Wie pan, co czuliśmy na strzelnicy, kiedy rozdali nam naboje? Wszyscy patrzyliśmy, jak wciska je do magazynka, i przechodziły nas ciary.

– Przecież był bohaterem? Zrobił to w obronie własnej. I kolegów.

– Nie, no jasne... A z tym jego bohaterstwem to też dziwna sprawa była.

– To za chwilę. Sam wam o tym opowiedział?

– Nie. Jego kolega z plutonu, też ze Szczecina. I chyba powinien go pan znać?

– Dlaczego?

– Bo chodzili do jednej klasy w liceum.

– Tak?

– Tak. Nazywał się... Jezu, nazwiska mi z głowy wylatują, tylko ksywy zostają... Jak on się... Wołaliśmy na niego Pajac.

– Kuba Pajczyk – podpowiedział Rędzia i poczuł się, jak postać z gry swoich synów, która właśnie dostała się na następny poziom i choć cieszy się z tego faktu, to jeszcze nie za bardzo ogarnia, co dalej.

Zaczął się też zastanawiać, dlaczego Pajczyk mu o tym nie wspomniał. I o czym jeszcze mu, kurwa, nie wspomniał...

– Dokładnie, Pajczyk. – Korzeń klepnął się w udo. – Trzymali się razem. Nie tylko byli w tym samym plutonie, ale mieszkali nawet w jednej izbie, wie pan?

– Tak chcieli? Obaj albo któryś z nich?

– Nie, tak wypadło z przydziału.

– No dobra, to co dziwnego było z tym jego bohaterstwem?

Korzeń popatrzył ponad ramieniem Rędzi, gdzieś w kierunku pomnika Trzech Orłów, i podrapał się w brew.

– Nikt nie wątpił, że on to zrobił, nie o to chodzi. Pajac opowiadał nam o tym wiele razy, ze szczegółami. Tylko że... Adolf nie pasował na bohatera. Mówię o zachowaniu i o... Powiem szczerze, on nie nadawał się za bardzo do wojskowego drylu. W armii mówi się na takich „mameja”, wie pan, o co chodzi?

Rędzia pokiwał głową.

– To faktycznie dziwne – powiedział. – Bo w liceum było zupełnie inaczej. Ten pseudonim nie wziął się z czapy. On naprawdę był urodzonym przywódcą.

– Jeszcze na studiach też sprawiał takie wrażenie. Nie należał do prymusów, ale był z tych aktywnych, widocznych, pewnie pamiętają go wszyscy z roku. To wojsko jakoś tak go stępiło. Zanikał. Miał słabe

wyniki praktycznie ze wszystkich przedmiotów i nawet zastanawiałem się, jak on skończył te studia, choć politologia to coś, z czym poradziłyby sobie średnio rozgarnięta małpa. I żeby nie było: mówię to jako politolog z wykształcenia. – Uśmiechnął się. – W dodatku na strzelaniu miał same „dziewice” i stał się pośmiewiskiem kompanii. Nie trafić ani razu w tarczę to jest coś. I jak to się miało do jego bohaterstwa?

– Do tarczy strzela się ze stu metrów, a do tego dezercera walnął niemal z przyłożenia, i to całą serią. Ślepy by trafił.

– Niby tak. Ale on ogólnie miał dwie lewe ręce. Podczas składania i rozkładania karabinka na czas zgubił sprężynę powrotną: wtoczyła się pod regał. A kiedy ją stamtąd wyciągnął, całą upierdoloną w kurzu, to zapomniał jej włożyć na żerdź i została tak na stole, jak wyrzut sumienia. W miarę upływu czasu, kiedy okazywało się, że Adolf jest cieniem, zapał i wiara w tę historię o bohaterstwie słabły. Adolf był klasyczną mameją i niewiele robił, żeby tę plamę z siebie zmyć. Ale Pajczyk zawsze stał za nim murem. Kiedy ktoś robił sobie z Adolfa bekę, on patrzył tak na niego tymi swoimi wylupiastymi oczami i mówił: ja tam, kurwa, byłem i widziałem, to wiem. I mówił to takim tonem, że wszystkim odechciewało się dyskusji na ten temat. Pajczyk za to był zdolny. Nie był może orłem w strzelaniu, ale za to miał dobrą pamięć. Dostał pamiątkową odznakę na koniec szkoły, miał drugą najlepszą lokatę.

– A kto miał pierwszą?

– Ja. – Korzeń uśmiechnął się skromnie. – Dlatego zaproponowali mi zostanie...

* * *

Rędzia zmusił się, żeby znów pojechać do Pajczyka. Coraz bardziej go nie trawił, jego niechęć rosła z każdym kolejnym kłamstwem, którym Pajczyk go raczył. A może nie kłamstwem, tylko przemilczaniem.

Pajczyk, kiedy zobaczył Rędzię w drzwiach, bez słowa wpuścił go do środka.

Nie zaproponował niczego do picia, wyraz twarzy Rędzi najwyraźniej szybko odwiódł go od tego zamiaru.

– Dlaczego mi nie powiedziałeś, że ty i Adolf byliście razem w wojsku?
– zapytał zimno Rędzia.

– Jakie to ma znaczenie?

– To ja jestem od oceny, jakie to ma znaczenie, rozumiesz? Rozumiesz to, Kuba? – nagle dał upust wściekłości. – Ja pierdołę, człowieku! Ile razy mam cię prosić? Ty naprawdę chcesz iść do Agnieszki się spowiadać? W dupie masz to śledztwo? Nie zależy ci na własnym życiu czy co? – Ochłonął trochę, wziął głęboki oddech i już ciszej wysyczał: – Słucham!

Pajczyk obliznął wąskie usta.

– Na początek może przeproszę cię za swoje zachowanie tam, w lesie – mruknął ze spuszczoną głową. – Nie byłem sobą. Byłem roztrzęsiony i nie bardzo wiedziałem, co gadam. Fakt, powinienem opowiedzieć dokładnie, jak było, to oszczędziłoby nam, a właściwie wam, sporo czasu, ale... Może faktycznie biorę rzeczy za bardzo do siebie?

– Przeprosiny przyjęte. – Rędzia nie zastanawiał się, czy są szczerze ani jakie intencje ma Pajczyk, chciał załatwić sprawę i wyjść. – Opowiesz mi wreszcie o tym wojsku?

Pajczyk skinął głową.

– Kiedy okazało się, że skierowali nas razem do tej samej podchorążówki, a nawet tego samego plutonu, to nie oponowałem, bo uznałem, że to i tak nie ma sensu, a wręcz będę miał jego ochronę przed innymi. Bałem się wojska, bałem się, że będę gnębiony, wiesz: fala i tak dalej, ale mój ojciec uparł się. Inni ojcowie chronili swoje dzieci, załatwiali odroczenia, jakieś wyjazdy, łapówki dla lekarzy, ale mój nie. Mój uważał, że powinienem iść, bo co to za facet, co to prochu nie wahał... Mentalnie tkwił w dziewiętnastym wieku. – Pokręcił ze zdziwieniem głową. – Okazało się, że podchorążówka to nie służba zasadnicza. Tam nie ma: „żołnierz, dawaj, kurwa”, tylko: „Proszę, pan podchorąży zrobi, pan podchorąży mi powie”, i tak dalej. Dopiero w wojsku nabrałem pewności siebie. To wtedy zobaczyłem, że Adolf to tak naprawdę debil, inni to też debile, a ja jako jedyny coś sobą reprezentuję. – Spojrzał na Rędzię i musiał zobaczyć w jego oczach niesmak, bo szybko dodał: – Wiesz, w kontekście tego, o czym rozmawialiśmy poprzednio. Mojego niedowartościowania. To wtedy

zaczęłam wychodzić psychicznie na prostą. Dostrzegłem w sobie to coś, jakąś wartość. Ten, kto tego nie przeżył, nie zrozumie.

– A po wojsku? – zapytał Rędzia.

Pajczyk wzruszył ramionami.

– Straciłem z nim kontakt od razu po wyjściu do cywila, a nawet wcześniej, bo ja praktykę oficerską miałem tu, w Szczecinie, w 2. Pułku Artylerii, a Adolf pojechał do Żagania albo do Żar. Do jakiegoś lasu, jak na zesłanie. Ale musiał mieć skojarzenia, kurwa... Nawet nie umiał sobie załatwić praktyki blisko miejsca zamieszkania jak inni. Pierdoła jedna...

– A ty sobie załatwiłeś?

– No tak. Ojciec znał kogoś ze sztabu wojewódzkiego.

– No właśnie. A on już nie miał nikogo, kto mógłby mu to załatwić, pomyślałeś o tym?

– Fakt, przecież jego starzy zginęli w tym wypadku.

Milczeli przez chwilę.

– Cały czas mnie okłamujesz, Kuba – stwierdził w końcu Rędzia.

– To nie tak. Ja tylko nie mówię ci wszystkiego.

– Nieważne, efekt jest ten sam. I nie świadczy dobrze o tobie. Ludzie się tak zachowują, kiedy mają nieczyste intencje. Twoje niedopowiedzenia tylko wszystko komplikują i zaczynam zastanawiać się, jaki to ma cel? Jaki jest TWÓJ cel?

– Nie okłamuję cię.

– Dobrze, więc czego jeszcze mi nie powiedziałeś?

– Moje intencje to moja sprawa. Nie musisz wiedzieć wszystkiego. To moje życie i ja będę decydował, ile z niego mogę ci powiedzieć.

– Nie chodzi tylko o twoje życie – zwrócił mu uwagę Rędzia, znów tracąc cierpliwość. – I im szybciej to zrozumiesz, tym lepiej. Zatajanie szczegółów ma swoje konsekwencje, pojmujesz? Nie jesteś w stanie ich przewidzieć, ja też nie, ale ja je później widzę. Więc proszę cię, bądź wreszcie ze mną szczery.

– Widziałeś kiedyś szczerego polityka? – Pajczyk się roześmiał.

Rędzi nie wydało się to zabawne. Pajczykowi też, bo ten śmiech był wymuszony i chyba nawet nie starał się tego ukryć.

– Jesteś radnym miejskim – powiedział komisarz.

Pajczyk spowaźniał.

– To też polityka. Od tego nie da się uciec...

– Dobrze, zadam ci pewne pytanie i chciałbym, żebyś wreszcie był ze mną szczerzy. Odpowiesz mi na nie?

– Spróbuję. – Łysina błysnęła w świetle, kiedy Pajczyk pokiwał głową.

– Zanim je zadam, powiem ci jeszcze, że to Jacek strzelił wtedy pierwszy.

Pajczyk zastygł w bezruchu. Mięśnie mu stęzały, a twarz wykrzywiła w nieokreślonym grymasie.

– Skąd wiesz? – zapytał drewnianym głosem.

– Od jego ojca. Tak mi wyszło z akt tamtego śledztwa, plus niewytłumaczalne zachowania Sarneckiego... Zapytałem go o to, a on mi opowiedział, jak było.

– Coś jeszcze ci mówił?

– Nie. – Rędzia zmarszczył brwi. – A co jeszcze miał powiedzieć?

– Nic – mruknął Pajczyk. – Co to zmienia? W związku z Adolfem?

– Broda i Cinek wiedzieli?

Krótką jak mgnienie oka chwila zastanowienia.

– Nie. Byli najebani.

Rędzia stwierdził, że przyszła pora na zadanie pytania, które być może wyjaśni coś, co od jakiegoś czasu tłukło mu się po głowie.

– Czy to ty wtedy na polanie wyrwałeś dezterterowi broń? – zapytał. – Ty z nim walczyłeś? Ty uratowałeś chłopaków? Było ciemno, byliście pijani, łatwo pomylić w takich okolicznościach osoby...

Pajczyk patrzył w milczeniu Rędzi w oczy, a na jego wąskich ustach okolonych rzadkim zarostem błądził nieokreślony uśmiech. Nie był to ten zwykły, pajczykowski uśmiech „mam was w dupsku”, tylko zagadkowy grymas błądzący po wąskich wargach.

Rędzia atakował.

– Myślę, że tak mogło być, Kuba. A potem, z jakichś względów, o których nie mam pojęcia, przypisałeś zasługę Adolfowi. Może stwierdziłeś, że nie zasługujesz na bycie bohaterem, a Adolf owszem? Przecież sam twierdziłeś, że byłeś pod jego ogromnym wpływem.

W oczach Pajczyka pojawił się na ułamek sekundy jakiś błysk, ale nawet jeśli na tej podstawie Rędzia uznał, że wygrał, przeliczył się.

Błysk zniknął, jego oczy zrobiły się jak zwykle chytrze przymrużone i wszystko wrócił do normy. Nawet uśmieszek. Mogłoby się zdawać, że to zdarzyło się tylko w wyobraźni Rędzi.

– Zostawmy to, Tomek – powiedział wolno niskim głosem. – To było dawno temu... Założmy, podkreślam: założmy, że było, jak mówisz. Co by to zmieniło, gdyby teraz to wyszło? Adolf nie żyje. Sarneckiemu i Fancie, ani nawet tamtemu, życia to nie przywróci. Po co w tym grzebać? Po jaką cholere? Matka Fanty, ojciec Sarneckiego, nie wiem, może krewni tego żołnierza: oni wszyscy chcą zapomnieć i żyć. Może już zapomnieli? Może dzięki temu jakoś sobie radzą? A ty chcesz rozdrapać stare rany. To już są blizny, a nie rany, Tomek.

– Rozumiem, o czym mówisz. – Rędzia pokiwał głową.

– Cieszę się. Chociaż minęło ćwierć wieku, tam, pod bliznami, wciąż są świeże rany, tyle że nie fizycznie. Nie rozdrapuj tego. – Pajczyk pochylił się i spojrzał Rędzi w oczy jak matka, która za wszelką cenę chce przekonać syna, że dzięki szpinakowi zostanie drugim Lewandowskim. – Pozwól bliznom wciąż zarastać stare rany.

– Dlaczego tak ci na tym zależy? – Rędzia odsunął się od niego. – Czemu nie chcesz sprawdzić, dlaczego to tylko przyszło z wierzchu, a nie zablizniło się do końca?

Pajczyk się wyprostował. Poprawił krawat i klapy marynarki.

– Powiem ci dlaczego. – Jego głos był zduszony, jakby powstrzymywał się od krzyku. – Powiem ci, Tomek, skoro tak nalegasz. Bo wtedy wróci wszystko, co pogrzebałem. Mówiłem ci, ile mnie kosztowało, żeby się zmienić. Ile pracy, pieniędzy, czasu. Nawet jeśli zostanę bohaterem, to nie poprawi mojej sytuacji. Bohaterstwo jest niejednoznaczne, prawda? Myślisz, że nie wiem, co tak naprawdę o mnie myśleli w klasie? Ty powinienesz mnie zrozumieć, Tomek. Tak, ty! Ty też nie byłeś lubiany i akceptowany, ale ciebie było stać, żeby to olać. Żeby pozostać sobą, nie dać się. Pozostałeś wierny sobie. A ja... Ja nie. Ja zrobiłem wszystko, żeby mnie akceptowano. Wbrew sobie. To ta rysa. Podtekst. „Należysz do naszej szajki, Pajac, ale wiemy, jak jest, no nie?” Oni to mieli wypisane na twarzach. Nie ma bohaterów bez skazy. W moim przypadku ta skaza byłaby jak stygmat, znamię, jak szpecący naczyniak, widoczne zawsze i wszędzie. Zobaczcie: to bohater. Ale ma coś na twarzy... To już lepsza

blizna, jest mniej widoczna i nie rzuca się tak bardzo w oczy. Nie jestem bohaterem, Tomek. Nie chcę nim być. Koniec. Nie nękać mnie więcej. Nie dotykaj moich blizn. Nie mam z zabójstwem Adolfa nic wspólnego. I nie chcę mieć.

– Ktoś jednak myśli, że masz, co?

– Zaskoczył mnie – burknął Pajczyk. – Gdybym miał wtedy ze sobą glocka, inaczej by to wyglądało. Przecież nie będę uprawiał joggingu z dyndającą kaburą?

– Są kabury, które nie dyndają – stwierdził Rędzia. – Nie miałeś glocka, ale miałeś dużo szczęścia.

– Zdaję sobie z tego sprawę.

– Następnym razem możesz go nie mieć, wiesz o tym?

– Więc zróbcie coś, żeby nie było następnego razu. Żeby to wreszcie skończyć.

Rędzię zatkało.

– Uważasz, że nie robimy? – zapytał.

– Nie wiem, co robicie, ty i Agnieszka. – Zabrzmiało to dziwnie, dwuznacznie. – Wiem tylko, że Adolf nie żyje, Cinek i Broda zniknęli, mnie prawie też ktoś zabił, to co ja sobie mogę myśleć?

– Myśl dalej o sobie – poradził mu Rędzia.

– To było niegrzeczne.

– Nigdy nie twierdziłem, że jestem grzeczny. Poza tym chodziło mi o to, że skupienie się na sobie bardzo pomaga chronić własny tyłek. Nikt cię wtedy nie rozprasza.

– To chyba nie jest jednak tak, że ja biorę wszystko za bardzo do siebie, Tomek. Nie chodziło ci tylko o ostrzeżenie. Nie tylko to miałeś na myśli.

– Nie – przyznał komisarz. – Dlatego przejmij się jedynie ostrzeżeniem.

– Z pewnością nie przejmę się krytyką.

– Wiem – powiedział Rędzia. – Przy okazji: wspominałeś o matce Fanty.

– Owszem, i co z tego?

– Nie żyje, gdyby cię to coś obchodziło.

I wyszedł.

* * *

Rędzia jechał przez wyludnione miasto i rozpamiętywał rozmowę z Pajczykiem.

Pajczyk nie pasował do grupy Adolfa. Był zupełnie inny niż Fanta, Sarnecki, Cinek czy Broda. Teraz, po tym, co Pajczyk mu powiedział poprzednio i po wyznaniu sprzed chwili, które musiało go sporo kosztować, Rędzia miał pewność, że tak naprawdę Pajczyk był takim samym outsiderem jak on. Różniło ich tylko to, że Rędzia potrafił to jakoś zaakceptować i czuł się z tym nawet dobrze: było mu dobrze z samym sobą, a Pajac potrzebował kogoś. Tak jak mówiła profesor Świątkowska: była w nim rozpaczliwa potrzeba akceptacji ze strony środowiska, jakiegokolwiek. Ważne było tylko to, że do niego przynależał. Nie utożsamiał się z nim, jedynie przynależał. Tyle mu wystarczało. Rędzia nie miał wątpliwości, że gdyby zechciały przygarnąć go punki, Pajczyk czytałby ziny, słuchał Rollinsa, Bad Religion czy Exploited i chodził we flyersie i martensach, mimo że kompletnie by się z tymi ludźmi i ich przekonaniem nie identyfikował. Jakub Pajczyk był trochę jak kameleon. Albo jak pasożyt. Rędzia miał jeszcze jedną konstatację: wszyscy ciągle chcieli tylko jednego – zakończyć tę sprawę. Słuchał tego od początku śledztwa. Ale wszyscy usilnie się starali, żeby się nie skończyła... Bohater, który popadł w zapomnienie, wciąż domagał się uwagi działaniami innych. Adolf wracał z zaświatów tym mocniej, im bardziej jego koledzy prosili, żeby go nie wołać. Ale sami robili wszystko, żeby Rędzia w tym grzebał. Robili to, przemilczając niektóre fakty.

Albo znikając, jak Broda i Cinek...

Pojechał do Agnieszki, aby się jej wyżalić.

– Przełamałem się i spotkałem z Pajczykiem, żeby z nim pogadać.

– Po co? – Uśmiechnęła się z przekąsem. – Lubisz się dręczyć czy chciałeś sprawdzić, jak się miewa niedoszła ofiara?

– Daj spokój, gównu mnie obchodzi jego samopoczucie. – Machnął ręką.

– Wygląda na to, że się otrząsnął. Dowiedziałem się od kolegi Adolfa ze studiów, że oni byli razem w wojsku, i zainteresowało mnie, czemu ten palant mi o tym nie powiedział. Ale nie tylko po to do niego się

wybrałem. Chodziło mi też o to, że... Bo widzisz, Pajczyk był najtrzeźwiejszy z nich wszystkich. Najlepiej wszystko pamiętał. Może to było tak, że to on zabrał broń żołnierzowi, on się z nim szarpał i wreszcie go zastrzelił?

– To dlaczego się nie przyznał od razu?

– Wiesz: to zawsze zabicie człowieka. A może był tak zakompleksiony, że stwierdził: i tak mi nikt nie uwierzy? Że bezpieczniej będzie zwalić wszystko na Adolfa? Że plusy zostawania bohaterem mimo wszystko nie przeważają nad minusami?

– Zapytajmy go o to.

– Pytałem.

– I co ci powiedział?

– Częściowo to potwierdził, ale nie wprost. Coś jakby dawał mi to do zrozumienia, w stylu: nie potwierdzam i nie zaprzeczam, jak to polityk. Nie chce o tym rozmawiać. Nie chce do tego wracać. Był i jest strasznie zakompleksiony, mimo tego, co osiągnął. – Westchnął. – Jezu, jak on mnie wkurwia. Po prostu nie mogę na niego patrzeć. Jakbym był uczulony. A najgorszy jest ten jego uśmieszek „a teraz, kochane dzieci, pocałujcie misia w dupę”... Nie ma chyba zdjęcia w sieci, na którym by go nie miał na twarzy. A na żywo jest jeszcze gorzej. Zastanawiałem się nad tym. Ani mu niczego nie zazdroszczę, ani mi niczego nie zrobił... – Kręcił zdumiony głową.

Agnieszka uśmiechnęła się lekko. Rędzia wyglądał trochę jak mały chłopiec, który właśnie się dowiedział, że Święty Mikołaj nie istnieje.

– Dziwisz mu się, że nie chce wracać do tamtych wydarzeń? – zapytała.

– Z jednej strony nie. Ale z drugiej... To tam jest klucz do rozwiązania zagadki. On też to wie albo się domyśla. I skoro ktoś nastaje na jego życie, powinno mu zależeć na wyjaśnieniu sprawy do końca. Powinno mu zależeć na prawdzie. A mam wrażenie, że teraz to są dwie różne rzeczy. Chodzi mi o ustaloną ostatecznie wersję zdarzeń i prawdę. Mijają się, Agnieszka. – Spojrzał na nią i skupił wzrok w punkcie, gdzie zbiegały się linie brwi. – Mijają się jak cholera.

– Wiemy już, że to Jacek przypadkiem strzelił do żołnierza, ten wyrwał mu broń i go zastrzelił, potem doskoczył do niego Adolf, zaczął się z nim szarpać, przypadkowy wystrzał zabił Fantę, a potem Adolf zdobył

przewagę i zabił dezertera. Twoje wątpliwości w zasadzie rozbijają się o to, czy to faktycznie Adolf, czy jednak Pajczyk, który ze strachu lub kompleksów czy jakiegokolwiek innego powodu wymagającego zdiagnozowania przez psychologa przypisał zasługi Adolfowi. I już, koniec.

– Koniec? Nie rozumiem...

– Widzę, że trzymasz się tego uparcie. Naprawdę nie uważam, że szukając klucza do rozwiązania zagadki śmierci Adolfa, trzeba cofać się aż tam, na polanę w Śmielinie. Wydaje mi się, że skupiając się na tamtym, zaniedbujesz aspekt „tu i teraz”. Za daleko się cofasz, Tomek. Zostaw to Śmielino.

– Myślałem, że kiedy porwali Pajczyka, zrozumiałaś ten związek. – Rędzia spojrział na nią. – Ale dobra, to ty prowadzisz śledztwo.

Przypomniała mu się nagle rozmowa z prokuratorką z Sulechowa, lecz uznał, że nie jest to najlepsza pora na poruszenie tego tematu.

– Owszem, ja – odparła Agnieszka kwaśno. – Choć sam przyznasz, że masz dużą swobodę jako organ wykonujący jedynie czynności na zlecenie prokuratury.

– Mam. – Spuścił lekko głowę, jego myśli poszybowały gdzieś i nagle poczuł, jak coś zaskoczyło.

Spojrzał na Agnieszkę wielkimi oczami.

– Co? – zaniepokoiła się lekko.

– Ja pierdołę, w dzień zniknięcia telefon Brody logował się po raz ostatni na Pomorzanych!

– Noo?

– Ten BTS, który to zarejestrował, jest w pobliżu miejsca zamieszkania Kłosiewicza! – Rędzia klepnął się mocno w czoło. – Jak mogłem tego nie skojarzyć? Kurwa, zastanawialiśmy się z Berdakiem, po cholere i do kogo Broda mógł pojechać na Pomorzany, a nie pomyśleliśmy o Kłosiewiczu!

– To jeszcze niczego nie oznacza, wiesz o tym?

– Wiem – przyznał Rędzia, a jego entuzjazm lekko opadł. – Ale nie wierzę w przypadki. Było jednak zadzwonić do tego cholernego Ryanaira, co?

– Co chcesz zrobić?

– Jak to co? Pogadać z nim!

– Myślisz, że to dobry pomysł? A jak go spłoszysz?

– I dobrze. Jeśli ma z tym coś wspólnego, to po tej rozmowie wykona jakieś ruchy. Na pewno nerwowe i być może fałszywe. I nóżka mu się powinie... To co, jechać?

– Jedź. – Agnieszka wzruszyła ramionami.

– Załatwisz obserwację? – zapytał ją z nadzieją w głosie.

– Ale się napaliłeś... – Pokręciła głową.

– Załatwisz?

– Zobaczymy, co powie. Jak się zachowa. Może udowodni ci od razu, że nie było go wtedy w Szczecinie.

– Dupa tam, nie było – prychnął Rędzia. – Wszyscy siedzą na tyłkach w domach, dokąd miałyby pojechać? Wrócić do Irlandii na pole ścinać kwiaty?

– Za niecierpliwy jesteś do tej roboty, wiesz? – powiedziała mu.

– Nie zgadzam się z tobą. Ja po prostu zwęszyłem trop. – Rędzia wystawił język i podniósł zgiętą w łokciu rękę jak pies myśliwski wystawiający zwierzynę.

– Przygłup – parsknęła, odwracając głowę i zasłaniając usta, ale nie zdołała ukryć uśmiechu.

– Dam ci znać! – zawołał, wybiegając z jej gabinetu.

Odprowadziła go wzrokiem, myśląc, że wciąż zostało w nim sporo z tego dzieciaka, z którym kiedyś spędziła trochę miłych chwil. Jakoś w facetach było tego więcej niż w kobietach.

Uświadomiła sobie też, że w niej nie ma nic z dziecka. Już od bardzo, bardzo dawna.

I pomyślała równocześnie, że to wielka szkoda. Nie wiedziała tylko, czy to dlatego, że jest kobietą, czy powód był zupełnie inny.

* * *

– Dzień dobry, panie Radku, to jeszcze raz ja. Przeszedłem pana jeszcze trochę pomęczyć.

Kłosiewicz, lekko zdziwiony, wpuścił Rędzię do mieszkania. Przechodząc do pokoju, do którego zaprosił go gospodarz, przez drzwi

innego zobaczył atlas, orbitrek i wioślarza oraz bieżnię. Kłosiewicz urządził sobie w domu małą, kameralną siłownię. Przechodząc obok kuchni, zerknął również tam. Uznał, że nie ma w niej żadnych śladów obecności kobiety.

– Mam dziewczynę, ale nie mieszkamy razem – wyjaśnił Kłosiewicz, kiedy weszli do dużego pokoju.

Dużego nie w znaczeniu metrażu, bo w blokach z wielkiej płyty jest to kwestia dyskusyjna, ale na pewno największego w mieszkaniu.

– Miałem to wypisane na twarzy? – zapytał Rędzia.

– Trochę.

Rędzia zadumał się przez chwilę nad tym, a potem zagaił:

– Ostatnio mówił mi pan, że od czasu tej nieszczęsnej wycieczki nie widział się pan z żadnym z uczniów z naszej klasy?

– Nie do końca tak. Po wycieczce widziałem ich jeszcze kilka razy.

– Fakt, wyraziłem się nieściśle. Powiedzmy, że chodzi o okres ostatnich dwudziestu paru lat, od pana wyjścia z więzienia.

– Zgadza się. Nie widziałem nikogo z nich.

– Na pewno?

– Na pewno.

– Zapytam więc jeszcze raz, może trochę precyzyjniej: czy w ciągu ostatnich kilku dni nie widział się pan z żadnym z uczniów dawnej klasy „b”? A ściśle rzecz biorąc, z Saganowskim albo Kisielem? Niech się pan dobrze zastanowi nad odpowiedzią. Mamy czas...

Rędzia podszedł do okna i wyjrzał przez nie z ciekawością. Kiedy odwrócił się znów do Kłosiewicza, zobaczył, że ten wyraźnie czerwienieje.

– Broda był u mnie – wydusił z siebie. – Trzy dni temu...

– Po co?

– Przeprosić. Po prostu przeprosić. Dukał niewyraźnie, było mu wstyd, ale coś tam wystękał. Obiecał też, że może jakoś to mi wynagrodzi finansowo, przynajmniej trochę, i że powinien zrobić to już kilkanaście lat temu i nawet ją miał, tę forszę, ale sam jej wtedy potrzebował, bo musiał wykupić mieszkanie od spółdzielni i dla kogoś potrzebującego jej nawet bardziej niż ja.

– Dał panu te pieniądze? – zapytał Rędzia.

– Nie, on je dopiero miał dostać. Nie pytałem skąd i za co. To mnie nie interesowało. Odparłem, że przyjmuję przeprosiny, dodałem, że jest pierwszą osobą, której przyszło do głowy to zrobić, co prawda po dwudziestu pięciu latach, ale dobre i to. Powiedziałem mu też, że nie potrzebuję forsy, bo całkiem dobrze mi się powodzi. I Broda sobie poszedł. Więcej nie wrócił.

– O której był?

– O trzynastej. Około trzynastej, nie powiem dokładnie.

Rędzia milczał. Czyli było to przed wizytą Cinka, który przyszedł do Brody dopiero około szesnastej. Sygnał z telefonów Brody i Cinka zaniknął o dwudziestej, gdzieś w tej okolicy. Wrócili tu razem?

– Był sam? – upewnił się. – Nie było z nim Saganowskiego?

– Nie. Wyjrzałem nawet za nim przez okno, widziałem, jak wsiada na motor.

– Broda miał kwarantannę, powiedział panu?

– Nie. – Kłosiewicz był wyraźnie zaskoczony. – Ale nie chciał zdjąć maseczki. Trochę mnie to bawiło, ale nie komentowałem. Jego sprawa. Przynajmniej był trochę uczciwy – dodał z przekąsem.

– I nie wrócił potem? Znów sam albo z Cinkiem?

– Nie. Przysięgam panu. Zresztą wieczorem nie było mnie w domu, byłem u Sylwii, spędziłem tam całą noc. Może poświadczyć.

– Dobrze. – Rędzia powoli podszedł do drzwi. – Proszę pana, żeby pan na razie nigdzie nie wyjeżdżał.

– Gdzie ja mogę wyjechać? – Kłosiewicz wyraźnie rozbawiła prośba Rędzi. – Jeszcze tylko godziny policyjnej brakuje...

Rędzia uśmiechnął się kącikiem ust, pożegnał się i wyszedł.

Mógł sobie prosić, żeby Kłosiewicz nigdzie nie wyjeżdżał, ale on nie miał absolutnie żadnego obowiązku go posłuchać. Rędzia mógł sobie tylko gadać i to właśnie robił. Liczył na to, że jeśli Kłosiewicz ma jednak coś na sumieniu, od razu spróbuje uciec. A to już będzie znak. Zastanawiał się, czy faktycznie nie wnieść o załatwienie obserwacji pod kątem nagłych ruchów, które mógłby zacząć wykonywać po tej rozmowie. Nie miał pojęcia, jakie to mogłyby być ruchy: właśnie próba ucieczki, a może przeniesienia zwłok Brody i Cinka? Pomyślał, że na razie załatwi to sam.

Prawie sam. Wolał nie pojawiać się pod blokiem Kłosiewicza osobiście. Wsiadł do samochodu i wyciągnął telefon.

Kiedy Berdak odebrał, zapytał go:

– Co robisz dziś wieczorem?

– Mówiłem ci, jestem hetero i w dodatku żonaty.

– Gratuluję. Mógłbyś spędzić trochę czasu pod czyimś domem?

– Czyim?

– Kłosiewicza. Pamiętasz, zastanawialiśmy się, co na Pomorzanach mogli porabiać Kisiel i Saganowski? Byli u Kłosiewicza. Właśnie od niego wyszedłem, przyznał, że Broda był u niego po południu, czyli w czasie tego pierwszego logowania telefonu.

– No? – Głos Berdaka był ostrożny, ale zaciekawiony.

– Twierdzi, że później nikt już do niego nie przychodził. I teraz chodzi o to, żeby sprawdzić, czy nie wybiega z domu z walizką, żeby zniknąć nam z radarów, rozumiesz? Poświęcisz wieczór z żoną dla dobra społeczeństwa?

– Jakby to powiedzieć, Tomek... Jestem rozdarty. Mam dziś urodziny i Hanka zrobiła mi uroczystą kolację i takie tam. Wiesz, co będzie, jak jej powiem, że znikam do roboty?

– A, to wszystkiego najlepszego, Jarecki. – Rędzia zmarkotniał. – Okej, temat nieaktualny. Baw się, na razie.

– Na razie. – Berdak nie przeciągał rozmowy, może bał się, że Rędzia zmieni jednak zdanie, i wolał rozłączyć się jak najszybciej.

Komisarz odłożył telefon i westchnął. Mógł poprosić Kurylaka, żeby wyznaczył funkcjonariusza do doraźnej obserwacji, ale nie chciał. Nie chciał nawet tego zgłaszać. Nic go to nie kosztowało, poza tym nie zamierzał się wygłupić, gdyby okazało się, że Kłosiewicz nie ma jednak nic wspólnego ze sprawą. Działał już trochę chaotycznie, podejrzewając wszystkich naokoło. Ale wielu z nich naprawdę dawało mu ku temu podstawy...

* * *

Kiedy siedział z tyłu w samochodzie zaparkowanym na ulicy Boryny, pod klatką bloku, w którym mieszkał Kłosiewicz, i prawie zasypiał

z nudów, zadzwonił telefon. Była dziewiąta wieczorem i nie miał tego numeru zapisanego w kontaktach. Mimo to odebrał.

– Dobry wieczór, panie komisarzu, z tej strony Jolanta Frankiewicz, rozmawialiśmy w sprawie mieszkania pana Steca, pamięta pan?

– Oczywiście. – Rędzia poprawił się na siedzeniu i przetarł piekące powieki. – Słucham?

– Przepraszam, że tak późno...

– Nie, nie, wcale nie jest późno, słucham panią, pani Jolanto. O co chodzi?

– Bo ja właśnie znalazłam numer telefonu do tego człowieka, który podawał się za ojca pana Steca.

– Żartuje pani. – Całkiem się już rozbudził. – Jak?

– Szukałam swojego starego paszportu i znalazłam notes z telefonami, taki kalendarzyk, mały terminarz. Jest z dwa tysiące drugiego, ale potem używałam go jeszcze przez parę lat, bo miałam tam sporo numerów. W każdym razie ten numer też tam jest.

– Prześle mi go pani esemesem? Tyko proszę sprawdzić, czy na pewno dobrze go pani przepisała.

– Oczywiście – szepnęła przejęta.

Chwilę później Rędzia dostał numer. Korciło go, żeby od razu pod niego zadzwonić, ale to nie miało sensu. Po piętnastu latach należał najprawdopodobniej do kogoś innego, a nawet jeśli wciąż miał go człowiek, który podawał się wtedy za ojca Adolfa, to nie mógł go spłoszyć. To akurat było bardzo proste do sprawdzenia.

Wytrwał w samochodzie do północy. Bożenie powiedział wcześniej, że ma dziś nockę, więc nie dzwoniła już wieczorem. Kiedy mimo przejmującego zimna niemal odleciał do krainy snów, zdecydował, że jedzie do domu. Gdyby Kłosiewicz miał podjąć próbę ucieczki, zrobiłby to od razu, a nie czekał nie wiadomo na co.

Chyba...

Rędzia uruchomił silnik, nastawił ogrzewanie na full i pojechał do domu. Usiłując zasnąć, zastanawiał się, co dalej z Agnieszką. Wiedział, że musi to zakończyć, zanim wszystko zajdzie za daleko, i tylko on to może zrobić, a nie ona.

* * *

Kiedy rano obudził go dzwonek do drzwi, przez głowę przemknęło mu, żeby nie otwierać. Udawać, że nie ma go w domu, że wyszedł już do pracy. Ale nie mógł tego odkładać, skoro już coś sobie postanowił.

Przyszedł czas udowodnić sobie, że jest mężczyzną, a nie po prostu samcem *Homo sapiens*.

Nie łudził się, że to sąsiad. Wpuścił ją do środka, ale kiedy leniwym, kołyszącym krokiem podeszła do niego, odsunął się i poszedł do pokoju. Nie do sypialni.

– Co się stało? – zapytała, idąc tam za nim.

– Nic. – Wzruszył ramionami i przysiadł na podłokietniku kanapy.

– Nie masz ochoty?

– Mam. Z dnia na dzień coraz większą – rzucił, patrząc jej w oczy.

Zastygła w bezruchu. Jego wzrok powiedział jej wszystko.

– Tak, to jest ten moment, w którym stwierdziłem, że jeśli pójdę dalej, złamię nasze zasady, Agnieszka. Bardzo mi przykro. Dla ciebie jest to zabawa, pewnie za jakiś czas, kiedy już tu okrzepniesz, znajdziesz sobie kogoś, z kim nie będziesz uprawiać seksu ani chodzić do łóżka, tylko będziesz się z nim kochać. Bo ze mną po prostu uprawiasz seks, prawda? Jak wtedy, w czwartej klasie?

Nie było mu łatwo. Niewielu facetom łatwo jest rozmawiać o uczuciach, i to z kobietą. Rędzia był w stanie ze względu na braterstwo dusz, które go z Agnieszką kiedyś łączyło. Teraz też. Czasem po prostu wiesz, że ktoś jest taki jak ty, że rozumie cię w pół słowa, niemal czyta ci w myślach.

Agnieszka usiadła obok niego, ale nie za blisko, jakby nie chciała go dotknąć. To nie był moment na taki kontakt.

– Czy ty czujesz się przeze mnie wykorzystywany? – zapytała cicho.

– Nie, to nie tak. Sprawa jest czysta. Chodzimy ze sobą do łóżka, obojgu nam sprawia to przyjemność. Ale ja zacząłem nabierać jednak ochoty na coś więcej, a to już niedobrze. Prawda?

– Tak, uprawiam z tobą seks – przyznała po chwili milczenia. – Z fajnym, miłym i serdecznym facetem, trochę melancholijnym i trochę zabawnym, takim, który pogada z tobą o poważnych rzeczach, ale potrafi

też zrobić z siebie kretyna i udawać psa myśliwskiego. Ale myślałam, że skoro nie widzisz problemu, to go nie ma.

– Teraz już jest. I właśnie wycofuję się, mam nadzieję, że w porę. Z mojej strony zaszło to za daleko. Po prostu. Rozumiesz mnie?

– Tomek...

– No?

– Nie powinnam była...

– Możliwe. Ja też nie. Więc potraktujmy to jak przygodę. Przytrafiają się wielu ludziom, nam też się przytrafiło.

– Myślałam, że potraktujesz to lekko. Mały skok w bok, wielu mężczyzn nie ma z tym problemu.

– Nie tylko o to chodzi.

– Ale o to też? – Spojrzała na niego uważnie.

– Będę wobec ciebie uczciwy: tak, o to też. Kocham i szanuję swoją żonę. Ale chodzi też o to, że wbrew obietnicy zacząłem się angażować.

Złapała go za palce i ścisnęła, choć nie przysunęła się równocześnie do niego. Siedzieli tak przez kilka minut, nic nie mówiąc i nie patrząc na siebie. Rędzia wciąż ze sobą walczył, ze swoim pożądaniem, choć podejrzewał, że po tym, co powiedział, stracił szansę na pójście z nią do łóżka już na zawsze.

I przecież o to właśnie mu chodziło. Musiał, kurwa, zamknąć furtkę na klucz i nie tyle schować go gdzieś głęboko, ile po prostu wyrzucić. Jeszcze kilka tygodni wcześniej nie pomyślałby, że właśnie jemu, staremu koniowi, przytrafi się coś takiego.

Życie.

Jest czasem popieprzone.

– No dobra, do roboty. – Westchnął w końcu, wstając. – Przyjechałaś taksówką?

– Tak.

Zerknął na zegarek.

– Zdamy jeszcze się czegoś napić. Chcesz kawy?

Uśmiechnęła się do niego smutno.

– Poproszę...

Później odwiózł ją na Wawrzyniaka. Kiedy zatrzymał się pod budynkiem prokuratury, pogłaskała go po wierzchu dłoni obejmującej

gałkę dźwigni zmiany biegów, posłała mu lekki uśmiech i wysiadła. Pojechał do komendy targany sprzecznymi uczuciami.

Kiedy przed południem zadzwoniła Bożena, a potem dała mu chłopaków do telefonu, poczuł się lepiej. Świadomość, że postąpił właściwie, sprawiała mu niemal fizyczną przyjemność. A potem znów przypomniał sobie zapach ciała Agnieszki...

Zadzwoniła po południu.

– Hej. – Postarał się, żeby jego głos brzmiał normalnie, choć czuł się, jakby właśnie przeszedł jakieś cholerne rozstanie z miłością swojego życia.

– Hej. Mam dane od operatora – powiedziała szybko. – Numer należał kiedyś do sieci Era, dzisiejszego T-Mobile, obecnie ma go jakaś kobieta z Kędzierzyna.

Była wyraźnie podekscytowana i Rędzia czuł, że to jakiś przełom. Wreszcie.

– A kto go miał w dwa tysiące piątym? – zapytał.

Nie chciał strzelać.

– Był zarejestrowany na firmę Heaven Properties – odparła, ale to mu jeszcze nic nie mówiło. A potem dodała: – Właściciel: Jerzy Sarnecki.

* * *

– Dzień dobry, panie Jerzy, Tomek Rędzia z tej strony.

– Dzień dobry, panie komisarzu.

– Chciałbym do pana przyjechać i zadać jeszcze kilka pytań. – Rędzia starał się, żeby jego głos brzmiał beztrąsko i sugerował, że wie coś istotnego. – Pojawiły się nowe okoliczności... Halo, jest tam pan?

Sarnecki milczał, choć Rędzia słyszał w telefonie jego ciężki oddech.

– Zapraszam pana, ale nie na Ostrowską, tylko na Traugutta. Ostatni dom po prawej, jadąc w stronę Wojska Polskiego. – Rędzia poczuł nagle dziwne mrowienie w karku. – To dom mojej byłej żony, ale ona jest teraz w Hiszpanii, gdzie utknęła u swojej siostry i nie może wrócić z powodu pandemii. Wyjeżdżam od siebie za kwadrans. Spotkajmy się za czterdzieści pięć minut na miejscu. Do zobaczenia, panie komisarzu.

Rędzia nie zdążył nic powiedzieć. Po prostu został z telefonem w ręku, patrząc na niego w niemym zdziwieniu. W tej partii to Sarnecki rozdał karty, a nie on. Czuł się też, jakby to właśnie ojciec Jacka zgarnął ze stołu całą pulę. Jeszcze kilkadziesiąt sekund temu był przekonany, że przyprze Sarneckiego do muru, tymczasem okazało się, że Sarnecki zachował się jak zwykle: zarządził, co trzeba zrobić, i oczekiwał zrobienia tego na postawionych przez siebie warunkach.

Rad, nierad Rędzia pojechał. Zaparkował i dwa stanowiska obok zobaczył czerwonego mercedesa klasy S, z którego pomagając sobie kulami, wysiadał Sarnecki. Podszedł do niego. Obaj mieli na twarzach maseczki.

– Zapraszam. – Sarnecki pokuśtykał w kierunku furtki i otworzył ją, puszczając Rędzię przodem, ale on przytrzymał ją, czekając, aż to Sarnecki wejdzie pierwszy. Nie chodziło ani o kurtuazję, ani o udowodnienie, kto tu rządzi. Chodziło o własne bezpieczeństwo.

Nigdy nic nie wiadomo.

Sarnecki z pęku kluczy wybrał właściwy i otworzył zamek. Weszli do środka. Dom był chłodny, a jego wnętrze, przynajmniej na parterze, miało amfiladowy układ pomieszczeń. Niemal każde miało podobną wielkość, wyglądało to, jakby projektant chciał oddać hołd Andrei Palladio.

– Ten dom sprezentowałem byłej żonie. – Sarnecki zdjął maseczkę i rozejrzał się wokół siebie, jakby dawno tu nie był. – Nawet nie w ramach podziału majątku, po prostu jej go dałem, ładnych kilka lat po rozwodzie. Nie rozumiała dlaczego, a ja jej nie wyjaśniałem, za to wyjaśnię to zaraz panu. W dziewięćdziesiątym czwartym zniknął jedyny powód, dla którego byliśmy z żoną razem. Po śmierci Jacka trwaliśmy jeszcze jakiś czas w fikcji i w końcu rozstaliśmy się w zgodzie...

Rędzia słuchał jednym uchem, rozglądając się po domu. Okna, które miał w zasięgu wzroku, wychodziły na ulicę, na jej zamknięty dla ruchu końcowy fragment, ale z tyłu, za domem i torami, był grobowiec Adolfa. Wszystko zaczynało powoli układać się w logiczną całość, choć wciąż było mnóstwo znaków zapytania. Rędzia miał nieodparte wrażenie, że dziś otrzyma odpowiedzi na kilka pytań. Może nawet na te najważniejsze.

Przeszedł do ataku.

– Czy zna pan Szczepana Pabisia? – zapytał Sarneckiego.

– Tak. Pracował kiedyś dla mnie.

– Co robił?

– Dobrą robotę.

– Na przykład podrabiał pieczątki i podpisy? Dlaczego podszywał się pan pod ojca Adolfa? Numer telefonu podany do kontaktu kupcom jego mieszkania należał do pana.

Sarnecki wpatrywał się przez chwilę w punkt gdzieś na rdzawoczerwonej, terakotowej posadzce. Wyglądał, jakby mu było wszystko jedno.

– Nawet gdyby mnie pan teraz nie zapytał o Szczepana ani nie poinformował o swoim odkryciu, i tak bym panu wszystko powiedział.

– Akurat teraz?

– Tak, akurat teraz.

– To po co mnie pan okłamywał poprzednim razem? Okłamywał lub nie mówił wszystkiego?

To właśnie wszyscy robili, kiedy Rędzia z nimi rozmawiał: nie kłamali, tylko nie mówili wszystkiego.

– No właśnie... – Sarnecki wzruszył lekko ramionami. – Uświadomiłem sobie, że to dłużej nie ma sensu. Przemyślałem wszystko, wyciągnąłem wnioski i podjąłem pewne decyzje. Tak zawsze działałem: planowo. Dlatego teraz zaprosiłem pana tutaj, a nie do siebie. Powoli skompletował pan prawie wszystkie klocki, a ja dam panu zaraz ten brakujący. Pańskie śledztwo chyba właśnie się skończyło, wie pan?

Rędzia milczał. Czekał. Sarnecki zrobił jeden długi krok w stronę kanapy, usiadł na niej i rozpiął koszulę pod szyją.

– Muszę chwilę odpocząć – wysapał. – Dosłownie chwilkę...

Rędzia pokiwał głową. Sarnecki wziął kilka głębokich oddechów.

– Pytał pan niedawno, kto mi powiedział, że Jacek strzelił pierwszy. – Popatrzył na komisarza. – To Pajczyk. Przyznał to już wtedy, w stołówce internatu, płacząc jak bóbr. Umówiliśmy się, że to zostaje między nami. Kazałem mu przysiąc, że tak będzie, wiedziałem też, że dotrzyma słowa, bo to było również w jego interesie. I przez wiele lat żyłem w przeświadczeniu, że tak właśnie się to odbyło, a potem okazało się, że jednak nie. Że jednak było inaczej...

Rędzia poczuł, jakby nagle poraził go prąd. Przypomniał sobie zamianę pomników. Przecież pierwszy powstał już PO rozmowach na osobności, które Sarnecki przeprowadził z chłopakami w internacie bezpośrednio po strzelaninie. I wobec tego zmiana nie miała żadnego sensu, skoro już wtedy Sarnecki wiedział, że to jego syn zaczął wszystko. Jak mogło mu to umknąć?

I teraz wszystko nagle powskakiwało na swoje miejsce.

– Chryste, to był Adolf, tak? – zapytał zduszonym głosem. – To on? Zabił wszystkich? Pajczyk zeznał wtedy w internacie, że Adolf szarpał się z żołnierzem, ale to nie dlatego że chciał mu wyrwać broń. Żołnierz chciał ją odzyskać, bo to Adolf strzelał. To nie Jacek zaczął...

Sarnecki milczał. Chwycił mocniej kule, oparł się o nie i wstał z kanapy. Potem podskoczył z trudem na jednej nodze, próbując uzyskać stabilną pozycję, i mocniej zacisnął palce na uchwytych kul.

– Chcę panu coś pokazać – powiedział. – Pomoże mi pan? Musimy zejść do piwnicy.

Rędzia zastanawiał się, co robić.

– Dobrze – rzekł z westchnieniem. – Pan pójdzie przodem.

Sarnecki pokiwał głową i ruszył korytarzykiem w stronę drzwi prowadzących na schody. Oparł kulę o ścianę i otworzył je, a potem włączył światło, ostrożnie włożył obie kule w półmrok wąskich schodów do piwnicy i zeskoczył na pierwszy stopień. Zaczął powtarzać procedurę, a Rędzia patrzył tylko, jak jego plecy i siwa głowa obniżają się z każdym kolejnym stopniem. Towarzyszył temu głuchy stukot, kiedy najpierw kule, a potem stopa Sarneckiego opadały na drewniane deski i rezonowały w pustych przestrzeniach pod nimi. Kiedy znaleźli się na dole, przeszli wąskim korytarzem kilka metrów, gdzie za zakrętem były kolejne drzwi. Sarnecki obejrzał się, czy Rędzia jest blisko, otworzył je i zapalił światło.

Za nimi znajdowało się małe pomieszczenie zastawione regałami. Na półkach stało mnóstwo weków: z owocami i grzybami. Były też ogórki i inne warzywa, wszystko w słoikach oraz w ilościach, które mogłyby zaprowiantować pułk wojska.

– Moja eks ma chyba jakąś manię. Nikt tego nie je, wie pan? A ona wciąż dorabia nowe.

– Po co mnie pan tu przyprowadził? – Rędzi nie interesował stan psychiki byłej żony Sarneckiego.

Sarnecki uśmiechnął się smutno i oparł o ścianę, oddychając ciężko. Widać zejście na dół kosztowało go sporo wysiłku.

– Wie pan, zawsze byłem zdania, że śmierć to wyzwolenie – powiedział cicho. – I że śmierć jest straszna tylko z punktu widzenia zwanego życiem. Z tamtej strony to nie ma żadnego znaczenia, bo tam nie ma nic. Ludzie mówią, że boją się śmierci, ale tak naprawdę boją się tego, co jest przed nią: bólu, bezradności, żalu za tym, co zostawią po tej stronie... A śmierć to wszystko przerywa. Przerywa i ból, i żal, to całe cierpienie.

– Zeszliśmy do piwnicy, żeby pogadać o śmierci?

– Nie, oczywiście, że nie... – Sarnecki westchnął głęboko. – To tutaj, panie komisarzu. Tu skończyło się to, co Adolf zaczął na polanie w Śmielinie...

2003

Broda, przestępując z nogi na nogę, zastanawiał się, jak zacząć. Co powiedzieć, kiedy stanie twarzą w twarz z Pajczykiem w progu jego zapewne eleganckiego mieszkania na osiedlu Pod Kasztanami.

– Cześć, Kuba.

– Cześć, Paweł. – Pajczyk cofnął się od drzwi lekko zaskoczony.

– Mogę wejść? Na chwilę? Pogadać chciałem.

Pajczyk otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale po chwili zrezygnował i szerzej uchylił drzwi.

– Jasne. – Przez jego twarz przebiegł nieokreślony grymas. – Napijesz się czegoś?

– Może być cokolwiek.

– Cola?

– Tak. Cola będzie okej... – Broda rozglądał się ciekawie po mieszkaniu Pajaca.

Ostatni raz widzieli się po maturach. Jako dzieciaki. Mieli po osiemnaście, dziewiętnaście lat, uważali się za dorosłych, ale wciąż byli dziećmi. Mieszkali z rodzicami, zastanawiali się, skąd skołować hajs na kino, dyskotekę czy fajki. Ukrywali pornosy przed rodzicami i maskowali cuchnący alkoholem oddech miętowymi drażami. Niektórzy mieli za sobą pierwsze doświadczenia, które z seksem miały tylko trochę wspólnego. Śmielino zmieniło ich, ale mimo wszystko jeszcze przez jakiś czas wciąż dziećmi pozostali. Tylko i aż dziewięć lat temu. Dziś byli dorosłymi ludźmi, z innymi problemami, często bez obojga rodziców, jak Adolf, czy bez jednego, jak on czy Cinek. I podobno Pajac również. Z pracą, kredytami, rachunkami do zapłacenia, łysi jak Pajczyk, żonaci, samotni, rozwiedzeni. Czas przed maturą był zamkniętym rozdziałem.

Przetrwały pojedyncze przyjaźnie, jak jego z Cinkiem. W momencie, w którym stali się absolwentami, przestali istnieć jako klasa.

Jak rzekł klasyk: to są normalne dzieje.

Pajczyk wprowadził Brodę w głąb mieszkania. Nie było duże, niedawno zostało wykończone, a jego właściciel zachłysnął się wręcz możliwościami aranżacji własnej przestrzeni. Podwieszany sufit w salonie był fikuśnie połamany i upstrzony maleńkimi halogenikami. Jedna ze ścian była czarna, a na jej tle jarzyły się ogromne, zielone oczy pantery, wymalowane przez jakiegoś artystę.

– Powodzi ci się... – Broda rozglądał się dookoła z autentycznym podziwem.

– Nie narzekam. – Pajczyk był w aneksie kuchennym, wyjmował właśnie z lodówki butelkę coli. – Rozwinąłem interes po starym. Był krótkowzroczny. Myślał, że skup złomu i gruzu to żyła złota, ale mylił się. Nie doceniał ludzi. Nie miał pojęcia, ile odpadów potrafi wytworzyć *Homo sapiens*, Paweł. Ekologia to kopalnia bez dna, przynajmniej na razie. Wynajem kontenerów budowlanych, utylizacja odpadów, ekoport, odzysk metali kolorowych i kruszców z elektroniki... Pieniądze leżą na ulicy. W śmieciach. Trzeba je tylko przywieźć do mnie do firmy, a ja je z nich wyskrobie. – Podeszedł do stolika kawowego w salonie ze szklanką i butelką w ręce i uśmiechnął się. – A jak u ciebie?

Broda patrzył w okno, na rozpościerający się za nim widok Lasu Arkońskiego.

– Po co ci ta rada miejska? – zapytał, nie odwracając się od okna.

– Nie rozumiem? – Pajczyk postawił szklankę na stoliku i nalał do niej coli.

Butelka miała pojemność dwóch dziesiątych litra i do szklanki zmieściła się cała jej zawartość, razem z pianą.

– Masz kupę hajsu.

– Nie przesadzaj, dopiero się rozwijam, sporo inwestuję. To, że mam zadbane mieszkanie, nie oznacza, że...

– No dobrze – Broda mu przerwał. – Masz tę swoją firmę, poświęcasz jej czas i kasę. To po co ci ten cyrk w magistracie?

– Jedno drugiemu nie przeszkadza. To moja pierwsza kadencja...

– Nie o to pytam.

– Broda – Pajczyk westchnął – przyszedłeś, żeby pieprzyć o moim życiu?

Kisiel uśmiechnął się lekko i spuścił wzrok. Potem wziął ze stolika szklankę i wypił zawartość jednym haustem. Skrzywił się, kiedy lodowaty płyn opłukał mu zęby. Nie odstawiając jej, usiadł na kanapie i zaczął się nią bawić.

– Dobra, to powiem ci, po co przyszedłem – rzucił od niechcienia. – Bo chcę, kurwa, wiedzieć, co tam się stało tej nocy, rozumiesz? Co tam się wydarzyło naprawdę. Nie kupuję tej bajki, którą częstowaliście nas z Adolfem. Ja... Myślałem nad tym sporo. Układałem sobie wszystko, przypominałem to, co dałem radę...

– Byłeś nawalony i upalony, Broda, przestań pierdolić, że coś pamiętasz... – Pajczyk też usiadł, zachowując jednak bezpieczną odległość od Kisiela, jakby bał się, że ten mu coś zrobi.

– To nie był żaden skręt z maryską. – Broda pokręcił głową, wciąż bawiąc się pustą szklanką. – Nawalony, tak, ale w tym gównie był zwykły tytoń podlany jakimś syfem, ekstraktem z kanabisu, żeby był smród, i nic więcej. Cinek chciał wam zaimponować. To dlatego nie chciał, żebyśmy wyjarali go wszyscy, bo jeden na tyłu to za mało. Ten skręt był zwykłym gównem i każdy by się zorientował po tym, że nic go nie bierze. Był tylko dla beki.

Przejechał palcem po krawędzi szklanki, wpatrzony w jej dno. Rozległ się przeciągły, wibrujący dźwięk, więc zabrał palec i bezwiednie wytarł go w spodnie.

– Spotkałem na mieście matkę Fanty – powiedział cicho.

– No i? – burknął Pajczyk.

– Nie wygląda dobrze.

– A co ja jestem, opieka społeczna?

– Nie leży ci na sercu dobro mieszkańców tego miasta?

– Broda, przyszedłeś mnie wkurwiać czy po co?

– Zmieniłeś się, wiesz?

– Wiem. – Pajczyk wstał, podciągnął spodnie i spojrzał na Kisiela z góry. – Wiem, kurwa. Nie ma już Pajaca. Jest Pajczyk. Jakub Pajczyk.

– Siadaj, Jakub Pajczyk – rzucił cicho Broda.

– Co? – Pajczyk zamrugnął, a na jego twarzy wykwitł uśmiech niedowierzania. Wziął się pod boki i przesunął w stronę Brody. – Co ty tam piszczysz? Będiesz mi mówił, co mam robić w swoim własnym mieszkaniu? Co ty sobie, kurwa...

– Ja chyba wiem, jak to było, tam na polanie.

– Co powiedziałeś? – Pajczyk zbladł i bezwiednie usiadł w tym samym miejscu, na drugim końcu kanapy.

Kiedy Broda to zobaczył, wiedział już, że sporo ze swoich przypuszczeń może uznać za fakty. Może się mylił, a może nie, ale na pewno coś było na rzeczy.

– Pamiętam z tamtej nocy tylko urywki, ale kiedy tak sobie o tym myślę, a myślę ostatnio coraz częściej, Pajac, to wszystko zaczyna się jakoś układać. I to zupełnie inaczej, niż mówiłeś. A to nie świadczy o tobie dobrze... – Cmoknął i pokręcił głową z udawaną dezaprobatą.

Pajczyk milczał. Siedząc na skraju kanapy jednym pośladkiem, wpatrywał się w Brodę, nie mrugając, jakby bał się go spuścić z oczu nawet na ten ułamek sekundy, który potrzebny jest powiece, by opaść i się podnieść. Wyglądał jak wąż, który ocenia, czy to coś przed sobą da się zjeść, czy raczej na odwrót, istnieje ryzyko, że zostanie się przez to coś pożartym.

– Gówno widziałeś – syknął, ale bez przekonania.

Broda zostawił wreszcie tę nieszczęsną szklankę w spokoju i odstawił ją na stół, a potem rozparł się, wyciągnął ramiona i rozłożył je na oparciu kanapy. Widać było, że poczuł się pewniej. Oczy Pajczyka mówiły mu więcej niż słowa.

– Nie gówno, Pajac. Owszem, było ciemno jak w dupie, ale wiem, że Fanta nie mógł zginąć w momencie, w którym Adolf szarpał się z tym żołnierzem. Bo wtedy jeszcze nie było żadnej szarpaniny, wtedy jeszcze wszyscy leżeli na ziemi. To akurat widziałem. Więc jak to możliwe, co? Może zrobimy spotkanie klasowe w niepełnym składzie, powiedzmy nasza czwórka: Cinek, Adolf, ty i ja, i zrobimy wieczór wspomnień? Porównamy fakty, pogadamy sobie, co ty na to?

– Nie było żadnej szarpaniny... – Głos Pajczyka był zduszony.

– Co? – Broda przysunął się lekko w jego stronę. – Co mówisz?

– Nie było żadnej szarpaniny z żołnierzem.

– Tylko co było, Pajac? W takim razie co tam się...

– Adolf zabił ich wszystkich.

Broda poczuł, że kręci mu się w głowie. Spojrzał na szklanę i oblizał usta, ale nie poprosił o coś do picia. Nie przyszło mu to nawet na myśl, tak bardzo zaskoczyło go wyznanie Pajczyka. Nie, on nie był zaskoczony, on był zaszokowany.

– Pajac, co ty pierdolisz, człowieku? Co ty wygadujesz, Chryste? Czy ci...

– Adolf wpadł w jakiś szal. Nie wiem dokładnie, co sobie powiedzieli z tym dezerterem, ale w pewnym momencie po prostu wziął jego kałacha i zaczął strzelać. Do niego, do Sarneckiego, do Fanty...

Broda objął głowę i ścisnął ją. Przez kilkanaście, a może nawet kilkadziesiąt sekund obaj nic nie mówili. Siedzieli zatopieni we własnych myślach, trawiając słowa, które padły. W końcu Broda westchnął. Głęboko.

– Trzeba coś z tym zrobić – powiedział nieswoim głosem. – Nie można tego tak zostawić.

– Co chcesz teraz zrobić? – zapytał Pajczyk. – Teraz jest już za późno.

– Chuja tam za późno! Nigdy nie jest za późno. Rozumiesz? Nigdy!

– Ty nie rozumiesz. – Głos Pajczyka drżał. – Kiedy Adolf się dowie, dokończy tamto. Zabije mnie, ciebie... On nie jest normalny, nigdy nie był, nie widzieliście tego? Ta jego ksywka nie była bez powodu! Kiedy wreszcie się uspokoił, nawet nie wiedział, co zrobił, rozumiesz? Nie pamiętał! Niczego, kurwa, nie pamiętał! Kompletnie mu wtedy odjechało! Powinien siedzieć w wariatkowie. Kiedy zobaczył tę jatkę, Sarneckiego, tego żołnierza, uniósł karabin i spojrzał na mnie... Tak na mnie spojrzał...

– Dlaczego go nie powstrzymałeś?

– A ty co wtedy robiłeś? – krzyknął niespodziewanie Pajczyk i drobinki śliny przysnęły na boki. – Srałeś w gacie ze strachu! Cinek też. I tak wykorzystałem moment, kiedy trochę ochłonał, żeby spróbować przemówić mu do rozumu, którego i tak miał jak na lekarstwo! Przez chwilę byłem pewien, że mnie też zastrzeli. Wiesz, jakie to uczucie, Broda? Wiesz? Stać z gorącą lufą przy brzuchu i widzieć w oczach tego szaleńca, że tylko włos dzieli cię od śmierci? Będziesz mi tu pieprzył: „dlaczego go nie powstrzymałeś, dlaczego go nie powstrzymałeś?”,

kurwa... I tak, gdyby nie ja, strzelałby dalej, bo nie miał nic do stracenia!

– A tak przynajmniej mógł cię sterroryzować i ustalić wersję, w której to on został bohaterem, tak?

Pajczyk milczał ze spuszczoną głową.

– To dlatego tak dziwnie gadałeś, jak wracaliśmy do internatu, co? Chciałeś mu pokazać, że będziesz się trzymał jego wersji wydarzeń? „Zobaczcie, Adolf bohaterem, rozwalił go, wyrwał mu kałacha i rozwalił go”, kurwa... – Broda patrzył, jak ramiona Pajczyka zaczynają się trząść od bezgłośnego płaczu.

Po chwili łkał na całego. Broda obserwował w milczeniu, jak prawie dziesięć lat stresu związanego ze skrywaniem koszarnej tajemnicy wychodziło teraz z Pajaca z każdą łzą, z każdym chlipnięciem i smarkiem.

– Szepnął, że teraz musi zabić wszystkich, a potem siebie. – Słowa ledwie przechodziły mu przez ściśnięte płaczem gardło, niektóre w nim więzły. – Jak Franz Maurer. Że nie pozostało mu nic innego. Powiedziałem mu, że możemy to jakoś odkręcić. Że nie musi mnie zabijać. Ani was. Ani siebie. Że zwalimy to na tego dezentera, a ja nikomu nigdy nic nie powiem. Przekonałem go, żebyśmy zaryzykowali. Mógł albo zabić się od razu, albo spróbować z tego wyjść, z moją pomocą. Darował mi życie, a ja mu się odwdzieczyłem wymysleniem tej bajki, która uratowała mu dupę. A potem było za późno, żeby wszystko prostować... Koniec historii. Życie za życie... I to dzięki mnie żyjecie, Broda, rozumiesz? Dzięki, kurwa, mnie! I docień to!

Broda wstał z kanapy. Chyba już wiedział, co ma zrobić.

Zapiął kurtkę i popatrzył na Pajczyka z góry: na jego skuloną postać, małą łysinę na czubku pochylonej głowy błyszczącą w świetle lampy i trzęsące się ramiona. Nie chciał czekać, aż Pajczyk podniesie głowę i spojrzy mu w twarz. Nie miał tu już nic do roboty. Odwrócił się i ruszył ku wyjściu.

– Wiesz co, pomyliłem się – rzucił jeszcze, odwracając się od drzwi. – Jednak za bardzo się nie zmieniłeś. Jesteś taki sam jak kiedyś, Pajac. Dokładnie taki sam. Cześć...

* * *

Poniewiecka willa na ulicy Traugutta, tuż przed skrzyżowaniem z aleją Wojska Polskiego, kryła się w cieniu drzew i ogromnego, kratownicowego słupa sieci elektroenergetycznej. Zza budynku Brodę dobiegł ryk syreny lokomotywy i łoskot wagonów pociągu towarowego przetaczających się powoli po torach i niknących w ciemnej gardzieli wiaduktu.

Zadzwonił i czekał. Potem zadzwonił drugi raz. Dopiero wtedy drzwi się otworzyły.

– Dzień dobry, ja jestem...

– Wiem, kim jesteś. Kolegą Jacka. Paweł, tak? Broda?

– Tak, to ja.

– Coś się stało?

– Przed chwilą byłem u Kuby Pajczyka.

– Tak?

– Mogę wejść?

Szybkie i znaczące spojrzenie na zegarek miało dać mu coś do zrozumienia, a słowa, które padły chwilę później, potwierdzić to bez żadnych wątpliwości.

– Wiesz co, mam trochę mało czasu... – usłyszał, ale nie odpuścił.

– Myślę, że na to pan znajdzie czas. Powinien pan. To bardzo ważne i nie chciałbym tego odkładać, bo i tak za długo to wszystko trwało...

Było w oczach Brody coś takiego, co sprawiło, że Jerzy Sarnecki bez słowa cofnął się od drzwi, wpuszczając go do środka.

– To nie ten żołnierz zabił pańskiego syna – powiedział Broda, kiedy weszli do kuchni i Sarnecki wskazał mu krzesło przy stole.

Odsunął je i siadając powoli, obserwował reakcję Sarneckiego. Zobaczył, że jego twarz napięła się nagle, kiedy przebiegł po niej lekki skurcz.

– Proszę? – zapytał czy może raczej wyjąkał.

Chyba nie był gotowy na taką informację i może Broda powinien był pomyśleć, żeby przekazać mu to nieco łagodniej.

– To nie on strzelał do Jacka.

– A kto? – wycharczał Sarnecki. – Przecież on się tylko bronił, bo Jackowi karabin wypalił w rękach.

– Jezu... Skąd pan ma takie informacje?

Sarnecki zamrugał, jakby właśnie został obudzony z głębokiego snu.

– Kto zabił Jacka?

– Adolf. – Broda spuścił głowę, nie będąc w stanie wytrzymać spojrzenia Sarneckiego.

Przez chwilę panowała pełna napięcia cisza. Sarnecki oddychał przez nos szybko i głęboko.

– Skąd wiesz, że to Stec? – zapytał nagle.

– Od Pajczyka.

Stężała do tej pory twarz wydłużyła się, jakby skurcz, który ją zmienił w nieruchomą maskę, ustąpił nagle i niespodziewanie.

– Kiedy ci to powiedział?

– Dosłownie przed chwilą. Poszedłem do niego, bo coś mi nie grało z tą historią.

– Co ci nie grało?

Broda, słysząc te słowa, miał wrażenie, że wypowiada je robot: bez intonacji i jakichkolwiek emocji.

– Wie pan – zaczął. – Od dłuższego czasu o tym myślałem. Tak jak kiedyś wcale, bo chciałem to wypchnąć z głowy, tak od kilku miesięcy bez przerwy. Spotkałem na mieście matkę Fanty i ona... Wyglądała koszmarnie. Chyba zwariowała. Wyglądała jak bezdomna i mamrotała do siebie. Była zima, a ona była w starych, wielkich buciorach bez sznurówek i skarpet. Pewnie nie ma nikogo, kto by się nią zajął, i pomyślałem sobie, że gdyby wtedy to się nie stało, to może wyglądałaby inaczej. I jak już zacząłem myśleć, to...

– To co?

– Uświadomiłem sobie pewne rzeczy, nad którymi przedtem się nie zastanawiałem. I poszedłem do Pajczyka, żeby to zweryfikować. Zwyczajnie go o nie zapytać, bo mnie to męczyło. I Pajczyk pękł. Przyznał, jak było. Przyznał, że Adolf złapał jakąś fazę. Może od wódki? A może, jak twierdzi, on jest po prostu walnięty? Powstrzymał go w ostatniej chwili przed zabiciem nas i popełnieniem samobójstwa.

Przekonał, że to da się zwalić na tego dezertera i nikt więcej nie musi ginać. Poinstruował go, co ma mówić.

– Dlaczego to zrobił?

– Mówiłem panu, może po wódce...

– Dlaczego Pajczyk to zrobił?

– Z dwóch powodów. Jeden to ten, że był pod wpływem Adolfa. Bał się go i podziwiał równocześnie. A o drugim mówiłem: to było podziękowanie za darowanie życia. Jemu i nam. Nie wiem, czy to się da tak rozdzielić; nie jestem psychologiem, ale myślę, że Pajcykowi też musiało w głowie nieźle buzować, i wtedy na polanie, i tuż potem w internacie, i przez te wszystkie lata. Wygląda na to, że wszyscy jesteśmy ofiarami Adolfa. Bohaterskiego Adolfa...

– Przynajmniej żyjecie. – Sarnecki spojrzał na Brodę spode łba.

– To prawda – przyznał Broda. – Przynajmniej żyjemy. Jackowi się nie udało. Ani Fancie. Przyszedłem do pana, bo chyba trzeba podjąć jakąś decyzję. Jeśli przekonamy Pajczyka, żeby przyznał przed policją, jak było, to może uda się Adolfa postawić przed sądem. Jak pan myśli?

– Pajczyk tego chce?

– No właśnie nie. Boi się Adolfa, no i w politykę poszedł. To mogłoby mu zaszkodzić. Może gdyby pan z nim pogadał?

– Masz jakiś kontakt z Adolfem?

– Żadnego, proszę pana.

– A rozmawiałeś o tym z kimś? Z tym twoim przyjacielem, z którym się zawsze trzymaliście razem?

– Cinek nie wie. On teraz ma na głowie inne sprawy. Żeni się. Od jakiegoś czasu mniej się widujemy, bo jego dziewczyna, narzeczona znaczy, chyba za mną nie przepada.

Sarnecki wbił w Brodę wzrok.

– Jak ci się żyje ze świadomością, że dostałeś drugie życie? – zapytał.

– Czy ja wiem? – Broda skubnął rękaw kurtki.

Nie miał ochoty odpowiadać. Nie Sarneckiemu. Nie ojcu kolegi, który tej szansy nie dostał.

– Jak ci się wiedzie, Paweł? Dobrze? – padło kolejne pytanie i odpowiedź na nie krępowała Brodę jeszcze bardziej niż na poprzednie.

Dlatego właśnie jej nie udzielił.

Sarnecki przyglądał mu się uważnie, prześlizgując się wzrokiem po jego ubraniu i dłoniach. Potem wstał nagle, oparł się o blat, pochylił i zajął Brodzie w twarz.

– Poczekaj tutaj chwilę, dobra? Zaraz wrócę – powiedział i wyszedł z kuchni.

Broda odprowadził go spojrzeniem, patrząc, jak znika za drzwiami. Zapadła cisza. W oczekiwaniu na powrót Sarneckiego zaczął się rozglądać po kuchni. Była pełna jakichś urządzeń, których przeznaczenia nie znał. Jemu wystarczała dwupalnikowa kuchenka na butlę i czajnik elektryczny. Zapatrzył się w okno, zastanawiając się, gdzie i po co zniknął gospodarz.

Czuł się tu znów jak uczeń. Sarnecki przytłaczał go swoim sposobem bycia. To spotkanie powinno przebiegać na nieco innych zasadach niż tamto, całkiem podobne, w stołówce internatu w Śmielinie, kiedy ojciec Jacka tym samym nieznośnym sprzeciwu tonem zadawał mu pytania dotyczące przebiegu wydarzeń na polanie. A tymczasem Broda czuł się teraz tak samo jak wtedy. Starał się go zrozumieć. Wiedział, jakiego rodzaju człowiekiem jest Sarnecki. I zdawał sobie sprawę, jaki na to wpływ miała śmierć Jacka.

Drgnął, kiedy Sarnecki pojawił się w drzwiach kuchni. Minął je szybkim krokiem, aż Broda poczuł ruch powietrza, a potem zapach wody toaletowej. Kiedy na stole pojawił się rzucony tam przez Sarneckiego plik spiętych banderolą banknotów dwustuzłotowych, do Brody przez dłuższą chwilę nie docierało, na co patrzy.

– Cco... Co to jest? – zapytał, marszcząc gęste brwi.

Poczuł, jak zasycha mu w ustach. Nie rozumiał.

– Forsa, Paweł. To jest forsa.

– Dla kogo?

– Dla ciebie.

– Ale za co? Nie rozumiem...

– Za to, że przyszedłeś i mi powiedziałeś prawdę. Za odwagę.

– Ale... – Broda wydał z siebie odgłos, który nie był ani śmiechem, ani parsknięciem, tylko czymś pomiędzy, w dodatku wydostał mu się z gardła wbrew jego woli. – Nie trzeba...

– Trzeba, trzeba. – Sarnecki podniósł rękę, jakby chciał, żeby mu teraz nie przerywać. – Posłuchaj mnie teraz uważnie. Posłuchaj mnie teraz, rozumiesz, kurwa? Tu jest dwadzieścia tysięcy. Dwadzieścia pierdolonych tysięcy złotych.

– Proszę pana, ja nie przyszedłem tu po pieniądza...

Sarnecki przymknął na chwilę oczy i zacisnął zęby.

– Zamknij się na chwilę, Paweł, dobra? Zamknij się, proszę, i posłuchaj, co mam ci do powiedzenia. – Dotknął palcem swoich ust i zgarbił się lekko, przyjmując pozę wykładowcy, który dostał od studenta wyjątkowo podchwytliwe pytanie. – A mam do powiedzenia to, że widzimy się teraz ostatni raz. Ostatni raz rozmawiamy o Jacku, o polanie w Śmielinie, ostatni raz rozmawiamy o Adolfie. Od tej chwili Adolf przestaje dla ciebie istnieć. Nic się nie zmienia, wciąż jest pieprzonym bohaterem, ale zapominasz o nim. Nie ma go. Po prostu znika z twoich myśli, a ty nie zastanawiasz się, gdzie się podział. Czy to, co mówię, jest za bardzo skomplikowane?

– Nie, ale...

– Czy jest zrozumiałe? – Sarnecki przesunął kupkę banknotów w stronę Brody. – Weź to. Zrób z tym, co chcesz. Są twoje...

– Jest ktoś, komu to się może przydać. – Broda zagryzł dolną wargę i kępka bujnego zarostu weszła mu między zęby, ale nie sięgnął po pieniądze.

– I bardzo dobrze. – Sarnecki pokiwał głową. – Świetnie. Bierz to i znikaj, Paweł. Nigdy cię tu nie było, jasne? Nie widzieliśmy się dzisiaj. I nie widzimy się nigdy więcej. Przrzeknij mi to. Przysięgnij na Boga.

– Nie wierzę w Boga, proszę pana.

– To w takim razie na pamięć o Jacku. Ja też nie wierzę w Boga, ale bardzo wierzyłem w swojego syna, wiesz? Przysięgnij.

Broda nie patrzył na niego. Na pieniądze też nie.

– Przysięgam – wydukał. – I dziękuję...

– Z Pajczykiem też się nie widuj, dobrze? – Sarnecki wpatrywał się w niego, jak gdyby chciał wyczytać z jego twarzy, co Broda o tym wszystkim myśli, ale on nie myślał, bo był zbyt zszokowany sumą leżących przed nim pieniędzy, od tej chwili jego pieniędzy. – I z Cinkiem też o tym nie rozmawiaj, tak?

- Tak – szepnął.
- Dajesz słowo?
- Daję. Daję słowo.
- Dziękuję ci, Paweł. Dobry z ciebie człowiek.
- Mogę jeszcze o coś zapytać?
- Słucham.
- Czy... Czy pan chce go zabić?

Sarnecki patrzył na Brodę nieco zaskoczony.

– Nie – powiedział powoli. – Nie ma mowy o zabiciu Adolfa. To by było zbyt proste. Nie zasłużył na śmierć. Po prostu nie wnikaj w to, dobrze? Ja to wszystko załatwię. Tak samo załatwiłem, że wtedy nikt wam nic nie zrobił, tak?

– Rozumiem...

– Nie wiem, czy rozumiesz, Paweł, ale nie staraj się nawet tego zrozumieć. Powtarzam: przestać o tym myśleć. I jeszcze jedno: chcę, żebyś wiedział, jakie dla mnie ważne jest to, co zrobiłeś. To, że przyszedłeś do mnie. To wszystko. Możesz już iść.

Broda wstał powoli, starając się, żeby krzesło zaszurało jak najciszej. Wyciągnął rękę i po chwili wahania wziął ze stołu pieniądze, najpierw przez chwilę muskając je opuszkami. Sarnecki czekał cierpliwie, świadomy wrażenia, jakie wywarły na koledze syna. Broda schował plik dwusetek do wewnętrznej kieszeni kurtki, upewniając się dwa razy, czy na pewno trafiły tam, a nie do jakiejś fałdy w podszewce, z której mogłyby się wysunąć i wypaść niezauważone.

– Trochę mi w życiu nie wyszło, ale nigdy nie zrobiłem nikomu krzywdy – powiedział cicho. – Nigdy. Mogę spokojnie patrzeć sobie w oczy w lustrze.

Sarnecki położył mu rękę na łopatce. Nie poklepał Brody, tylko delikatnie przycisnął ją do jego pleców, a potem zabrał bez słowa i patrzył ze smutnym uśmiechem, jak młody mężczyzna, który kiedyś kumpłował się z jego synem, wychodzi z jego domu, żeby już nigdy więcej się w nim nie pojawić.

Kiedy zamknął drzwi za Brodą i stracił go z oczu, uśmiech zgasł. Natychmiast poszedł do salonu, gdzie na obudowie kominka stała karafka z whisky i szklaneczka z rżniętego szkła. Nalał sobie na dwa

palce, wypił jednym haustem i odstawił szklanę. Obok leżał jego telefon. Wziął go, oddychając szybko przez nos, w którym wciąż buzował bukiet alkoholu, i zadzwonił do swojego pracownika, który zawsze wiedział, co w trawie piszczy. Od kilku lat jako jego zaufany człowiek przygotowywał mu grunt pod ostatnie etapy negocjacji w interesach. Tacy ludzie są warci góry złota. Są bezcenni.

– Znajdź mi namiar na Jakuba Pajczyka – rzucił bez zbędnych wstępów. – Adres, telefon, jeśli ma komórkę, to też. Paj-czyk. Tak, Szczepan, jak najszybciej.

* * *

– Halo?

– Kuba Pajczyk?

– Tak, kto mówi?

– Jurek Sarnecki.

– A... Dzień dobry, panie Jerzy... Skąd ma...

– Widzimy się zaraz u mnie.

– Ale...

– Nie ma żadnego ale. Przyjedź do mnie, bo jak nie, to ja po ciebie przyjadę, rozumiesz? Natychmiast. Czekam. Traugutta sto pięćdziesiąt dwa. Pogadamy sobie o przeszłości.

Sarnecki się rozłączył. Następne pół godziny spędził, chodząc po pokoju tam i z powrotem, od ściany do ściany, spoglądając na zegarek co pół minuty. Dał Pajczykowi trzy kwadransy, choć mu tego nie powiedział. Po tym czasie chciał wykonać następny telefon, a gdyby to nic nie dało, jechać do niego do mieszkania. Ale wiedział, że przyjedzie. Znał się na ludziach. Słyszał tę cichą, niewypowiedzianą rezygnację w głosie Pajczyka. Chyba spodziewał się tego telefonu.

Przyjechał.

Wpuścił go do środka. Pajczyk miał spuszczoną głowę i wyglądał jak prymus złapany na ściąganiu. Przeszli w milczeniu do pokoju z tyłu domu; przez okno widać było majaczący za ścianą zieleni budynek sztabu dywizji i nowo wybudowaną stację benzynową oraz magazyn roślin. Widok ten przypominał Sarneckiemu porażkę biznesową: czaił się

na ten teren w okolicach stacji, ale ktoś sprzątnął mu go sprzed nosa. Nawet Pabiś nie dał rady wychodzić tego dla niego. Za każdym razem, kiedy Sarnecki patrzył w to okno, przypominała mu się właśnie ta sytuacja. Tym razem nawet o niej nie pomyślał.

– Siadaj! – warknął.

Pajczyk spełnił polecenie.

– Dlaczego okłamałeś mnie wtedy, w Śmielinie, że zaczął mój syn? – zapytał go.

Pajczyk patrzył mu prosto w oczy. Wreszcie odważył się podnieść głowę.

– Ze strachu – odparł.

– Wszyscy byli przestraszeni, ale tylko ty kłamałeś.

– Ze strachu przed Adolfem. Zabiłby mnie.

– Gdybyś powiedział od razu policji, jak było, zabraliby go natychmiast i wsadzili do aresztu, a potem do więzienia, i to do końca życia. Nie musiałbyś się bać. Dlaczego więc tego nie zrobiłeś?

– To nie takie proste... – Pajczyk zgarbił się lekko.

– Nie takie proste!? – ryknął Sarnecki i zapach whisky rozszedł się po pomieszczeniu. – To było proste jak szczanie, dupku! „Panie prokuratorze, to zrobił Stec, proszę go aresztować!” Tak mogłeś powiedzieć! „Stec zabił ich wszystkich”! Jeszcze prościej, kurwa! Już prościej się nie da!!!

– Proszę na mnie nie krzyczeć – powiedział Pajczyk spokojnym, wyciętym z emocji głosem. I sporo go to kosztowało, bo te emocje w nim buzowały niczym lawa w kraterze tuż przed erupcją.

– Przepraszam... Przepraszam, Kuba... – Sarnecki ochłonął i opuścił ręce, uniesione jak u atakującego niedźwiedzia. – Zrozum, ja jestem w szoku...

Otarł pot z czoła i zaczął rozglądać się po kątach pokoju, jakby był tu pierwszy raz.

– Rozumiem – szepnął Pajczyk. – I przepraszam. Nie miałem wtedy innego wyjścia.

– Nie?

– Nie. To byłoby słowo przeciwko słowu. Skoro tam, na polanie powiedziałem „a”, to w internacie musiałem być konsekwentny i mówić „b”, potem „c” i tak dalej, rozumie pan?

– Staram się. Staram się zrozumieć, Kuba, i mi nie wychodzi.

– Bo pan nie zna tego strachu. Pan jest mocnym człowiekiem, zawsze pan był, bo tak pan ma. Ja nie. Ja w głębi duszy jestem tchórzem, ale walczę z tym. Od lat. To nie moja wina, że się boję, tak jak nie jest winą daltonisty, że nie widzi czerwieni. Pan tego nie wie, ale jest pan moim wzorem. Chciałbym być taki jak pan. Zawsze wiedzieć, co robić, być opanowanym w każdej sytuacji, nie dać się ponieść emocjom, a jedynie pozwolić im się motywować do działania. Ale ten strach będzie wciąż gdzieś we mnie tkwił. Wiem to. Wtedy ten strach mnie pokonał, a wszystko, co działo się dalej, było tego konsekwencją, drogą bez odwrotu. Ja przecież Adolfowi pomagałem! Pomagałem mu zacierać ślady zbrodni. I nieważne, że robiłem to ze strachu o własne życie. Dobrze się o tym rozmawia przy stole dziesięć lat później, ale wtedy, w nocy, na polanie, wszystko wyglądało zupełnie inaczej! Zupełnie!

Sarnecki siedział nieruchomo ze wzrokiem wbitym w ścianę. Złożone jak do modlitwy dłonie tkwiły między kolanami.

– Czy Adolf ci groził? – zapytał. – Potem?

– Od matury, przez studia, nie widzieliśmy się ani razu. A potem trafiliśmy razem do wojska. Czy to nie fatum? Czy nie pomyślałby pan wtedy, będąc na moim miejscu, że los w jakiś koszmarny sposób ciągle styka mnie z Adolfem? Żebym nie zapomniał? Żebym pamiętał o obietnicy, którą mu wtedy dałem? On... On już się wtedy zmienił, nie wiem, czy ta jego psychoza nie weszła w jakiś mniej manifestujący się etap, taki depresyjny dół, ale co jakiś czas mruczał, żebym pamiętał o tym, co mu obiecałem. Głośno opowiadał chłopakom, jakim to jest bohaterem, a na osobności szeptał, co mi robi, jak wyjawię naszą wspólną tajemnicę. Można to uznać za groźby. Dla mnie to były groźby. Zawołowane, ale jednak groźby. Bałem się ich. Bałem się Adolfa. Najbardziej tej jego nieprzewidywalności. Mieszkaliśmy w jednej izbie i słabo spałem, bo bałem się, że któreś nocy mu odpierdoli i mnie na przykład udusi poduszką. Albo na strzelnicy... To już w ogóle. Na szczęście chyba dostał jakiejś awersji do broni i nic się nie wydarzyło. Z pozoru wyglądał na normalnego gościa, nawet jakoś przygasał, po zajęciach, kiedy mogliśmy wyjść na przepustki na miasto, zniknął gdzieś,

sam. Najgorsza była świadomość, że ryzykowałem życie kolegów z plutonu. Cały czas miałem go na oku, żeby jakby co...

– Dobrze, Kuba. Starczy. Wiem już wszystko. Zrobimy tak: powiem ci to, co powiedziałem Brodzie. Zapominasz o sprawie. Ta rozmowa się nie odbyła, rozmowa z Brodą też nie. Wykreśl ten dzień z kalendarza, ze swojego życiorysu. Zapomnij o Adolfie.

– A... A co z Brodą?

– Załatwione. Przekupiłem go. Ciebie nie będę przekupywał. Tobie naturalnie nie zależy na tym, żeby Adolfem zainteresowały się organa ścigania, bo to uderzyłoby w ciebie rykoszetem. Oferuję ci więc święty spokój. Słyszałem, że zaczynasz karierę w polityce?

– To przesada. – Pajczyk spuścił głowę, lekka łysina prześwieciła przez rzadkie włosy. – Dostałem się do rady miejskiej z całkiem niezłym poparciem. Mam okazję zrobić coś sensownego dla tej wiochy z tramwajami.

Sarnecki stanął nad nim. Jego cień zasłonił Pajczyka przed światłem dnia wpadającym przez okno i położył się na nim jak ciemna zasłona.

– Pracuj więc spokojnie. – Sarnecki był już całkowicie opanowany. – Może kiedyś się jeszcze spotkamy, może poproszę cię o pomoc w jakichś interesach. Może ty poprosisz mnie. I nawet jeśli tak będzie, to temat Adolfa nigdy nie wypłynie, rozumiesz? Nigdy.

– Oczywiście.

– Możesz iść, Kuba. I pamiętaj o naszej umowie. Wyłącznie o naszej; ta poprzednia, którą zawarłeś z Adolfem na polanie, przestała cię właśnie obowiązywać.

– Do widzenia, panie Jerzy.

Sarnecki odsunął się. Ciemna zasłona się zsunęła, Pajczyk wstał i drobnymi kroczkami, na przemian zaciskając i rozluźniając dłonie, w pośpiechu opuścił dom Sarneckiego.

Ten zamknął za nim drzwi wejściowe i oparł się o nie, najpierw plecami, a potem potylicą. Na skórze głowy poczuł chłód szkła małego, zdobionego od zewnątrz kutą kratą okienka. Zamknął oczy. Wiedział, co musi zrobić. Co należy zrobić. I co chce zrobić; naprawdę bardzo mocno chce.

Przeszedł do salonu i wyciągnął telefon.

– Szczepan, jeszcze jedna prośba. To samo co poprzednio: ten człowiek nazywa się Mariusz Stec. Tylko gdybyś mógł go poobserwować kilka dni. Czy ma dziewczynę, gdzie pracuje, z kim wychodzi i tak dalej. Nie, nie musisz się spieszyć...

Kiedy odłożył telefon, przyszło mu do głowy, że Pajczyk, w przeciwieństwie do Brody, nie miał żadnych obiekcji co do dalszych losów Adolfa, choć przecież musiał sobie zdawać sprawę, jak to się skończy.

Przestał się nad tym zastanawiać równie szybko, jak zaczął. To nie był w końcu jego interes. On miał swoje sprawy.

* * *

– Cześć. Masz te informacje?

– Mam, panie Jurku, tak jak pan prosił. Wynajmuje pokój z kuchnią w takim domu na Pogodnie. Swoje mieszkanie po rodzicach na Gorkiego wynajął jakimś ludziom. Sprowadza auta z za granicy i sprzedaje je, ale nie ma komisju, to detalista. Trzyma je pod domem, tym na Pogodnie. Kiedy sprzeda jeden, jedzie po następny, czasem pożycza lawetę od kolegi i przywozi dwa. Obecnie nie ma dziewczyny, sporo pije. Nie urzyna się w trupa, ale pije codziennie. Wieczorami ogląda telewizję, no i pije. Nigdzie nie wychodzi. Z nikim się nie spotyka. Tyle.

– Adres?

– Kozierowskiego dwadzieścia dziewięć „a”.

– Dzięki, Szczepan.

– Nie ma sprawy, panie Jurku. I jeszcze jedno, znalazłem fajny teren na Warszewie. Trzeba by pokombinować, bo sprawy własnościowe są lekko skomplikowane, ale to nic, z czym nie moglibyśmy sobie poradzić.

– Jesteś nieoceniony, chłopie. Tylko mi nigdzie nie ucieknij.

– Gdzie mi będzie tak dobrze jak u pana, panie Jurku?

– Dobra, jutro obgadamy to Warszewo. Jeszcze raz dzięki. Cześć.

* * *

Pojechał na Pogodno, żeby go zobaczyć. Chciał mu się przyjrzeć, chciał tylko sprawdzić, jak Adolf wygląda, jak się porusza, czy cokolwiek w jego zachowaniu wskazuje na to, że czuje się winny. Chciał na własne oczy przekonać się, jak wygląda morderca jego syna. Spojrzeć na niego inaczej, już z innej perspektywy, bo teraz już wiedział.

Właśnie zaczął realizować swój plan.

Wszedł po stromych schodkach brzydkiego, zaniedbanego domu i stanął pod drzwiami. Przycisk dzwonka wypadł z obudowy, więc wcisnął go ostrożnie, bojąc się, że kopnie go prąd. Kiedy właścicielka domu otworzyła mu drzwi, zaniemówił na chwilę.

– Słucham pana? – zapytała słabym głosem, a on patrzył w jej pobrużdżoną zmarszczkami twarz i oczy o zmęczonym, matowym spojrzeniu.

Byli praktycznie w tym samym wieku, trochę po pięćdziesiątce, choć ona wyglądała na jakieś siedemdziesiąt – bardzo zaniedbana, całkiem siwe i potargane włosy, i płaszcz, który pełnił chyba funkcję szlafroka. Ale to nie dlatego stracił na chwilę głos. To była matka Marka Bronisza. Spotykali się przelotnie te dziewięć lat temu, kiedy toczyła się sprawa strzelaniny. Połączyła ich strata; bolesna, niepojęta i nieodwracalna.

– Pani mnie nie poznaje, prawda? – zapytał cicho.

Pokręciła głową, z ręką mocno zaciśniętą na klamce.

– Jestem ojcem Jacka Sarneckiego, kolegi Marka z klasy. On też wtedy zginął...

Przez chwilę jej oczy błysnęły zrozumieniem, ale potem znów zgasły, jakby wszystko było jej obojętne. Nie mogła wiedzieć, że mieszka pod jednym dachem z mordercą swojego syna, a on zastanawiał się teraz, czy jej to powiedzieć. Nie. Nie teraz. Może za jakiś czas, kiedy będzie jej potrzebował. A może ta chwila nie nadejdzie. To mogłoby ją nawet dobić psychicznie, choć wyglądało na to, że i tak niewiele brakuje.

– Zastałem Mariusza? Podobno mieszka u pani? Chciałem go poprosić, żeby sprowadził mi auto – powiedział.

– Mariusz pojechał do Niemiec – odparła tym samym bezbarwnym głosem.

– Nie wie pani, kiedy wraca?

– Za kilka dni.

Spojrzał ponad jej ramieniem, w głąb ciemnego i ciasnego przedsionka, z którego docierał do niego niezbyt przyjemny zapach.

– To ja przyjdę za jakiś czas. – Zmusił się do lekkiego uśmiechu, chociaż nic to nie dało, bo twarz Broniszowej pozostała bez wyrazu, a spojrzenie puste.

Nie chciał zostawiać jej swojego numeru, żeby przekazała Adolfowi, bo podejrzewał, że by o tym zapomniała. Musiał tu po prostu wrócić. Kilka dni nie robiło mu różnicy, i tak zostało mu jeszcze trochę do zrobienia w domu.

* * *

Wrócił po paru dniach. To Adolf otworzył mu drzwi. Myślał, że jest gotowy na to, żeby spojrzeć mu w oczy, ale się mylił. Od rzucenia się na niego i uduszenia powstrzymała go tylko myśl, że nie warto. Że to, co dla niego szykował, będzie o wiele gorsze niż śmierć. Śmierć nie była rozwiązaniem, w każdym razie nie satysfakcjonującym.

– Dzień dobry, Adolf. – Zmusił się do uśmiechu, choć był wręcz odrętwiały od emocji.

Stec kończył właśnie jeść, przełknął to, co miał w ustach, i spojrzał na niego zdziwiony.

– O, dzień dobry – powiedział niewyraźnie. – Dawno się nie widzieliśmy.

Sarnecki nic nie mówił. Pogawędkę chciał ograniczyć do minimum. Tylko w niezbędnym zakresie.

– Sprowadzisz mi auto? – zapytał bez zbędnych wstępów.

Adolf pokiwał głową.

– Jasne. Co tylko pan chce. Wejdzie pan?

Sarnecki postąpił krok naprzód i przecisnął się obok Adolfa. Kiedy otarł się o niego, mimowolnie zadrżał, ale on tego nie zauważył. Słyszał, jak zamyka drzwi i mówi: „proszę na górę”. Powstrzymując grymas obrzydzenia z powodu przykrego zapachu brudu, który oblepiał pokryte linoleum schody i poręcz, wszedł na górę i stanął w małym i ciemnym korytarzyku. Kiedy Adolf otworzył jedno z drzwi, wpadło do

niego trochę światła, ale Sarnecki aż bał się przyglądać ścianom i podłodze.

Weszli do pokoju. Adolfowi wyraźnie nie przeszkadzały okoliczności, które wiele osób mogłyby trochę krępować. Pokój, w którym przyjmował Sarneckiego, był niezbyt porządny, na kaloryferze, który już przecież nie grzał, suszyły się elementy garderoby, przeważnie bielizny. Telewizor był włączony, choć bez dźwięku, na regałach starej meblościanki stały jedynie jakieś wazoniki, talerze i bateria butelek z alkoholem. Żadnych książek, czasopism ani osobistych akcentów. W kącie pod sufitem zauważył starą pajęczynę, która lekko falowała razem z ruchem zatechłego powietrza, ale zamiast pająka był na niej tylko kurz.

Sarnecki nie takiego Mariusza Steca zapamiętał.

Adolf żył jak nędzarz, ale wyglądał, jakby mu to nie przeszkadzało. Jakby mu nic nie przeszkadzało. Zmienił się. Z zadziornego, pełnego energii chłopaka przeobraził się w powolnego, pozbawionego wigoru faceta. Śmiałość, z jaką kiedyś patrzył w oczy każdemu, nie zważając na konwenanse, zniknęła: teraz przeważnie omijał go wzrokiem, patrząc na swoje ręce, cokolwiek robiły, jak gdyby każdą czynność, którą nimi wykonywał, musiał kontrolować wzrokiem. Nie wyglądał, jakby zachowywał się tak wyłącznie ze względu na to, kim Sarnecki był. On tak po prostu miał. Czy zmieniło go życie, czy wyrzuty sumienia? Jak w ogóle żył ze świadomością tego, co zrobił? Czy faktycznie, tak jak mówił Pajczyk, niczego nie pamiętał? To ostatnie i tak nie miało dla Sarneckiego żadnego znaczenia. Bo czy to cokolwiek zmieniało? Dla niego nie.

Sarneckiemu te pytania przelatywały przez głowę, ale na zewnątrz był tym samym gościem, którego Adolf i reszta jego paczki znali w liceum: szorstkim w obyciu, ale przychylnym, rozumiejącym szaleństwa młodości i w miarę tolerancyjnym, choć znającym granice, których nigdy ani Jackowi, ani jego kolegom w swoim domu nie pozwolił przekroczyć. Bogactwo nigdy go nie rozpieściło, choć był świadomy, że majątek zdobył dzięki określonym cechom charakteru.

I dlatego teraz siedział w zapyziałym fotelu, z nogą założoną na nogę i patrzył na Adolfa z tym swoim wyrozumiałym uśmiechem, choć w środku się gotował.

– Co jest nie tak z matką Fanty? – zapytał, wskazując niedbale drzwi za sobą.

Adolf wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Tu mówią na nią „wariatka”. Ale ona nie jest wariatką. Jej tylko na niczym nie zależy. Może oprócz kotów, bo karmi wszystkie okoliczne przybłędy.

– Myślisz, że to od tego, co się stało z Markiem? – Sarnecki niepostrzeżenie napiął mięśnie ud.

– Możliwe – mruknął Adolf. – Ale nie jestem pewien, bo mieszkam tu dopiero od roku. Nie wiem, kiedy tak zdziwniała.

– Jak ona ma na imię?

– Teresa.

– Uhm... Nie masz dziewczyny?

– Tak się złożyło, że chwilowo nie.

Sarnecki kiwnął głową i nabrał głęboko powietrza, starając się nie zwracać uwagi na zapach. Powoli przestawał go czuć.

– Dobra, pogadaliśmy, to teraz przejdźmy do interesów. Potrzebowałbym fajny wózek, Adolf – powiedział beztrąsko. – Nie będę brał bryki z salonu, bo to mi się nie opłaca. Chcę używkę, ale w dobrym stanie, z dobrym silnikiem, nie jakaś konkretna marka, ale raczej „niemiec”, najlepiej kombiak w dieslu. Mógłbyś mi coś takiego załatwić?

– Żaden problem – powiedział powoli Adolf. – Dla pana żaden złom, znajdziemy coś dobrego i niedrogiego. Zwykle zbieram kilka ofert swoimi kanałami, przedstawiam je klientowi na zdjęciach i jak się dogadujemy, biorę kasę i jadę po samochód. Potem na życzenie załatwiam wszystkie papiery: cło, przerejestrowanie i tak dalej. I mam prośbę: wolałbym, żeby mówił mi pan po imieniu, dobrze?

– Jasne, Mariusz, oczywiście. No to świetnie. Dasz radę przygotować mi to na za dwa tygodnie? A jak sprowadzisz mi coś fajnego, to pomyślę nad kilkoma następnymi, już do firmy, co ty na to?

– Może być. – Skrzywił się.

Może, kurwa, być? – zdziwił się w myślach Sarnecki. Proponował mu niezły biznes, jak na jego warunki, a on mówił „może być”? Teraz miał potwierdzenie, że w Adolfie naprawdę zaszła jakaś przemiana.

Podniósł się z fotela.

– Nie zabieram ci więcej czasu – powiedział, wychodząc z pokoju. – Zadzwoń, jak będziesz coś miał.

W domu rozebrał się do bielizny i wrzucił wszystko do pralki. Potem włożył kombinezon i zszedł do piwnicy. Zostało mu już niewiele pracy. Niedługo wszystko powinno być gotowe.

* * *

– Mam cztery propozycje. – Głos Adolfa sączący się z telefonu Sarneckiego prosto do jego ucha był beznamiętny, ale i tak powodował u Sarneckiego szybsze bicie serca. – Same sprawdzone i pewne autka. Dwa passaty, audica i golf w kombi. Żaden nie jest starszy niż trzy lata, w sumie nieduże przebiegi, bez żadnych numerów z przekręcaniem licznika. Pewniaki, specjalnie dla pana, po starej znajomości. Spotkamy się?

– Jasne. – Sarnecki poczuł, jak serce mu przyśpiesza. – Wpadnę wieczorkiem do ciebie, może być?

– Ja mogę przyjechać, jeśli pan woli.

– Cały dzień latam po mieście w interesach, ale wieczorem będę właśnie na Pogodnie, niedaleko ciebie, to zajadę. – Nie dał mu możliwości zaoponowania.

– Dobrze, ja powinienem być o dwudziestej pierwszej. Niech pan wpadnie, to panu pokażę, co mam.

– Jasne, będę, dzięki, Mariusz.

Rozłączył się i wziął głęboki oddech. Nic innego już się nie liczyło.

Był gotowy.

* * *

Pod domem Broniszowej był o dwudziestej. Miał nadzieję, że Adolf jeszcze nie przyjechał. Czekając, aż ktoś otworzy mu drzwi, macał się nerwowo po kieszeni, w której tkwiła fiolka. W drugiej ręce miał teczkę, a w niej resztę rzeczy potrzebnych mu do realizacji planu. Kiedy drzwi się otworzyły, odetchnął odrobinę: to była Broniszowa, a nie Adolf.

– Dzień dobry, pani... – Uświadomił sobie, że nie pamięta, jak matka Fanty ma na imię.

Przywołał na twarz uśmiech, ale to nie pomogło, bo jej twarz była taka sama jak poprzednio, bez cienia emocji, obojętna.

– Mariusza jeszcze nie ma – powiedziała, a on uspokoił się niemal całkowicie.

– Tak, wiem, przyjechałem trochę wcześniej, ale umawialiśmy się na wieczór. Pani wie, kim jestem? Pamięta mnie pani?

– Tak. – Znów głos robota.

– Mogę wejść? – zapytał łagodnie.

Zawahała się.

– Proszę mnie wpuścić, zaraz będzie padać, a Mariusz za chwilę wróci...

Na jej twarzy pojawił się wyraz nieufności, pierwszy objaw jakiegokolwiek uczucia. Wreszcie cofnęła się trochę i wpuściła Sarneckiego do środka.

Nic się nie zmieniło od czasu, kiedy tu był ostatnio. Ani zapach, ani wygląd. Broniszowa zaprowadziła go do pokoju Adolfa.

– Zrobi mi pani herbaty? – zapytał, kiedy stanęła na jego środku, najwyraźniej nie wiedząc, co dalej. – I napije się pani ze mną? Dla mnie poproszę taką samą, jaką pani pije, dobrze?

Naciskał bardzo delikatnie. Nie mógł być zbyt natarczywy, żeby jej nie zrazić, ale też musiał być dość stanowczy. Znów chwila zawahania, potem skinienie głową. Sarnecki obserwował ją. Od tego, czy zgodzi się na jego propozycję, zależała dalsza część planu. Nie wiedział, czego się spodziewać, ale okazało się, że spełniła jego prośbę bez słowa komentarza. Wyglądała przy tym tak, że Sarnecki miał niemal pewność, że gdyby poprosił ją o wyskoczenie przez okno, również by to zrobiła.

Herbata była ledwo ciepła i nie chciała się zaparzyć. Torebki puszczały różowe smugi, które kręciły się w wodzie i krzyżowały ze sobą, ale napar był wciąż zbyt słaby, by zabarwić się całkowicie.

– Czy mogę dostać trochę cukru? – zapytał Sarnecki, uśmiechając się.

Oby tylko nie stał gdzieś tutaj... – pomyślał i jego życzenie ziściło się, bo Broniszowa wstała i znów bez słowa wyszła z pokoju. Słyszał, jak jej kapcie szurają na schodach, więc szybko wyciągnął z kieszeni fiolkę

z generycznym preparatem flunitrazepamu, który w przeciwieństwie do oryginalnego był bezbarwny. Wsypał go do jej szklanki i zamieszał letni płyn palcem. Kiedy Broniszowa wróciła z cukiernicą, siedział już na swoim fotelu. Zabrał jej metalowe naczynie z ręki, posłodził swoją lurę i upił łyk.

– Malinowa – powiedział z uznaniem. – Taką lubię.

Patrzył, jak kobieta pije swoją herbatę drobnymi łydkami, przytykając usta do samego skraju szklanki. Nie odkładała jej, tylko siorbała bez przerwy, jakby nie piła od kilku godzin i robiła to automatycznie, jak wszystko inne. Wypiła połowę, a kiedy skończyła, odstawiła szklankę na stół i zapadła się w swoim fotelu, nic nie mówiąc.

Sarnecki nie podejmował rozmowy. Czekał. Miał nadzieję, że środek nie spowoduje u niej jakichś komplikacji z sercem. Musiał to ryzyko wziąć na siebie, bo nie mógł załatwić tego w inny sposób. Przecież nie zrobi tego na ulicy? I tak miał szczęście, że Broniszowa była w takim stanie, bo to uprościło wiele rzeczy.

Zerknął na zegarek. Dwudziesta siedemnaście. Miał nadzieję, że Adolf będzie punktualny, wyświadczy mu tę przysługę i nie wróci zbyt wcześnie.

Broniszowa zaczęła mrugać powiekami, a potem je pocierać. Jej głowa pochylała się do przodu, a potem prostowała; kobieta wyglądała jak dziecko walczące z sennością.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

Pokiwała głową, ale ten ruch był nieskoordynowany. Podniosła lekko rękę, ale ta zaraz opadła na podłokietnik i kilkanaście sekund później Broniszowa zasnęła. Sarnecki odczekał minutę, podszedł do niej i delikatnie dmuchnął jej w czoło. Zero reakcji. Wyprostował się i podszedł do okna. Stał przy nim przez jakiś czas, obserwując ścieżkę. Przeszła nią kobieta z psem, bokserem, potem przejechał samochód. I nagle pod furtką pojawił się Adolf. Była za dwie minuty dwudziesta pierwsza.

Sarnecki odskoczył od okna. Sprawdził, czy Broniszowa wciąż śpi, i uspokojony zszedł na dół, już na schodach słysząc chrobot klucza w zamku. Spotkali się w przedsionku. Adolf był zdziwiony widokiem Sarneckiego.

– Cześć, Mariusz, byłem chwilę wcześniej i matka Fanty mnie wpuściła. Zasnęła w fotelu, wiesz? Po prostu siedziała i nagle zasnęła...

– Sarnecki pokręcił ze zdziwieniem głową.

– To jej się często zdarza. Z nią nie jest najlepiej. – Adolf westchnął. – Dobra chodźmy na górę, pokażę, co mam...

Poszedł pierwszy. Sarnecki patrzył za nim i czuł, jak krew tętni mu w skroniach. Słyszał jej łomot w głowie. Wbrew temu, co sądziło o nim wielu ludzi, nie był bezdusznym, wypranym z uczuć człowiekiem.

Był tylko twardy i nigdy nie pozwalał sobie na to, by je komukolwiek pokazać.

Kiedy weszli do pokoju, minął Adolfa i podszedł do swojej teczki. Otworzył ją szybko i ze szczelnego, foliowego woreczka wyciągnął nasączony chloroformem spory kawałek materiału.

Adolf wszedł do pokoju za nim, zerknął na siedzącą w fotelu drzemającą Broniszową i skrzywił się.

– Jezu, co to za zapach? – sapnął. – Znowu coś przytargała z miasta. To się pogłębia, wie pan? Już trochę ciężko tu wytrzymać, będę musiał jednak pomyśleć o zmia...

– Wiem wszystko, Adolf – przerwał mu nagle Sarnecki, odwracając się w jego stronę.

W ręku trzymał już wilgotny materiał.

Adolf spojrzał na niego lekko zdziwiony, zastanawiając się, o co chodzi Sarneckiemu i czy kontynuować wątek.

– Panie Jurku, ja pana prosiłem, żeby mówił mi pan...

– Wiem, że to ty zabiłeś ich wszystkich, tam na polanie. To ty zabiłeś mi syna, skurwielu...

Sarnecki zobaczył, jak Adolf blednie i cofa się lekko w stronę drzwi.

– To nieprawda... – wykrztusił. – To niemożliwe...

Skoczył w jego stronę i zanim Adolf się zorientował, zarzucił mu szmatę na głowę. Wstrzymując oddech, owinał mu ją dookoła niej i mocno przycisnął w okolicy ust i nosa. Adolf wierzgał i szarpał się, Sarnecki czuł na dłoni ciepło jego spazmatycznego oddechu, ale nie odpuszczał. Ruchy Adolfa stopniowo słabły, nogi kopały coraz wolniej, aż wreszcie całkiem przestały się ruszać i jego ciało zwiotczało w ramionach Sarneckiego.

Położył go na podłodze i podszedł do Broniszowej. Z lekko przechyloną głową wciąż spała, posapując cicho przez nos. Sprawdził jej puls, był miarowy i spokojny, tak jak oddech. Z teczki wyciągnął sznurek i skrępował nim Adolfa, przywiązując mu ręce do tułowia, a potem zszedł na dół, otworzył od środka domu drzwi od pustego garażu. Poszedł po samochód, zaparkowany na ulicy kilkanaście metrów dalej, i wjechał do garażu tyłem, na tyle, na ile pozwalała jego długość, przewidziana chyba wyłącznie na jakieś małoditrazowe autko. Kilka minut później Adolf wylądował w bagażniku. Sarnecki pozamykał wszystko, a na koniec podszedł do fotela, na którym spała Broniszowa, i spróbował ją obudzić. Potrząsnął delikatnie jej ramię. Westchnęła i otworzyła na chwilę powieki, wodząc po pokoju nieobecny spojrzeniem.

– Proszę pani, my wychodzimy.

Nie odpowiedziała, tylko znowu zamknęła oczy i zasnęła, więc zostawił ją w tym fotelu i zbiegł na dół, przeskakując co drugi schodek. Drzwi wejściowe tylko zatrzaskał, chwilę później siedział już w swoim mercedesie, usiłując uspokoić oddech.

Droga do domu na Traugutta zajęła mu dosłownie kilka minut. Tam powtórzył procedurę z transportem Adolfa, tylko w drugą stronę. Kiedy spocony jak mysz leżał obok niego na podłodze korytarzyka, usiłując opanować drżenie mięśni, nagle i niespodziewanie roześmiał się głośno.

Nie robił tego prawie dziesięć lat. Teraz wreszcie mógł sobie na to pozwolić. Chociaż ten jeden raz.

* * *

Stopy nieprzytomnego Adolfa tłukły w drewniane stopnie schodów do piwnicy. Sarnecki ściągał go w dół jak worek ziemniaków, trzymając pod pachy i łokciami odbijając jego lecącą na boki głowę. Kiedy byli już w piwnicy, Sarnecki położył bezwładne ciało na posadzce i otworzył drzwi, metalowe, o wysokich parametrach przeciwpożarowych. Za nimi były następne, też stalowe, ale już zwykłe, za to bardzo ciężkie. Dalej znajdował się wąski korytarzyk i jeszcze jedne drzwi, tym razem z zamkiem zwalnianym kodem wbijanym na małej klawiaturze. Kiedy Sarnecki otworzył również te drzwi, wrócił po Adolfa i zataszczył go do

środką pomieszczenia, które podzielone było na dwie części. Jedną stanowiło coś na kształt przedsionka. Był w nim fotel i mała szafka. Ze ściany wystawał kran z podłączonym do niego gumowym węzłem. W ścianie naprzeciwko znajdowało się duże okno z pleksiglasu, przez które widać było, co jest za nią.

Komora.

Mierzyła jakieś trzy na trzy metry, była dość ciemna i nie miała okien. Tuż pod stropem znajdowały się lampa zabezpieczona metalową siateczką oraz zakratowany otwór wentylacyjny. Żarówka dawała nikłe światło, było go ledwie tyle, by nie potknąć się o łóżko ani metalowy sedes czy wiszącą na ścianie umywalkę. Innych mebli w pomieszczeniu nie było. W rogu pomieszczenia znajdował się odpływ, ale ze ściany nie wystawały ani kurki, ani słuchawka prysznicowa. W drzwiach prowadzących do Komory osadzona była szuflada, wystawiona teraz do przedsionka.

Sarnecki z trudem zaciągnął Adolfa do Komory i włożył jego nogi w dwie szerokie rzemienne pętle z klamrami wystające ze ściany, tej oddzielającej Komorę od przedsionka. Zostawił go leżącego na posadzce, stanął nad nim i poklepał mocno po policzkach. Kiedy Adolf otworzył oczy, poczekał, aż jego wzrok się wyostrzy i zrobi trochę bardziej przytomny.

– Zanim zdejmę ci knebel, chcę, żebyś wysłuchał, co mam ci do powiedzenia. – Pochylił się nad nim. – To będzie dość długa przemowa, ale wysłuchaj jej uważnie. A potem możesz sobie wrzeszczeć, ile chcesz. To jest Komora. Nikt nie wie o jej istnieniu. Przygotowywałem ją dwa miesiące i nawet jeśli jakimś cudem obezwładnisz mnie albo nawet zabijesz i wydostaniesz się z niej, to układ wejściowy jest tak skonstruowany, że utkniesz w nim i umrzesz z głodu. Nikt cię nie usłyszy. To jest twój nowy dom, skurwysynu, w którym spędzisz resztę życia. Być może będziesz próbował je sobie skrócić, ale wszystko jest tak urządzone, żeby ci to uniemożliwić. Nie dostaniesz się do kabla, żeby porazić się prądem, a nawet jeśli, to są odpowiednie zabezpieczenia różnicowoprądowe. Umywalka i sracz są ze stali, więc nie zbijesz ich, żeby ostrym kawałkiem podciąć sobie żyły. Łóżko jest przykręcone do podłogi i bardzo niskie, więc nie powieszysz się na ubraniu na jego ramie.

Nie włożysz nigdzie głowy, żeby skrócić sobie kark. Ściany są wyłożone miękkim tworzywem, nie próbuj go zerwać, bo to nic nie da, pod spodem jest kolejne, jeszcze trwalsze. Przy okazji wygłuszają to pomieszczenie całkowicie. Rzucanie się głową o ścianę nic ci nie da. Będzie tylko bolało. To tyle wyjaśnień, gdybyś jednak próbował coś sobie zrobić. Oczywiście masz pełne prawo próbować, jedyne, jakie ci daję, ale pamiętaj: tu nie da się tego zrobić szybko. W razie próby samobójczej będziesz cierpieć, a jednocześnie bez gwarancji, że ci się uda i faktycznie ze sobą skończysz. Masz tutaj żyć do naturalnej śmierci i nie waż się umrzeć za szybko, skurwielu. Śmierć byłaby dla ciebie za dobra, wiesz? Śmierć to wyzwolenie. Nie będziesz tu miał niczego: ani książek, ani telewizora, ani radia. Będziesz miał mnóstwo czasu na przemyślenia. Będę cię karmił trzy razy dziennie, posiłki będą dobre i kaloryczne, i to wszystko, co ode mnie dostaniesz. Będziesz je jadł na papierowych talerzykach i plastikowymi sztućcami, żeby nie przyszło ci nic do głowy. I tak będziesz je zwracał po posiłku. Będziemy się komunikować przez okienko, mam też podgląd z kamerki, jest głośnik. Kiedy sytuacja będzie wymagała mojego wejścia do Komory, żebym mógł na przykład posprzątać, poinformuję cię o tym, a ty podejdziesz do tych wystających ze ściany pętli, w których właśnie tkwisz, i wsuniesz w nie ręce i nogi, dokładnie tak, jak masz je teraz. Ja wtedy zaciągnę je od swojej, zewnętrznej strony i poluzuję dopiero, gdy zrobię swoje i wyjdę z Komory. W razie oporu do środka zostanie wtłoczony gaz usypiający, ja załatwię, co trzeba, a ty przez następne trzy dni nie dostaniesz jeść. Każda próba niesubordynacji, na przykład wymazania ścian gównem i tym podobne karygodne zachowania, będą karane trzydniowym postem i uwierz mi, spróbujesz najwyżej dwa razy. Gdybyś próbował umrzeć z głodu, będziesz karmiony siłą. Prysznic, czyli polewanie węzłem, raz w tygodniu i radzę ci zachowywać higienę, nie będzie odwszawiania ani maści na grzyby, jeśli z własnej winy je sobie wyhodujesz. A teraz zdejmę ci knebel. Możesz krzyczeć. Możesz krzyczeć do woli i tak nikt cię nie usłyszy, Adolf. Nikt i nigdy.

Adolf nie krzyczał. Był zbyt oszołomiony. Wyglądał jak naćpany, wciąż miał trochę błędny wzrok i ślinił się. Sarnecki nie wiedział, czy to efekt działania chloroformu, czy szoku. Wyszedł na zewnątrz Komory

i poluzował pętle. Kostki nóg tkwiły jeszcze przez chwilę w luźnych rzemieniach. Patrzył, jak Adolf niezgrabnie się z nich wyzwala i zwija w kłębek. Zostawił go tak, skulonego na boku w pozycji embrionalnej.

Na górze nalał sobie whisky. Wychylił ją jednym haustem, a potem odsunął szklankę i wziął do ręki butelkę. Trzymał ją na kolanach, mocno ściskając za szyjkę, i patrzył niewidzącym wzrokiem w ścianę.

Nie był z siebie zadowolony. Nie czuł satysfakcji, jeszcze nie. Za dużo nerwów go to ostatnio kosztowało, ale był pewien, że za jakiś czas, zapewne już niedługo, będzie się mógł rozkoszować... Zemstą?

Nie.

Nie zemstą.

Sprawiedliwością.

2006

– Adolf? Adolf, śpisz? Adolf... – Głos Sarneckiego sączył się przez szparę na posiłki. – Słyszysz mnie? Przyszedłem z tobą pogadać. To już nie ma sensu... Nie miałeś tak cierpieć, nie w ten sposób... Rozumiesz, że nie mogę wezwać lekarza? Rozumiesz mnie, prawda? Nie wiem, co zrobić. Po raz pierwszy w życiu nie wiem, co zrobić... Ja... Nie mogę dać ci więcej morfiny, nie mam już i nie wiem, czy dam radę zorganizować... Wytrzymaj jeszcze trochę, dobra? Zaraz wrócę; pójdę na chwilę na górę i wrócę do ciebie, zrobimy tak, żebyś już nie cierpiał, dobra? Nie będę teraz do ciebie wchodził, pokiwaj głową, że mnie zrozumiałeś, tak? Zrozumiałeś? Dobrze. Jeszcze chwila i będzie dobrze, wszystko będzie dobrze, po prostu postaraj się wytrzymać jeszcze kilka minut... Daj mi tylko kilka minut... Zaraz wrócę... Obiecuję...

Kiedy Sarnecki wrócił, Adolf wciąż leżał na łóżku w tej samej pozycji. Zwinięty w kłębek i obejmując się wpół, jęczał cicho wpatrzony zamglonym z bólu wzrokiem w ścianę tuż przed sobą. Nie zareagował, kiedy usłyszał brzęk zamka. Smród rzygowin snuł się między ścianami, wentylator nie był w stanie wyciągnąć wystarczającej ilości powietrza, by choć trochę zelżał. Adolf nie miał już nawet tyle siły, by dotrzeć do miski ustępowej. Niepowstrzymane torsje, których efektem był już wyłącznie bolesny skurcz wszystkich mięśni, wymęczyły go niemal na śmierć. I z pewnością ją przyspieszały.

Adolf umierał.

Gdy Sarnecki wszedł do środka, lekko odwrócił głowę, nie zmieniając pozycji, i na jego twarz padła odrobina światła. Była blada i koszmarnie wychudzona, zapadnięte policzki porastała skołtuniona broda, a niezdrowo błyszczące oczy niemal całkowicie zapadły się w oczodołach. Miał na sobie dres, wiszący na nim jak łachmany na strachu na wróble.

Kiedy zobaczył, co Sarnecki trzyma w ręku, zaniósł się płaczem. To był płacz ulgi.

– Ja nie chciałem, rozumiesz? Nie byłem wtedy sobą. Ja nawet tego nie pamiętam – szepnął i ten szept kosztował go zbyt wiele sił. – Nic nie pamiętam.

A potem umilkł i tylko z wykręconą głową wpatrywał się w lśniące ostrze i w palce jego kata, zaciśnięte mocno na stylisku. Ta chwila trwała w nieskończoność i obaj mieli to samo wrażenie. Wreszcie Adolf szepnął:

– Już.

Strużka śliny pociekła z kącika ust, a twarz odwróciła w stronę ściany, znikając w cieniu.

– Chcesz się pomodlić? – zapytał nieśmiało Sarnecki.

– Nie. Po prostu zrób to szybko...

Siekiera uniosła się, zawisała na moment w powietrzu i opadła, skierowana obuchem w dół. Rozległo się obrzydliwe chrupnięcie, kiedy kości czaszki pękły, wgniecione w mózg siłą ciosu. Na ścianę i materac trysnęła krew, a potem zapadła absolutna cisza.

Sarnecki odrzucił siekierę, opadł na kolana, pochylił się, opierając gorące czoło o cementową posadzkę, i zaczął płakać. Wyglądał jak modlący się muzułmanin, tylko jego ramiona trzęsły się pod wpływem szlochów. Potem wznosił mokre od łez oczy i wpatrzony w strop odetchnął głęboko zatechłym i śmierdzącym powietrzem.

Koniec. Musiał tylko posprzątać, zapomnieć i żyć dalej.

Z całą pewnością wiedział jedno: łatwo przyjdzie mu wyłącznie to pierwsze.

2020

– Kiedy pan zmienił inskrypcję na pomniku? – zapytał Rędzia, gdy wrócili na górę.

Sarnecki pochylił głowę. Podbródek oparł się o zapadniętą pierś.

– W dwa tysiące trzecim, kiedy dowiedziałem się od Brody, a właściwie od Pajczyka, jak było naprawdę. Pojechałem do Śmielina jak co roku w maju, ale tym razem z dziesięciokilogramowym młotem. Ukruszyłem narożnik starego pomnika, powiedziałem we wsi, że ktoś go zniszczył i że przywiozę nowy. Ten żołnierz też zasługiwał na upamiętnienie, nawet jeśli nikt nie wiedział, o kogo dokładnie chodzi. Ja wiedziałem. – Popukał się w pierś. – To było ważne dla mnie, po prostu, więc załatwiłem tę sprawę porządnie. A w lipcu byłem gotowy do przyjęcia Adolfa pod swój dach. Więziłem go trzy lata. Miał wszystko, co było mu potrzebne do życia. Toaletę i łóżko. Niczego więcej nie potrzebował, żeby przez każdą minutę reszty swojego zasranego życia myśleć nad tym, co zrobił. Ani książek, ani gazet, ani telewizora czy internetu, które miałyby w więzieniu. Dostawał normalne, zbilansowane jedzenie, witaminy, suplementy. Mógł ćwiczyć, w ograniczonym stopniu oczywiście; pompki, brzuszki, jeśli chciał. Ale nie chciał. Nigdy nie zamierzałem go torturować, nie o to chodziło. Chodziło o namysł i karę adekwatną do winy. Bo śmierć nie jest karą, nie jest rozwiązaniem. Zabicie go dałoby mi tylko chwilową satysfakcję. A tak patrzyłem na niego codziennie i cieszyłem się, że sprawiedliwość jednak istnieje. Codziennie zadawałem mu to samo pytanie: czy żałuje, i wie pan co? Odpowiedź każdego dnia była inna. A czasem nie było żadnej. Ale żeby nie było za pięknie, to było też wyrzeczenie dla mnie...

– Och, naprawdę? Jest mi okropnie przykro z tego powodu, wie pan?

Sarnecki uśmiechnął się półgębkiem.

– Nie mogłem zostawić go samego dłużej niż na kilka dni. Wyjazdy na wakacje czy w interesach były problemem, zawsze denerwowałem się, że coś zmaluje, może ucieknie, a może jakoś spróbuje popełnić samobójstwo. Mimo zabezpieczeń. Miałem też kontrolę nad jego sprawami osobistymi, przynajmniej częściowo...

– Mieszkanie po rodzicach, tak?

– Tak. Ostatecznie je sprzedałem, bo chciałem pozbyć się problemu. Odwlekanie spotkania najemcy z właścicielem w nieskończoność stałoby się w końcu podejrzanym, prawda? Kiedy ci ludzie złożyli propozycję kupna, nawet się ucieszyłem. To była okazja. Zleciłem pewnemu człowiekowi, któremu ufałem niemal bez zastrzeżeń, sfalszowanie pełnomocnictwa i apostilu, potem kazałem mu jechać na Jersey, żeby stamtąd wysłał je do notariusza. I to on stawił się na akcie.

– To pana dawny pracownik, Szczepan Pabiś, tak?

– On nie ma nic wspólnego z tym, co się stało z Adolfem. Nie miał pojęcia, że go przetrzymuję. I nie miał pojęcia, że go... zabiłem.

– Ale popełnił inne przestępstwo. Fałszerstwo, poświadczenie nieprawdy...

– Zrobił to dla mnie.

– Dobrze, proszę dalej.

– Podałem do transakcji numer konta Adolfa, a nie swój, żeby nikt mnie z tym nie łączył, ale nie chodziło o pieniądze: nawet nie zamierzałem próbować ich jakoś podjąć. Kiedy transakcja doszła do skutku, uspokoiłem się trochę. I tak dalej to wszystko trwało. W dwa tysiące szóstym Adolf zachorował. Nie mógł jeść, miał bóle brzucha i pleców, potem dostał żółtaczkę. Tak go bolało, że aż mdlał. Myślałem na początku, że to jakaś kamica, ale podpytałem znajomych lekarzy. Wszystko wskazywało na to, że ma raka, najprawdopodobniej trzustki. Oczywiście nie mogłem zawołać do niego lekarza, załatwiałem tylko mocne środki przeciwbólowe, potem nawet opioidy. A kiedy i to przestało pomagać, jego wycie było słyhać nawet na górze. Musiałem podjąć decyzję. Pewnego wieczoru napiłem się porządnie, ale nie tak, żeby nie mieć nad sobą kontroli. – W oczach Sarneckiego pojawiły się łzy. – Zszedłem na dół i zabiłem go. Siekierą. Nie miałem już morfiny, żeby dać mu złoty strzał, moje źródło wyczerpało się, inne sposoby były jeszcze

mniej legalne. Nie chciałem dawać mu koktajlu z leków, bo nie miałem pewności, że się tylko nie podtruje i nie będzie cierpieł jeszcze bardziej. Nie tak miał cierpieć, nie fizycznie, nie jestem potworem, panie komisarzu. To był jeden mocny cios, on nawet podstawił mi głowę... Pan się uśmiecha, ale tak: chciał, żebym go zabił. Był w takim stanie, że nawet gdybym pozwolił mu zrobić to sobie samemu, nie dałby rady. I już. Pochowałem go w starym schronie, po drugiej stronie torów, nawet nie musiałem wychodzić na ulicę, tylko przez ogród, po skarpie, w środku nocy. Otrułem te kundle biegające za siatką, przeciąłem ją, ukryłem ciało, wszystko zajęło mi ledwie godzinę.

– Czemu nie pochował go pan w ogrodzie? Byłoby bezpieczniej.

– Nie chciałem... Nie chciałem go mieć u siebie. Wolałem już ten loch, w którym bawiłem się jako dzieciak. Też był bezpieczny, poza tym usunąłem z jego ciała i ubrania wszystko, co mogło wiązać go ze mną.

– Wie pan, kiedy razem z panią prokurator oglądaliśmy miejsce odkrycia zwłok i gdybaliśmy na temat ich lokalizacji, pokazywaliśmy sobie pański dom. Żartowaliśmy sobie o roli przypadku w życiu.

– Sam pan widzi, życie pisze najlepsze scenariusze. Albo najgorsze... Potem rozebrałem Komorę. Usunąłem wszystko, pozbyłem się tego i Komora znów zmieniła się w zwykłą piwnicę... – Sarnecki głęboko odetchnął. – To co, formalnie przyznaję się do zabójstwa Mariusza Steca, którego zabiłem dwunastego lipca dwa tysiące...

– Dlaczego?

– Przecież panu opowiedziałem?

– Dlaczego pan się przyznał? Dlaczego pan nie walczy? Numer kontaktowy, który podał pan tamtym ludziom wynajmującym mieszkanie Adolfa, był nawet nie na pana, tylko na pana firmę. Miał pan pewnie kilka telefonów firmowych, mógł pan twierdzić, że to któryś z pracowników albo że go komuś udostępnił. To tylko poszlaka.

Sarnecki patrzył przez chwilę na Rędię. Dolna warga wisiała mu, odsłaniając zęby, oddychał ciężko: w ogóle nie wyglądał na twardego faceta, który może wszystko. Ludzi pokroju Sarneckiego nawet starość dotyka inaczej niż innych, maluczkich: oni potrafią się jej oprzeć bardzo długo, nie wierząc do końca, że podlegają takim samym prawom jak inni. Wyglądają lepiej, czują się lepiej, znoszą lepiej jej niewygodę, nie

pozwalając przejąć jej nad sobą kontroli, tak jak nie pozwalali wcześniej zrobić tego nikomu. Ale przychodzi w końcu taki czas, że nie ma wyjścia. I taki właśnie czas nadszedł dla Sarneckiego.

– Niech pan na mnie spojrzysz – powiedział. – Nie mam nogi, choruję na cukrzycę i zaraz pewnie stracę wzrok. Od leków siada mi wątroba, a biorę ich tyle, że mała apteka mogłaby żyć tylko ze mnie. Nic dobrego mnie już nie czeka w życiu. Zawsze dbałem o rzeczy doczesne. Nie żebym nagle uwierzył w Boga, ale w pewnym wieku i sytuacji okazuje się, że wystarczy. Że nowe zabawki już nie cieszą, bo nie da się nimi bawić. I że trzeba umieć powiedzieć sobie dość. I posprzątać. Właśnie to robię. Sprzątam. Bo to koniec, może dopiero początek tego końca, ale jednak. I wypada wszystko wyjaśnić.

– To skoro tak dobrze panu idzie, to proszę powiedzieć, co się stało z Saganowskim i Kisiel. I komu zlecił pan porwanie i zabójstwo Pajczyka. Nieudane, na szczęście.

Sarnecki namyślał się przez chwilę, marszcząc brwi.

– Nie rozumiem, o czym pan mówi. Nie mam z tym nic wspólnego.

– Przyszli do pana po pieniądze. Szantażowali pana.

– Chyba mnie pan źle zrozumiał: to było siedemnaście lat temu, Kisiel był sam i nie chciał pieniędzy, ja mu je dałem z własnej woli.

– Nie mówię o tym. Mam na myśli ostatnie dni. Kiedy dowiedzieli się ode mnie, że znaleziono ciało Adolfa, domyślili się, że to pan go zabił, i przyszli pana szantażować. Dopóki nie było ciała, nie mieli powodu, haka, ale potem...

– Przykro mi. Nikogo u mnie nie było. Nie mam nic wspólnego z zaginięciem tych dwóch ani z porwaniem Pajczyka i usiłowaniu jego zabójstwa. Powtarzam: nie mam pojęcia, o czym pan mówi, panie komisarzu.

Rędzia patrzył na Sarneckiego. Wyglądało na to, że jest szczery, ale wygląd nie miał tu nic do rzeczy. Skoro jednak przyznał się do zabójstwa Adolfa, to nie miał praktycznie nic do stracenia. Najmniejszy możliwy wyrok za zabójstwo, nawet częściowo usprawiedliwione okolicznościami, w praktyce oznaczał dla Sarneckiego dożywocie. Skazanie za dwa dodatkowe niczego nie zmieniało i on musiał być tego świadomy. Poza tym, jak sam przyznał przed chwilą, sprzątał. Nie był z gatunku tych

niedbałych, którzy odkurzając pokój, unikają włożenia rury ze szczotką pod łóżko.

– Dobrze, informuję pana, że zostanie pan zatrzymany.

– Da mi pan trochę czasu?

– Na co?

– Na przygotowanie się. Nie, nie musi się pan martwić, nie odwałę panu żadnego numeru. Nie zamierzam uciekać, popełniać samobójstwa ani nic z tych rzeczy.

– Dlaczego miałbym panu wierzyć?

– Bo dam panu słowo. – Głos Sarneckiego brzmiał śmiertelnie poważnie. – Swoje słowo. Całe życie uważałem dwie rzeczy za cenniejsze niż pieniądze. Jedną był mój syn. Drugą moje słowo. Było dla mnie święte i nigdy go nie złamałem, nawet jeśli dotrzymanie go miało mnie słono kosztować. Tak mnie wychował ojciec. Twoje słowo to ty, mawiał, więc jeśli twoje słowo jest gównem warte, to ty też jesteś gównem warty. Kiedy dowiedziałem się, kto jest winien śmierci mojego dziecka, przysiągłem sobie, że go ukarzę. Dotrzymałem słowa i zapłacę za to. Tyle mam panu do powiedzenia.

– Nie pochwalam tego, co zrobił pan Adolfowi – powiedział Rędzia. – Ale w jakiś sposób pana rozumiem. Próbuję zrozumieć. Dlatego dam panu ten czas. Wrócę z formalnym nakazem zatrzymania, potem zostanie pan aresztowany, chyba że sąd uzna inaczej. Będzie pan chciał, żeby był przy tym pański adwokat?

– Nie ma potrzeby. Podpiszę wszystko. Nie chcę specjalnego traktowania ze względu na stan zdrowia. Proszę tylko o te kilka godzin.

– Dobrze, dostanie je pan. – Rędzia wstał. – Wrócę jutro, proszę się przygotować.

– Tak zrobię. – Sarnecki pochylił głowę. – Będę gotowy od samego rana. Skończmy to wreszcie...

* * *

Rędzia jechał do Agnieszki do domu. Był wkurwiony. Na Pajczyka. Znów go okłamał. Nie miało to wpływu na winę Sarneckiego, bezsporną

mimo pewnych okoliczności, które mogły działać na jego korzyść. Ale nie było ich wiele.

Zrobiło mu się żal starego człowieka, złamanego tragedią sprzed lat, tragedią, która naznaczyła jego życie cierpieniem. Zastanawiał się, jak to jest wstawać codziennie rano z myślą, że własnego dziecka nie ma już wśród żywych, a potem iść do pracy, spotykać się z ludźmi i robić różne inne rzeczy służące pomnażaniu majątku, którego i tak nie ma komu zostawić. Horror.

Rędzia był świadom, że zachował się nieprofesjonalnie i wbrew wszelki regułom. Powinien zatrzymać Sarneckiego od razu, na miejscu. To był chyba ten moment, w którym nadszedł czas, żeby zastanowić się, czy dalej powinien być policjantem. Złamał regulamin i prawo. Pozwolił, żeby serce wzięło górę nad rozumem. Nie mógł mieć pewności, że Sarnecki nie wsiądzie w samochód i w ramach „załatwiania spraw” nie pojedzie zabić kogoś jeszcze. Owszem, było to mało prawdopodobne, ale jednak i takie ryzyko musiał brać pod uwagę. Wierzył Sarneckiemu, w jego skruchę, czy może raczej chęć posprzątania, jak się wyraził. Wiedział również, że na taki gest stać niewielu ludzi, choć trzeba było też przyznać, że stało się to dość późno, praktycznie u kresu życia. Ale to był argument przemawiający na korzyść Sarneckiego i dlatego Rędzia dał mu czas.

Było jednak coś jeszcze. Cinek i Broda. Sarnecki twierdził, że nie ma nic wspólnego z ich zniknięciem. Może nie powinni z Agnieszką zakładać, że obaj nie żyją? Może tylko zniknęli i coś kombinują? A jeśli tak, to razem czy osobno? Czy Broda tej forsy, o której wspomniał Kłosiewiczowi, nie chciał wydebić od Cinka, mimo że ten nie był jakimś krezusem? A jeśli jednak działali razem, to może właśnie oni porwali Pajczyka, żeby go zabić albo nastraszyć? Choć wreszcie wyjaśniła się sprawa zabójstwa Adolfa, wciąż brakowało odpowiedzi na kilka ważnych pytań, nierozzerwalnie z nim związanych. Miał nadzieję, że Pajczyk nie ma już w zanadrzu żadnych niespodzianek.

Zatrzymał się pod kamienicą, w której mieszkała Agnieszka. Drzwi na klatkę były otwarte, więc wszedł do środka i pobiegł na drugie piętro. Kiedy mu otworzyła, zobaczył, że musiała dopiero wyjść spod prysznic, bo miała wilgotne włosy, a na sobie czarny, satynowy szlafrok.

– Hej. – Poprawiła okulary, lekko zdziwiona jego widokiem.

– Wiem już wszystko – oznajmił. – Mogę wejść? Będę grzeczny, obiecuję. Podtrzymuję wszystko, co powiedziałem rano...

Wpuściła go do środka z półuśmiechem na ustach. Mówił prawdę, zamierzał być grzeczny. Kiedy zrelacjonował jej, co naprawdę stało się na polanie, uwierzyła, że tym razem Rędzi nie w głowie te rzeczy. Ale nie powiedział jej wszystkiego. Nie od razu.

Usiadła na kanapie z podkulonymi nogami i przetrawiała informacje, a komisarz przyglądał się w milczeniu, jak Agnieszka nieświadomie wpatruje się w pomalowane na ciemnoczerwono paznokcie swoich stóp.

– Jak to możliwe? – zapytała nagle, podnosząc głowę.

– Co?

– Że Cinek i Broda potwierdzili wtedy te zeznania Adolfa i Pajczyka? Oboje czytaliśmy te protokoły z przesłuchań w Śmielinie. Może ja coś źle zrozumiałam?

– Niewiele z tych ich zeznań wynika. Mówili, że mało widzieli.

– Ale padały słowa o walce Adolfa z żołnierzem.

– Walka była, tylko że w drugą stronę. Ten dezertter musiał mieć już wtedy w sobie jedną kulę. To Adolf był agresorem. Nie bohaterem.

– No tak, ale oni obaj zinterpretowali to jednoznacznie i tak samo. O ile pamiętam, w tym całym chaosie w zeznaniach to akurat było spójne. Jakim cudem?

– Pytania często sugerowały odpowiedź, zauważyłaś?

– To nie tylko z tego powodu.

– Pajczyk też im namieszał w głowach. To głównie jego zasługa. Krętacz jakich mało, spokojnie mógłby iść w ogólnopolską politykę, a nie pływać w tym naszym stawie. On im to wdrukował. Trzeba przyznać, że obietnicy danej Adolfowi dotrzymał. Przynajmniej przez te dziewięć lat.

– Patrz, jaki honorowy. I koniec końców, to jednak on okazał się bohaterem. Niejednoznaczny, ale w sumie bohaterem...

Rędzia milczał.

– Nie spodziewałbyś się, co? – zapytała.

– Nie – przyznał. – Wciąż nie mogę rozgryźć tego faceta. Raz zachowuje się jak tchórz, raz jak bohater. W szkole był nijaki i przezroczysty, w wojsku zmienił się niemal w twardziela. A Adolf na

odwrót: z przywódcy w mameję. Jakby się zamienili duszami. A teraz Pajczyk znów zachowuje się dziwnie, raz się boi, a raz lekceważy ryzyko. To jest jakies schizofreniczne. Może on ma coś z głową? Jakaś choroba dwubiegunowa czy co?

Agnieszka milczała i Rędzia stwierdził, że już czas powiedzieć jej resztę.

– To, co ci zaraz powiem, powinno zostać między nami. – Był śmiertelnie poważny.

Stawiał swoją karierę na szali. Jeśli pomyli się co do Agnieszki, będzie miał przejebane. Ale inaczej nie dało się tego załatwić: nie mógł jej nie mówić, bo to i tak by wyszło.

– To Sarnecki zabił Adolfa. – Zobaczył, jak jej twarz wydłuża się i szybko opowiedział jej resztę.

– Przepraszam, zostawiłeś go tak? W domu? – wydukała, kiedy skończył.

– Dałem mu czas na przygotowanie się.

– Słucham?

– Poprosił, żeby dać mu kilka godzin na załatwienie ostatnich spraw.

– I co, pozwoliłeś na to?

– Owszem. Przekonał mnie racjonalnymi argumentami, wiesz?

– Czy ty masz rozum, Tomek? Jak mogłeś się na to zgodzić?

– Chciałem mu oszczędzić mundurowych i obciachu przed sąsiadami.

– Co ty jesteś, instytucja dobroczynna?

– Aga... – Podniósł rękę.

– Nie, Tomek, to było kurewsko nieprofesjonalne! A co, do cholery, jeśli jutro zastaniesz go dyndającego na kłamce?

– Obiecał mi, że tego nie robi.

– Obiecał ci!? Jezuuu... A jak mu się odwidzi?

– Uszanuję to.

– Proszę? A jak stwierdzi, że musi zabić kogoś jeszcze?

Rędzia milczał.

– On nie jest zabójcą. Zrobił to z litości.

– Błagam cię... – parsknęła Agnieszka.

– Dobrze, nie zrozumiesz tego. – Uniósł rękę. – W porządku, popełniłem błąd. Mam do niego zadzwonić, żeby pakował manele

natychmiast? Jedno twoje słowo i to zrobię, nie ma sprawy! Wezmę nawet SPAP i wjedziemy mu do chaty z taranem i granatami hukowymi.

Ochłonęła trochę.

– Nie wygłupiaj się, teraz już za późno – mruknęła. – Stało się. Wiesz, co może ci grozić za taki numer?

– Nikt o tym nie wie. Prócz nas i Sarneckiego. On nikomu nie powie, ja też nie, a ty? – Patrzył jej w twarz, usiłując odgadnąć intencje.

– Co z nadzorem z komendy wojewódzkiej? – zapytała.

– Też nie wiedzą. Ani mój naczelnik. To się stało przed chwilą, powtarzam: jeszcze nikt o tym nie wie.

– Dlatego przyjechałeś do mnie do domu? Bo tej rozmowy nie było? Ani tej z Sarneckim, ani tej teraz, między nami?

– Też. – Uspokoił się trochę. – No i jesteś już po pracy. A jutro z samego rana potrzebuję twojej decyzji, co dalej.

– To zarzut zabójstwa, Tomek. Jest tylko jedna opcja „co dalej”.

Rędzia westchnął.

– Nie chciałbym, żebyś pomyślała, że zrobiłem to bez zastanowienia. Przyznanie się do winy to tylko jego słowa. Niepoparte jak na razie żadnymi dowodami. Miałem już przypadek, kiedy na komendę przyszedł chłopak i przyznał się do zabójstwa. Znał okoliczności i sporo szczegółów, dopiero po małym blefie wyszło, że go nie popełnił. Szła zima, a on był skonfliktowany z rodzicami i nie chciał z nimi mieszkać, a nie było go stać na wynajęcie czegoś, uciec z domu też nie mógł, bo nie miał się gdzie podziać. Ludźmi powodują różne rzeczy. Może Sarnecki znów kogoś chroni? To pomieszczenie, w którym podobno trzymał Adolfa, wygląda jak normalna piwnica z wekami i pajakami. Wątpię, żeby po piętnastu latach dało się tam znaleźć jakiegokolwiek ślady biologiczne. To możliwe, ale mało prawdopodobne. Zatrzymamy go, wystąpisz do sądu z wnioskiem o areszt tymczasowy i co, jak go uzasadnisz? Nie mamy nic, z wyjątkiem jego przyznania się do winy.

– Nie przejmuj się sądem, Tomek, to już moja broszka, żeby to uzasadnić.

– Wiesz, co będzie, jeśli podczas procesu odwoła wszystko? A jak zostanie uniewinniony, to już nie będzie go można ponownie oskarżyć o to zabójstwo. Może to jakaś gra?

– Przed chwilą powiedziałaś, że mu wierzysz.

– Trzeba być przygotowanym na wszystko.

– Sądy przeważnie przyjmują pierwsze zeznania sprawcy. Tu się nie ma nad czym zastanawiać, Tomek. Ech... Dobrze, zrobimy tak: jutro po zatrzymaniu przywieziesz go od razu do mnie. Przedstawię mu zarzuty i wystąpię o nakaz aresztowania. Zarzut dotyczy zabójstwa, a to, że on jest inwalidą w dość podeszłym wieku, oddał się do naszej dyspozycji i zadeklarował wolę pełnej współpracy, niczego nie oznacza. Nawet jeśli lekarstwa, które będzie musiał zabrać ze sobą, zajmą całe pudło po butach i zamiast w areszcie będzie w szpitalu. Takie życie. Poza tym zwracam ci uwagę, że wciąż niewyjaśniona jest sprawa Cinka i Brody. Jeśli Sarnecki ma z tym coś wspólnego i to ukrywa, na przykład w ogrodzie tej swojej willi, to czystość jego intencji stoi pod znakiem zapytania. I nie zapominaj jeszcze o Kubie Pajczykku.

– To willa jego byłej żony. On tam nie mieszka.

– Podobno nie ma jej w kraju?

– Nie ma. Ale przypominam ci, że Sarnecki ma tylko jedną nogę. Jak by ich zakopał? I jak dałby radę dwóm bykom? No i Pajczyk: jak niby miałby go porwać?

– Nie takie rzeczy robią ludzie, jak im na czymś zależy, zawsze można kogoś wynająć, prawda? – Agnieszka gryzła paznokiec kciuka. – O której chcesz do niego jechać?

– Mówił, że będzie gotowy od rana. O ósmej?

– Dobra – zdecydowała. – Zobaczymy, co powie. I módl się, żeby nie zmienił zdania i nie skończył tego na własnych zasadach, na kłamce albo haku od żyrandola. Aha, dzwoniła do mnie żona Cinka...

– Teraz mi mówisz?

– Wciąż się nie odnalazł, więc się nie podniecaj.

– To czego chciała?

– Okazało się, że Cinek nie ma żadnych kłopotów w pracy, tylko ją po prostu stracił. Był kierownikiem działu części w jakimś centrum likwidacji szkód, ale ten warsztat splajtował. Podobno słabo przedli, a wirus tylko przyśpieszył nieuchronne. Okłamał ją.

– To wszystko?

– Tak, wszystko. Zadzwoiła, bo myślała, że ta informacja pomoże nam w poszukiwaniach.

– To my go szukamy? – Rędzia zaakcentował czasownik.

Agnieszka spojrzała na niego.

– Jego zdjęcie wisi na stronie komendy w zakładce „zaginieni”. Brody też. Coś jeszcze? Przecież wiesz, jaka jest procedura?

– Wiem.

– Naprawdę chcesz pojechać po Sarneckiego sam?

– Tak.

– Nie słyszałam tego.

– Bo mnie tu nie było...

Pokiwała głową. Wstał, żeby pojechać do domu, ale ona powstrzymała go ruchem dłoni.

– Poczekaj jeszcze – poprosiła. – Ktoś dzwonił do mojej dawnej pracy. To byłeś ty?

– Tak.

Jego odpowiedź ją zaskoczyła, choć widział po minie Agnieszki, że równocześnie się jej spodziewała. A może nie do końca spodziewała, raczej podejrzewała, że to był on, tylko nie zakładała, że się przyzna. Ale Rędzia zaskoczył nie tylko ją. Siebie również.

– Dlaczego? – zapytała cicho.

– Nie wiem.

Ta odpowiedź zaskoczyła ją chyba nawet jeszcze bardziej niż poprzednia.

– Jak to: nie wiesz?

Rędzia westchnął i spojrzał w sufit, unikając jej spojrzenia.

– Wszystko kręci się wokół tych kilku osób. Adolfa, mnie, ciebie i tych trzech. Ewentualnie Kłosiewicza. Może pomyślałem, że jest coś podejrzanego w tym przypadku, że trafiłaś do Szczecina akurat teraz? Sam nie wiem co, to był po prostu impuls.

– I co ci to dało? – zapytała zimno.

– Zdziwiła mnie ta drobna różnica w faktach. Powiedziałaś, że cię tu zesłali. A tymczasem dowiedziałem się, że zmieniłaś pracę na własne życzenie.

– A nawet jeśli na własne życzenie, to co to ma wspólnego ze śmiercią Adolfa czternaście lat temu? I odkryciem jego zwłok przez koparkę? Co podejrzanego było w tym, że trafiłam do Szczecin akurat kilka tygodni temu?

– Nie wiem – odparł z rezygnacją w głosie. – Nad tym miałem pomyśleć później.

Parsknęła śmiechem, poprawiła szlafrok i popatrzyła na niego ze zdziwieniem pomieszanym z rozbawieniem.

– Pomyśleć o tym później... Ty Scarlett O'Hara, ty... Ciekawe, co byś wymyślił później? Co, Tomek?

– Mam nadzieję, że nie będę już musiał nad tym myśleć, bo mi po prostu powiesz, jak było.

– Cóż... – Popatrzyła na swoje paznokcie, tym razem u rąk. – Dzięki przynajmniej za szczerość. Mogłeś się upierać, że to nie ty, i tak bym tego nie sprawdziła.

– Tego nie wiedziałem. Może nagrywacie telefony, ktoś ci to puścił i poznałaś mnie po głosie?

Spojrzała na niego zagadkowo.

– Nie mogę cię rozgryźć, wiesz? Masz pokręcony umysł. Chadza ścieżkami niedostępnymi mojemu.

– To komplement?

– Sama nie wiem – wycedziła. – Pomyślę o tym później.

– Kto ci powiedział? – zapytał.

– Moja koleżanka, która wtedy odebrała telefon. Była tak ubawiona, że aż do mnie zadzwoniła.

– A jak wpadłaś, że to mogłem być ja?

– Wiesz, ile razy ktoś zadzwonił, żeby podziękować mi za bycie ludzkim prokuratorem? Zero razy, Tomek. To mi się nigdy nie zdarzyło i nie znam żadnego innego prokuratora, który dostąpiłby takiego zaszczytu. Poza tym znam twoje niestandardowe podejście do dochodzeń. Wiem, że stać cię na takie numery. Dodanie dwa do dwóch nie było trudne.

– Więc jak to z tobą było?

– Teoretycznie na własne życzenie, ale tak naprawdę to zsyłka. Po prostu uprzedziłam fakty. Wiedziałam, że zaraz będą się chcieli mnie pozbyć, więc złożyłam wniosek o delegację do Szczecina, zanim sami

zesłali mnie w Bieszczady albo na Mazury. Wolałam już wrócić na stare śmieci, nawet do rejonówki. Nie mam jakichś niebotycznych aspiracji, po prostu lubię to, co robię, i chcę robić to dalej w spokoju. Cała tajemnica. Uspokoilałm cię?

– Trochę – mruknął.

– Za to ty mnie nie. Zastanawiam się, czy gdyby Sarnecki dziś się nie przyznał, to czy nie zacząłbyś w końcu podejrzewać samego siebie. Zachowujesz się trochę jak paranoik, wiesz?

Rędzia wstał i tym razem Agnieszka go nie powstrzymała.

– Wielu geniuszy uważano za paranoików – powiedział. – Czas pokazał, że mylili się ci wszyscy, którzy tak sądzili. Odprowadzisz mnie do drzwi?

Ona również wstała. Nie wkładając kapci, podeszła do niego i położyła dłonie na piersi, patrząc mu w twarz.

– Przykłady, geniuszu – zażądała.

Udał, że się namyśla.

– Później. – Zdjął jej dłoń z siebie i lekko ścisnął palce. – Dobranoc, pani prokurator, jutro przełomowy dzień. Wyśpijmy się.

Kiedy wyszedł na klatkę schodową, szepnęła za nim:

– Tomek?

Przystanął i obejrzał się. Przez szparę w drzwiach zobaczył jej oko, nos i usta.

– No?

– Wbrew temu, co twierdzisz, nie wszyscy paranoicy okazali się geniuszami. To jedno. A drugie: niech on nie wykręci nam żadnego numeru, co?

* * *

O wpół do ósmej Rędzia zadzwonił do Sarneckiego i poinformował go, że zjawi się za jakieś pół godziny. Siedząc już w samochodzie, wyciągnął telefon i napisał do Pabisia. „Wiem już wszystko. Jerzy Sarnecki zostanie zaraz zatrzymany w związku z podejrzeniem dokonania zabójstwa Mariusza Steca w lipcu 2006. Nie musi już pan być lojalny”. Wysłał esemesa, ale nie spodziewał się odpowiedzi, był więc mocno

zaskoczony, kiedy chwilę po tym, jak uruchomił silnik, usłyszał sygnał przychodzącej wiadomości. „Nic nie wiem o zabójstwie. Nie mam z nim nic wspólnego. Pomogłem mu w paru proceduralnych sprawach, to wszystko. Proszę więcej do mnie nie pisać, nie odpowiem. W przypadku dalszego nękania zmienię numer”. Rędzia wzruszył ramionami i pojechał na Żelechową.

Kiedy przybył na miejsce, Sarnecki wpuścił go do mieszkania. Było cicho. Niektórzy ludzie, kiedy wstaną, potrzebują towarzystwa, nawet jeśli to tylko głos radia czy ktoś na ekranie telewizora. Sarnecki do tych ludzi nie należał.

– Niech pan usiądzie, proszę, panie komisarzu. – Podjechał wózkiem do stołu, w miejsce, gdzie brakowało jednego krzesła.

Wpasował się w nie, złożył ręce na kolanach i patrzył Rędzi w twarz.

– Jest pan gotowy? – zapytał komisarz.

– Tak. Tak jak obiecałem.

– Dobrze...

– Jeszcze chwileczkę, jeśli mogę prosić. Jest jeszcze jedna sprawa, którą muszę załatwić. Wiem, że nadużywam pańskiej cierpliwości...

– Owszem, nadużywa pan.

Sarnecki zerknął na zegarek.

– Dosłownie minutka, naprawdę... – Odwrócił się, kiedy z wnętrza domu dobiegł jakiś trzask.

To był odgłos zamykanych drzwi wejściowych. Kilka sekund później w pokoju pojawił się Pajczyk.

Rędzia poczuł, że coś nie gra. Że zawiódł go jego gliniarski nos, jeśli w ogóle istnieje coś takiego, i popełnił błąd. Powinien przyjechać normalnie, z ekipą, wyszukać formułki, zebrać podpisy w obecności policjantów i tak dalej, a nie pieścić się z człowiekiem, który trząsał niegdyś połową gminy. I nieważne, ile teraz miał lat. To, że jeździł na wózku, też nie było istotne. Bo Sarnecki mózg miał wciąż sprawny, a umysł ostry jak brzytwa. Przypomniawszy sobie słowa profesor Świątkowskiej, te, które opisywały Sarneckiego jako niewiarygodnie odpornego psychicznie człowieka.

Rędzia w ostatniej chwili opanował się, żeby odruchowo nie dotknąć broni tkwiącej w kaburze pod pachą. Przecież nie musiał tego

sprawdzać, czuł, że tam jest, dając mu poczucie bezpieczeństwa. Czy złudne? Tego nie wiedział.

– Spokojnie, panie komisarzu. – Sarnecki uniósł dłoń, a jego smutny uśmiech nie zwiastował raczej niepomyślnego dla Rędzi przebiegu zdarzeń.

Ale Rędzia wciąż zastanawiał się, co stary kombinuje. I wspominał słowa Agnieszki, ostatnie, które od niej usłyszał, kiedy wychodził wczoraj wieczorem z jej mieszkania. „Niech on nie wywinie żadnego numeru”...

– Co ty tu robisz? – zapytał Pajczyk w drzwiach, wyraźnie blednąc na widok komisarza.

Zaniepokojony patrzył to na niego, to na Sarneckiego.

– Dziękuję, Kuba, że przyjechałeś – powiedział cicho Sarnecki. – Ty też możesz być spokojny.

– O co chodzi? – Rędzia zmarszczył brwi. – Coś mi pan wczoraj obiecał: żadnych numerów. W co pan teraz gra?

– Zadzwoń do Kuby i zaproszę go tu. Nie sądzę, żebyśmy mieli się jeszcze kiedykolwiek zobaczyć, a zasługuje, żeby poznać prawdę. Chyba wszyscy na to zasługują... Proszę, wejdź, usiądź z nami.

Pajczyk drgnął i posłusznie, choć nieco skrępowany, wszedł do pokoju i wciąż przenosząc wzrok z Rędzi na Sarneckiego i na odwrót, odsunął sobie krzesło. Usiadł po kilku sekundach namysłu, jednak w dość dużej odległości od stołu, jakby bał się zasiąść przy nim z człowiekiem, którego intencji wciąż nie był pewien.

– Pamiętasz, jak siedemnaście lat temu, po tym jak Broda powiedział mi, że to Stec zabił chłopaków, ty to potwierdziłeś? – zapytał Sarnecki.

Pajczyk przełknął ślinę. Włożył ręce między kolana i ścisnął je nimi, a potem zerknął na Rędzię. Sarnecki kontynuował.

– Poprosiłem cię, żebyś zapomniał o wszystkim, prawda?

Skinięcie głową. Ta odpowiedź z pewnością była bezpieczniejsza niż ta na poprzednie pytanie.

– Opowiedziałem to panu komisarzowi. I tak odkrył, że miałem z tym związek. Opowiedziałem mu o tym, że wyznałeś mi, jak Adolf rozstrzelał mi syna i pozostałych, a potem cię nękał przez lata. Ja go wtedy porwałem, Kuba. Porwałem, uwięziłem i trzymałem w piwnicy swojego domu przez trzy lata. Miał odpowiedzieć za śmierć mojego syna w jedyny

sensowny dla mnie sposób. Nie miał oglądać telewizji, widywać się z kolegami, może brylować w więziennej subkulturze, żyć innym życiem, bo w więzieniu też jest jakieś życie. Nie. Umrzeć też nie mógł. Więc musiał odbyć karę na moich warunkach. I tak było przez trzy lata, kiedy okazało się, że jest chory, bardzo chory. Nie mogłem oczywiście wezwać lekarza, zawieźć go do szpitala... Kiedy już żadne środki przeciwbólowe nie pomagały, zabiłem go. Szybko i bezboleśnie. Zabiłem go i pochowałem w starym schronie, gdzie leżał do tej pory. I tyle... Chciałem, żebyś to wiedział. Podejrzewam, że pan komisarz nie zechciałby się podzielić tą informacją z tobą, a przynajmniej nie w tak szerokim zakresie, więc podjąłem decyzję, że sam ci o tym opowiem. I tyle, Kuba. Teraz już naprawdę możesz o tym zapomnieć i żyć dalej. Nie we wszystkim się z tobą zgadzam, mamy różne poglądy na różne sprawy, ale doceniam to, że robisz coś dla tego miasta, żeby stało się naprawdę miastem. Rób to dalej. Już bez tego cienia, który kładł się na twoim życiu od tylu lat.

– C-c-c-o... Co teraz? – zapytał Pajczyk, wciąż blady jak ściana.

– Pan komisarz przyjechał właśnie z nakazem mojego zatrzymania, prawda? – Sarnecki uśmiechnął się słabo do Rędzi.

Rędzia spuścił wzrok. Sytuacja nie była komfortowa. Sarnecki mógł go uprzedzić. Być może nawet zgodziłby się na to spotkanie, ale na pewno nie w takich okolicznościach.

– A co ze mną? – zapytał nagle Pajczyk. – Mam być świadkiem tego zatrzymania?

– Nie. – Rędzia pokręcił głową. – Pan Sarnecki nieco wyszedł przed szereg. Nie wiedziałem, że tu będziesz. W zasadzie powinienem cię teraz poprosić, żebyś wyszedł.

Pajczyk wyprostował się i odetchnął. Z ulgą. To też wzbudziło w Rędzi lekkie obrzydzenie. W tym śliskim typie było zero empatii. Myślał wyłącznie o sobie. Przez jedną króciuteńką chwilę Rędzia zamarzył, że jest na odwrót. Że nakaz zatrzymania, który zaraz będzie musiał wyciągnąć z kieszeni kurtki, wystawiono nie na Sarneckiego, tylko na Pajczyka. Nie popierał tego, co zrobił Sarnecki Adolfowi, ale mógł próbować go w jakiś sposób tłumaczyć.

A potem musiał wrócić do rzeczywistości.

– Dobrze, kończmy już. – Westchnął. – Na razie, Kuba.

Pajczyk pochylił się lekko w jego stronę.

– Tomek, chciałbym cię jeszcze o coś zapytać. Czy ja... Ja też zostanę zatrzymany za mataczenie wtedy? Że powiedziałem panu Jerzemu, że to jego syn pierwszy strzelił, bo tak kazał mi Adolf, i nie zgłosiłem tego na policję?

– Nie. – Rędzia chciał, naprawdę mocno chciał, żeby Pajczyk już sobie poszedł. – No dobra: nie wiem, ale nie sędzę. Składanie fałszywych zeznań ulega przedawnieniu po piętnastu latach, więc możesz być spokojny. Zresztą... Już nie chodzi o mataczenie wtedy i później. Ja też chcę już zamknąć tę sprawę. Jestem nią bardzo zmęczony. Nie miałem z wami praktycznie żadnego kontaktu ani w czasach liceum, ani teraz, bo byliśmy i jesteśmy kompletnie obcymi sobie ludźmi, ale ta sprawa wykończyła mnie emocjonalnie...

Rędzia sięgnął do kieszeni, w której obok nakazu zatrzymania Sarneckiego miał zdjęcie z imprezy u Jacka. Położył je na stole i popatrzył na Sarneckiego.

– Prawie zapomniałem: miałem to panu dać. Na tym zdjęciu jest pana syn. Podejrzewam, że to jego ostatnie zdjęcie. To jego osiemnastka, tak?

W oczach Sarneckiego błysnęły łzy. Rędzia patrzył na to beznamiętnie. Widok starszych ludzi płaczących po utracie bliskiej osoby jest bez wątpienia wstrząsający, ale Rędzia widywał już gorsze rzeczy. Taki miał zawód. Sarnecki wytarł oczy i wziął zdjęcie do ręki. Trzęsła się, a zdjęcie drżało razem z nią.

– Nie. – Pokręcił głową, wycierając nos grzbietem drugiej dłoni, wpatrzony w prostokątny kawałek kolorowego papieru, ostatni widoczny ślad, jaki jego syn zostawił na tym padole łez. – Jacek miał imprezę w klubie. Zamówiłem mu nawet limuzynę, ale się cieszył...

– To moja osiemnastka – powiedział nagle Pajczyk, wyciągając szyję i zerkając na zdjęcie z bezpiecznej odległości swojego miejsca.

Zapadła chwila ciszy. Rędzia poczuł, jak jakiś nienaturalny spokój otula go ciepłym płaszczem.

– Moja osiemnastka... – powtórzył Pajczyk tak jakoś miękko, z rozczuleniem, które do niego w ogóle nie pasowało. – Graliśmy wtedy

w „Doom”, taką strzelankę, w której marine naparzał zombie. Wtedy to był hicior.

Rędzia patrzył, jak uśmiecha się pod nosem smutnym, nostalgicznym uśmiechem, który zwykle towarzyszy dobrym wspomnieniom dawnych wydarzeń. Konkretnych zdarzeń w konkretnym czasie, do którego nie da się już cofnąć. Ramiona Pajaca przypominały Rędzi szalki wagi. I kiedy Rędzia wspominał kolejne zdarzenia z dawnych lat i te, które nastąpiły w ciągu ostatnich dni, układał je w myślach na tych ramionach, jak na szalkach, patrząc, która strona przeważy. Co pokaże waga. Teraz wiedział, że ma już wszystkie odważniki. Wszystkie też leżały już na szalkach. Waga pokazała właśnie, który ciężar jest większy. Ale najgorsza była świadomość, że przez własne niedopatrzenie Rędzia mógł rozwiązać tę zagadkę znacznie wcześniej. I być może kogoś uratować.

A teraz było już za późno...

– Telefon Brody logował się na Pomorzanach, w pobliżu miejsca, gdzie mieszka Kłosiewicz. Ale to również niedaleko twojego zakładu... – powiedział cicho, znów zły na siebie, że nie skojarzył tego faktu wcześniej.

Pajczyk zacisnął szczęki, w jego oczach mignęło coś złego. Namyslał się przez chwilę, a potem jakby podjął jakąś ważną decyzję, bo jego twarz spochmurniała.

– Przyszli mnie szantażować. Przyszli po forszę. Broda zawsze biedował, a Cinek stracił pracę i bał się, że nie starczy mu na raty kredytu za auto, które sobie w zeszłym roku sprawił. – Pokręcił z niedowierzaniem głową. – Po prostu zażądali kasy, jakbym ją od nich pożyczył, a teraz przyszli, żebym im oddał dług. Pazerne skurwysyny... Fundnij mi motor, Pajac, i będzie po sprawie, tak powiedział ten pojeb Broda, rozumiecie? Powiedzieli, że jak im nie dam, to rozgłoszą wszędzie, że kłamałem. Że od początku wiedziałem, że to Adolf zabił chłopaków. Że na pewno mam coś wspólnego z jego śmiercią, chociaż dobrze wiedzieli, że to ojciec Jacka musiał go zabić, a nie ja. Stwierdzili, że będę skończony jako polityk, jako człowiek...

W pokoju zapadło milczenie.

– Nie znajdziemy ich ciał, prawda? – zapytał cicho Rędzia. – Ani ubrań, ani komórek, portfeli... Zaprosiłeś ich do firmy, tak? Masz tam pełno

zabawek dla dużych chłopców. Zmiażdżyłeś ich ciała w prasie i spaliłeś resztki? Rozpuściłeś ich w kwasie? Motor Brody też jest już sprasowaną kostką złomu?

Pajczyk nabrał powietrza w płuca, jak przed skokiem do zimnej wody, i wyprostował się na krześle.

– Wyprę się wszystkiego, co przed chwilą powiedziałem. Te słowa nigdy nie padły. Przecież i tak nie przyznałem się do niczego, prócz tego, że u mnie byli. Tak, w zakładzie, i co z tego? Nie ma ciała, nie ma zbrodni. Nie mam pojęcia, gdzie obecnie przebywają Paweł Kisiel i Marcin Saganowski. Nie interesuje mnie to. Adolfa zabił obecny tu Jerzy Sarnecki, przecież przyznał się, masz podobno nakaz jego zatrzymania. Po rozmowie w dwa tysiące trzecim, podczas której zdałem relację panu Sarneckiemu, jak naprawdę przebiegały wydarzenia na polanie, i kiedy poinformował mnie, że mam zapomnieć o Adolfie, nie zdawałem sobie sprawy, że chce go zabić. Nie skojarzyłem tego faktu z odnalezieniem zwłok, więc ewentualny zarzut ukrywania przestępstwa będzie łatwy do podważenia. A nawet jeśli mnie nagrywałeś, nie możesz wykorzystać tego w sądzie, bo nie zostałem o tym poinformowany, nie było też tu mojego prawnika. Jeśli jednak powiadomisz prokuraturę, powiem, że działasz w złej wierze, bo nigdy mnie nie lubiłeś w szkole i powoduje tobą chęć zemsty. Będę torpedował każdy wasz krok, argumentując, że sprawa została wszczęta z powodu osobistej zemsty. Ponadto pozostajesz w niestosownych relacjach z prokuratorem Rybarczykiem prowadzącą śledztwo w sprawie zabójstwa naszego wspólnego kolegi Mariusza Steca i razem chcecie mnie zniszczyć. Oczywiście, że wiem, że ją posuwasz, wystarczy na was spojrzeć. Ponadto poproszę moich przyjaciół z Warszawy o interwencję u ministra. Narobię takiego smrodu, że wszyscy się od niego porzygają, a ty najbardziej, rozumie pan, co mówię, panie komisarzu? Pan też? – Spojrzał na Sarneckiego.

Rędzia wciąż pozostawał oazą spokoju. Wyjął z rąk Sarneckiego zdjęcie i położył na stole. Obrócił je o sto osiemdziesiąt stopni i przesunął w stronę Pajczyka.

– Cinek powiedział mi, że zostało zrobione wypasionym aparatem Jacka, więc jakoś przełożyłem sobie automatycznie, że impreza musiała być u niego w domu – powiedział do Pajczyka, głaszcząc zdjęcie opuszką

palca i patrząc na nie pustym wzrokiem. – A była u ciebie... Mój błąd: przecież to niekoniecznie oznacza to samo. Kurwa, i tak wtedy wszyscy jeszcze mieli w domach takie same, peerelowskie meblościanki, nie ma się czemu dziwić. Ja nigdy nie byłem w twoim domu. Na osiemnastce Jacka w klubie też nie. Przecież jako klasowy outsider nigdzie nie chodziłem. Wiesz, kiedyś widziałem taki filmik. Stary, czarno-biały. To był samochód z lat trzydziestych, taki z otwartą kabiną szofera i zamkniętą tylną częścią oddzieloną od przedniej szybą i zadaszoną, w której siedzieli pasażerowie. Nawet nie wiem, jak się nazywa taki typ nadwozia. I z przodu siedziała małpa. Kręciła kierownicą, samochód jechał, ludzie na ulicy patrzyli na to ze zdziwieniem, ale to nie ta małpa prowadziła samochód. Ona tylko kręciła kierownicą. Z tyłu, pod dachem, była druga, prawdziwa kierownica i pedały. Tam siedział prawdziwy kierowca. Adolf był taką małpą, a ty byłeś kierowcą, Pajac. Zawsze... On myślał, że jest przywódcą, ale to ty chciałeś, żeby tak myślał. Sterowałeś wszystkimi. Wtedy, chłopakami na polanie, prokuratorem i innymi, i dziś: panem Sarneckim i mną. Wszyscy, od dwudziestu sześciu lat, są marionetkami tańczącymi w twoich rękach... Każdemu sprzedawałeś inną bajkę, którą wymyślałeś na poczekaniu, zależnie od okoliczności. Ależ ci się udawało. Tyle lat...

Palec Rędzi spoczywający na zdjęciu przesunął się nad głowę Adolfa, zatrzymując się na regale z książkami, na którym było pełno albumów. Zdjęcie było dobrej jakości, w końcu zrobione je dobrym aparatem, a spec od fotografii, któremu Rędzia zlecił skan i wyczyszczenie, sprawił się wyśmienicie. Dlatego widać było wyraźnie nawet to, co znajdowało się na dalszym planie. To nie były komiksy ani albumy o sztuce. Grube grzbiety kolorowych tomiszczy z przeważnie angielskimi tytułami traktowały o jednym. O broni strzeleckiej. To dlatego Rędzia podejrzewał wcześniej, zanim jeszcze prawda, już nieaktualna prawda o Adolfie, wyszła na jaw, że to Jacek Sarnecki pierwszy mógł mieć broń w rękach. A sprawa inskrypcji na obelisku tylko go w tym utwierdziła.

– Jedna rzecz przez cały czas nie dawała mi spokoju – powiedział powoli i z opanowaniem, jakie dała mu wiedza, ta upragniona, której pożądał i którą wreszcie przed chwilą posiadał. – Jak to się stało, że pijany w sztok Adolf, który nie miał pojęcia o mechanice i potrafił zepsuć

nawet szczotkę od kibla, w ferworze walki, walki o życie, atakowany bagnetem przez oszalałego psychopatę zdołał przełączyć rodzaj ognia z pojedynczego na ciągły, a potem jeszcze raz na pojedynczy. A potem, kiedy okazało się, że to wyłącznie jego sprawka, to wszystko zaczęło mieć jeszcze mniej sensu. Jak on to robił? Przypadkiem? Nie. To po prostu się nie zdarzyło. To ty zabiłeś tego żołnierza i chłopaków, prawda? Ty wiedziałeś, gdzie jest przełącznik rodzaju ognia, wiedziałeś, że w ogóle istnieje coś takiego, jak ta pieprzona klameczka z boku. I nie możesz się tłumaczyć, że ten dezertier rzucił się na ciebie z bagnetem, bo on już leżał ranny na ziemi. Leżał tak od pierwszego wystrzału... Twojego.

Twarz Pajczyka pobladła lekko. W białym świetle wyglądała upiornie. Na łysinie pojawiły się krople potu, które usiały ją i błyszczały jak rosa w promieniach porannego słońca.

– Pieprzysz głupoty – powiedział powoli spokojnym, ale zduszonym głosem.

– Nie, ja robię podsumowanie. Ty byłeś najmniej pijany. Z tych, którzy przeżyli. Ty wmówiłeś wszystkim, jak było, wmawiałeś to ciągle, zmieniając tylko wersję zdarzeń w zależności od sytuacji i od tego, co akurat chciałeś osiągnąć. I zawsze przy tym grałeś ofiarę. To nie Sarnecki pierwszy oddał przypadkowy strzał, raniąc żołnierza. Ani nie Adolf. To ty, prawda? Żołnierz dał ci broń, żebyś sobie obejrzał, czy sam ją wzięłeś, korzystając z tego, że był pijany?

Pajczyk spojrział na swoje palce. Wyglądał teraz, jakby zobaczył coś obrzydliwego, coś, co pełzało po nich, zostawiając za sobą wilgotny, lepki ślad.

– Wiedziałem o broni niemal wszystko, choć nigdy nie miałem jej w rękę – szepnął. – Nie automatu. Ten pierwszy strzał to był wypadek. Po prostu nieszczęśliwy wypadek. Skąd miałem wiedzieć, że ten palant miał nabój w komorze? Tak nie wolno, to wbrew regulaminowi warty. Komora naboju ma być pusta, broń przeładowujesz dopiero po ostrzeżeniu osoby naruszającej chroniony obszar, jeśli nie wykona twojego rozkazu do opuszczenia go lub poddania się...

Oczy Pajczyka na sekundę stały się nagle puste i bez wyrazu. Rędzia pomyślał, że tak właśnie muszą wyglądać oczy ludzi, którzy spoglądają w swoją przeszłość, żeby się z nią zmierzyć.

1994

Ciemna, skulona postać niespodziewanie wynurza się z lasu. To Broda dostrzega ją pierwszy. Kątem oka widzi jakiś ruch na tle zlewających się w jednolitą, mroczną masę drzew, kiedy od tej masy nieprzeniknionej czerni odrywa się ruchoma, nieregularna, nieco jaśniejsza plama. W miarę jak przybliża się ku nim, jej kształt zmienia się w coraz bardziej przypominający ludzką postać, a poświata ognia dodaje jej trzeciego wymiaru, wydobywając coraz to nowe szczegóły. Niemal wszyscy myślą to samo: kosmita. Obcy. Podlane alkoholem rozbawienie miesza się z przestraczem karmionym od dziecka obrazami z komiksów i kadrami głupich filmów odtwarzanych dziesiątki razy na magnetowidach ze zjechanych kaset VHS. Milkną po kolei, przypatrując się ogromnej głowie, która okazuje się hełmem, i dziwnej antenie sterczącej z pleców. Dopiero kiedy człowiek w hełmie zdejmuje broń z pleców, orientują się, co to takiego. Na lufie karabinka zatknięty jest bagnet. Szare moro pokryte deszczem ciemnych kreseczek marszczy się, kiedy żołnierz w milczeniu siada przy ognisku, kładąc broń na trawie obok siebie. Na klamrach i noskach wypastowanych na glanc brązowych opinaczy migocze odblask ognia.

– Ja pierdolę, witaj na planecie Ziemia – mówi Adolf i wszyscy parskają śmiechem.

– Co pijecie? – pyta żołnierz.

– Żołądkową.

– Dacie trochę?

– Jasne! Siadaj! – Znow słyhać cichy gwar i radość z powodu niezapowiedzianej atrakcji.

– Co tu robisz? – pyta Adolf, nalewając wódki do plastikowego kubeczka, identycznego z tymi, w których w ich licealnym sklepiku

można kupić za tysiąc złotych odgazowaną pepsi, nalewaną przez panią z dwulitrowej butelki.

Podaje go żołnierzowi, a ten przyjmuje go z wyraźną wdzięcznością.

– Spierdoliłem z jednostki. Nie chcieli dać mi przepustki, żebym się mógł zobaczyć z dziewczyną, to się wkurwiłem. Jestem Rafał. Zdrowie. – Unosi kubeczek i wychyla go jednym haustem, a potem krzywi się z obrzydzeniem. – Kurwa, ciepła!

– A widzisz gdzieś tu lodówkę? – Sarnecki się śmieje. – Jestem Jacek.

– Darowanemu koniowi nie zagląda się w dupę – mruczy żołnierz, wszyscy wybuchają śmiechem i przedstawiają mu się po kolei.

Potem idzie szybko. Piją bez umiaru, jakby ośmieleni obecnością starego wygi, któremu chcą zaimponować. Jest tylko rok, dwa lata starszy od nich, ale dzieli ich przepaść doświadczeń, mimo że tamten skończył tylko zawodówkę. Są tego świadomi, tej różnicy. Ostrożne komentarze: „ciszej, bo nas ktoś usłyszy” rzucane co jakiś czas przez któregoś z chłopaków ustają. Nie wrzeszczą, ale jest dość głośno. Rafał opowiada im o niedoli żołnierza służby zasadniczej. Nie jest to wesoła opowieść. Jakiś czas później, jakby w pełnej współczucia odpowiedzi, wszyscy cichną. Kiwiają smętnie głowami. Wódka powoli kończy się, ale i tak wszyscy mają już chyba dość. Ich młode, nieprzywykłe do alkoholu organizmy niezauważenie dla nich zareagowały zgodnie z prawami biochemii i wszyscy bez wyjątku są tym faktem lekko zaskoczeni. Adolfa siekło. Po prostu. Może tak ma: trzymał się, gadał w miarę sensownie, ale tylko do czasu, bo nagle czknął, wstał, potoczył szklanym spojrzeniem dookoła, powiedział, że idzie się odlać i upadł kilka metrów dalej, a chwilę później rozległo się jego chrapanie. Broda z Cinkiem zniknęli trochę wcześniej. Podobno mieli skręta. Pewnie chcieli go wypalić sami. To dość zrozumiałe. Trzymali się razem od pierwszej klasy podstawówki, no i jeden skręt na tyłu to bez sensu. Pajczyk korzysta z tego, że Rafał oklapł: siedzi wpatrzony w ogień, może zastanawia się nad konsekwencjami dezercji, myśli co dalej? Bierze do ręki jego karabin. To AKMS. Fabrycznie nowy, to widać. Siedząc naprzeciw żołnierza, zerkając, czy on nie ma nic przeciwko temu, ogląda broń w migotliwym świetle przygasającego płomienia. Rozkłada kolbę i głaszcze oksydowany metal. To miłe uczucie. Niewiarygodnie miłe.

Czuje, jak gdyby był w posiadaniu mocy w najczystszej postaci. Mocy, nad którą panuje tylko ten, kto ma ją w rękach. I zapomina o podstawowej zasadzie: broni, nawet nienaładowanej, nigdy nie należy kierować w stronę człowieka. Nie myśli o tym teraz, mimo że zna ją, zna mnóstwo innych zasad dotyczących broni. Danych taktycznych, parametrów i nazw również. Ale poczucie tej mocy stępia myśli, zagłusza je, pozwala skupić się wyłącznie na doznaniach, a nie na rzeczach racjonalnych. Wypity alkohol szumi przyjemnie w głowie, potęgując przyjemne doznania.

– Broń jest jak kobieta, koleś – bełkocze Rafał i wyciąga rękę. – Nigdy nie dotykaj nie swojej.

Tym gestem i tymi słowami wyrywa go nagle z zamyślenia. Kiedy pada strzał, czas staje w miejscu. Nie ma ogniska, nie ma chłopaków, nie ma karabinu, żołnierza, nie ma jego, Pajczyka. Jest tylko huk, który niesie się echem po lesie. Poza tym jest pustka. Absolutna. To jak wszechświat, którego jeszcze nie ma, ta niewyobrażalna nicość sprzed Wielkiego Wybuchu. Przez ułamek sekundy Pajczyk zna odpowiedź na fundamentalne pytanie: co było przedtem. Jak to jest, kiedy nie ma dosłownie niczego. Nie miał pojęcia, że spust jest tak czuły. I nie przewidział, że nabój może być w komorze. Nie powinno go tam być. Nigdy, przenigdy. Ale też nie powinno być wielu innych rzeczy: wojen, głodu i nieszczęść, które jednak są. Nabój też był. Broń wypada z ręki, właściwie on sam ją odrzuca, jakby go parzyła. Patrzy rozszerzonymi ze strachu oczyma, jak leci, niczym na zwolnionym filmie, obraca się w powietrzu, upada lufą w dół i uderza o jeden z kamieni, którymi otoczone jest palenisko.

Może gdyby wpadła w ognisko, prosto w płomienie, tak żeby nie dało się po nią już sięgnąć, cała historia skończyłaby się inaczej? Ale upada na drugą stronę. Tę zewnętrzną, poza krąg z polnych kamieni.

A potem wszystko dzieje się jak w innym wymiarze, w innym wszechświecie; dzieją się rzeczy, na które Pajczyk ma wpływ i jednocześnie nie ma. Jest jak niesiony falą tsunami, gdzie tylko od jego sprytu, siły i umiejętności zależy, jak daleko ta fala go poniesie i czy nie przykryje, wciągając w głąb, w topiel, na zgubę, na śmierć.

Nagle rozlega się krzyk Sarneckiego.

– Kurwa, Pajac, coś ty narobił!

Fanta nic nie mówi, tylko wpatruje się w leżącego nieruchomo żołnierza. Żołnierz trzyma się za brzuch, przyciska do niego trzęsące się jak w febrze dłonie i wpatrzony w gwiazdy mruczy cicho: „Nie mogę ruszać nogami, nie mogę, nie mmmm... Jezuuu, nie mmmm...”.

– Ja pierdołę, stary mnie zajebie! Zajebie mnie! – jęczy Sarnecki.

– To był wypadek – wyjaśnia Pajczyk i jest przy tym nawet spokojny.

Nienaturalnie spokojny.

To w głosie Sarneckiego pobrzmiwiają nuty paniki. Brzmi, jakby właśnie przechodził mutację. Drze się, jakby to on wystrzelił. A żołnierz dalej trzyma się za brzuch, a z jego ust wciąż sączy się śmiertelne mruczando: „nie mmmm... nie mmmm...”, przerywane spazmatycznymi wdechami.

– Nawet jak nie dostaniesz za to kary śmierci, to przynajmniej ćwiarę.

– Sarnecki mówi już spokojniej, choć jego głos drży; chyba dotarło do niego, że mimo wszystko to nie on ma tutaj największe kłopoty i może jednak pójdzie na te studia prawnicze, na które posyła go ojciec. – Kurwa, chłopie, co ci strzeliło do głowy?

– To był wypadek – tłumaczy cierpliwie Pajczyk, między słowami są długie przerwy, jakby chciał się upewnić, że dotrą w końcu do Sarneckiego, do tego jego zakutego łba. – Wy-pa-dek.

– Myślisz, że ktoś w to uwierzy? – pyta Sarnecki. – Co powiesz; że sam do siebie strzelił? Odjebało ci?

– A co ty powiesz, Jacek? – odpowiada pytaniem Pajczyk, mocno akcentując zaimek.

Bierze do ręki karabinek, obserwując, jak poświata ogniska miga na twarzy Sarneckiego, a cień rzucany przez wydatny nos tańczy na policzku w rytm rozedrganego płomienia.

Fanta wciąż nie odrywa wzroku od cicho jęczącego żołnierza. Nie jest w stanie. Nie jest w stanie niczego zrobić. Siada tylko na ziemi i obejmując kolana, kołysze się lekko ze wzrokiem utkwionym w nieokreślony punkt gdzieś na upstrzonym kreskami moro, w okolicach małej plamy krwi i leżących na niej drżących palców. Adolf leży w trawie i chrapie. Gdzieś w ciemności są Broda i Cinek, jarają tego swojego

skręta albo się pierdola, kto ich tam wie. Pajczykowi wydaje się, że dobiega go cichy chichot Brody. A może to płacz.

Sarnecki głośno oddycha przez nos. Zastanawia się, co teraz. Co teraz i co potem.

– Zamierzasz mnie pogrążyć? – pyta Pajczyk, czując, jak poca mu się dłonie zaciśnięte na rękojeści i łożu karabinka.

Wkłada go sobie między nogi, wzdłuż ud, jakby chciał go ukryć. Paznokiec palca wskazującego wsuniętego pod udem w osłonę języka spustowego skrobie delikatnie jego koniuszek. Powoli. Pieszczotliwie. Wie już przecież, jak jest czuły, jak niewiele siły potrzeba, żeby uwolnić tę straszną moc.

– Ja też chcę iść na studia – mówi powoli.

– Trzeba było myśleć o tym wcześniej!

– No to co im powiesz? – pyta głucho.

– Prawdę – syczy Sarnecki. – A co mam, kurwa, powiedzieć? Myślisz, że są idiotami? Że ktoś uwie...

Strzał jest ogłuszający. Znowu. Wszystkim, którzy są przytomni, na nowo dzwoni w uszach. To uczucie, jakby człowiekowi ktoś założył na głowę aluminiowy garnek i nawalał w niego tłuczkiem do ziemniaków. Pajczyk czuje, jak kolba oparta o krocze pod workiem mosznowym i mocno ściśnięta udami przy wystrzale kopie go tak mocno, że aż czuje to pchnięcie na kości miednicy. Czuje coś jeszcze. Czuje wzwód. Nie rozumie tego, ale to czuje. I nie potrafi powiedzieć, czy ten strzał też był przypadkowy, czy nie. Może tak pół na pół... Nie byłoby go, gdyby nie ten pierwszy, ta jedna rzecz jest pewna. Cała reszta już nie.

Sarnecki leci do tyłu, jakby uderzył go niewidzialny samochód. Energia pocisku jest ogromna. Pada na plecy, a z ust bucha mu krew. Z gardła wydobywa się charkot, ale milknie zaraz, kiedy niemal od razu następuje śmierć. Fancie wyrywa się z głębi trzewi krótki, piskliwy krzyk. Wstaje, w oczach ma przeraźliwy strach. Błada twarz zroszona jest perlistym potem, który błyszczy w świetle przygasających już płomieni. Cofa się, potem odwraca plecami do Pajczyka i zaczyna biec w stronę lasu, w stronę zbawczej ciemności, która go pochłonie i ukryje. Biegając, wydaje z siebie dziwny, jednostajny dźwięk, który z trudem przeciska się przez ściśnięte paniką gardło. Pisk lekko obniża się

i urywa na ułamek sekundy w momentach, w których buty Fanty dotykają ziemi, najpierw prawy, potem lewy, potem znów prawy i tak na zmianę, raz po raz, w szaleńczym pędzie przed siebie, w którym każdy krok jest jak oddech dla tonącego: oddala niebezpieczeństwo i daje nadzieję na przeżycie. Stopy mocno odpychają się od miękkiego gruntu, ale śliska od rosy trawa sprawia, że ten bieg nie jest tak efektywny, jak Fanta by chciał. Wszystko dzieje się tak szybko, ale równocześnie zbyt wolno. To zależy, czyj punkt widzenia przyjąć. Pajczyk unosi karabin, mocno opiera kolbę o wgłębienie w ramieniu, przytula policzek do ciepłego metalu i zerka przez szczerbinę, zestawiając ją w jednej linii z muszką. W matowej czerni przyrządów celowniczych odbija się poświata ogniska, dzięki czemu wyraźnie odcinają się od czarnej ściany lasu. W osłonie muszki, rozświetlonym pomarańczową luną kółeczku z małym przecinkiem pośrodku, poza którym w zasadzie jest tylko ciemność, lata jasna, niewyraźna plamka. To czapka Fanty. Czapka z daszkiem, biała jak śniegi Kilimandżaro, z logo jakiejś amerykańskiej drużyny bejsbolowej. Wciąż ją widać, mimo że postać Fanty praktycznie zniknęła już Pajczykowi z oczu. Ta czapka jest dla Fanty jak wyrok. Tu już nie ma mowy o przypadku i Pajczyk jest tego świadomy. Pierwszy pocisk mija Fantę o kilkanaście centymetrów. Pajczyk jeszcze nie wie, że wbił się w jedno z drzew i potem znajdą go technicy. Drugi pocisk wylatuje z lufy dosłownie sekundę później i nie ma już Fanty, który nawet nie poczuł, jak jego głowa niemal eksploduje. Jest martwy, zanim jeszcze jego twarz styka się z pokrytą zimną rosą trawą. A na tej twarzy wciąż maluje się przerażenie pomieszane z nadzieją.

Pajczyk oblizuje usta. Zerka w bok, co z Brodą i Cinkiem. Widzi, że leżą kilkanaście metrów dalej, z głowami nakrytymi rękami, czołgając się niezdarnie, byle dalej od ogniska i strzałów. Prawidłowo. Pajczyk się uspokaja. Wie już, co robić. Wiedział od początku, może nie do końca, ale kiedy tylko ochłonął po tym głupim, przypadkowym wystrzale, miał już plan. Sięga do przełącznika rodzaju ognia i unosi ramię nastawcze, ustawiając go w pozycji „C”. Ogień ciągły. To musi wyglądać na prawdziwą walkę o życie. Podnosi się z ziemi, czując, że spodnie przemokły mu na tyłku. Staje nad żołnierzem, który już zamilkł i wpatruje się tylko w gwiazdy wzrokiem pogodzonym już z tym, co

nieuchronne, celuje mu w korpus i strzela krótką serią, czując, że zaraz dostanie orgazmu. Nigdy jeszcze nie czuł się tak wszechmocny. Taki potężny. Jest panem sytuacji. Jest Bogiem.

I diabłem.

Kiedy chwila ekstatycznego uniesienia mija, Pajczyk czuje, jak zawartość żołądka puchnie i wzbiera, a żółć podchodzi mu do gardła i piecze w przełyku. Tak smakuje strach. Przełyka go, ma mało czasu. Wzwód minął i zaczynają mu drżeć mięśnie nóg, jak po długim biegu bez rozgrzewki. Czuje też parcie na pęcherz tak mocne, że prawie popuszcza w spodnie. Bez paniki – myśli. – Jesteś Bogiem, więc stwórz teraz nowy świat, jaki chcesz. Od tego jak się teraz zachowasz, zależy wszystko, całe twoje przyszłe życie.

Dalej postępuje jak w transie, ale wszystko, co robi, cechuje pewność działania. Wie, że ma mało czasu, więc nie traci go już. Rękawem koszuli wyciera z karabinka odciski palców i wkłada go w rękę żołnierza, zaciskając na chwilę jego palce na rękojęści i uchwycie. Czuje wilgoć na skórze dłoni i widzi, że jego ręce są już czerwone od krwi żołnierza, wyciera je więc w koszulę, niezbyt dokładnie; ledwie tyle, by nie ubrudzić niczego, czego musi zaraz dotknąć. Czerwień zostaje w bruzdach skóry dłoni, ale nie znaczy już niczego krwawymi śladami. Zostaje też na koszuli, ale jej tam nie widać, nawet nie dlatego, że jest ciemno, tylko dlatego, że materiał jest czerwony w czarną kratę.

Pajczyk myśli przez chwilę, czy nie postrzelić się niegroźnie w rękę, żeby uprawdopodobnić swoją wersję zdarzeń, jednak po krótkim namyśle postanawia tego nie robić. Nie chce ryzykować. Wie, że pociski, penetrując przeszkody, zwłaszcza ludzkie ciało, zachowują się nieprzewidywalnie i boi się, że mimo wszystko uszkodzi jakieś ważne naczynie. Poza tym mogliby mu dać później „głupiego jasia” i zaczęłyby pleść jakieś bzdury, a może nawet wyjawić, jak było naprawdę.

Bierze więc broń, pamiętając, by nie dotknąć jej gołymi rękami, tylko przez mankiety zsuniętych rękawów, i podbiega do leżącego nieruchomo na trawie Adolfa. Chwyta jego bezwładną i miękką jak ryba dłoń, kładzie palec wskazujący na przełącznik trybu ognia i przestawia go nim na pozycję „P”. Następnie przekłada palec Steca na język spustowy, kieruje lufę ku górze i naciska palec kolegi, odwracając głowę. Pada

strzał, jak zwykle głośny jak skurwysyn, a gorąca łuska uderza go w policzek, tuż pod okiem. Nie zważa na ból, tylko zostawiając karabin w rękach Adolfa, znów przez rękawy koszuli zdejmuje z lufy bagnet, odskakuje z powrotem do ogniska, gdzie leży martwy żołnierz. Wciska bagnet w jego dłoń i znów wraca do Adolfa. Ma już ze sobą butelkę z resztką oranżady. Jest chłodna. Wylewa mu ją na głowę i patrzy, jak Adolf rzuca się, bełkocząc coś niezrozumiale. Klepie go po policzku, mocno i bez litości, potem chwyta za uszy i przybliża jego twarz do swojej.

– Adolf – szepcze gorączkowo – Adolf!

– Co jest? – krzyczy Stec, mrugając zalanymi słodkim napojem powiekami. – Kurwa, co jest!?

– Odłóż karabin.

– Jaki ka... – Adolf unosi głowę, patrzy na swoją pierś, na której leży AKMS, i szepcze: – O, ja pierdołę...

– Ten żołnierz chciał nas wszystkich zastrzelić. – Pajczyk stara się mówić wyraźnie i spokojnie, choć bardzo cicho. – Odjechało mu i...

– Jezu, Pajac, co ty gadasz!?

– Wyrwałeś mu karabin, on rzucił się na ciebie z bagnetem, a ty do niego strzeliłeś! Bagnet chciał ci wbić, rozumiesz?

Adolf ma otwarte usta. Widać, że stara się ogarnąć sytuację, ale nie bardzo mu to wychodzi.

– Chłopaki! – krzyczy Pajczyk. – Chłopaki, żyjecie? Chłopaki!

Dochodzi go słaby głos Cinka. Nie rozumie, co mówi.

– Cinek, Broda, w porządku?! – krzyczy w ciemność. – Chodźcie tu, już po wszystkim! Adolf go załatwił!

Wpatruje się w twarz Adolfa majaczącą niewyraźnie w migotliwym półmroku, musi sprawdzić, czy on cokolwiek rozumie. Chyba powoli wraca do przytomności, bo jego ruchy są bardziej skoordynowane, choć wzrok wciąż jeszcze ma trochę rozbiegany.

– Rzucił się na nas, rozumiesz? – szepcze, ale nie niecierpliwie, tylko z wdzięcznością; ten szept przepełniony jest niemal uwielbieniem. – Zastrzelił Sarneckiego, a kiedy się z nim szarpałeś, żeby wyrwać mu broń, ona wystrzeliła i dostał Fanta. Nie martw się, uratowałeś nam

życie, rozumiesz? Jesteś bohaterem, Adolf, jesteś pieprzonym bohaterem! Kurwa, jesteś lepszy od Franza!

– Co ty wygadujesz, Pajac? – mruczy zdumiony.

– Naprawdę nic nie pamiętasz? – Pajczyk uśmiecha się z niedowierzaniem. – Nie pamiętasz, jak się na niego rzuciłeś? Chciał cię dźgnąć bagnietem, a ty go pociągnąłeś seria! Żyjemy dzięki tobie! Jesteś bohaterem, stary! Rozumiesz to: bo-ha-te-rem!

Adolf zbiera się z ziemi. Kręci mu się w głowie. Staje w miarę prosto, nagle pochyla się, opierając dłonie o kolana, i zaczyna wymiotować. Torsje targają nim przez jakiś czas, aż wreszcie kończy. Spluwa kilka razy gęstą śliną, ociera usta, odbija mu się: wszystko to Pajczyk obserwuje z obrzydzeniem, ale traktuje to jako nieodłączną część swojego planu naprawienia rzeczywistości. Musi to wytrzymać. To tylko fizjologia: ze wszystkimi swoimi przymiotami. „Nic co ludzkie nie jest mi obce”, powtarza sobie w myślach. Wreszcie Adolf prostuje się i rozgląda po polanie, choć wokół nich jest tylko mrok.

– Jeszcze raz – żąda już prawie normalnym tonem. – Co się stało?

Pajczyk powtarza mu. Kątem oka widzi, że Broda i Cinek podeszli do nich i też słuchają.

– Co z Fantą i Sarneckim?

Pajczyk przęłyka ślinę ze ściśniętym gardłem.

– Nie żyją.

Słyszy płacz Brody. Albo Cinka.

– Zabił ich. – Też łamie mu się głos, nawet nie musi wkładać w to tak dużo wysiłku. – Najpierw Sarneckiego i od tego się zaczęło. A potem Fanta dostał przypadkiem.

– Skąd wiesz? – pyta któryś z tych dwóch; Broda albo Cinek, ale przez łzy, więc Pajczyk nie potrafi powiedzieć który.

– Jak to skąd? – pyta zdumiony. – To wy tego nie widzieliście?

Cisza jest dla niego jak najlepsza odpowiedź. O taką mu chodziło. Nie widzieli. Kurwa, nie widzieli... Jest uratowany. Chyba nie był gotowy na kontynuację i potrzebował jednak świadków, dobrych świadków, czyli takich, którzy nic nie widzieli, jak oni. Żeby teraz Adolf niczego nie spierdolił...

– Mamy przejebane – chlipie Broda. – Jezu, oni nie żyją... Skąd wiesz, że nie żyją?! – krzyczy nagle do Pajczyka. – Sprawdziłeś?

Pajczykowi zamiera serce. Jest pewien, że trafił Fantę, ale czy skutecznie? Jak mógł o nim zapomnieć!? A co jeśli on żyje, jest tylko ranny, pełźnie gdzieś przed siebie albo czeka na pomoc, a kiedy go znajdą, powie wszystko?

Sarnecki leży przy ognisku, na pewno martwy, ale Fanta...

– Może jeszcze żyje! – krzyczy z udawaną nadzieją w głosie.

Zrywa się do biegu.

– Biegł gdzieś w tamtą stronę. – Pokazuje im las, który poszarpanym grzebieniem koron drzew odrobinę odcina się swoją nieprzeniknioną czernią od ciemnego nieba.

– Pajac, latarkę weź! – krzyczy Adolf, który już chyba całkiem doszedł do siebie. – Jest w moim plecaku.

Pajczyk wraca do ogniska i z plecaka wygrzebuje latarkę. Jest gówniana, jak cały Adolf, ale dobre i to. Włącza ją i kierując wąły snop światła przed siebie, rusza za nim, zastanawiając się, co robi, jeśli Fanta rzeczywiście jeszcze żyje. Kiedy dociera w pobliże pierwszych drzew, zaczyna omiatać latarką trawę wokół siebie. Nasłuchuje jęku Fanty, ale słyszy jedynie ciche głosy chłopaków dobiegające go z oddali. Nie ma go. Idzie w prawo, ogląda się w stronę ogniska, żeby lepiej zorientować się w przestrzeni, i wtedy na ziemi coś błyska. Oświetla to i widzi czapkę. Białą czapkę z daszkiem. To czapka Fanty. Jej brzeg, w okolicy paska regulującego rozmiar, upstrzony jest szkarłatem i żółcią. Fanta musi być gdzieś niedaleko. Oby. I faktycznie, leży tuż obok, z rozrzuconymi rękami, z twarzą wbitą w ziemię. Wygląda jak kleryk leżący krzyżem na dzień przed święceniami. Tył głowy zięje ogromną, postrzępioną raną, kości czaszki bieleją pośród zlepionych krwią włosów, błyska wilgocią fragment tkanki mózgowej. Pajczyk kierowany jakimś dziwnym impulsem pochyla się, bierze ręce trupa i układa je wzdłuż ciała, żeby nie przypominały krzyża. Potem wyłącza latarkę. Ogarnia go ciemność i zadowolenie. Jest dobrze. To się może udać. Zasiał ziarno i teraz tylko pozostało mu czekać, czy wyrośnie z niego piękny kwiat, czy gówniany chwast.

Wraca do Adolfa, Cinka i Brody.

– Nie żyje – dyszy jak po przebiegnięciu maratonu. – Nie ma połowy głowy. Ale go skurwił załatwił. – Pokazuje na martwego żołnierza.

Pokazuje wyraźnie, żeby zapamiętali sobie ten obrazek. Nasiąknięte krwią moro, opadniętą zuchwę i półprzymknięte oczy. Ręce złożone na brzuchu, niemal rozprutym serią, która przeszła ukośnie przez klatkę piersiową i niżej, sięgając podbrzusza. Pajczyk zastanawia się, ile czasu minęło od pierwszego wystrzału. W internacie pewnie się zorientowali, że coś się wydarzyło. Kłosiewicz i ta starucha już pewnie wiedzą, że ich nie ma, może nawet podejrzewają, po co wyszli, ale najgorsze dopiero przed nimi.

– Musimy wracać do internatu – mówi grobowym głosem.

– Mamy przejebane – chlipie Broda. – Ja pierdolę, już po nas.

– Nie, Broda. – Pajczyk podchodzi do niego i kładzie mu rękę na ramieniu. – To nie nasza wina, że ten szaleniec zaczął do nas strzelać. My tylko poszliśmy na wycieczkę. Gdyby nie Adolf, nikt z nas by z niej nie wrócił. Nikt.

Rozgląda się jeszcze po chłopakach i w tym samym momencie płomień ogniska gaśnie całkowicie. Zostaje tylko mocny żar; jego żywa jak krew czerwień pełznie po wypalonych polanach i syczy. Teraz nie widać już prawie niczego. Pajczyk zapala latarkę Adolfa. Na trawie między nimi pojawia się żółte kółko. Jest słabe, bateria się powoli wyczerpuje.

– Chodźcie – mówi cicho. – Musimy wracać...

2020

– Chryste, mówiłeś, że to Adolf! Łkałeś, jaki to byłeś przestraszony, jak mi zazdrościsz opanowania, wsadzałeś mi jęzor w dupę, a ja, idiota, to wszystko kupowałem...

Głos Sarneckiego brzmiał chrapliwie, jakby nie używał go od lat. Był jak zgrzyt starej, nieużywanej maszyny wymagającej naoliwienia.

Pajczyk prychnął pogardliwie.

– Adolf był tak najebany, że mógł jedynie zeszczuć się w gacie. Co pewnie zrobił, tylko że był cały mokry od trawy, więc nie dało się poznać... Mogłem mu wtedy wmówić wszystko, nawet to, że ma cycki, i też by uwierzył.

Z ust Sarneckiego wydobył się złowrogi warkot.

– Zabiłem niewinnego człowieka, skurwysynu! A przedtem więziłem przez trzy pieprzone lata!!! – Na jego szyi pojawiły się sploty żył: nabrzmiały jak okrętowe liny ukryte pod pergaminową skórą.

– Niewinnego? – zapytał Pajczyk, a w jego oczach było zdziwienie pomieszane z rozbawieniem. – Niewinnego!? Był winny zbrodni głupoty. On zamiast mózgu miał gówno. Ten facet był pusty jak gipsowa figurka, pieprzony ogrodowy krasnal z targowiska w Lubieszynie. Niby taki urodzony przywódca, fajny gość, pieprzony maczo pomiatający gorszymi, a tak naprawdę pizda, zwykła pizda. Kiedy to wyszło w podchorążówce, nawet nie musiałem się wysilać, żeby wzbudzić w sobie litość i brać go w obronę. Bo nie jestem taki jak on. – Uniósł się na krześle, zaczął bić się w pierś, oczy wyszły mu z orbit, a na ustach pojawiły się kropelki śliny. – Nie jestem! Ja wiem, jakie to uczucie być pomiatanym. I on też się dowiedział, choć nie z mojej winy. Zmieniło się środowisko i okazało się, że nie radzi sobie w innym niż to, do którego przywykł; to, w którym

pozwolono mu być tym, kim był. A tam role się odwróciły. Ale ja nie byłem mściwy, broniłem go...

Sarnecki patrzył na swoje dłonie leżące na stole. Były nieruchome i białe, naznaczone starczymi plamkami pigmentacyjnymi, z długimi, żółtymi paznokciami.

– Dlaczego powiedziałeś w internacie, że to mój syn strzelił pierwszy?
– zapytał. – Dlaczego mi to wtedy wmówiłeś, skoro to nie Adolf ci kazał?

Pajczyk opadł na krzesło. Otarł usta wierzchem dłoni i zwilżył je końcem języka.

– Była szansa, że wtedy jakoś to się rozejdzie po kościach. Przynajmniej trochę. Pomyślałem o odciskach palców na broni, ale nie znałem się na kryminalistyce i nie miałem pewności, co jeszcze mogą zbadać. Ślady prochu, okej, ale zdawałem sobie sprawę, że nie jestem w stanie przewidzieć wszystkiego. A pan miał koneksje, Jacek wspominał, że zna pan tam każdego, kto coś znaczy. Wiedziałem, że zrobi pan wszystko, żeby ukryć fakt, że to stało się przez Jacka. Jak każdy ojciec. I zrobił pan. Zrobił pan to, więc pan też jest winny tego, jak to się potem potoczyło. A kiedy w dwa tysiące trzecim przyszedł do mnie Broda i zaczął wnikać, wpadłem w lekką panikę, że coś sobie przypomniał. Tego, że Adolf nic nie pamiętał, mogłem być pewien, ale z Brodą już nie. Więc wmówiłem mu, że to Adolf. I potem dalej musiałem w to brnąć, bo nie miałem wyjścia... A wszyscy to łyknęli jak młode pelikany.

Rędzia patrzył na Pajczyka. Patrzył, jak pozornie spokojny i opanowany szybko oddycha, blady i spocony, jak marszczy brwi i ucieka wzrokiem gdzieś na boki, usiłuje dobierać słowa, które go wybielą albo chociaż zatrą i rozmyją granice między oczywistą winą a konsekwencjami niezamierzonych działań. Rędzia był na siebie wściekły. Podczas ostatniej wizyty u Pajczyka w domu popełnił poważny błąd. Opowiedział mu swoją wersję zdarzeń, w której to on, Pajczyk był bohaterem. Nawet mu niczego nie zasugerował, tylko dał gotową historię, którą ten potwierdził i nie potwierdził tajemniczym uśmiechem. To był uśmiech pełen spokoju i ulgi, kiedy okazało się, że Rędzia wcale nie dotarł do prawdy, tylko ją sobie wymyślił. Pocieszało go jedynie to, że Sarnecki też dał sobie wiele wmówić.

– Strzeliłeś do tego żołnierza przypadkiem, ale cała reszta to już nie był przypadek, co? – zapytał Pajczyka. – Fanta i Sarnecki nie byli prawie w ogóle pijani, nie dałoby się im wmówić tych wszystkich pierdół o bohaterstwie Adolfa, który leżał zarzygany w krzakach. Zabiłeś żołnierza, Sarneckiego, Fantę, a teraz Brodę i Cinka, prawda? I sam się porwałeś, żeby odwrócić od siebie podejrzenia? I kto wie, może jako prawnik wiedziałeś, że w przypadku najcięższych przestępstw śledztwo przejmuje komenda wojewódzka? Byłem za blisko prawdy, co?

Pajczyk uniósł obie ręce, jakby się poddawał, ale Rędzia wiedział, że to pusty gest. Bo on nie poddawał się od dwudziestu sześciu lat i nie było powodu, dla którego miałby zrobić to akurat teraz. Zwłaszcza teraz, kiedy walczył o wszystko. Ale w jego oczach znalazł odpowiedzi na swoje pytania sprzed chwili.

I wszystkie były twierdzące.

– Jak powiedziałem przed chwilą: niczego mi nie udowodnicie. – Pajczyk popatrzył na Rędzię i na Sarneckiego, który zastygł na swoim wózku w jakimś dziwnym stuporze. – I nic nie możecie mi zrobić. Nawet nie próbujcie. Pan sam się wtedy postarał, żeby nie było za dużo dowodów, co? – Wskazał Sarneckiego. – O karierę się nie boję. W dupie to mam. Nawet jak rozpęta się jakaś afera i dojdzie do procesu poszlakowego, to nikt mi nic nie udowodni, a ja zrezygnuję z mandatu i zajmę się spokojnie swoimi interesami, co już dawno powinienem zrobić; skupić się na tym, na czym trzeba, zamiast szarpać się z tymi debilami z rady. Na chuj mi to? – Wzruszył ramionami, a potem rozłożył szeroko ręce. – Nie ma do czego wracać. Każdy ma swoją tajemnicę, moi panowie. Jeden zdradza żonę z byłą koleżanką z klasy, inny przez kilka lat bezprawnie więził niewinnego człowieka, a jeszcze inny popełnił w młodości błąd, którego cena była zbyt wysoka, żeby mógł ją zapłacić.

– Porównujesz zdradę żony do zabójstwa kilku osób? Ty żałosny skurwysynu...

Po Pajczyku epitet spłynął jak po kaczce. Był przyzwyczajony.

– Kaliber jest nieistotny, Tomek. Tajemnica też tak jak pocisk potrafi zabić: człowieka albo miłość, nieważne. Wiem jedno: nie zasługiwałem na zmarnowanie sobie życia z powodu głupiego wypadku, któremu nie byłem winny! Gdyby ten idiota nie zdezerterował, a przede wszystkim

nie bawił się wcześniej bronią, wprowadzając nabój do komory, nic by się nie stało! Nic! Zostawcie tę sprawę w spokoju. To koniec. Wstaję teraz, wychodzę i więcej...

Później Rędzia zastanawiał się wielokrotnie, czy gdyby w porę zauważył, co robi Sarnecki, zareagowałby. Czy sięgnąłby po broń, żeby zapobiec temu, co się wydarzyło? Zapewne tak. Chociaż... Ale czasu i tak nie da się cofnąć. Ani do dziewięćdziesiątego czwartego, ani nawet o ułamek sekundy, a tyle zabrakło.

Przez ten właśnie ułamek sekundy myślał, że Sarnecki chce rzucić się do szyi Pajczyka i zacisnąć na niej palce w dramatycznym, lecz bezsilnym geście gniewu i desperacji. Tak to wyglądało. A potem zobaczył błysk. Nie wiedział, skąd w ręku Sarneckiego wziął się nóż, bo kiedy zerkał na niego po raz ostatni, starszy pan wciąż siedział nieruchomy jak głaz. A teraz widział tylko, jak zrywa się z wózka, staje na jednej nodze i skacze z wyciągniętymi przed siebie rękami w kierunku Pajczyka, obejmuje go jedną za kark, a drugą, tą, w której trzymał nóż, zadaje szybki cios i wbija mu go w szyję, prosto w tętnicę. Rędzia patrzył na to i miał wrażenie, że występuje we własnym śnie.

Że jest bohaterem koszmaru, który śni na jawie i z którego nie może się obudzić.

Sarnecki został na kolanach Pajczyka, ni to leżąc, ni z niego zwisając, jak dziwaczna wstęga przepasająca pierś albo obrazoburcza Pieta, Chrystus umierający na kolanach matki, wpatrzony w jej twarz, oboje cierpiący. Ale na kolanach leżał jednonogi starzec, a umierał Pajczyk. Cierpieli obaj, choć inny był rodzaj bólu. Przez chwilę ręce Pajczyka z rozczapierzonymi palcami wisiały nad głową Sarneckiego jak szpony raroga gotującego się do zadania ciosu wypatrzonej z powietrza myszy. Pajczyk wyglądał, jakby zastanawiał się, co ma zrobić. Nagle szpony chwyciły starca za nadgarstek i to pozwoliło Sarneckiemu jeszcze przez chwilę pozostać na kolanach Pajczyka w niezmienionej pozycji. Kiedy Pajczyk zrozumiał wreszcie, co się stało, w jego oczach pojawił się zwierzęcy strach. Puścił Sarneckiego, a ten z głową odgiętą do tyłu, wciąż wpatrzony w twarz zabójcy swojego syna, powoli osunął się na podłogę. Dłoń starego człowieka wciąż była mocno zaciśnięta na trzonku, więc nóż wysunął się z szyi Pajczyka pociągnięty ciężarem ciała. Dopiero

teraz z rany chlusnęła struga krwi, sięgając aż krawędzi stołu i ochlapując skraj obrusa. W absolutnej ciszy rozległ się odgłos, jaki wydają pierwsze krople nadciągającej ulewy padające na płócienny daszek rozpięty nad ogrodową huśtawką.

– Hhhhh – wycharczał Pajczyk, sztywniejąc na krześle.

Jasnoczerwona krew spływała z szyi, zalewając mu koszulę na piersi. Przyciskał drżące palce do rany, ale to nic nie dawało, bo ślizgały się tylko na mokrej skórze. Zaczął się trząść i rzezić. Fale krwi słabły. Koszula była czerwona niemal do pasa, gdy koszmarne plama pochłaniająca kolejne jej fałdy wreszcie powoli przestała się powiększać. Ale to już było bez znaczenia. Czas stanął. Sarnecki leżał na podłodze z podkuloną pod dziwnym kątem nogą, której nie był w stanie wyprostować. Miał zamknięte oczy i oddychał chrapliwie. Kikut drugiej nogi sterczał do góry.

Rędzia gapił się osłupiały na wykrwawiającego się Pajczyka, który oddawał spojrzenie szeroko otwartymi oczami. Widać w nich było błaganie o pomoc. O ratunek. Ale ratunku już nie było i Rędzia to wiedział. Pajczyk też. Najpierw lekko opadły mu powieki, potem ramiona. Jakby się poddał, zrezygnował z walki, najważniejszej walki, jaką może stoczyć człowiek. Walki o życie. Opuścił wzrok, widać było, że szok i upływ krwi robią swoje. Zaczął spazmatycznie łapać oddech, a potem oklapł. Jego pierś poruszała się coraz wolniej i płycej, aż wreszcie zamarła w bezruchu. Pajczyk spod półotwartych powiek patrzył niewidzącym wzrokiem na swoje ręce oparte o uda. Były zwrócone palcami ku górze, jakby czekały, aż ktoś włoży w nie coś: cokolwiek, byle tylko nie leżały tak bezsensownie, zeszywniałe i powalane krwią; takie puste i upiornie czerwone.

Rędzia chciał wstać, ale nogi miał jak z waty. Ogarnęło go zniechęcenie. Nie myślał teraz, jakie konsekwencje dotkną go osobiście, bo to, że dotkną, było pewne jak w banku. Stracił kontrolę nad sytuacją. Wszystko poszło inaczej, niż zaplanował; głupio poszło. Poszło źle. Wręcz fatalnie. Zastanawiał się, jak wytłumaczy to Agnieszce.

I nie mogąc już nic na to poradzić, siedział tylko na swoim krześle, z jakąś koszmarne stoicką obojętnością obserwując, jak Sarnecki, wciąż leżąc na podłodze, wyciąga z kieszeni spodni telefon i wybiera na nim

trzy cyfry. A potem powoli przykłada go do ucha i patrząc Rędzi w oczy, mówi głośno i wyraźnie:

– Proszę mnie połączyć z komisarzem Tomaszem Rędią z komendy miejskiej... Tylko jemu powiem, o co chodzi... Dobrze, nazywam się Jerzy Sarnecki i właśnie zabiłem człowieka, ale informuję pana, że oddam się wyłącznie w ręce komisarza Rędzi... Nie, to nie jest żart. Ofiara nazywa się Jakub Pajczyk, ponadto jestem również sprawcą zabójstwa popełnionego w dwa tysiące szóstym roku, nazwisko ofiary: Mariusz Stec. Proszę powiadomić komisarza Rędię i przekazać mu, żeby przyjechał do mojego mieszkania w Parku Ostrowska. On zna dokładny adres. Jestem gotów oddać się w ręce policji, ale to on ma po mnie przyjechać. Nikomu innemu nie otworzę drzwi. To mój warunek. Czekam...

Położył telefon na podłodze obok siebie i zamknął oczy. Wyglądał na koszmarnie zmęczonego. Wysiłkiem i życiem. Rędzia wreszcie ocknął się z odrętwienia. Podniósł się z krzesła, chcąc pomóc mu wstać, ale Sarnecki gwałtownie pokręcił głową. Usiadł, chwycił krawędź blatu, podciągnął się i stanął na swej jednej nodze. Gdy już uzyskał stabilną pozycję, westchnął głośno, spojrział z obrzydzeniem na martwego Pajczyka i usiadł ciężko na wózku. Leżący na stole telefon Rędzi zawibrował nagle. Komisarz zerknął na wyświetlacz i zobaczył napis „dyżurny KMP”.

– Nie odbierze pan? – zapytał Sarnecki.

– Za chwilę oddzwonię – mruknął. – Skończmy to już...

Sarnecki wyciągnął ku niemu ręce złączone w nadgarstkach. W jego oczach był porozumiewawczy błysk. I ulga. Rędzia przysięgłby, że jeszcze wdzięczność, ale nie chciał o to pytać. Bał się odpowiedzi. Pomyślał też, że stary załatwił to bardzo zgrabnie. Wiedział już, co kłębiło się w jego głowie, kiedy porażony wyznaniem Pajczyka siedział jak posąg, a tamten wciąż snuł swoje chore wynurzenia. Zmieniał zaplanowany scenariusz. Adaptował go do nowych okoliczności natychmiast po niespodziewanym zwrocie akcji. Robił to, co Pajczyk przez ostatnie dwadzieścia sześć lat.

Obaj byli w tym dobrzy, tyle że Pajczykowi chodziło wyłącznie o siebie, a Sarnecki zadbał teraz również o Rędię.

Sięgnął do tyłu, do paska spodni, gdzie w futerale spoczywały kajdanki. Darował sobie formułkę zatrzymania. Wolał, żeby wszystko odbyło się w ciszy, zresztą zostało już pogwałcone tyle zasad, że złamanie jeszcze jednej nie stanowiło różnicy. Wyciągnął je i ze zgrzytem zapadek zapiął metalowe obręcze na nadgarstkach Sarneckiego, dbając, żeby nie zacisnąć ich zbyt mocno. A potem zadał to pytanie, które musiał zadać.

– Dlaczego pan to zrobił, na litość boską? Mówił pan, że śmierć to wyzwolenie.

Sarnecki zabrał skute rękę, a potem wyciągnął je przed siebie i zacisnął w pięści. Rędzia zobaczył nagle, jak palec wskazujący prawej dłoni odgina się i celuje w zalanego krwią trupa.

– W jednym miał rację – wycedził zimno. – Nie udowodniłby mu pan niczego. Trzeba to było wreszcie zakończyć. Nie mówić, żeby zakończyć, tylko zakończyć. Raz na zawsze...

Pilchowo / Szczecin, 15.04.2020 – 12.06.2020

Od autora

Na koniec jak zwykle chciałbym podziękować osobom, bez których ta książka może nie tyle by nie powstała, ile wyglądała zupełnie inaczej, a z pewnością gorzej. Część z tych osób to ludzie, których męczę od paru lat, wyciągając z nich informacje, nawet takie, jakimi nie zawsze mogą się podzielić.

A więc: prokurator Mateusz Michalczyk, Monika Golla, Przemek Piątas, Kasia Świątkowska (życzę Ci tej profesury jak najszybciej), doktor Oktawian Knap, Sylwia i Łukasz Piątkowie. Oraz mój lekarz domowy, a prywatnie osobista żona, Jowita. Dzięki za zaangażowanie i pomoc.

Z innymi nawiązałem kontakt z okazji tej powieści i nawet nie liczę, że to był ostatni raz! Przede wszystkim serdecznie dziękuję naczelnikowi i wicenaczelnik wydziału kryminalnego KMP w Szczecinie. To dzięki Wam ta historia zyskała nowy wymiar i oczywiście przepraszam za wszystkie uproszczenia wynikające z konstrukcji powieści kryminalnej i wpadki wynikające z mojej niewiedzy. Pozdrawiam i do zobaczenia! A Panu Tomaszowi dziękuję za wspaniałą opowieść o Łęknie i za możliwość wykorzystania „Rajskiego Ogrodu” do niecnych celów.

Niektórzy nie mają nazwisk, nie w mojej świadomości, oczywiście: to pracownicy urzędów, organów administracji i tym podobnych, którzy wykazali sporo dobrej woli i cierpliwości, chcąc porozmawiać ze mną chwilę przez telefon w trakcie pracy. Szczególne podziękowania należą się pani z sądu wieczystoksięgowego, pani z sekretariatu prokuratury rejonowej Szczecin–Niebuszewo i oficerowi komendy miejskiej PSP w Szczecinie.

Tomkowi Rędzi dziękuję za użyczenie personaliów i nie tylko za to. Miłej lektury, panie „komisarzu”!

Sylwii Depie dziękuję za przeczytanie surowego tekstu, który dzięki temu stał się bardziej strawny, za bystre oko i celne uwagi godne

profesjonalnego czytelnika oblatywacza.

Na sam koniec chciałbym podziękować swojej licealnej klasie z LO VII w Szczecinie. Jak w każdej, istniał w niej podział na frakcje, byli prymusi, przeciętniacy i jajcarze. Fajni ludzie i tacy, z którymi było nie po drodze. Podejrzewam, że każdy Czytelnik w trakcie lektury miał przed oczami swoją własną klasę i potrafi przyporządkować Adolfa, Ankę Kuźmę czy nawet Rędzię do któregoś ze swoich kolegów czy koleżanek. Tak się składa, że w swojej byłem dość lubiany, więc nie sądzcie, drodzy Czytelnicy, że historia Rędzi z IIIB to moja historia. Nie. Wszyscy uczniowie tej klasy to kompilacje, efekt sięgania po urywki mojej pamięci, które następnie przepoczwarzałem, tworząc swoich bohaterów. Ale to właśnie wycieczka mojej klasy do Złocieńca w roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym czwartym była taką iskrą do powstania tej powieści (nie byłem na niej). Autentycznie, do dziś zastanawiam się, co tam robiliście? Co tam w ogóle można było robić? O ile wiem, nie było mowy o alkoholu, ale jak wspomniałem, nie było mnie na tej wycieczce... A ponieważ ścieżki mojego umysłu są kręte i brukowane jak droga do piekła, finalnie z głowy wyszła ta oto historia. Bez wątpienia byliście dla niej pożywką, czy się Wam to podoba, czy nie, i za to Wam dziękuję. To był bardzo fajny czas, tyle chciałem Wam powiedzieć, jeśli to czytacie.

Spis treści

Karta tytułowa

Cytat

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

Od autora

Karta redakcyjna

Copyright © by Marek Stelar, 2020
Copyright © by Wydawnictwo FILIA, 2020

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2020

Projekt okładki: © Mariusz Banachowicz
Zdjęcie na okładce: © michael-benz/Unsplash

Redakcja: Jacek Ring
Korekta: Dorota Wojciechowska
Skład i łamanie: Jacek Antoniuk

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:
„DARKHART”
Dariusz Nowacki
darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8195-253-8

FILIA

Wydawnictwo Filia
ul. Kleeberga 2
61-615 Poznań
wydawnictwofilia.pl
kontakt@wydawnictwofilia.pl

Seria: FILIA Mroczna Strona
mrocznastrona.pl

Wszystkie wydarzenia, postaci i część miejsc opisanych w tej historii są wytworem wyobraźni i nie mają odniesienia do osób i zdarzeń rzeczywistych.